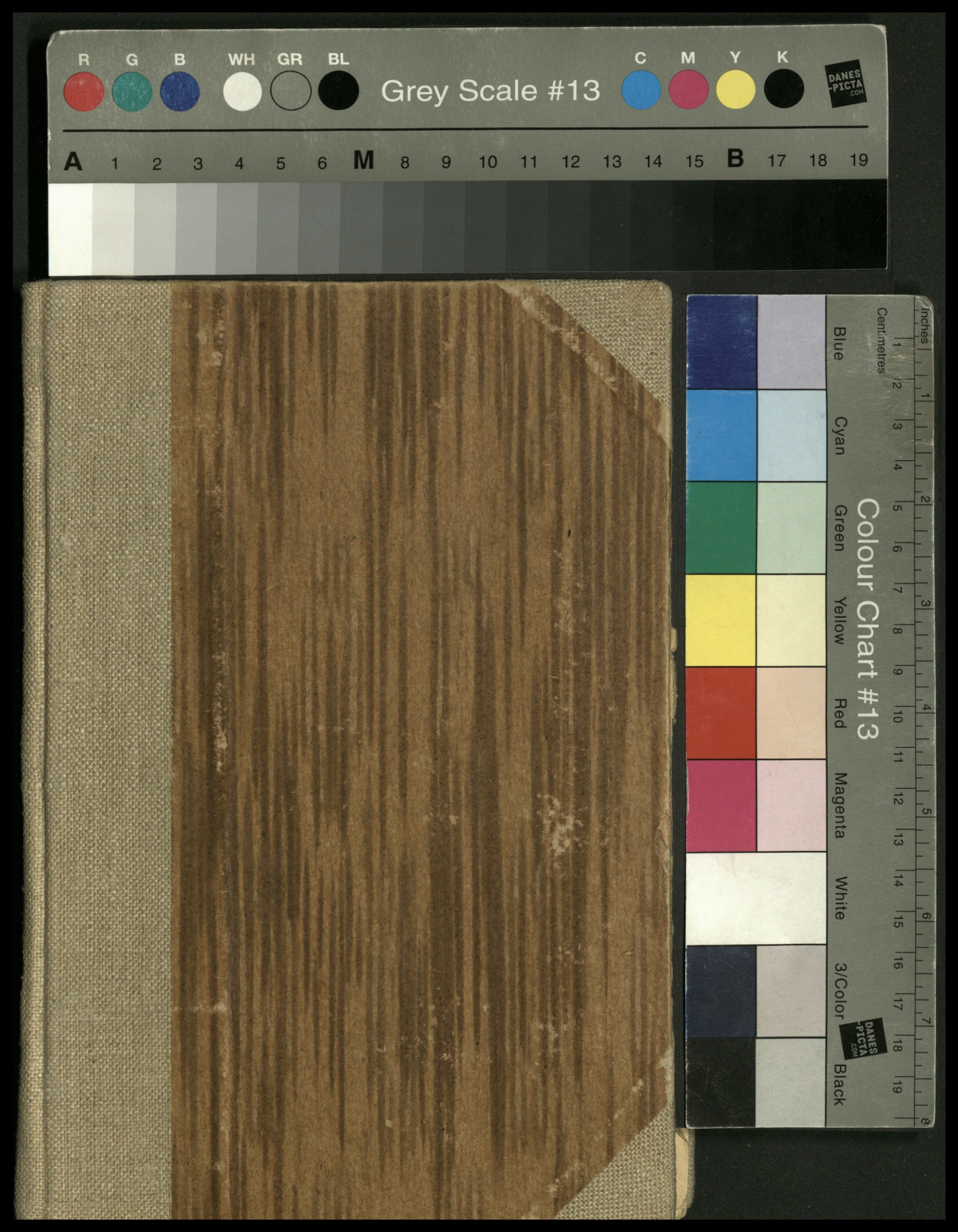
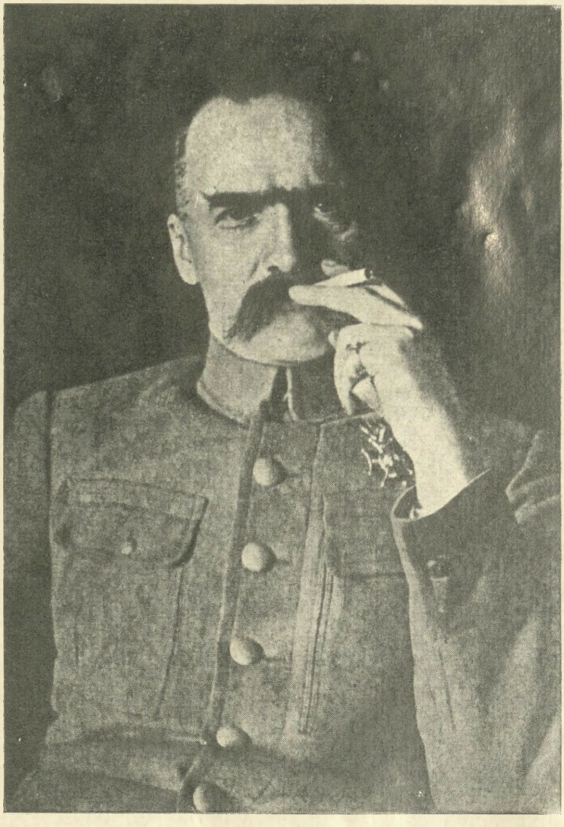

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

Dk1.116.835/7.

# PISMA ZBIOROWE



JÓZEF PIŁSUDSKI

w r. 1920

JÓZEF PIŁSUDSKI

# PISMA ZBIOROWE

WYDANIE PRAC DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

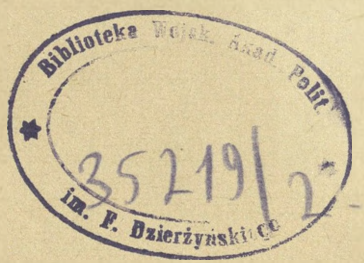
TOM VII

WARSZAWA 1937

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

TOM NINIEJSZY WSTĘPEM ZAOPATRZYŁ

JÓZEF MOSZCZEŃSKI




WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ TADEUSZ GRONOWSKI

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

# WSTĘP

«Rok 1920» zajmuje w spuściźnie pisarskiej Marszałka Józefa Piłsudskiego zupełnie szczególne miejsce. Nie tylko dlatego, że jest największym z dzieł napisanych przez Niego. Składają się na to i inne głębsze przyczyny. Główną z nich jest znaczenie historyczne okresu, który omawia i decydująca rola odegrana w nim przez Piłsudskiego. O okresie tym mówi Piłsudski: «rok 1920 pozostanie w dziejach co najmniej dwóch państw i narodów rokiem na długo pamiętnym» i dalej «Nie chcę wchodzić w dociekania czy boje toczone w tym roku swym znaczeniem nie obejmowały znacznie szerszych kręgów, niż zakreślone one były granicami obu państw, będących w sporze wojennym». Zagadnienie to szczegółowiej potraktował lord d'Abernon szef misji angielskiej wysłanej w roku 1920-tym do Polski; nazywa on bitwę warszawską, stanowiącą punkt kulminacyjny 1920-go roku — osiemnastą decydującą bitwą świata, wydając pod tym tytułem swoje wspomnienia z pobytu w Polsce. Lord d'Abernon zupełnie słusznie stwierdza, że losy Europy potoczyłyby się inaczej, gdyby nie zwycięstwo w 1920-tym roku Polski nad Rosją Sowiecką, chcącą przy pomocy bagnetów swych żołnierzy narzucić Europie komunistyczną ideologię i ustrój radziecki. Tak samo inaczej wyglądałyby dzieje Europy, gdyby takie bitwy, jak Maraton, Tours, Wiedeń lub Marna miały inny przebieg i inne wyniki. Od losów Polski zależały losy Europy, a losy Polski były w ręku Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Marszałka Józefa Piłsudskiego, który zdecydował o losach wojny przez swą wolę zwycięstwa, jako Szef Państwa i przez swój geniusz wojenny jako Wódz Naczelny. To też wszelkie wypowiedzenia się Marszałka Piłsudskiego o tym okresie mają nieocenioną wartość.

«Rok 1920» powstał w czasie usunięcia się Marszałka Piłsudskiego od pracy politycznej i wojskowej. Jest to okres zaciętej walki prowadzonej w Polsce przeciwko osobie Marszałka Piłsudskiego i ideom reprezentowanym przez Niego, walki bezwzględnej i nie przebierającej w środkach. W walce tej dużą rolę odgrywała krytyka działalności Piłsudskiego jako Naczelnego Wodza. Pośrednio stał się «Rok 1920» odpowiedzią na tę krytykę.

Nie zajmując urzędowego stanowiska, nie biorąc udziału w życiu politycznym Piłsudski jedynie swym autorytetem, potęgą swych myśli i słów wywiera przemożny wpływ na polską rzeczywistość. Odbija się to w pierwszym rzędzie na stosunku do ukochanego dzieła Marszałka — Wojska Polskiego. Odsunięty od bezpośredniego kierownictwa sprawami armii, nie kierując wychowaniem, wykształceniem i wyszkoleniem wojska, a w szczególności korpusu oficerskiego, czyni to pośrednio wygłaszając i publikując szereg prac i odczytów o charakterze wojskowym i o pierwszorzędnych walorach wychowawczych i dydaktycznych; są one umieszczone i omówione w tomach VI i VIII «Pism Zbiorowych»; do tego rodzaju prac tylko o znacznie szerszym zasięgu należy «Rok 1920» objęty niniejszym tomem.

W lutym 1923-go roku na kursie uzupełniającym Akademii Wojskowej (odpowiadającej polskiej Wyższej Szkole Wojennej) robotniczo-włościańskiej czerwonej armii w Moskwie wygłosił M. Tuchaczewski wykłady pod tytułem «Pochód za Wisłę». W końcu 1923-go roku wykłady te zostały ogłoszone drukiem. Autor wykładów Michał Tuchaczewski, jeden z najwybitniejszych dowódców sowieckich, był od końca kwietnia 1920 r. dowódcą t. zw. sowieckiego frontu zachodniego, t. j. dowodził grupą armij północnych, którym przypadało w udziale główne i decydujące uderzenie na Polskę. Tuchaczewski był tym dowódcą, który prowadził armie sowieckie od brzegów Dźwiny i Berezyny nad Wisłę. Pochód ten został zakończony klęską zadaną armiom sowieckim przez Piłsudskiego w bitwie warszawskiej. W swoich wykładach stara się Tuchaczewski wyjaśnić przyczyny klęski i na tle przebiegu

działań rozwija swoje poglądy teoretyczno-wojskowe, poddaje krytyce działalność polskich dowództw i wojsk i wreszcie porusza zagadnienia polityczne i społeczne. Wykłady mają ogólnie tendencję antypolską i przedstawiają kampanię w świetle nieścisłym. Rozumowania i wywody Tuchaczewskiego przedstawiają Polskę jako państwo «biało-szlacheckie» i «burżuazyjne», odbierają armii polskiej jej sławę i zmniejszają znaczenie jej zwycięstw, wreszcie stawiają zarzuty natury wojskowej Piłsudskiemu jako Naczelnemu Wodzowi, przedstawiają Go jako narzędzie «burżuazji» i «kapitału międzynarodowego» w walce z Sowietami.

Praca Tuchaczewskiego musiała wywołać odpowiedź Marszałka Piłsudskiego dla przeciwstawienia myślom i poglądom dowódcy z jeden ze stron walczących myśli i poglądów wodza z naszej strony. Ale w trakcie pracy rękopis, pomyślany jako odpowiedź na wywody Tuchaczewskiego, rozrósł się i uzyskał charakter zupełnie samoistnej pracy, przerastając pierwotne zamierzenia. Jest to zupełnie zrozumiałe jeżeli się weźmie pod uwagę, że jak mówi Piłsudski: «dzieje postawiły mnie wyżej od p. Tuchaczewskiego» i «Z tego powodu w dziedzinie najogólniejszych strategicznych działań z musu musiałem sięgnąć szerzej i obracać się w rejonach wojennej sztuki i w myślach z nią związanych w wyższym kręgu, niż to było udziałem Tuchaczewskiego». To też i «Rok 1920» obraca się w wyższych rejonach myślowych niż wykłady Tuchaczewskiego. W ten sposób powstało najobszerniejsze z dzieł pisanych Piłsudskiego, wykłady zaś Tuchaczewskiego stały się tylko punktem wyjścia dla pracy o zupełnie odrębnym charakterze, będącej bezcennym wkładem zarówno w literaturę historyczną, dotyczącą dziejów 1920 roku, jak również w dziedzinę badań teoretyczno-wojskowych.

W «Roku 1920» obala Piłsudski nie tylko fałsze Tuchaczewskiego, obala również fałsze, przekręcenia i plotki, które powstały i były rozpowszechniane w Polsce; Piłsudski nie tylko przeciwstawia się teoretycznym i strategicznym wywodom Tuchaczewskiego, ale daje swoje własne koncepcje i poglądy strategiczne poparte przykładami, nie tylko wykrywa agitacyjny charakter wywodów Tuchaczewskiego, ale daje wyraz

swojej koncepcji walki o Polskę, koncepcji samodzielnego bytu i prawa do ustroju odpowiadającego polskim warunkom geopolitycznym i gospodarczym i psychice polskiej.

Ale ta strona pracy Piłsudskiego — strona polemiczna, jest tylko jedną z cech «Roku 1920». Drugą cechą nadającą dziełu niezwykłą wartość jest jego charakter wspomnień lub raczej wyznań osobistych. System dowodzenia Piłsudskiego cechowało to, że dawał wykonawcom gotową decyzję, gotowe wskazówki i rozkazy, najczęściej bez omówienia elementów decyzji ani też rozumowania, na których decyzja została oparta; stąd wynikał znany fakt zaskakiwania decyzją nie tylko przeciwników, nie tylko ogółu, ale nawet najbliższych pomocników i współpracowników. W «Roku 1920» odsłania nam Piłsudski z bezwzględną szczerością jaka ciężka praca umysłu i woli kryje się poza krótkimi, jasnymi słowami decyzji, jaką mękę i trud musi przeżywać wódz, jak często splot najróżnorodniejszych trudności, przeciwieństw i niepewności obciąża każdą myśl; nie ukrywa przy tym Piłsudski nawet momentów słabości, momentów załamań, momentów walki wewnętrznej. Ustępy pracy dotyczące tych spraw ukazują ducha i odsłaniają nam rąbek tajemnicy geniuszu Piłsudskiego.

Dalszą cechą «Roku 1920» — to rozumowania ogólne, w których Piłsudski daje wyraz swej głębokiej wiedzy wojskowej zarówno teoretycznej jak i historycznej. Jego rozumowania o strategii mas, o ugrupowaniu taranowym, głęboka analiza wojny okopowej są rozważaniami, które w znacznym stopniu wzbogacają dorobek naukowy.

Wreszcie Piłsudski jak zawsze potrafi z «Roku 1920» zrobić dzieło o ogromnych walorach wychowawczych nie tylko dla wojska, ale również dla szerokiego ogółu.

«Rok 1920» został napisany przez Piłsudskiego w miesiącach od kwietnia do czerwca 1924 roku. Materiały historyczne oraz zestawienia stanów liczebnych przygotowywał i dostarczał Marszałkowi Piłsudskiemu ówczesny Szef Biura Historycznego Sztabu Głównego gen. bryg. Julian Stachiewicz.

Rozdziały od I do IX dyktował Marszałek Piłsudski swej Małżonce, rozdział X gen. Julianowi Stachiewiczowi, a czę-

ściowo rękopis był pisany osobiście. Odpis maszynowy powstałego tą drogą manuskryptu przechodził jeszcze raz przez ręce Piłsudskiego, który robił na nim już tylko nieznaczne poprawki stylistyczne i rzeczowe. Szkice do pracy zostały wykonane w Biurze Historycznym.

Jak w stosunku do całej pracy, wykłady Tuchaczewskiego były jedynie punktem wyjścia, tak w układzie książki Marszałek Piłsudski, mimo częściowego skrępowania konstrukcją wykładów Tuchaczewskiego, przyjął swój własny układ materiału. W «Roku 1920» rozdziały są jedynie numerowane bez podania zawartej w nich treści.

W ogólnych zarysach treść poszczególnych rozdziałów przedstawia się następująco:

Krótka przedmowa wyjaśnia stosunek Marszałka Piłsudskiego do książki Tuchaczewskiego i jego metody pracy oraz omawia ogólne znaczenie rozważań pisanych przez wodzów stron walczących.

W rozdziale I-szym rozprawia się Piłsudski z argumentacją Tuchaczewskiego o stosunku sił wojsk walczących; ten ostatni bowiem wysuwa najłatwiejszy a w świetle późniejszych badań nieścisły argument o przewadze sił polskich jako jednej z głównych przyczyn porażki własnej pod Warszawą.

Rozdział II-gi poświęcony jest polemice z oceną Tuchaczewskiego znaczenia północno-wschodniego teatru działań wojennych i z jego poglądami na rozkład strategiczny sił po stronie polskiej.

Rozdziały III i IV-ty omawiają przebieg i wyniki t. zw. operacji majowej Tuchaczewskiego (ofensywa rozpoczęta dnia 14 maja), działania konnej armii Budiennego, dalsze przygotowania Tuchaczewskiego do drugiej decydującej ofensywy oraz przedstawiają plany operacyjne Piłsudskiego w okresie maj—czerwiec 1920 r.

Rozdział V-ty analizuje szczegółowo plan, przebieg i rezultaty bitwy nad rzeką Autą z dnia 4 i 5 lipca, w której zostały przełamane polskie stanowiska obronne nad Dźwiną i Berezyną, zaś rozdział VI-ty przeprowadza podobną analizę w stosunku do drugiej bitwy, która zdecydowała o stałym dalszym

zagrożeniu lewego, północnego skrzydła wojsk polskich, bitwy stoczonej w rejonie Wilna 11—14 lipca.

Dalszy ciąg ofensywy Tuchaczewskiego, dalsze działania armii konnej Budiennego oraz plany Piłsudskiego przeciwstawienia się działaniom ofensywnym sowieckim przez zwrot zaczepny z obszaru Brześć—Kowel stanowią treść rozdziału VII.

Bitwa warszawska została omówiona w rodziale VIII-ym. Jest to wprawdzie najdłuższy rozdział książki, nie zdołał jednak Piłsudski wyczerpać tego obszernego tematu; są dane, że miał zamiar poświęcić temu zagadnieniu odrębną, szczegółową pracę.

W rozdziale IX-tym rozprawia się Piłsudski z atakami Tuchaczewskiego na Polskę i na Niego, wreszcie rozdział X-ty poświęcony jest rozważaniom ogólnym i strategicznym. Należy zaznaczyć, że szereg wywodów natury ogólnej oraz strategicznych jest rozrzucony również w innych częściach dzieła np. krytyka ugrupowania kordonowego została poruszona w rozdziale II-im, analiza wojny okopowej w rozdziale V-tym i t. p.

Pierwsze wydanie «Roku 1920» ukazało się na jesieni roku 1924 p. t. «Rok 1920-ty». Z powodu pracy M. Tuchaczewskiego: «Pochód za Wisłę». Warszawa 1924. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego «Ignis» (E. Wende i S-ka), str. 4 nlb.— 224 — załącznik o stronicach 16—8 szkiców. Do «Roku 1920» wszedł przekład książki Tuchaczewskiego, wykonany przez mjr. dypl. Antoniego Bogusławskiego p. t. «Pochód za Wisłę». Wykłady wygłoszone na kursie uzupełniającym Akademii Wojskowej R. K. K. A. w Moskwie, 7—10 lutego 1923 roku.

Drugie wydanie pod tym samym tytułem zostało wydrukowane w roku 1927 nakładem Instytutu Badania Najnowszej Historii Polskiej w Warszawie. Drugie wydanie poza poprawkami błędów drukarskich oraz jedną nieistotną poprawką rzeczową niczym nie różniło się od wydania pierwszego, natomiast zostało uzupełnione przedmową do drugiego wydania napisaną przez Piłsudskiego oraz przypisami opracowanymi pod redakcją gen. bryg. Juliana Stachiewicza przez mjr. dypl.

Edwarda Perkowicza i mjr. Józefa Moszczeńskiego (str. VII + 378 + 10 szkiców).

Trzecie wydanie «Roku 1920» ukazało się jako tom VII-my wydawnictwa p. t. «Józef Piłsudski. Pisma-Mowy-Rozkazy». Wydanie zbiorowe prac dotychczas drukiem ogłoszonych. Instytut Badania Najnowszej Historii Polski — Warszawa 1931 r., str 332 — VI — 8 szkiców. Wydanie to zostało dokonane bez żadnych zmian z wydania drugiego z opuszczeniem przedmowy do drugiego wydania i przypisów.

Wydanie niniejsze tworzące tom VII-my «Pism Zbiorowych» jest przedrukiem wydania trzeciego. Jedynie w stosunku do szkiców została przeprowadzona korekta nazw geograficznych, ujednostajniono nomenklaturę oddziałów i wykonano korektę techniczną; poprawki te w niczym nie naruszają pierwotnej zatwierdzonej przez Piłsudskiego formy i charakteru szkiców, udoskonalają jedynie technikę wykonania.

Podobnie jak w wydaniu trzecim «Rok 1920» ukazuje się bez przypisów. W tej mierze decyzja wydawców jest oparta na tym, że szczegółowe studium «Roku 1920» wymaga od czytelnika pewnego przygotowania teoretyczno-wojskowego oraz znajomości przebiegu ostatniej wojny polsko-rosyjskiej. Przypisy nie mogą zastąpić tego przygotowania. Niezależnie od tego dzięki jasności i precyzji myśli Piłsudskiego czytanie dzieła, bez wgłębiania się w zagadnienia strategiczne i historyczne, jest dostępne dla każdego. Przypisy do wydania drugiego ujęte były pod wąskim kątem widzenia zestawienia sowieckiej literatury historycznej, są poza tym przestarzałe, nie mogły więc być w ogóle brane pod uwagę.

Przedmowa do drugiego wydania, jako napisana przez Piłsudskiego w 1927 r. wejdzie w skład tomu IX «Pism Zbiorowych».

«Rok 1920» został przetłumaczony na szereg obcych języków. Tłumaczenia podaję w kolejności ich ukazywania się:

W języku rosyjskim: J. Piłsudskij. 1920 god. Pieriewod Pietrusiewicza. Priedisłowije Triandafiłowa, S 8 schemami, Wojennyj Wiestnik, Moskwa 1926, str. 171—8 szkiców.

W języku francuskim: Joseph Pilsudski, L'année 1920, Edition complète avec le texte de l'ouvrage de M. Toukhatchewski «La marche au-delà de la Vistule» et les notes critiques du Bureau Historique Militaire de Varsovie, traduit du polonais par le L-t colonel B-té Ch. Jèze, de l'armée francaise, et le Comendant J. A. Teslar, de l'armée polonaise». Paris, la Renaissance du Livre, 1929, str. VIII — 335 — 11 szkiców.

W języku węgierskim: Piłsudski József, 1920, Válasz M. Tuchaczewski «A Wisztulai Hadjárat», Cimü hadtörténelmi tanulmányára. Lengyel eredetiböl forditotta Lipcsei — Steiner Mihaly, Budapest 1934, str. 231 — 8 szkiców.

W języku niemieckim: Josef Piłsudski. Erinnerungen und Dokumente. Von Josef Piłsudski, dem Ersten Marshall von Polen, persönlich autorisirte deutsche Gesamtausgabe. Ausgewählt, bearbeitet und redigiert von Major dr. Wacław Lipiński vom Militärhistorischen Büro in Warschau und Generalkonsul J. P. Kaczkowski. Mit einem Geleitwort von Ministerpräsident General Hermann Göring. Band II. Vorwort von Reichskriegsminister und Oberfehlshaber der Wehrmacht Generaloberst von Blomberg. Das Jahr 1920. Mit einem Portrait, einem Faksimile, 18 Skizzen u. 8 mehrfarbigen Tafeln. Essener Verlagsanstalt Essen. Aus dem Polnischen übertragen von Rittmeister in poln. Generalstab K. Riedl. 1935, str. XVI — 322 — 8 szkiców.

*Józef Moszczeński.*

# PRZEDMOWA

Rok 1920 pozostanie w dziejach co najmniej dwóch państw i narodów rokiem na długo pamiętnym. Na ogromnej arenie, pomiędzy brzegami Dniepru, Berezyny i Dźwiny, a z drugiej strony Wisły, rozstrzygały się w walce wojennej losy nasze polskie i sąsiedniej z nami Sowieckiej Rosji. Rozstrzygnięcie walki rozstrzygnęło zarazem na czas pewien i losy milionów istot ludzkich, które reprezentowane były wtedy przez walczące na tej ogromnej przestrzeni wojsko i jego wodzów. Nie chcę wchodzić w dociekania, czy boje, toczone w tym roku, swym znaczeniem nie obejmowały znacznie szerszych kręgów, niż zakreślone one były granicami obu państw, będących w sporze wojennym, niechybnym jednak jest, że napięcie nerwów w całym świecie cywilizowanym było niezwykle duże i ku nam, ówczesnym żołnierzom, skierowane było mnóstwo ócz, napełnionych to trwogą, to nadzieją, to łzą goryczy, to uśmiechem szczęścia. Nic więc dziwnego, że ciekawość dotąd pyta o wyjaśnienie zagadek i wątpliwości, które dręczyły ongiś ludzi. Zrozumiałą również jest ciekawość nasza, głównych aktorów ówczesnych dziejowych zdarzeń, w stosunku do działań, myśli i nawet wszelkich szczegółów pracy tych, z którymi ongiś skrzyżowaliśmy szpady. P. Tuchaczewski (nie mogę znaleźć innej formuły, gdyż nie wiem, czybym określeniem rangowym nie uraził w czymkolwiek swego byłego przeciwnika) wydał świeżo książeczkę p. t. «Pochód za Wisłę», ja zaś zostałem zaproszony przez polskich tej książeczki wydawców o danie dla polskiej publiczności swojej tego dziełka oceny i przeciwstawienia myślom i ujęciom każdorazowej sytuacji wodza jednej z partyj walczących myśli i takiegoż ujęcia wodza z naszej strony. Sądzę, że wydawcy mieli w tej sprawie myśl szczęśliwą, gdyż taka jednoczesna obserwacja obu stron walczących daje największe zbliżenie do realnej prawdy i stanowić może bardzo dobrą podstawę dla każdego z poważnych badaczy historii. Niechybnie p. Tuchaczewski ma przede mną

przewagę pierwszeństwa, że tak powiem — przewagę inicjatywy, — zaczął pierwszy. A z tego powodu zgodnie z celami wydawnictwa jestem z góry związany zarówno układem pracy p. Tuchaczewskiego, jak jej metodą i jej konstrukcją; w pracy zaś literackiej równie dobrze, jak i w pracy wojennej, jest to niemało ważną przewagą. Wobec tego jednak, że i w naszym spotkaniu wojennym losy pod względem inicjatywy sprzyjały nie mnie, lecz partii przeciwnej, zgodziłem się chętnie na propozycję wydawców, gdyż sama metoda ujęcia pracy przez p. Tuchaczewskiego niezwykle sprzyja zadowoleniu szeroko odczuwanych u nas potrzeb wyświetlenia wielu zjawisk, przeżytych przez nas tak głęboko w przełomowym dla naszej ojczyzny r. 1920.

Mianowicie — p. Tuchaczewski, wydając pod powyższym tytułem swe prelekcje na dopełniającym kursie akademii wojennej w Moskwie, poszedł w ograniczeniu ich treści tak daleko, że zawarł ją, jak mówi we wstępie, «w obszczem stratiegiczeskom obzorie opieracij, a razsmotrienja stratiegiczeskich dietalej i takticzeskich sojedinienij» zdecydował uniknąć zupełnie. Z tego powodu dziełko p. Tuchaczewskiego staje się dostępne szerokiemu kołu czytającej publiczności. Strategia bowiem, tak ogólnie pojęta, bez związania jej ściślej zarówno ze szczegółami tej dziedziny, jak i z taktycznymi działaniami wojska, oswobadza piszącego czy mówiącego od ciężko strawnej dla ogółu analizy wojennych sytuacyj, nie wymaga trudnych do odcyfrowania dla przeciętnego czytelnika szkiców i map, a zarazem przenosi czytelnika i słuchacza do tej dziedziny, gdzie zaczyna panować niekiedy wszechwładnie nieuchwytny nieraz dla ścisłej analizy czar sztuki wojennej. Dziedzina zaś każdej sztuki jest tą, gdzie przeciętnie wykształcony człowiek obraca się względnie swobodnie, a przynajmniej swobodnie się czuje; gdy jest wystawa obrazów, wszyscy nie malujący rozpowiadają wcale swobodnie o artystach i ich metodach, gdy zaś jest wystawa wojny, nie ma szerzej omawianego tematu, jak strategiczne błędy i zalety głównych aktorów wojny, których właśnie udziałem jest dziedzina strategicznej sztuki wojennej. Gdy więc nasz Stańczyk mówi, że najwięcej na świecie jest lekarzy, dających porady chorym, to śmiem zaprzeczyć znakomitemu rodakowi, stwierdzając, że podczas wojen najwięcej jest mądrych strategików, operujących swobodnie w dziedzinie strategicznych operacyj. Gdy zaś echa wojny ubiegłej drżą jeszcze w powietrzu, gdy nieraz starzy i młodzi uczestnicy tak niedawnych jeszcze klęsk i zwycięstw

gwarzą wśród chętnych słuchaczy o swych przejściach, wdzięczny jestem p. Tuchaczewskiemu, że swą metodą pracy zachęcił mnie do skrzyżowania jeszcze raz z nim szpady, tym razem niewinnie na papierze, w nadziei, że w ten sposób przyczynimy się obaj do gruntowniejszych i bardziej uzasadnionych rozpraw wśród strategicznych amatorów w obu naszych ojczyznach.

Gdy mówię o skrzyżowaniu szpad i stwierdzam przewagę p. Tuchaczewskiego, bo ma ich wybór, spieszę od razu zaznaczyć, że mam swoje przewagi, z których nie omieszkam skorzystać. Pierwszą z nich jest fakt, że dzieje postawiły mnie wyżej od p. Tuchaczewskiego. Dowodził on większą, co prawda, lecz jednak tylko częścią wojsk sowieckich, walczących ongiś z nami, gdy ja byłem naczelnym wodzem wojsk polskich. Gdy więc on, jako podwładny, nieraz z konieczności był krępowany w swoich zamierzeniach rozkazem przełożonych i wyznaczeniem mu środków dla prowadzonej przez niego walki, ja tego skrępowania nie miałem. Z tego też powodu w dziedzinie najogólniejszych strategicznych działań z musu musiałem sięgać szerzej i obracać się w rejonach wojennej sztuki i w myślach, z nią związanych, w wyższym kręgu, niż to było udziałem p. Tuchaczewskiego. Pocieszam się tym, że ta naturalna przewaga jest przez p. Tuchaczewskiego zupełnie negowana, gdyż czyni on mnie w swoich rozumowaniach także podwładnym rozmaicie: to generalnemu sztabowi «Ententy», to znowu kapitalistom całego świata.

Pozostaje do omówienia inna przewaga z mojej strony, z powodu której przez dłuższy czas się wahałem, czy mam się podjąć w ogóle pracy, o którą mnie proszono. Jeżeli p. Tuchaczewski przez celowe, jak zaznaczyłem, ograniczenie siebie do najogólniejszych strategicznych rysów operacyj przez siebie dowodzonych stał się dostępnym dla względnie szerokiego koła czytającej publiczności, to równocześnie z tym wyrządził sobie krzywdę, gdy mówiąc i wydając książkę o historycznej swej pracy dowodzenia wielką ilością wojsk, obniżył ją do rozmiarów jednej tylko funkcji wodza, sprawiając tym często wrażenie wiatraka, obracającego się w pustej przestrzeni. Nie chcę tym obrażać lub w czymkolwiek ujmować p. Tuchaczewskiemu, lecz nadmierna, zdaniem moim, abstrakcyjność wykładów oddziela p. Tuchaczewskiego od wojska, którym dowodził, tak daleką i tak niczym niezapełnioną przestrzenią, że jedynie z wielkim nakładem pracy nad sobą mógłbym iść w jego ślady i przystosować swoją pracę do jego metody i do jego ujęcia wykładów.

Przerzucałem więc po kilka razy kartki książeczki, niezdecydowany ciągle, czy mam podjętą pracę wykonać, czy też zrzec się jej całkowicie. O pracach bowiem historycznych, rzeczach, które się działy na wojnie realnie, nie mogłem się odważyć pisać w ten sposób, jak to uczynił p. Tuchaczewski.

Rozumiem jeszcze, gdy idzie o wykład czy to strategii ogólnej, czy to tej lub innej jej części, a jako przykład, ilustrujący myśl wykładowcy, bierze się ogólnikowo takie lub inne fakty historyczne, metoda p. Tuchaczewskiego byłaby usprawiedliwiona. Lecz ani sama treść wydanej książeczki, ani sposób ujęcia tematu nie dawały mi możności zaliczyć pracy p. Tuchaczewskiego do takiej właśnie kategorii. Treścią właściwą jest historia myśli przewodniej dowódcy wojsk sowieckich, stojących przeciw nam na froncie na północ od Prypeci w niezaprzeczenie pięknej operacji w r. 1920. I zaledwie jedna drobna część wykładów p. Tuchaczewskiego, mianowicie — jego rozważania działań za pomocą mas taranowych, dałaby się zaliczyć do prac o charakterze teoretycznym, do czego potrzebną by była ilustracja historyczna. Z chwilą zaś, gdy w całej książeczce wymieniona część jest tylko krótkotrwałym epizodem, a reszta jest historią w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie mogłem wymusić na sobie wyrzeczenia się praw istotnego dowodzenia i praw historii, ciążącej zawsze nad wodzami wojny, gdybym się zdecydował iść w ślady p. Tuchaczewskiego.

Niewątpliwie dla historii każdej z wojen nieodzownym źródłem jest historia pracy duszy każdego z wodzów, dowodzących wojną. Wpływ bowiem, jaki ma ta praca na losy wojny, jest tak wielki, że historia wojny staje się bez tego niezrozumiałą, często dziwaczną mieszaniną faktów i fakcików, nieujętych w żaden system, tak, że zjawisko zwycięstwa czy klęski nie daje się przyczynowo ująć i wisi w jakiejś abstrakcyjnej pustce, niewiadomo dlaczego, upiększając głowę jednych laurem, a oblewając żarem wstydu twarze innych.

Dlatego też książeczka p. Tuchaczewskiego jest niechybnie źródłem historycznym; spowiada się w niej p. Tuchaczewski ze swych myśli wodza i daje wyraz tej pracy dowodzenia.

Lecz wtedy ta niezwykła abstrakcyjność pracy daje nam obraz człowieka, który — jak mówiłem — miele tylko własny mózg czy własne serce, wyrzekając się lub nie umiejąc dowodzić codziennie wojskiem w jego pracy, która to praca nie tylko nie zawsze odpowiada myślom i zamierzeniom wodza, lecz nieraz mu zaprzecza lub zmuszona jest zaprzeczyć przez działanie i pracę wojsk nieprzyjacielskich.

Nie chcę przez to powiedzieć, że p. Tuchaczewski istotnie tak dowodził, nie chcę w całej pełni korzystać z przewagi, mi w ten sposób danej, lecz nie mogę się oprzeć wrażeniu, że bardzo wiele zjawisk w operacjach 1920 r. zawdzięczać należy nie czemu innemu, jak wielkiej skłonności p. Tuchaczewskiego do dowodzenia wojskiem w ten właśnie abstrakcyjny sposób. Wobec zaś tego, że w swoim typie dowodzenia nie znajdowałem nigdy tej skłonności i o swojej pracy dowodzenia nie mógłbym, gdy idzie o historię, tak pisać i myśleć, gdym wreszcie się zdecydował podjąć proponowanej mi pracy, nie wyrzekam się tej naturalnej przewagi w naszej odnowionej walce na papierze, którą mi da analiza, wiążąca moje myśli i moją pracę mózgową z pracą wojsk, z pracą dowódców, którzy mi byli wówczas podwładni.

Jeżelim zatrzymał czytelnika tak długo na wstępie, nie przechodząc do treści, to uczyniłem to dlatego, abym mógł być wolnym od wielu uwag, które musiałbym stawiać, idąc w rozważaniu operacji 1920 r. krok w krok za takimże rozważaniem p. Tuchaczewskiego. Z chwilą zaś, gdy jestem przy usuwaniu przeszkód w pracy, usunąć chcę i parę innych.

Po pierwsze, nie chcę iść także w ślady p. Tuchaczewskiego pod względem stylu, który nadał swojej pracy; niechybnie p. Tuchaczewski wydawał książeczkę nie dla nas, Polaków i żołnierzy polskich, lecz stylem swoim o charakterze, że się tak wyrażę, mocno publicystycznym nie upiększył wcale swojej pracy. W stylu jego jest jak gdyby chęć agitowania swoich słuchaczy czy czytelników z próbą ustawiczną ubliżania swoim przeciwnikom na wojnie. I pomimo, że osobiście nie mam pretensji do p. Tuchaczewskiego za kolorystyczne określenia mas, walczących z nim w 1920 r., z wyraźną chęcią podania nas wzgardzie publicznej, unikać będę w swej odpowiedzi nawet zwyczajnego u nas określenia «bolszewik», gdyż niewątpliwie określenie to nabrało u nas także cech pogardy i chęci ubliżenia. Nie wyklucza to wcale, że zająć będę musiał swe stanowisko do poglądów p. Tuchaczewskiego o charakterze polityczno-socjalnym; rozrzucone są one niekiedy epizodycznie w różnych częściach wykładów, a skoncentrowane w jednym specjalnym rozdziale, zatytułowanym «Rewolucja z zewnątrz». Wydaje mi się to koniecznym, gdyż niewątpliwie czynniki polityczno-socjalne odgrywały bardzo poważną rolę w samej wojnie, a zatem i w rozważaniach jej wodzów.

Dodam we wstępie wreszcie, że nie mogąc w wykładach p. Tuchaczewskiego znaleźć, jak to powiedziałem wyżej, odpowiednika całości pracy jego dowodzenia, starałem się

o inne źródła, któreby mi brak ten wyrównały i lukę zapełniły. Znalazłem je w niedostatecznej, wyznaję, mierze w szeregu prac historycznych, wydanych przez naszych byłych przeciwników na wojnie. Z prawdziwą przyjemnością konstatuję, że zarówno pod względem metody, jak i ujęcia, wytrzymać one mogą porównanie z wybitnymi pracami tego rodzaju na świecie. Istotną zaś perłą pod tym względem w tej literaturze jest książka p. Sergiejewa pod tytułem «Od Dźwiny do Wisły», która daje historię działań 4-ej armii sowieckiej oraz pracę jej dowódcy, autora książki. Korzystałem z niej obficie przy wszystkich próbach mojej analizy historycznej w poszczególnych sytuacjach kampanii 1920 r., a niestety, daje ona możność ilustrowania tej prawdy o dowodzeniu p. Tuchaczewskiego, którą wypowiedziałem wyżej.

Kończę wstęp wyrażeniem żalu, że niektóre nasze publikacje historyczne stoją, niestety, tak nisko, że ani dobrym źródłem być nie mogą, ani zasługiwać nie są w stanie na porównanie z pracą w tej dziedzinie naszych byłych przeciwników, a często, zbyt często robią wrażenie prac żaka szkolnego, który wiedząc, że zawinił, blagą i nadrabianiem miny oszukać się stara surowego nauczyciela — historię.

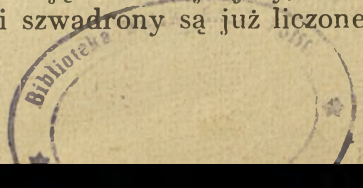
## I

Analizę pracy p. Tuchaczewskiego rozpocząć muszę nie według jego układu, lecz od specjalnej pracy wojennej, której nie wyodrębnił w osobny rozdział, a dał ją w różnych uwagach w tekście czy też w osobnych tablicach. Mówię tu o rachunku, który podczas wojny czynić muszą wszyscy wodzowie i wszystkie sztaby — o rachunku sił liczebnych swoich i nieprzyjaciela. Praca ta nie jest tak prostą, jak to się nieraz ludziom wydaje. W każdym sztabie istnieją specjalnie do tego wyznaczeni oficerowie, którzy niczym innym się nie zajmują, jak tylko ciągłym zestawianiem rachunku sił, będących w stanie rozporządzalności dla pracy wojennej. Na dowód zaś, jak zawiłymi są te rachunki, przytoczę fakt, że historycy wojny, przystępujący do swej pracy z całą obfitością materiałów, jaką nie rozporządzał na pewno nikt podczas wojny, bardzo często różnią się pomiędzy sobą w obliczeniach przy badaniu jednej i tej samej bitwy czy operacji.

P. Tuchaczewski, robiąc rachunek sił naszych i prawdopodobnie wiedząc, że z łatwością można mu zarzucić nieścisłość, usprawiedliwia się od razu, twierdząc, że system naszego

rachunku był zawiły, gdyż brał za podstawę liczbę bagnetów i szabel. Dziwnym zbiegiem okoliczności w literaturze historycznej, tyczącej się działań wojsk, którymi dowodził p. Tuchaczewski, spotkałem obliczenia, prowadzone akurat w ten sam sposób, na bagnety i szable. Pan Sergiejew, o którym wspomniałem, tak właśnie liczy swe siły. Jedna z sowieckich dywizyj (2-ga, opisując wzięcie przez siebie podczas tej kampanii Brześcia, daje obrachunek swych sił tą samą metodą. I jeśli w rachunku armii sowieckiej zwykłym był dodatek obliczenia nietylko na bagnety i szable, lecz i na «bojców», to u nas próbowano inaczej rachować to, co stanowi istotę nowoczesnych bojów — siłą ognia. W każdym jednak razie dziwnym wydał mi się fakt, że p. Tuchaczewski nie chciał rozumieć naszego rachunku na bagnety i szable, gdy dowodzone przezeń wojsko nie różniło się w tej sprawie od nas. Gdy zaś dokładniej starałem się zanalizować tablice, podane przez p. Tuchaczewskiego, mimowoli nasunęło mi się przypuszczenie, że kłopoty, jakie wynajdował p. Tuchaczewski dla rachunku sił naszych, były co najmniej przesadzone, prawdopodobnie rozmyślnie, by w ostatecznej sumie, co mimowolnie rzuca się w oczy, dojść do cyfr, wyrównujących siły liczebne swoje z naszymi, albo też nawet dających przewagę liczebną nam, a nie sobie. Wyznaję, że ten publicystyczny sposób rachowania zniechęcił mnie prawie zupełnie do poważnego zastanawiania się nad każdą z cyfr, przytoczonych przez p. Tuchaczewskiego.

Dla przykładu jednak chcę przytoczyć kilka wybranych na chybił trafił cyfr z rachunku p. Tuchaczewskiego, aby dowieść, jak on, że tak powiem, igra składowymi częściami swoich obliczeń. W pierwszej tablicy, w rachunku sił jego, pomieszczona jest 15-ta dywizja kawalerii, w tablicy drugiej ta dywizja znika, by znowu w tablicy trzeciej wypłynąć. W tablicy pierwszej, stanowiącej jak gdyby aneks do operacji, prowadzonej w połowie maja 1920 r., po naszej stronie zaliczona jest 2-ga białorusko-litewska dywizja z 4.800 bagnetów, gdy nie brała ona wcale udziału w tej operacji. Najzabawniejszym jednak jest obliczenie i wyrównanie rachunku wyraźnie celowo na tablicy trzeciej, dającej rachunek sił przed rozpoczęciem 4 lipca głównej operacji sowieckiej, zakończonej pod Warszawą. Na samym dole tablicy dodana jest rubryka pod tytułem: «zapasowe bataliony i szwadrony pułków czynnych». Dla nas liczone one są cyfrą 27.000 bagnetów i 1.200 szabel, «gotowych do wlania do szeregów». Natomiast po stronie rosyjskiej znajdziemy w tej rubryce dla bagnetów i szabel tylko trzy gwiazdki, nie oznaczające żadnej cyfry, lecz dające wyjaśnienie, że bataliony i szwadrony są już liczone w składzie



dywizyj. Wyrównuje to znakomicie rachunek sił naszych i sowieckich, dając nawet od razu przewagę prawie 30.000 bagnetów dla naszej strony.

Komiczne też wrażenie czynią drobne błędy przy zestawieniu tablic pomiędzy sobą; tak więc: w pierwszej tablicy, nie wiadomo dlaczego, jedne z naszych dywizyj pieszych są obdarzone konnicą w stale powtarzającej się liczbie 400 szabel, gdy inne tego dobrodziejstwa nie posiadają. W drugiej zaś tablicy, która przedstawia stan naszych wojsk po 15 dniach, spędzonych przeważnie w bojach, liczba konnicy nagle wzrasta i zamiast 400 figuruje już liczba 500 szabel, tak, jak gdyby podczas bojów liczba bagnetów i szabel nie zmniejszała się, lecz odwrotnie — zwiększała. Gdy poprzednio wspomniałem o zniknięciu z drugiej tablicy całej dywizji kawalerii, to ten sam sposób dla tych samych tablic został użyty najzupełniej spokojnie dla wyrównania rachunku i w stosunku do najpoważniejszej cyfry, mianowicie — 29. dywizji piechoty, która ze swymi prawie 10.000 bagnetów i 600 szablami zniknęła bezpowrotnie dla wszystkich innych rachunków.

Ten dziwaczny i upstrzony rażącymi błędami rachunek sił naszych i sowieckich mógłby być bardzo smutnym świadectwem pracy sztabów sowieckich, dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego, gdyby nie wyraźna tendencja w rachunkach, tendencja o charakterze publicystyczno-agitacyjnym, nie podnosząca wcale wartości dziełka p. Tuchaczewskiego. Tendencja ta wyraża się w tym, aby w końcowym rachunku, w sumie, wyprowadzonej u dołu kolumny, zwiększyć tendencyjnie siły nasze i, odwrotnie, zmniejszyć siły swoje. P. Tuchaczewski nie krępuje się w tej pracy faktem, że w tekście przy opisie działań swoich, jako wodza, raz po raz przeczy cyfrom w tablicach. Na stronicy 181 przy opisie prac przygotowawczych do głównej operacji, p. Tuchaczewski stwierdza, że «dzięki intensywnej energii działaczów, pracujących nad armią czerwoną... uzupełnienie tysiącami zaczęło przybywać do naszych dywizyj«. Dzięki temu został wykonany plan zdwojenia stanu bojowego, lecz w rachunku w tablicach tego zdwojenia nie spostrzeżemy. Jeszcze raz na stronicy 300 p. Tuchaczewski stwierdza, że więcej niż 30.000 całkiem pewnych ludzi zostało zmobilizowanych i wtłoczonych w szeregi dowodzonych przezeń armij podczas marszu od Berezyny i Dźwiny ku Warszawie *). Znowu też w rachunkach i obliczeniach stanów armij nie dostrzeżemy wcale śladów nowego uzupełnienia. Natural-

*) Pan Tuchaczewski dodaje, że «jest to charakterystyczny i świetny przykład uzupełnienia klasowego».

nym więc jest pytanie, gdzie właściwie kryje się przesada p. Tuchaczewskiego — czy w agitacyjnym cyfrowym rachunku, umieszczonym w tablicach, czy też w publicystycznej pochwale dla energii «krasnoarmiejskich» robotników i dla systemu klasowego kompletowania wojska?

Wobec tego wszystkiego niepodobna brać cyfr p. Tuchaczewskiego oraz zestawionych przezeń tablic za materiał historyczny i dlatego zdecydowałem się we wszystkich swoich wywodach i analizach przejść nad nimi do porządku dziennego. Nie chcę jednak pominąć milczeniem ogólnikowych rachunków, które podczas kampanii 1920 r. zestawiałem dla siebie.

Siły własne obliczać się dają na podstawie periodycznych raportów o stanie liczebnym, składanych przez dowódców poszczególnych jednostek. Ostrzegałbym jednak każdego, ktoby chciał oprzeć się jedynie na tych danych. Przede wszystkim, jako człowiek, zamiłowany w studiach historycznych, stwierdzić muszę, że każdy raport, bez względu na to, o czym by traktował, może historyk brać, jako źródło, pewne jedynie po krytycznej analizie, każdy raport bowiem jest pisany dla przełożonego i zawsze ma na celu nie tylko sprawozdanie, lecz i chęć skłonienia przełożonego do tych czy innych myśli w stosunku do piszącego raport. Jeżeli tak jest w armiach o długiej tradycji i długotrwałym szkoleniu, to cóż dopiero w armii naszej, zupełnie świeżo zbudowanej i zestawionej pod względem dowódców z ludzi, prawie przypadkowo zebranych z najrozmaitszych armij i szkół. Dla tych właśnie powodów nigdy nie odnosiłem się zbyt serio do ścisłości raportów naszych o stanach liczebnych. Wprowadzałem zaś do nich zawsze jedną sumaryczną poprawkę, mianowicie — w wojsku naszym rozwielmożnił się bardzo system odkomenderowywania mnóstwa ludzi z szeregów, czynnych bojowo, na bliższe lub dalsze tyły dla wygody wojsk i dowódców i dla różnych gospodarczych czynności. W raportach zaś nigdy albo prawie nigdy nie uwzględniano tych odkomenderowanych i liczono ich dla przełożonych, jako stale będących w pułkach. Względność pod tym względem w naszej armii była niezmiernie daleko posunięta i prawie nie znam wypadku, aby którykolwiek z dowódców chciał stosować w tych sprawach surowsze środki dyscyplinarne. Zawsze więc przy otrzymywaniu raportów periodycznych o stanie liczebnym armii, w ogólnym rachunku, zestawionym dla mnie, wprowadzałem sumaryczną poprawkę, polegającą na tym, że co najmniej trzecia część ludzi, liczonych jako bagnety i szable, nie powinna być przeze mnie racho-

wana, jako siła rozporządzalna dla boju. Dla niektórych dywizyj tę poprawkę czyniłem znacznie wyższą, przyjmując połowę cyfry, podanej w raporcie.

Nie chcę twierdzić, że armia sowiecka nie znała, podobnie jak my, systemu gospodarczych odkomenderowań bagnetów i szabel. Jestem nawet przekonany, że tak było. Muszę jednak zwrócić uwagę, że dyscyplina nieraz bywała u przeciwnika bezwzględną, a środki, przedsiębrane ku jej utrzymaniu, tak nadzwyczajne, że wątpię, aby wódz naszego przeciwnika ówczesnego miał potrzebę czynić takie smutne rachunki, jak ja. Z prawdziwą też zazdrością spotkałem, np. w opisie działań 27. dywizji pod Warszawą, że jej dowódca 10 sierpnia na Liwcu zwiększył stan bojowy swej dywizji przez wciągnięcie do jej składu komend tyłowych i części żołnierzy z taboru *). Mogę zapewnić czytelników, że nie znam w naszej armii podobnego wypadku.

Chciałbym również usunąć z myśli czytelników rozmyślny, jak pisałem, błąd w rachunku p. Tuchaczewskiego w stosunku do zapasowych batalionów i szwadronów. Według organizacji, która u nas istniała, zapasowe bataliony i szwadrony nie tylko służyły dla kompletowania składu armii, lecz również miały za zadanie pieczę nad całym dobrem i majątkiem pułków, które były w polu. Dlatego też przy cofaniu się, a to było naszym udziałem aż do Wisły, wszystkie zapasowe bataliony i szwadrony nie spełniły pierwszego swego zadania — kompletowania pułków w polu, lecz zajęte były pracą ewakuacji całego swego dobra i urządzenia. Mowa więc być może jedynie o pracy organizacyjnej na głębszych tyłach. Przy gwałtownym zaś odwrocie naszym, który zanalizuję potem, zabroniłem formalnie dawać uzupełnienia, nim wojska nie nadejdą do Bugu, gdyż, jak wskażę później, po cofnięciu się z linii Baranowicze—Wilno, nie spodziewałem się wcale, aby gen. Szeptycki, dowodzący na tym froncie, zatrzymał gdziekolwiek atak nieprzyjacielski. Na Bug też i Narew zostało wysłanych kilkanaście batalionów uzupełnienia, które były pierwszą udzieloną w ten sposób pomocą wojskom, cofającym się od Dźwiny i Berezyny.

Nie mając w obecnej chwili przed sobą wszystkich materiałów nawet dla wojsk, przeze mnie dowodzonych, nie chcę iść w ślady p. Tuchaczewskiego i przeciw tablicom, danym przez niego, zestawiać swoje, któreby nie dały dostatecznej gwarancji historycznej. W stosunku zaś do sił nieprzyjaciel-

*) W. Putna, «Pod Warszawoj».

skich nie chciałbym także podawać naszego ówczesnego rachunku, z natury rzeczy jeszcze bardziej zawodnego. Za najpewniejszy w tej pracy uważany był u nas system rachowania następujący: na podstawie danych od jeńców zestawiano stan liczbowy kompanij czy szwadronów i starano się stąd zrekonstruować stany liczebne batalionów, pułków i dywizyj. System ten wydawał się najodpowiedniejszym, gdyż armia sowiecka odznaczała się według naszych obserwacyj nadzwyczajną pstrokacizną pod względem stanu liczebnego nie tylko przy porównywaniu wyższych jednostek, jak dywizje i brygady, lecz nawet przy porównywaniu pułków wewnątrz brygad i batalionów wewnątrz pułków.

Podam jeszcze jeden sumaryczny sposób, którego nieraz używałem, gdym chciał się zorientować w tym, czym właściwie rozporządzam dla operacyj bojowych. System ten polegał na wzięciu jako podstawy wszystkiego, co pod broń w kraju było postawione. Z tej ogólnej cyfry, jeszcze może najbardziej pewnej ze wszystkich, starałem się sumarycznie, na podstawie znajomości pracy wojskowej, określić odsetek tych, którzy byli w stanie rozporządzalnym dla boju. Odsetek ten w różnych okresach był różny i zależał od chwili przesyłania uzupełnień ku frontowi. Zgodnie z moimi obliczeniami odsetek ten u nas nie przewyższał nigdy 12—15 procent. Ten smutny stan naszej organizacji wojennej wynikał z nadzwyczaj pośpiesznej, a zatem niedokładnej pracy budowy armii, którą przecież w r. 1918 zaczęliśmy nieomal od kompletnego zera. Zarazem jednak niezwykły wpływ wywierał fakt, że olbrzymia większość naszej administracji wojskowej po prostu unikała, jak jakiegoś grzechu, stosowania surowszych środków dyscyplinarnych zarówno wewnątrz samej administracji, jak i na zewnątrz. Taka nadzwyczajna względność w stosunku do pracy tyłowej dawała w rezultacie fakt, który charakteryzowałem zawsze słowami, że olbrzymia część materiału ludzkiego przepływa stale pomiędzy palcami administracji. Śmiałem się zawsze, że nie możemy zatracić charakteru armii ochotniczej, gdyż bije się u nas ten tylko, kto chce lub wreszcie ten, kto jest głupi.

Sądząc z własnych słów p. Tuchaczewskiego i znając system dyscyplinarny u naszego przeciwnika, doprowadzony do nadzwyczajnej bezwzględności, nie przypuszczam, ażeby nasz nieprzyjaciel stał w tej ważnej sprawie tak źle, jak to było z nami. Dlatego też pozwoliłbym sobie wyżej przytoczony odsetek dla nas podwyższyć dla p. Tuchaczewskiego co najmniej o 10 procent, doprowadzając w ten sposób odsetek sił bojo-

wych w stosunku do stanu żywnościowego armii do 25 procent. Sądzę, że liczę za mało, gdyż cyfra nasza dotyczy odsetka ludzi, będących pod bronią w całym państwie, gdy dla p. Tuchaczewskiego biorę cyfrę, związaną tylko z jego frontową siłą.

Na szczęście przy studiach nad naszym przeciwnikiem znalazłem cyfrę, określającą stan żywnościowy ludzi i koni na miesiąc sierpień 1920 r. Cyfra ta dla wojsk, dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego, jest: ludzi 794.645 i koni 150.572 *). Jeżeli więc zastosujemy nasz sumaryczny rachunek, znajdziemy, że siła bojowa, którą rozporządzał p. Tuchaczewski w początku sierpnia, a zatem mniej więcej również i w lipcu, wynosiła do 200.000 ludzi.

Dla nas, śmiem to twierdzić stanowczo, w ciągu całej naszej wojny cyfra ta nigdy do 200.000 nie doszła i to na całym froncie, nie tylko na tej jego części, która była przeciwstawiona p. Tuchaczewskiemu. Sądzę więc, że od czasu rozwinięcia przeciwko nam w lipcu 1920 r. całej siły sowieckiej, na froncie walczącym mieliśmy stale przewagę liczebną nieprzyjaciela. Piszę to nie dlatego, bym się chciał specjalnie tym chwalić, przeciwnie, uważam te fakty za smutny objaw, świadczący źle o nas. A uwaga ta tym bardziej okaże się słuszną, gdy dodam, że ogólna charakterystyka wojny naszej 1918—20 r. nie polegała na krwawych bojach, wystawiających na próbę bohaterstwo w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż krwawe straty, które wojska nasze poniosły w tej wojnie, były znikomo małe w porównaniu z odsetkami takich strat w wojnie t. zw. światowej.

Dla zakończenia rozdziału podam swój bardzo, niestety, sumaryczny rachunek, który w swoim czasie czyniłem i co do którego nie chcę się nawet upierać. Liczyłem nieprzyjaciela, dowodzonego przez p. Tuchaczewskiego z rozpoczęciem akcji 4 lipca na 200.000—220.000 siły bojowej — p. Tuchaczewski podaje ją w tablicy w sumie 160.188. Siły gen. Szeptyckiego, który dowodził w tej samej roli, co p. Tuchaczewski, rachuję najwyżej na 110.000—120.000 siły bojowej.

Przy końcowym epizodzie nad Wisłą liczyłem siły p. Tuchaczewskiego na 130.000—150.000 siły bojowej, siły zaś nasze, biorąc jedynie pod uwagę te siły, które mogły być użyte w t. zw. bitwie pod Warszawą, na 120.000 do 180.000. Jeżeli ostatnia cyfra dana jest przeze mnie z takim wahaniem, to dlatego, że panował u nas wtedy tak wielki chaos organiza-

*) Frołow, «Snabżenije krasnoj armji na zapfrontie».

cyjny i że w owe czasy niepodobna było nawet myśleć o wprowadzeniu w bój tego, co się miało uzbrojonego czy gotowego do wymarszu.

## II

Jak to zwykle bywa przed rozpoczęciem operacji o większym znaczeniu, p. Tuchaczewski, a zarazem jego przełożeni, zastanawiali się nad wartością terenu operacyjnego oraz nad ugrupowaniem sił swoich i przeciwnika. Zgodnie z tym i w samej książce p. Tuchaczewski poświęca rozdział II i III obu tym tematom. Nie będę się zatrzymywał na części opisowej terenu, która jest zupełnie zgodna z prawdą i należy do dziedziny prawie czystej geografii. Zatrzymam się nieco dłużej na niektórych częściach rozważań geograficznych p. Tuchaczewskiego, gdyż, sądząc ze wszystkiego, co o swojej pracy dowodzenia napisał, odegrały one wybitną rolę przy decyzjach wojennych. Będzie mi tym przyjemniej, że jedno z określeń, które z pewnym jak gdyby zamiłowaniem p. Tuchaczewski powtarza, jest określeniem polskim i z tego powodu mam niejako prawo do stosowania tego określenia w ten sposób, jak go stworzono, a nie w ten dość, wyznaję, dziwny sposób, jak go stosuje p. Tuchaczewski. Mianowicie — p. Tuchaczewski stwierdza, że przedsiębiorąc operacje o daleko wytyczonym celu, miał do wyboru dwa główne kierunki dla swych głównych sił. Jeden z nich nazywa kierunkiem ihumeńskim, prowadzącym wprost do Mińska, drugi — jak sam określa — «Polacy nazywają smoleńskimi wrotami». P. Tuchaczewski dla swoich operacyj wybrał ten drugi kierunek.

Jak już zaznaczyłem, nasze określenie oznacza całkiem inny, bardziej zbliżony do samej nazwy szmat ziemi. Istotnie, dwie główne rzeki pogranicza, istniejącego niegdyś pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a państwem carów, Dźwina i Dniepr, formują swym górnym biegiem względnie wąski korytarz, zamknięty u swego wyjścia ku wschodowi największym miastem w tamtym kraju — Smoleńskiem. To też wszystkie najazdy i wyprawy, czy to ze strony polskiej, czy rosyjskiej, z konieczności o Smoleńsk zawadzały, robiąc zeń jakgdyby wrota, do których pukano przede wszystkim, gdy chodziło o operacje w większych rozmiarach. Smoleńsk był zdobywany przez tę czy przez inną stronę w przeciągu wieków za każdym razem, gdy szło o większe wojny, toczone w owych czasach. W nowszych czasach podczas marszu Napoleona ku Moskwie znowu jedna z większych bitew stoczona została o panowanie

nad tymi istotnymi wrotami. To też Smoleńsk nosi dotąd ślady bardzo wyraźne swego znaczenia, posiadając zachowane, jak rzadko gdzie indziej, mury i wały. P. Tuchaczewski jednak przenosi tę nazwę do całkiem innego rejonu, nie mającego, zdaniem moim, żadnego związku ze Smoleńskiem, ani też z jedną z rzek, charakteryzujących owe wrota — z Dnieprem. Co więcej, jakby dla zmniejszenia wielkiej historycznej wartości Smoleńska, przenosi całe jego znaczenie do drobnej mieścinki Orzechownej. Ta niespodzianie wypływająca nazwa, wyznaję, przeraziła mnie niezmiernie. Jako naczelny wódz armii polskiej, rozważałem podczas paru lat wiele najrozmaitszych możliwości, brałem pod uwagę wiele najrozmaitszych pociągnięć, jak ze swej strony, tak i ze strony przeciwnika, lecz ani razu przez myśl mi nie przeszło, że pewien czas byłem w posiadaniu tak ważnego punktu strategicznego, którego w dodatku za moją zgodą wyzbyliśmy się przy ostatecznym układaniu granicy podczas traktatu ryskiego. Gotów jestem podejrzewać nawet, że żydowska ludność tego drobnego miasteczka rozmyślnie starała się o należenie do państwa Sowietów, gdyż właśnie z powodu jej nalegania zrobiliśmy to niebezpieczne ustępstwo.

Z przedstawienia i rozważań p. Tuchaczewskiego, gdy już cały ten rejon nazywa się smoleńskimi wrotami, pozwoliłbym sobie zaproponować, by miasteczko Orzechowna, leżące obecnie tuż na naszej granicy, nazwać już nie wrotami, ale furtką, furteczką smoleńską. Lecz żart na stronę, Orzechowna odegrała jednak, sądząc z przedstawienia w pracy p. Tuchaczewskiego, wielką rolę.

Dowódca sił sowieckich uważał, że właśnie w rejonie Orzechownej musi zmienić swoją linię operacyjną, zachodząc, jak pisze, prawym ramieniem o 90°, czyli zmieniając ją pod prostym kątem. Z tego też powodu, pomimo, że został rozbity w pierwszej swojej próbie, którą nazywa «majową ofensywą», pociesza się tym, że «wrota smoleńskie pozostały w naszych rękach, aż do chwili, w której przedsięwzięliśmy drugą, decydującą ofensywę» (str. 176).

Jeśli we wstępie mówiłem o zbytniej abstrakcyjności traktowania przedmiotu przez p. Tuchaczewskiego, to doprawdy trudno o lepszy dowód, że ta abstrakcyjność umysłu p. Tuchaczewskiego istnieje realnie, gdy z taką łatwością może wiązać swoją pracę dowodzenia z tak nieznacznymi aż do komizmu punktami na mapie. Jeżeli mu szło o istotnie zawiły i zabierający dużo czasu manewr zachodzenia tym czy innym ramieniem większej ilości wojska pod kątem prostym,

to niepodobna tego wiązać z jakimiś nieznacznymi punktami, chociażby leżącymi na głównych drogach. Równie dobrze można ten trudny manerw czynić poza takimi punktami, co do których nigdy upierać się nie wolno. Geografia i geometria! ileż zasadzek kryje się w nich dla wodzów!

Historia wojenna zna niejeden taki przykład. Przy zatrzymaniu przeze mnie naszej kontrofensywy wkońcu maja anim podejrzewał, że p. Tuchaczewski łamał poprzednio «smoleńskie wrota» i walczył w końcu boju o utrzymanie przynajmniej ich surogatu — «furtki w Orzechownej». Przypomina mi to niezmiernie znany i studiowany nieraz przeze mnie wielki bój styczniowy w 1905 r. pomiędzy armiami Kuropatkina i Oyamy. Rosjanie, którzy atakowali, nazywają ten bój «bitwą pod San-de-pu»; nazywają go tak dlatego, że zarówno gen. Kuropatkin, jak i dowódca 2-ej armii, Grippenberg, czynili zależnym rozwój całej operacji od powodzenia przy braniu tej Orzechownej na tamtym teatrze wojny. Wiązało się to tak ściśle z ich myślami, z ich planami postępowania, z ich trwogami i nadziejami, że ten węzeł myślowy nadał dużej operacji swoje nazwisko. I trzeba wypadku, że Japończycy, którzy przeszli do kontrataku, bitwę tę chrzczą całkiem innym mianem, nazywają ją bowiem «bitwa pod Hei-kau-tai», innej Orzechownej, która ich bardziej przeraziła i gdzie, mając do czynienia z wyborowym wojskiem, odczuli najwięcej kłopotów, najwięcej trwogi i dali największy wysiłek. W swoich wykładach lubiłem zawsze cytować ten przykład, nazywając go komedią pomyłek i przykładem komicznego nieporozumienia. Przestrzegałem też zawsze swych słuchaczy, by w operacjach wojennych, zarówno małych, jak wielkich, unikali starannie zasadzek, ukrytych w geografii i geometrii. Niech mi wybaczy szanowny mój przeciwnik wojenny z 1920 r., gdy teraz do San-de-pu dodawać będę przykład i Orzechownej. Gdy przejdę do analizy działań wojennych, sądzę, iż uda mi się przekonać, że uparte deptanie myśli koło podobnych węzłów myślowych u wodzów, prowadzi prawie zawsze nieuchronnie do deptania również, ale przez wojsko, ziemi nieudeptanej ze stratą czasu i wysiłków.

Zatrzymałem tak długo uwagę czytelnika na tej części rozważań p. Tuchaczewskiego dlatego, że właściwie sam p. Tuchaczewski nie dał nic innego przy rozpatrywaniu swych zasadniczych myśli, oprócz manewru zakręcenia «gros» swych sił pod prostym kątem z chwilą owładnięcia, jak on twierdzi, «smoleńskimi wrotami». Widocznym jest, że myśli p. Tuchaczewskiego były silnie z tym zamiarem związane. Manewr ten

uczynił dwa razy: raz przy operacji majowej, drugi raz w lipcu przy głównej operacji, zakończonej pod Warszawą. Związanym to było z chęcią wykorzystania linii kolejowej od Połocka do Mołodeczna, jako najdogodniejszej linii transportowej dla wszelkich potrzeb głównej masy sił p. Tuchaczewskiego.

Myśl prosta i zrozumiała, lecz opanowanie i osłona głównej linii operacyjnej nie wymaga wcale materialnego, że tak powiem, wydeptania jej przez «gros» zebranych sił i związania ich z geograficznymi punktami, leżącymi przy niej. Takie myślowe związanie się z nazwami geograficznymi i figurami geometrycznymi daje zawsze, powtarzam, w rezultacie zasadzkę, polegającą nie na czym innym, jak na usunięciu z rozważań na dalszy plan głównej przeszkody, jaką na wojnie są siły nieprzyjaciela i ich praca. Te zaś niekoniecznie wiążą swe działania właśnie z tymi samymi punktami geograficznymi i figurami geometrycznymi i najczęściej mają swoje Orzechowne, nie pokrywające się z Orzechownymi przeciwnika. Będę miał sposobność przypomnieć te wywody przy analizie działań p. Tuchaczewskiego.

Gdy chodzi o rozważanie p. Tuchaczewskiego rozkładu strategicznego sił swoich i przeciwnika, to jest ono bardzo krótkie, gdy mówi o sobie, — znacznie dłuższe, gdy mówi o nas. O sobie mówi niewiele, jest pod tym względem, jako podwładny, związany decyzjami swego naczelnego wodza. Ten zaś wybrał miejsce głównej koncentracji wojsk dla niego i określił ilość tych sił, które mają iść pod dowództwem p. Tuchaczewskiego do boju. Są to ciekawe pod względem historycznym szczegóły, nad którymi p. Tuchaczewski prawie że się nie zastanawia. Stwierdza on tylko, że dany mu był obszar koncentracyjny, ograniczony przez Witebsk, Orszę i Tołoczyn, i określone zostało skoncentrowanie pod dowództwem p. Tuchaczewskiego do 21 dywizyj.

Istotnie, gdy się przeliczy ilość dywizyj — wraz z dwiema konnymi — z którymi p. Tuchaczewski rozpoczął swą główną operację w lipcu, będziemy mieli tę właśnie określoną z góry ilość wojsk, przeznaczonych dla niego. Pierwsza jednak próba operacji, rozpoczęta w maju, czynioną była z 13 tylko dywizjami, zatem brakowało więcej, niż trzeciej części sił, obliczonych dla operacji.

Zasadę ugrupowania sił swoich p. Tuchaczewski czerpał z rozpatrzenia i rozważenia ugrupowania sił naszych. W ogólnych zarysach zdanie jego o naszym ugrupowaniu jest następujące: Polacy rozciągnęli się w linii mniej więcej równomiernie, w kordonie. Żałuję mocno, że p. Tuchaczewski inną

część swoich rozważań strategicznych, rozważań, stanowiących upiększenie całej książeczki, pomieścił w całkiem innym miejscu, mianowicie — przy rozważaniu operacji głównej, lipcowej. Być może, że powodem tu była niechęć zatrzymywania się dłużej nad nieudaną ofensywą majową, lecz wyznaję, że z pewnym trudem zgodziłem się na konstruowanie swej pracy i z mojej strony w ten nielogiczny sposób. Wątpię bowiem, by p. Tuchaczewski, który swą próbę majową koncypował równie szeroko, jak i w lipcu, nie miał na myśli tych samych zasad działania taranem, które elokwentnie rozwija dopiero później. Byłoby mi z tym wygodniej, gdyż wobec niesłusznej, zdaniem moim, krytyki naszego rozkładu strategicznego, a zatem moich osobistych w tej sprawie rozkazów, utrudnił mi znacznie wypowiedzenie paru słów «pro domo mea».

P. Tuchaczewski, charakteryzując więc nasz kordon, stwierdza, że ta równomierność kordonu nie pozwala nam «bez względu na wysiłki skupić w jakimkolwiek kierunku głównej masy wojska. Nasze natarcie zawsze napotkać musiało zaledwie nieznaczną część armii polskiej, a następnie mogło kolejno odpierać przeciwnatarcie odwodów» (strona 172). Na tej podstawie p. Tuchaczewski przypuszczał, że zdoła sprawić, aby «oddziały masą swoją gniotły i, w całym tego słowa znaczeniu, znosiły w punkcie uderzenia oddziały pierwszej linii polskiej. Potem kolejne uderzenia odwodów nie były już straszne...» (strona 172).

Gdy czytałem i odczytywałem powtórnie to rozumowanie p. Tuchaczewskiego, przypominałem sobie moje rozumowanie w tej samej sprawie. Jeżeli określenia i różne motywy nie były podobnymi do tych, które daje p. Tuchaczewski, to wynik myślowy, do którego zawsze dochodziłem, był zupełnie analogiczny i streszczał się w ostatecznej konkluzji, zrobionej już w końcu 1919 r. Sądziłem, że w naszej wojnie, którą prowadzimy z Sowietami, ten, kto naciera z energią, zawsze będzie miał powodzenie i przebije kordon czy linię w wybranym przez siebie miejscu. Dlatego też szukałem zawsze wyjścia, jak mówiłem w owe czasy, w manewrze, chociażby to był manewr wstecz, złączony z cofaniem się wojska. Stąd też, przyznaję, ubodło mię do pewnego stopnia mniemanie p. Tuchaczewskiego, że polskie «dowództwo» przeciwstawiło mu na wiosnę 1920 r. lichy kordon, z którym tak łatwo miał sobie dać radę.

Przede wszystkim p. Tuchaczewski zapomina o zasadniczej różnicy ról, jakie były nakazane jemu i jego bezpośredniemu przeciwnikowi. Gdy jemu nakazano mieć inicjatywę i atakować przeciwnika, odwrotnie — wojska polskie na pół-

nocnym froncie, przeciwstawionym p. Tuchaczewskiemu, miały nakaz defensywy. W defensywie zaś pierwszy jej człon, najbliższy do nieprzyjaciela, nie może mieć nigdy innego charakteru, jak właśnie kordonu, jak właśnie cienkiej, niegłębokiej linii. Nawet wojna czysto okopowa, dająca, jako zasadę, linię w najczystszej swojej postaci, przy swoim rozwoju doprowadziła do konieczności przedniego kordonu, słabego w sile, łatwo dającego się skruszyć i postawionego jedynie dla celów obserwacyjnych, jedynie dla celów osłony. Kordon czy linia w defensywie jest konieczna, inaczej niepodobna zbadać ani sił nacierającego nieprzyjaciela, ani jego istotnych zamiarów, ani kierunków jego uderzeń. Jest to pierwsza uwaga, która musiałaby przyjść do głowy p. Tuchaczewskiemu, gdyby zechciał wejść głębiej w sytuację swego przeciwnika. Kordon więc był — i w kordonie, co stwierdzam, stało wówczas na całym froncie naprzeciw p. Tuchaczewskiego 6 dywizyj piechoty i 2 brygady kawalerii (dywizje 8-ma, 1-sza litewsko-białoruska, większość 3-ej dywizji legionów, 2-ga dywizja legionowa, 14-ta, 9-ta).

Można byłoby prowadzić spór o to, czy dobrym było danie aż 6 dywizyj na tę niewdzięczną służbę, można byłoby, odwrotnie, tak, jak to robili moi podwładni, stwierdzać, że przy tak wielkiej rozciągłości frontu siły te nawet dla ścisłej obserwacji są zupełnie niedostateczne, lecz fakt pozostaje faktem, że jeśli idzie o kordon, to ten był udziałem tej tylko części wojsk polskich. Wreszcie niech mi wolno będzie zauważyć, że we wrześniu tegoż roku, gdym przeszedł do ofensywy w stosunku do tegoż p. Tuchaczewskiego, znalazłem go kordonowo rozciągniętym za rzeczną zasłoną Niemna i Szczary. Był w defensywie, a ta pomimo, iż mógł być zapalonym krytykiem wszelkich kordonów i linij, zmuszała go do stania ugrupowanym tak nierozsądnie, jak to przypisuje nam w maju.

Przechodzę do kwestii odwodów i od razu zaznaczę, że te swoim ugrupowaniem zupełnie zaprzeczały jakiejkolwiek zasadzie kordonu. Rozpoczynając w kwietniu ofensywę na południowym froncie na Ukrainie, starannie obliczałem, jak będę mógł dopomóc północnemu frontowi w razie, gdyby był zaatakowany. Nad tą kwestią — możliwościami kontrataku ze strony przeciwnika — zastanawiałem się nieraz, przy czym trzymałem się opinii, rozbieżnej z najbliższym moim otoczeniem. Mianowicie, gen. Haller, ówczesny mój szef sztabu, przypuszczał, że przeciwnatarcie nastąpić musi na tym samym terenie, na którym myśmy przechodzili do ofensywy. Zdaniem bowiem jego, właśnie na południu skoncentrowane wtedy były

największe siły przeciwnika, które zlikwidowały front przeciw Denikinowi, i tam narastało nowe niebezpieczeństwo w postaci krymskiej próby Wrangla. Wydało mu się więc logicznym, by oczekiwać stamtąd i kontruderzenia, któregośmy w ogóle byli pewni. Co do mnie, osobiście skłaniałem się do zdania, że oczekiwać należy przeciwnatarcia na tym froncie, gdzie mniej jesteśmy skoncentrowani. Gdybym więc wybrał dla wiosennej ofensywy front północny, oczekiwałbym kontrataku na południu; wybrawszy zaś południe, liczyłem się bardziej z uderzeniem przeciwnika na północy. Tym bardziej więc musiałem sobie starannie przeliczyć, czym będę parował uderzenie przeciwnika.

W odwodzie więc na północnym froncie zostawione zostały: w Osipowiczach i okolicy 6-ta dywizja piechoty, jako odwód 4-ej armii; na Polesie, do tejże 4-ej armii, jechała 16-ta dywizja. Obie te dywizje dane były do zupełnego rozporządzenia dowódcy 4-ej armii, gen. Szeptyckiego. Daleko z tyłu, bo aż w Lidzie, rozłożoną była dywizja 17-ta, którą zatrzymałem w swoim rozporządzeniu. Obok tego na froncie obserwacyjnym przeciw Litwie, nie toczącym żadnego boju, w 7-ej naszej armii miałem 2 dywizje, z których trochę więcej, niż pół dywizji, zawsze stało w odwodzie, zawsze zdatne do użycia gdzie indziej. Na samym więc północnym froncie jako odwód liczyć mogłem trzy i pół dywizyj. Jeżeli zaś odliczę 16-tą, którą wciągnięto prawie natychmiast do rozwijających się bojów na Polesiu, to pozostanie dwie i pół dywizyj.

Stanowiło to prawie połowę sił, rozciągniętych w defensywnym kordonie, przeciwstawionym p. Tuchaczewskiemu; stały więc te dywizje tak daleko, że nie mogły podlegać w pierwszych dniach uderzenia p. Tuchaczewskiego jego działaniom i zdatne były, wbrew jego zdaniu, do rzucenia w kierunku, najzupełniej swobodnie wybranym przez jego przeciwnika.

Jeszcze bardziej tyczy się to dalszych, głębszych odwodów.

Jeszcze głębiej na dalekich tyłach miałem dywizję 11-tą, która była w stanie reorganizacji, oraz formującą się tzw. 7-mą brygadę rezerwową, złożoną z trzech pułków. W ten sposób mamy dla głębokiego odwodu, niedostępnego dla p. Tuchaczewskiego, już około 5 dywizyj, czyli siły prawie równe tym, które stały w kordonie.

Niedość tego, przy rozplanowaniu ofensywy ukraińskiej nakazałem, zaczynając już od trzeciego dnia operacji, ściągnąć do odwodu, rozporządzalnego dla mnie, 4-tą dywizję w Korosteniu, a od czwartego dnia operacji — 15-tą w Koziatynie

i Berdyczowie. Co się zaś tyczy jeszcze jednej dywizji, którą chciałem mieć gotową do wyprawienia na miejsce spodziewanego przeciwuderzenia, mianowicie — 5-tej, czyniłem to zależnym od stopnia reorganizacji dywizji 18-ej, która w pierwszych dniach operacji była wycofana do odwodu, gdyż reorganizacja dla niej była konieczną. Mianowicie, zarówno 11-ta, jak i 18-ta dywizje były zapełnione starymi rocznikami, z których czy to we Francji, czy to we Włoszech z jeńców były sformowane. Odbijało się to tak fatalnie na stanie moralnym tych obu dywizyj, że bez reorganizacji niezdatne były do boju. Zaznaczam, że istotnie dla odparowania majowej ofensywy p. Tuchaczewskiego dywizje 4-ta, 15-ta i połowa 5-ej przybyły na czas.

Odwody więc, na które rachowałem, oczekując przeciwnatarcia, obliczałem przy wyjściu na ofensywę na Ukrainie w sumie na 8 dywizyj. Z nich dwie mogły być użyte do wzmocnienia zagrożonego frontu i dla prób zatrzymania nieprzyjaciela, sześciu lub pięciu można było użyć dla sformowania grupy uderzeniowej w którymkolwiek miejscu lub kierunku.

Nie wydaje mi się więc słuszną ocena naszego strategicznego rozkładu przez p. Tuchaczewskiego. Skłonny jestem przypuszczać, że ta fałszywa ocena wypływała z względnie wąskiego pola obserwacji p. Tuchaczewskiego, który pozostawiał wnioski z całości frontu polsko-sowieckiego swemu przełożonemu, głównodowodzącemu. Usprawiedliwienie to w oczach moich jest jednak niedostateczne, gdyż sam p. Tuchaczewski pisze, że główna rola w wojnie z Polską według planu głównodowodzącego była dana jemu i wojskom, przez niego dowodzonym. A w tym wypadku obowiązkiem p. Tuchaczewskiego było szerzej ująć zarówno swoje zadanie, jak i obliczenia, które musiał robić. Majowa ofensywa p. Tuchaczewskiego nie udała się i została całkowicie sparowana nie przez co innego, jak przez skoncentrowanie wszystkich wymienionych przeze mnie sił z głębokich odwodów, wprost sprzeczne z rozważaniem p. Tuchaczewskiego *).

Kwestia kordonu i liniowego rozkładu wojska zasługiwała, zdaniem moim, na dłuższe jej rozpatrzenie — będziemy mieli z nią do czynienia i przy dalszych analizach operacyj 1920 r. Byłem w ciągu ubiegłej wojny równie zasadniczym jej

*) Dziwnym zbiegiem okoliczności krytyka p. Tuchaczewskiego naszego rozkładu strategicznego zbiega się prawie zupełnie z wielu mało głębokimi, ale za to bardzo publicystycznymi wywodami krytycznymi w stosunku do mego dowodzenia polskich zoilów strategicznych, którzy nigdy niczym nie dowodzili, albo tych, co dowodzili, ale marnie. Uwaga ta nieraz nasuwała mi się przy czytaniu dziełka p. Tuchaczewskiego.

przeciwnikiem, jak p. Tuchaczewski. Szukałem zawsze rozstrzygnięcia wszelkich sytuacyj za pomocą manewru, jak niekiedy twierdzą, co i ja sam uznaję, bardzo śmiało skoncypowanego i wymagającego zarówno ze strony dowódcy, jak i wojsk wielkiego natężenia sił moralnych, jak i fizycznych. Zdaniem moim, tym właśnie dwuletnią naszą wojnę doprowadziłem do szczęśliwego dla nas rezultatu. Nie chcę jednak twierdzić, że p. Tuchaczewski w obserwacjach swoich w stosunku do nas nie ma pewnej dozy słuszności, gdy swoje plany i przypuszczenia nieledwie opierał na skłonności naszej do kordonów i linij. Sprawa polegała na tym, że wszyscy, nie wyłączając i mnie, dowódcy polscy, przystępując do wojny z Sowietami, byli pod wrażeniem i wpływem długotrwałej wojny okopowej, będącej stwierdzeniem zwycięstwa strategii liniowej nad przestarzałą, zdawało się, strategią żywego ruchu i manewru. Gdy się przejrzy mnóstwo rozkazów operacyjnych, wydanych przez naszych dowódców w przeciągu r. 1919, a zapewne i 1920, znajdziemy, że rozkazy te aż pstrzą się od linij rzek, rzeczułek, jezior i nawet strumieni, jako podstaw myślenia strategicznego. Nieraz przy przeglądaniu raportów, przedkładanych mi, przy odczytywaniu kopij różnych rozkazów, wreszcie przy rozmowach, które miewałem z moim podwładnymi o sytuacji, przypominały mi się wesołe anegdoty z czasów, gdym dowodził Brygadą legionową. Śmieliśmy się bowiem często wówczas, przesiadując w okopach, z różnych strachów i trwóg naszych sąsiadów Austriaków z powodu stu czy dwustu-metrowych luk, których leniwy legionista nie zechciał fortyfikować.

Wiem też dobrze, że takie same strachy i trwogi opanowywały wielu z naszych dowódców, gdy nie byli pewni, że na jakimkolwiek kierunku, chociażby najmniej prawdopodobnym, nieprzyjaciel nie spotka jakiegokolwiek oporu, chociażby najmniejszego.

Z tego powodu mapy detalicznych rozkładów wojska wyglądały zawsze nadzwyczajnie upstrzone w różne «zastawy», «wachy», rozciągające niechybnie wojsko w liche kordony. Gdy się zaś weźmie olbrzymią przestrzeń tysiąca kilometrów frontu i zestawi z ilością wojska, które na tej przestrzeni postawić było można, łatwo zrozumieć, ile luk już nie sto i dwieście-metrowych, lecz znacznie większych, budzić musiało trwogę i przekonanie o swej bezsilności wśród dowódców, nie mogących od pojęć liniowych się oderwać. Stąd też w raportach najczęstszym słowem, zwróconym do mnie, jako do naczelnego wodza, było żądanie pomocy dla usunięcia trwóg i strachu. Stąd też ciągłe namawianie, które miałem w ciągu wojny: «faites une ligne

forte!», jako wynik najbardziej technicznego i najbardziej doświadczonego konsyliarza wojny.

Te przyzwyczajenia myślowe, te trwogi nie mogły się nie odbijać, jestem tego pewien, i na rozkładzie szczegółowym wojsk, które obserwował p. Tuchaczewski. Powtarzam jednak, że gdy zechciał w końcu kwietnia opierać swój plan postępowania na takiej właśnie kordonowej chorobie, popełnił błąd, który się zemścił na nim w tym wypadku niepowodzeniem szeroko pomyślanej ofensywy. Do analizy tej właśnie ofensywy przechodzę teraz.

## III

Nad operacją ofensywną w maju, jak już powiedziałem, p. Tuchaczewski zatrzymuje się bardzo niedługo. Daje on tylko najogólniejszy jej zarys, usuwając się od wszelkich szczegółów, tak, jakgdyby nie miały wielkiego znaczenia. Przeczy jednak temu sam, gdy mówi, że plan jej przewidywał przebicie się przez «wrota smoleńskie», rozbicie lewego skrzydła armii polskiej i wciśnięcie reszty jej sił w błota pińskie. Plan więc daleko wytknięty, oznaczający zupełne rozbicie i usunięcie z dalszej gry całego naszego frontu prawie do Prypeci. Operacja zatem niemałego znaczenia.

W historii naszej wojny istotnie operacja ta odegrała swą wybitną rolę. Przede wszystkim więc przeniosła ona dużą część naszych polskich sił (do czterech dywizyj) na front północny, co z natury rzeczy odbiło się na całym dalszym przebiegu wojny. Następnie, będąc jakgdyby przygrywką do wielkiej lipcowej ofensywy Sowietów, dała ona dużo nauki i doświadczenia dla wojsk obu stron, a przykro mi zaznaczyć, że doświadczenia znacznie umiejętniej były wykorzystane przez naszych przeciwników, niż przez nas. Wreszcie miała ona w stosunku do naszego przeciwnika wpływ ten, iż zużyła zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym znaczną część jego sił, iż łatwo będzie nam dostrzec to przy analizie specjalnie pierwszego okresu lipcowej ofensywy. Dlatego też chciałbym się zatrzymać nieco nad naturalnym pytaniem, które sobie nieraz zadawałem podczas wojny, jak i po niej, — z jakiej właściwie racji robiono tę pierwszą, jak gdyby próbną ofensywę? Pytanie to tym bardziej jest naturalne, gdy wiemy, że rozpoczęta ona została bez zakończenia nakazanej koncentracji, tak, iż zgodnie z wykazanym przeze mnie obliczeniem, brakowało więcej, niż trzeciej części sił, przeznaczonych dla głównej operacji wojennej.

Pamiętam dobrze tę chwilę, gdym otrzymał pierwsze wiadomości o spodziewanym przeze mnie kontrataku na północy. Depesze o tym otrzymałem w Żytomierzu, na wyjezdnym do Warszawy; była to rzecz dla mnie, jak już mówiłem, prawie że obliczona z góry. Więcej — na jaki tydzień przedtem wezwałem do Kalenkowicz gen. Szeptyckiego i tam rozmówiłem się z nim co do planowanego przeze mnie rozszerzenia naszej pomyślnej na południu ofensywy i na północ. Myślałem wtedy o uderzeniu z Polesia z jednej strony ku Rzeczycy (co w tym czasie istotnie było dokonywane) oraz w kierunku Żłobina i Mohylowa. Sądziłem, iż mając już na południu w odwodzie 4-tą dywizję i znaczną przewagę sił na Polesiu (9-tą, 16-tą i 14-tą dywizje), mogę spróbować zlikwidowania rozpoczynających się koncentracyj w kierunku, który jest nazwany przez p. Tuchaczewskiego ihumeńskim, a na który zwracał mi uwagę gen. Szeptycki. Na południowym froncie miałem wtedy zacisze, gdyż obie armie sowieckie, które tam operowały, były silnie przez nas rozbite, a zbliżającą się ku nam konnicę Budiennego, wyznaję otwarcie, negliżowałem.

Wobec tego, gdy na dworcu kolejowym żytomierskim szef mego sztabu, gen. Haller, przyniósł mi do wagonu świeżo nadesłane depesze, puściłem od razu w ruch to, com przygotowywał w myśli zawczasu. Kazałem, mianowicie, zadepeszować zaraz do gen. Szeptyckiego, by objął na razie dowództwo i nad 1-szą armią, oddałem w jego rozporządzenie stojącą w Lidzie 17-tą dywizję i kazałem przystąpić natychmiast do transportowania naprzód 4-ej dywizji z Korostenia, a potem 15-ej z Chwastowa. Miałem zamiar, który mi się tylko kręcił po głowie, przystąpić od razu do kontrataku na obu skrzydłach: od Polesia i od najbardziej północnego skrzydła. Sam fakt natarcia p. Tuchaczewskiego nie wywołał we mnie ani przez jedną chwilkę niepokoju. Cofanie się bowiem 1-ej armii z pod Głębokiego, co mi anonsowały przeczytane depesze, nie było dla mnie niczym wielkim, gdyż, z żalem to wyznaję, do Orzechownej nie przywiązywałem żadnej wagi, a wrót ani smoleńskich, ani żadnych innych tam nie dostrzegałem.

Po przyjeździe do Warszawy znalazłem nowe depesze, brzmiące bardziej trwożnie, depesze gen. Szeptyckiego, który sądził, że sytuacja jest bardzo poważna i wołał o możliwie wydatną pomoc. Byłem już bardzo przyzwyczajony do tego rodzaju depesz, jednak, czego obecnie żałuję, skurczyłem znacznie rozmiar mego kontruderzenia. Mianowicie, wyrzekłem się głębszego kontrataku od Polesia i wobec trwóg gen. Szeptyckiego zdecydowałem obu przybywającymi z południa dywi-

zjami wzmocnić przede wszystkim zagrożony Mińsk, który, zdaniem gen. Szeptyckiego, był przede wszystkim zagrożony od Ihumenia. Kontratak w takim razie mógł być prowadzony jedynie po zachodnim brzegu Berezyny, nie po wschodnim, jak to zamierzałem poprzednio.

Wyznaję otwarcie, że wtedy przy czytaniu depesz nie widziałem żadnego powodu, aby być niespokojnym i specjalnie natarcie głównych sił p. Tuchaczewskiego, prowadzone w kierunku Mołodeczna, najmniej mnie trwożyło. Wyczekiwałem nawet parę dni dla wyznaczenia miejsca koncentracji wojsk do kontruderzenia w kierunku wschodnim. Nie mogłem wtedy sobie określić, o co właściwie nieprzyjacielowi chodzi, i wobec tego nie byłem pewien, czy koncentracja koło Święcian jest dostatecznie bezpieczną i możliwą. Co prawda, gen. Szeptycki nie ułatwił mi zadania, gdyż w jego depeszach, jak to już zaznaczyłem, bardzo dużo miejsca zajmowały drobne wypadki koło Ihumenia, które — wydawało się — trwożyły go znacznie więcej, niż cokolwiek innego; lecz i te dane, które mi dawało wojsko, walczące z głównymi siłami p. Tuchaczewskiego, brzmiały, jak dla mnie, bardzo uspakajająco. Wydawało mi się z tych danych, że po pierwszym względnie silnym uderzeniu siła natarcia znacznie zmalała i jak gdyby się rozprószyła w próbach, skierowanych w najrozmaitszych kierunkach. System pracy p. Tuchaczewskiego w owe czasy tłumaczyłem sobie w sposób następujący: albo — sądziłem — wszystkie te natarcia mają tylko lokalny charakter, bez głębszego znaczenia, albo też po pierwszym powodzeniu nieprzyjaciel się orientuje, wybierając drogi dalszego postępowania. Działania więc p. Tuchaczewskiego w tym czasie były tak nieokreślone, że właściwego ich celu wyrozumieć nie byłem w stanie. Z raportów zaś swoich podwładnych nie mogłem go wyjaśnić dostatecznie i, przyznaję się, że po przybyciu do Warszawy, wahałem się parę dobrych dni przed decyzją.

Albowiem jeśli nieprzyjaciel, jak w jednej z hipotez swoich oceniałem, miał zamiar lokalnymi natarciami na Ihumeń i Głębokie zmusić mnie do zajęcia się bardziej północą, niż południem, szedłbym mu zbytnio na rękę, robiąc większymi siłami kontrofensywę o lokalnym jedynie znaczeniu. Uderzałbym w ten sposób jak gdyby w próżnię. Żałowałem więc wtedy, żem się dał — że tak powiem — sprowokować gen. Szeptyckiemu przez strachy ihumeńskie i zwęził zanadto wytknięte sobie poprzednio cele kontruderzenia. Odwrotnie zaś, gdyby nieprzyjaciel zachowywał się, jak mi się zdawało według drugiej hipotezy, wyczekująco, badając jedynie sytuację i szu-

kając za pomocą wstępnych bojów dróg i środków dla dalszego rozwoju swych działań, bałem się wyrzucić przedwcześnie odwody dla działania z dwóch punktów wyjścia, gdyż przy trwodze i niepokoju, jakie odczuwałem w raportach, mi składanych, nastąpićby musiało rozdrobnienie uderzenia po ich przybyciu. Gen. Szeptycki już w ten sposób zaczął postępować. Już 6-ta dywizja, którą miał w odwodzie, zużyła się w części w bojach pod Ihumeniem, w części zaś odbywała podróże na skrajne lewe skrzydło całego rozkładu strategicznego.

Wreszcie zdecydowałem sformować osobną armię koło Święcian, tak, by mogła być użyta niezależnie od lokalnych trwóg i niepokojów. Koncentracja odbywać się musiała pod przykryciem 8-ej dywizji, która się cofnęła z pod Połocka. Do tej armii, tzw. rezerwowej, przeznaczyłem wszystkie części wojska, ściągnięte z głębokich odwodów. Od Mińska zaś kazałem uderzyć siłami, przybywającymi z południa. Jako cel zaś wytknąłem jedynie lokalne zlikwidowanie natarcia, idącego w kierunku na Mołodeczno, tak, abym po skończeniu tej lokalnej operacji mógł całą dotychczasową 1-szą armię, minimalnie zaś trzy dywizje wyciągnąć do odwodu i w ten sposób mieć zupełną swobodę dla dalszych działań w jakimkolwiek kierunku.

Z tego mego wyjaśnienia widocznym jest, że w działaniach nieprzyjaciela było coś takiego, iż jasne zrozumienie jego pracy wojennej było dla nas dosyć trudnym. Nieporozumienia takie w historii wojen są częste, gdyż wojna jest działaniem w niebezpieczeństwie i niepewności, jak mówi stary Clausewitz.

Jednak w omawianej przeze mnie operacji były — jak mnie się zdawało — zawsze cechy, czyniące z niej ową komedię pomyłek, o której poprzednio mówiłem. Nawet po skończonej operacji, gdym zebrał wszystkie wrażenia, pozostało mi w niej coś niewytłumaczonego, coś z tego, co mi wciąż mówiło, że nieprzyjaciel sam dobrze nie wiedział, co robi. I gdym, po zakończonej wojnie, rozważając ten jej epizod, starał się wytłumaczyć działanie p. Tuchaczewskiego, stawiałem zawsze hipotezę, że jedyną przyczyną tej — jak ją nazywałem — próbnej ofensywy była chęć wyrównania szans wojny przez usunięcie za wszelką cenę efektu moralnego, wywartego przez gwałtowną i z powodzeniem przeprowadzoną ofensywę naszą na Ukrainie. Dlatego też z ogromną ciekawością szukałem u p. Tuchaczewskiego, jak również u p. Sergiejewa, wyjaśnienia tej zagadki.

Niestety, obaj panowie bardzo silnie się różnią w tej spra-

wie. P. Sergiejew jest bardzo bliskim mojej hipotezy i daje dosłownie następujące wytłumaczenie: «Inicjatywa była w rękach Polaków. Szeroko rozwinięty ruch armii polskiej na południowo-zachodnim froncie, wzięcie Kijowa i owładnięcie przeprawą przez Dniepr, zastały nasze wojska zachodniego frontu w stanie niegotowości do przejścia do natarcia — były one niedostatecznie jeszcze uzupełnione, źle wyekwipowane, prawie bez taborów i niedostatecznie liczne. Lecz koniecznym było odpowiedzieć uderzeniem na uderzenie i odciągnąć uwagę Polaków od południowo-zachodniego frontu. Kwestia więc natarcia z naszej strony na froncie zachodnim była stanowczo zdecydowana w sztabie «gławkoma». Kierunek uderzenia nie od razu został wyjaśniony. W centrum na razie zamierzano uderzyć wzdłuż północnej części Polesia od Mozyrza na Brześć Litewski» *).

P. Tuchaczewski zaś, jak to widać na str. 172, stwierdza, że główną przyczyną przejścia od defensywy do ofensywy było wrażenie, że Polacy sami są w przede dniu przejścia do natarcia. Nie chcąc więc pozwolić nieprzyjacielowi wciągnąć zasadnicze ugrupowanie do działań narzuconych, postanowiono przejść do natarcia w dn. 14-go maja.

Wobec tych tak sprzecznie brzmiących motywów nie uważam dla siebie za możliwe rozstrzygnąć historycznie, jak w istocie rzecz się miała. Skłonny jednak jestem do przypuszczenia, że p. Sergiejew ma więcej słuszności, niż p. Tuchaczewski.

Ale niechybnie p. Tuchaczewski, zgodnie ze swym temperamentem wodza, rozszerzył znacznie zadanie wyznaczonej mu operacji, gdy przechodząc do ofensywy, wytknął sobie cel, sięgający równie daleko, jak to uczynił potem przy głównej operacji, gdy był znacznie silniejszy pod względem wyekwipowania technicznego. Przyznaje się do tego otwarcie sam p. Tuchaczewski. Pomimo niedostatecznych sił nie chciał małych celów, sięgał po największe. Szukał decydujących uderzeń, chcąc widzieć w napływających podczas operacji wojskach — odwody. Czytelnik pewnie przypomina sobie śmiałe plany p. Tuchaczewskiego rozgromienia naszego lewego skrzydła i rzucenia reszty sił na pińskie błota.

Przy tak zakreślonej ofensywie dziwnym wydać się musi, że same działania wojsk sowieckich ani przez jedną chwilę nie były zrozumiane z naszej strony w ten właśnie sposób. W żadnym raporcie obu dowódców armij, którzy z naszej strony

*) E. N. Sergiejew, «Od Dźwiny do Wisły», str. 5.

walczyli z p. Tuchaczewskim, nie ma ani śladu tłumaczenia działań wojsk sowieckich na modłę, przedstawioną przez p. Tuchaczewskiego. O moich wahaniach i o moich hipotezach, opartych na obserwacji pracy wojennej mego przeciwnika, mówiłem wyżej. Skądżeż więc znowu to dziwaczne nieporozumienie, skądżeż znowu ta komedia pomyłek?

P. Tuchaczewski w swoim przedstawieniu rzeczy tak jest skąpym w podawaniu faktów i danych ze swojej operacji majowej, że z trudem daje się rekonstruować historię działań wojsk, mu podwładnych. Znacznie bogatszym w szczegóły, znacznie bardziej ścisłym jest p. Sergiejew, który w swojej książce poświęca parę długich rozdziałów analizie wypadków podczas tej operacji i w aneksach przytacza «in extenso» swój referat z dn. 12-go czerwca, streszczający doświadczenie, jakiego nabył podczas nieudanej ofensywy majowej.

Czytelnik przypomina sobie pewnie zasadnicze rysy manewru, którego chciał dokonać p. Tuchaczewski: przełamanie «wrót smoleńskich» w Orzechownej i zachodzenie główną masą wojsk prawym ramieniem o 90° dla zmiany kierunku z zachodniego na południowo-zachodni. Manewr ten z natury rzeczy zabiera dużo czasu, gdyż zachodzące dla zmiany kierunku prawe skrzydło ma do przejścia względnie duży łuk, gdy lewe musi stać lub poruszać się drobnym krokiem, czekając na równanie linii wojsk, mających razem operować w nowym kierunku. Naturalnym też jest, że im więcej wojsk taki manewr czyni, tym więcej zabrać to musi czasu. Manewr ten ma i inne niedogodności. Dając czas w ręce przeciwnika, naraża on zarazem zachodzące swe skrzydło — tym razem prawe — na możliwości uderzenia go z flanki, przez chwycenie, że użyję tu zwykłego wyrażenia, «in flagranti» manewrującego jeszcze nieprzyjaciela. Dlatego też koniecznym jest osłabienie tego manewru osobno wydzielonymi dla tego celu siłami. Oto, co pisze p. Sergiejew w tej sprawie: «wypadło nam na zabezpieczenie skrzydła wydać około jednej trzeciej wszystkich sił, przeznaczonych do operacji. Ale siły okazały się daleko niewystarczające dla sparowania kontrataku Polaków» *).

Żeby dać czytelnikowi pojęcie o czasie wypełnienia przez wojska manewru p. Tuchaczewskiego, wskażę daty na podstawie pracy p. Sergiejewa. Natarcie rozpoczęło się 14-go maja rano, a dopiero od rana 18-go maja, więc w cztery długie dni potem, rozpoczęło się ugrupowanie, odpowiadające zamiarowi p. Tuchaczewskiego. Mianowicie, dopiero wtedy 6-ta sowiecka

*) E. N. Sergiejew, l. c., str. 14.

dywizja, będąca na skrajnym prawym skrzydle, została ściągnięta z dotychczasowego kierunku i postawiona, jako odwód, dla dalszych operacyj za prawym skrzydłem tej części armii, która już miała operować w zmienionym o 90° kierunku. I dopiero od 19-go rano 53-cia dywizja otrzymuje rozkaz ochrony zagrożonej od zachodu flanki. Cztery więc, może pięć dni wygranych zostało przeze mnie nie z przyczyny działań naszych wojsk, lecz jedynie przez skomplikowany manewr, zarządzony przez p. Tuchaczewskiego, który nie mógł wyzyskiwać tego czasu dla pościgu cofającej się naszej 1-szej armii. Był to akurat ten czas, gdym, wróciwszy z Żytomierza do Warszawy, wahał się, nie mogąc zrozumieć działań mego przeciwnika. A przez ten czas odwody moje, czy to z głębokich tyłów, czy to z Ukrainy, jechały w dziesiątkach pociągów, zbliżając się bardzo efektywnie do miejsc zbiórki dla decydującego się jeszcze kontrataku.

Przy analizie początków operacji w większym stylu — operacji lipcowej, będę miał sposobność powrócić raz jeszcze do tej upartej myśli p. Tuchaczewskiego i mam nadzieję udowodnić wtedy prawdziwość moich słów, że geografia i geometria zawierają dużo zasadzek dla wodzów. Tu ograniczę się tylko stwierdzeniem, że nasz kontratak wygrał na czasie i sile z powodu manewru, z którego p. Tuchaczewski wydaje się być dumnym. Nie mogłem czytać bez pewnego uśmiechu ustępu, pomieszczonego na stronie 173. «Nasza ofensywa zaczęła rozwijać się szybko i gwałtownie. Armia 15-ta bez trudności wykonała zwrot we wrotach smoleńskich». Dziwna sprzeczność zawarta jest w tym frazesie: «szybkość», gdy się traci kilka dni czasu, oddając go przeciwnikowi, «gwałtowność», gdy duża część armii depcze drobnym kroczkiem nieudeptaną ziemię, czekając na wyrównanie zachodzącego skrzydła, które jedynie jest w ruchu, ale bez kontaktu z nieprzyjacielem, od którego w dodatku chronić się musi wydzielaniem coraz większych sił od głównej operacji. Ten węzeł myślowy smoleńskich wrót w Orzechownej, ten geometrycznie zarysowany manewr, jakże głęboko świadczy o abstrakcyjnej podstawie myślenia strategicznego mego szanownego przeciwnika z 1920 r.! Nie chcę przez to powiedzieć, że dzięki temu operacja majowa p. Tuchaczewskiego została względnie łatwo rozbita i zniweczona, lecz niechybnie zostały w ten sposób stworzone warunki, ułatwiające znakomicie sparowanie zamiarów p. Tuchaczewskiego, sięgających tak daleko. Głównym bowiem błędem, który prawie z góry skazywał p. Tuchaczewskiego na niepowodzenie w jego wielkich planach, był błąd w rachunku sił własnych

i przeciwnika, rachunku, zrobionym bez drugiego gospodarza wojny, którym zawsze jest wódz partii przeciwnej. Liczono na znalezienie u nas kordonu i liniowego rozkładu wojsk w czystej postaci, a cały zamiar i plan rozbił się i w niwecz został obrócony przez głębokie i przygotowane przeze mnie odwody, nietknięte wcale przez wstępne działanie p. Tuchaczewskiego. Dlatego też z całą stanowczością zaprzeczam prawu do dumy p. Tuchaczewskiego, gdy mówi: «Powodzenie było tak decydujące i tak niespodziewane dla Polaków, że ich naczelne dowództwo dało dowód zupełnej chwiejności i rozpoczęło przerzucanie sił z południowo-zachodniego frontu na zachodni» (strona 173). Z poprzedniego, ściśle historycznego mego przedstawienia rzeczy widocznym jest, że p. Tuchaczewski do tej kwaśnej zresztą pociechy po nieudanej operacji nie ma żadnego prawa.

Takie same mniej więcej nieporozumienie znajduję przy analizie zakończenia w początkach czerwca naszej kontrakcji przeciw wojskom sowieckim. P. Tuchaczewski, przerażony możliwością ponownej utraty ukochanych smoleńskich wrót, zmuszony do cofania się zewsząd, organizował w końcu obronę tej ziemi wybranej. I znowu podnosi wielkie zasługi swojej 18. dywizji, która niedaleko od Hermanowicz broniła 7 czerwca dostępu do Orzechownej.

W boju tym dywizja straciła zgodnie ze świadectwem p. Sergiejewa do 70% swego stanu i zmuszona była do cofnięcia się. Lecz za to, pisze p. Tuchaczewski, przeciwnik stracił zdolność do dalszych decydujących działań i wypieszczona w marzeniach Orzechowna została w rękach p. Tuchaczewskiego. Było to, dodaje p. Tuchaczewski, momentem przełomowym w operacji. Tymczasem historycznie z naszej strony nic podobnego nie było. Więc przede wszystkim, nie potrzebuję chyba jeszcze raz stwierdzać, że w całej operacji ani razu przez myśl mi nie przeszło zazdrościć p. Tuchaczewskiemu posiadania w Orzechownej wielkich historycznych wrót, zwanych smoleńskimi. Nie o nie walczyłem. Głównym celem było jedynie zamknięcie wrót całkiem innych. Szło mi bowiem o zetknięcie dwóch skrzydeł mego kontrataku od południa i od zachodu u wielkiego obszaru błotnego przy źródłach Berezyny i Wilii. W ten bowiem sposób odcinało się wszystkie drogi odwrotu dla zaawanturowanych aż pod Mołodeczno głównych sił p. Tuchaczewskiego, a w dodatku cała szarpnięta w swej sile nasza 1. armia mechanicznie wychodziła do odwodu. Plan ten udał mi się tylko w części, gdyż szybkość uderzeń obu kontratakujących grup była w ciągu całej operacji zanadto nierów-

nomierna. Gen. Sosnkowski ze swą armią rezerwową, idąc od Święcian i Postaw, uderzył szybko i decydująco. Odwrotnie — grupa południowa, idąca od Mińska równolegle z biegiem Berezyny, szła znacznie wolniej i metodyczniej.

Przewidując to z góry, wyznaczyłem dla południowej grupy rozpoczęcie natarcia o cały dzień wcześniej, jednak 1. armia, gdy nieprzyjaciel się zawahał, przeszła spod Mołodeczna do kontrataku frontowego i w pościgu frontowym doszła do błot Berezyny znacznie wcześniej, nim drogi te od południa zostały osiągnięte przez południową grupę. Z tego też powodu części tej armii zostały wciągnięte do ogólnej linii frontu, zmniejszając w ten sposób rozporządzalny dla mnie odwód.

Z chwilą dojścia do tych błot kazałem zatrzymać operację, nie będąc wcale do tego zmuszonym przez nieprzyjaciela. Przy wyborze zaś ogólnej linii frontu kierowałem się głównie dwoma motywami, które akurat były sprzeczne z jakąkolwiek chęcią konkurencji o smoleńskie wrota.

Po pierwsze szukałem włączenia do frontu możliwie wielkiej ilości błotnych przestrzeni, oszczędzających mi żywą siłę wojska przy ochronie przedniej linii i ułatwiających zwiększenie odwodów. Po drugie zaś chciałem mieć jak najmniej pracy przy ochronie lewego skrzydła, ochronie, która musiała być rozciągnięta wzdłuż Dźwiny. Ten ostatni wzgląd uznałem za ważniejszy, niż również poważny wzgląd na bliską obserwację węzła kolejowego w Połocku. To też po wysłuchaniu w tej sprawie opinij obu dowodzących, p. gen. Sosnkowskiego i p. gen. Szeptyckiego, opinij, jak zawsze w takich wypadkach, rozbieżnych, bo kierowanych przez wrażenia i interesy lokalne, dałem swoją decyzję i zatrzymałem wszelki dalszy pościg.

Przytaczam tu fakt historyczny nie dlatego, bym ujmę miał czynić sądowi p. Tuchaczewskiego, że zatrzymanie naszego uderzenia przypisać należy działaniom jego i jego wojska. Sądy bowiem takie są naturalne i są zwykłym zjawiskiem w historiach wojen, a już specjalnie prawie bez pudła znaleźć je można w raportach dowódców, którzy po przegranej mogą się zatrzymać, nie mając na sobie dalszego nacisku nieprzyjaciela. Jest to jednak, choć drobna, lecz charakterystyczna ilustracja tych trudności, jakie istnieją dla każdego dowódcy przy próbach określenia sytuacji i zamiarów przeciwnika.

Wnioski p. Tuchaczewskiego z majowej operacji streszczają się w trzech punktach: jeden tyczy się moralnej strony wojska, która jakoby znacznie się podniosła; drugi punkt mówi o zmniejszeniu się sił naszych na południowo-zachodnim froncie, co ulżyło tam sytuacji przeciwnika; wreszcie

trzeci punkt, który p. Tuchaczewski uważa za najważniejszy, to zajęcie ukochanych smoleńskich wrót. Pomijając punkt ostatni, co do którego będę miał możność jeszcze wypowiedzieć się w analizie operacji lipcowej, zatrzymam się nieco na pierwszych dwóch punktach, przeciwstawiając ocenie sytuacji p. Tuchaczewskiego ówczesną ocenę moją.

Zadowolenie p. Tuchaczewskiego z poprawy moralnej podwładnych mu wojsk jest związane z jego oceną stanu moralnego tych dywizyj, które walczyły z nami przed przybyciem p. Tuchaczewskiego, w ciągu 1919 r. Mówi on, że wojska te nie wywołały w nim w stosunku do siebie wielkiego zaufania, gdyż z powodu niepowodzeń wojennych odznaczały się one pewnym strachem i przekonaniem o swojej niższości w porównaniu z wojskiem polskim. Wyznaję, że niebardzo rozumiem, na jakiej podstawie wyraźne niepowodzenie operacji majowej wpłynąć mogło na rzekome podwyższenie stanu moralnego. Wątpię bowiem, aby w szeregach czerwonej armii rozmiłowanie wrót smoleńskich było tak powszechnie zrozumiane, że nieszczęsna Orzechowna mogła zasłonić zarówno straty, które wojsko poniosło, jak i wrażenie z przegranej. To też p. Sergiejew, który jest bardziej ścisłym obserwatorem wojska, pisze o tym inaczej. Według niego w 53. dywizji zostało po operacji 1.500 bagnetów, w 12. — 1.200, w 18. — 2.000, wtedy, gdy weszły one do operacji: 53. z 3.157, dla 12. nie mam danych, 18. z 5.000 bagnetów. Odpowiednio do tego p. Sergiejew stwierdza, że «53. i 12. dywizje były o tyle wstrząśnięte ciężkimi bojami, że kilka razy odskakiwały wstecz prawie w panice pod najsłabszym naciskiem nieprzyjaciela... Obniżenie ducha bojowego dawało się spostrzegać także i w 18. dywizji» *). Dodaje on potem, że przy organizacji wojska do nowej operacji p. Tuchaczewski nakazał najlepsze dywizje z tych, co brały udział w operacji majowej, zostawić w armii 15. «oddając słabe liczebnie i wstrząśnięte moralnie dywizje (53., 12., 6., 56.) do sąsiednich nowoformujących się armij» **).

Świadectwo to oświetla moralną wygraną, o której pisze p. Tuchaczewski w całkiem innym świetle. Znajdujemy odbicie tego stanu w początkach operacji głównej w lipcu tegoż roku. Wyznaję, że pod tym względem wolę przełożyć aktywa na rachunek polski, twierdząc, że majowa ofensywa p. Tuchaczewskiego, przedsięwzięta przed zakończeniem koncentracji ze zbyt daleko wytkniętymi dla zebranych sił celami, dała w re-

*) E. N. Sergiejew, l. c., str. 25.
**) E. N. Sergiejew, l. c., str. 32.

zultacie zużycie sił fizycznych i moralnych wojsk, które w tej operacji brały udział. Co do drugiego punktu, to zdaniem moim, p. Tuchaczewski w swoim wniosku postawił sprawę zbyt wąsko, gdy mówi o wpływie operacji majowej na ogólny rozkład strategiczny naszej armii. Operacja ta miała głębsze znaczenie. Co się tyczy zmniejszenia wojsk naszych na froncie na południe od Prypeci, to było ono nieznaczne, gdyż jeśli przyjechały stamtąd dwie i pół dywizje (4., 15. i połowa 5. — ta ostatnia przybyła na samo zakończenie naszej kontrofensywy), to prawie natychmiast odjechały na tamten front 3. dywizja legionowa i trzy pułki rezerwowe, świeżo sformowane, tak, że zmniejszenie wyraziło się zaledwie w jednej niespełna dywizji. Znacznie większe znaczenie miało wprowadzenie wszystkich głębszych odwodów do linii i zatrzymanie przez gen. Szeptyckiego potem wszystkich wyciągniętych do odwodu części wojsk w odległości zaledwie od kilkunastu do trzydziestu kilometrów za frontem. Wojsko w ten sposób otrzymywało formę owego kordonu, na którym się bazował i na którego słabe strony tak rachował w swoich obliczeniach p. Tuchaczewski.

Nie chcę w ten sposób usuwać ze swoich bark odpowiedzialności na moich podwładnych i szukać historycznego usprawiedliwienia siebie za pomocą wytykania ich błędów. Staram się jedynie być możliwie ścisłym historycznie. Będąc zasadniczym przeciwnikiem rozkładu liniowego wojsk ze zdrewniałą, trudno zdatną do manewru formą ich użycia, byłbym niechybnie zmusił do innej metody pracy, gdybym nie miał na swym sumieniu zasadniczego błędu w ocenie sytuacji podczas pierwszej połowy kampanii naszej w 1920 r. Do tej mojej oceny ówczesnej przechodzę.

Jeżeli, jak już pisałem poprzednio, przy wyjeździe z Żytomierza, gdy p. Tuchaczewski rozpoczynał swoją majową ofensywę, byłem zupełnie spokojny o stan rzeczy na południu, to przez czas mojej pracy na północy sytuacja zaczęła się tam zmieniać na naszą niekorzyść. Miałem podczas wyjazdu w połowie maja przed sobą na tamtym froncie dwie sowieckie armie: 12. i 14. Pierwsza z nich rozbita przeze mnie była podczas ofensywy do tego stopnia, że już do końca wojny nie mogła dojść do takiej moralnej wartości, aby stać się dla nas niebezpieczną. W każdym zaś razie, co w owym czasie wciągałem sobie do rachunku, musiało przejść sporo czasu, nim bez przypływu nowych i świeżych sił stałaby się zdatną do walki z nami z widokami na jakiekolwiek powodzenie. Druga z nich, 14. armia, mniej rozbita, była tak słaba liczebnie, że utrzymywała

ją w szachu jedna tylko nasza dywizja (12.). Zbliżała się, co prawda, do nas jazda Budiennego. O zbliżaniu się jej miałem względnie ścisłe i dokładne wiadomości. Szła ona długim marszem, gdzieś spod Rostowa nad Donem, w składzie czterech dywizyj, co do których stanu liczebnego wszystkie dane zdawały mi się mocno przesadzone. Jak już zaznaczyłem, znaczenie tego nowego nieprzyjaciela w owe czasy negliżowałem.

Jazda, jak wiadomo, w pojęciach nawet sprzed 1914 r., spadała coraz niżej w swym znaczeniu wojennym. Przeznaczono jej role pomocnicze, jak wywiady lub ochrona skrzydeł, nie dając jej nigdy samodzielnych rozstrzygających zadań. Wraz z rozwojem siły ognia podczas olbrzymich zapasów wojennych w Europie rola jazdy spadła po prostu do zera. Konie oddawano artylerii, a kawalerzystów przekształcano pośpiesznie na piechurów. Wydawało mi się więc wprost niemożliwe, aby jako tako uzbrojona piechota z dodatkiem karabinów maszynowych i artylerii nie dała sobie rady za pomocą ognia z jazdą. Miałem zresztą oryginalne wspomnienia, gdy w r. 1916 Brygada moja Legionów, stojąca prawie izolowana na froncie, już przełamanym dokoła mnie, została zaatakowana przez liczną jazdę rosyjską na polach pod Kostiuchnówką i Wołczeckiem. Prawie bez artylerii, bo strzelała tylko jedna bateria, w kilkanaście minut ogień piechoty i karabinów maszynowych zmiótł po prostu szarżę jazdy, która chciała przeszkodzić nam w spokojnym odejściu. Nie mogłem sobie wyobrazić w owe czasy, aby wypadki, których byłem świadkiem potem, mogły mieć miejsce. Z niedowierzaniem również przyglądałem się metodzie użycia jazdy nieledwie na sposób Nomadów, sposób, przypominający mocno starodawne czasy, tak znane naszym praojcom, czasy najazdów tatarskich. Jazda, idąca — że tak powiem — bez zorganizowanych tyłów na dalekie przestrzenie, żywiąca ludzi i konie jedynie wyjadaniem, jak szarańcza, tego, co znajdzie na miejscu, ciągnąca za sobą zapasy amunicyjne na czas dłuższy, czego nie potrzebował wozić za sobą Tatar, uzbrojony w spisy i łuki, jazda taka, sformowana w samodzielną armię, wydawała się i wydaje mi się dotąd pewnym nonsensem strategicznym. Nie przypisywałem jej więc, powtarzam, wielkiego znaczenia i sukcesy jej na innych frontach sowieckich, o czym ogólnikowe miałem dane, przypisywałem raczej wewnętrznemu rozkładowi wojsk, z nią walczących, niż istotnej wartości tego sposobu wojowania.

Nie widziałem też powodu do zmiany swego zdania i po pierwszych sukcesach jazdy Budiennego, które się zbiegły z końcem naszej kontrofensywy przeciwko p. Tuchaczewskie-

mu. Nie widziałem bowiem nigdzie wojsk naszych rozbitych przez nią. Pierwsze próby przekroczenia naszych ogólnych linij na wschód od Koziatyna zostały odparte przez części naszej 13. dywizji. Nie dziwiłem się też wcale, gdy jazda Budiennego, że użyję nie zupełnie odpowiadającego określenia, przerwała nasz front, co było rzeczą łatwą, i znalazła się niegłęboko zresztą na naszych tyłach. Przypuszczałem, że uda się nam względnie łatwo, za pomocą wspólnego użycia piechoty i jazdy, rozbić choćby częściami jazdę Budiennego i zmusić ją do odwrotu. A wobec tego, że nie szło mi wcale o uparte trzymanie tej czy innej części zajętego terytorium, byłem zdecydowany manewrować swobodnie, nie wiążąc się wcale trzymaniem jakiegoś punktu tego czy innego kawałka ziemi. Niepokoiłem się nieco gwałtowną paniką na tyłach, lecz nie spostrzegłem jeszcze żadnego większego wpływu, wpływu moralnego na frontowych wojskach.

Dlatego też, gdym przy końcu naszej kontrofensywy na północy oceniał sytuację i wyciągał z niej konkluzję dla swych decyzyj, przechodząc zbyt lekko nad działaniem Budiennego, postanowiłem, nie szukając w tej chwili decyzji na froncie północnym, postarać się skończyć możliwie szybko z jazdą Budiennego i przerzucić potem więcej sił na północ, by przejść do ostatecznej ofensywy tam, gdzie się zbierały największe siły nieprzyjaciela. Nie licząc zaś na szybkie w najbliższym miesiącu zorganizowanie się nieprzyjaciela, na północy, gdzie świeżo poniósł porażkę, sądziłem, że nie reorganizując swego frontu północnego, zdążę na czas z dodaniem nowych sił, by rozpocząć decydującą operację. Rzuciłem więc na południe jedną z lepszych naszych dywizyj — 3., która wyszła do odwodu, i pozostawiłem gen. Szeptyckiemu urządzenie na razie frontu, który mi się wydawał w owe czasy tylko tymczasowym.

## IV

Po zatrzymaniu przeze mnie kontrofensywy na północy p. Tuchaczewski przystąpił do przygotowań dla nowego silniejszego uderzenia. Rozdział, traktujący o tym przygotowaniu, napisany jest przez p. Tuchaczewskiego z wielkim zamiłowaniem i — jak widać z treści — z gruntownym znawstwem pracy i jej rezultatów. Istotnie trzeba przyznać, że robota prowadzona była z wielkim rozmachem i dużym nakładem wysiłków i energii. W książce p. Sergiejewa zauważyć też można, że p. Tuchaczewski umiał energią swoją i celową pracą zarazić

i swoich podwładnych. Ten piękny wysiłek dowodzenia świadczyć zawsze będzie o zdolności p. Tuchaczewskiego, jako wodza, zdatnego do śmiałych pomysłów i energicznego ich wykonania.

Zatrzymam się nieco na pewnej części decyzji p. Tuchaczewskiego w sprawach organizacyjnych, miało to bowiem duży wpływ na jego pracę wojenną. Opieram się w tym wypadku głównie na danych, wziętych od p. Sergiejewa. Mianowicie, idzie mi o podział sił i środków pomiędzy poszczególne armie, który został dokonany przez p. Tuchaczewskiego w przygotowaniach do decydujących operacyj, zakończonych pod Warszawą. P. Tuchaczewski pod wszelkimi względami bardzo wyraźnie uprzywilejował jedną z armij, mianowicie 15.

Już poprzednio zaznaczyłem, że p. Tuchaczewski nie miał dobrej opinii o tych dywizjach, które rok cały poprzednio walczyły na naszym froncie i nabrały w przeciągu tego roku pewnego, że tak powiem, respektu dla nieprzyjaciela. Przejawiały one pewną w stosunku do nas trwogę («robost'»). Żadna z tych dywizyj nie została wyznaczona do armii 15, a większość z nich została ugrupowana w składzie armii 16, stojącej naprzeciw naszej 4 armii na Berezynie. Już przez to samo skazywał p. Tuchaczewski kierunek Ihumeń—Mińsk na odegranie podrzędnej, dodatkowej roli. To samo zrobił on z frontem poleskim, gdzie zostawił minimalne siły, zużyte już poprzednio w długich walkach, prowadzonych bez powodzenia. Teraz, po niepowodzeniu majowej operacji, wyrzucił on najbardziej wstrząśnięte moralnie dywizje do armii 4, mającej operować na północ od armii 15, i do armii 3, sąsiadki południowej tejże wybranej 15 armii.

Według p. Sergiejewa, uprzywilejowanie to tyczyło się także wyekwipowania 15 armii w znacznie wyższej mierze w środki pomocnicze. Czy to będą środki łączności, czy to środki przewozowe w postaci zebranych furmanek, czy to wreszcie uposażenie poszczególnych dywizyj w środki techniczne — zawsze 15 armia otrzymywała najwięcej w porównaniu z innymi. Nawet pomimo, iż p. Tuchaczewski zbierał na skrajnym północnym skrzydle duży oddział jazdy, zwany III korpusem konnym, nie wzmocnił go osobną brygadą kawalerii, którą jednak pozostawił przy 15 armii.

Takie postawienie sprawy z góry — że tak powiem — przesądzało, że w projektach p. Tuchaczewskiego największą rolę przeznaczano armii, tak wyraźnie uprzywilejowanej. Czyniąc tę uwagę, nie szukam wcale słów krytyki, gdyż rzecz prosta, dowódca, koncypujący swoje plany i projekty, musi mieć

pełne prawo do doboru oddziałów wojsk odpowiednio do zadań mu stawianych oraz do wyposażenia ich w środki zgodnie z tymi zadaniami. Rzucił mi się jednak w oczy ten fakt, gdyż z przebiegu operacji, tak, jak ją widziałem ze strony przeciwnej, przypisywałem zawsze największą rolę najbardziej północnej armii 4. Dlatego też z pewną ciekawością śledziłem bieg pracy strony przeciwnej, szukając wszędzie udziału w niej uprzywilejowanej 15 armii oraz powodów, dla których mogłem podczas operacji nabrać wrażenia, nie odpowiadającego — jak widzę — zamiarom i celom dowódcy strony przeciwnej.

Poza tą uwagą chciałbym jedynie zaznaczyć staranne i energiczne przeprowadzenie przygotowań dla możliwie szybkiego puszczania w ruch kolei za poruszającym się naprzód wojskiem. Energia, pod tym względem wykazana przez p. Tuchaczewskiego, zdumiewała mnie podczas operacji w lipcu i sierpniu 1920 r. Dość powiedzieć, że po zwycięstwie moim pod Warszawą, znalazłem w Małkini — stacji, o 80 km oddalonej od Warszawy — wagony szerokotorowe, zostawione przy pośpiesznym cofaniu się nieprzyjaciela. To szybkie postępowanie naprzód z naprawą kolei i puszczeniem jej w ruch po dokonanych na niej przez nas ciężkich zniszczeniach, stanowić musi jedną z wielkich zalet naszego nieprzyjaciela. A niechybnie zawdzięcza on to w znacznej mierze energii i przewidywaniu p. Tuchaczewskiego.

W ocenie sytuacji po stronie nieprzyjacielskiej przed główną swoją ofensywą jest p. Tuchaczewski tak skąpy w słowach i określeniach, że wydaje mi się nieprawdopodobnym, aby w końcu czerwca miał z tą konieczną pracą tak mało kłopotu. Wydaje mi się, że ta lakoniczność jest wynikiem dwóch rzeczy. Po pierwsze — p. Tuchaczewski nie pisze historii i nie próbuje nawet starać się o historyczną ścisłość, powtóre — co mnie znowu wydaje się ściśle historycznym — p. Tuchaczewski patrzył przed rozpoczęciem nowej ofensywy w lipcu tymi samymi oczami, jakie sobie urobił w początkach maja. Stawiał sobie ten sam cel, chciał pracować tymi samymi metodami, ba — chciał nawet iść tymi samymi drogami. Różnicę widział tylko w tym, że tym razem był silniejszy i miał więcej środków do przeprowadzenia swego zamiaru. Sprawia on na mnie wrażenie wodza, skłonnego do myślenia abstrakcyjnego, lecz obdarzonego wolą, energią i rzadko spotykaną u ludzi uporczywością w pracy według zakreślonych przez siebie metod. Wodzowie tacy rzadko są zdolni do szerszej analizy, gdyż związują się — że tak powiem — całym swoim jestestwem

wyłącznie ze swoim jedynie zadaniem, lecz zato dają gwarancję, że wziętą na siebie pracę będą wykonywać bez wahania. I jeżeli p. Tuchaczewski dla tego wyłącznego zajęcia się sobą może znaleźć usprawiedliwienie w tym, że w wojnie z Polską wyznaczono mu główną rolę, to jednak — a powtarzam to po raz drugi — ta niechęć czy nieumiejętność analizy sytuacji na całym froncie niechybnie zwęziła znacznie horyzont jego myślenia w ciągu całej kampanii, dowodzonej przez niego.

Już przy analizie operacji majowej wskazywałem, że p. Tuchaczewski, opierając swe działania na rzekomo istniejącym w naszym rozkładzie strategicznym kordonie, omylił się i został rozbity przez przygotowane przeze mnie odwody. Przypuszczam nawet, że to zapatrzenie się w siebie wpłynęło i na końcowe niepowodzenie całej operacji, która spotkała p. Tuchaczewskiego pod Warszawą.

Siłami swoimi p. Tuchaczewski rozporządził bardzo zręcznie i każdy dostrzeże łatwo cechy wodza większej miary w śmiałym i konsekwentnym rozkładzie sił. Gdy raz zdecydował, zgodnie ze swoją koncepcją, związaną z umiłowaniem «smoleńskich wrót», prowadzić przez nie główne uderzenie, nie zaniedbał niczego, by kosztem innych części swego frontu wzmocnić się w decydującym kierunku. Ze słuszną więc dumą stwierdza, że uzyskał w wybranym przez siebie miejscu, na północnym swym skrzydle, wielką przewagę nad nieprzyjacielem. Skupił tam trzy armie, z których jedną, właśnie w «smoleńskich wrotach», uposażył najsilniej, dobierając do niej najlepsze swe wojska. Dalej ku południowi osłabiał swe siły, czy to liczbowo, czy też dając tam słabsze duchem jednostki wojskowe. Wreszcie na skrajnym swym skrzydle nad Prypecią zostawił bardzo słabe siły, którym, pomimo ich słabości, nakazał dodatkowo okazać pomoc sąsiedniej ku północy 16 armii w kierunku, jak on pisze, Głuska. Kierunek ten oznacza działanie wzdłuż szosy Bobrujsk—Słuck, a więc na północ od właściwego Polesia.

Co do nas, p. Tuchaczewski streszcza swoje zdanie krótko, mówiąc, iż jakkolwiek wzmocniliśmy w porównaniu z poprzednią operacją siły, stojące na linii głównego jego uderzenia, to nie miało to charakteru określonego i zachowywało wszystkie cechy kordonu i pasywności. Przewagę, jak zupełnie słusznie twierdzi p. Tuchaczewski, mieliśmy jedynie na «mało ważnym lewym (nieprzyjacielskim) skrzydle (kierunek Mozyrza)», gdzie według obliczenia postawił dwa razy mniejsze siły w stosunku do wojsk polskich, tam zebranych. Ten rozkład sił p. Tuchaczewskiego, prawie odwrotny do rozkładu

sił u nas, jest zgodny z główną zasadą wojny, głoszącą, że być silnym, to znaczy być silnym tam, gdzie walka się decyduje. Zasada, powtarzana tak często przez wszystkich, tak rzadko jednak jest urzeczywistniana w pracy wodzów, gdyż pomimo swej prostoty ma swe duże trudności przeważnie natury psychicznej. Na wojnie, jak słusznie mówi jej wielki znawca, Napoleon, «le simple est le plus difficile». Komplikuje tę prostotę zwykle słabość duszy wodzów, dająca w rezultacie chęć, by być silnym wszędzie, co będąc ideałem nieziszczalnym, w skutkach daje odwrotną rzecz — wszędzie słabość. Nie mogę zaprzeczyć, że tej częstej wady wodzów p. Tuchaczewski nie miał.

Nie mogę też zaprzeczyć słusznej w tym wypadku ocenie p. Tuchaczewskiego naszego rozkładu strategicznego wojsk, jemu przeciwstawionych.

Był to w istocie kordon w najczystszej prawie postaci. Odwody były, lecz z wyjątkiem jakiegoś jednego lub drugiego pułku, wszystkie stały zgodnie z żądaniem p. Tuchaczewskiego o kilkanaście kilometrów za przednimi elementami wojsk polskich. Głębszych odwodów, zdatnych do kontrmanewrów, front północny nie posiadał wcale. Jak już powiedziałem, w takim czy innym urządzeniu frontu północnego, po zakończeniu kontrofensywy w początku czerwca, nie brałem wcale udziału. I chociaż jako naczelny wódz, niechybnie ponoszę dużą dozę odpowiedzialności i w tym wypadku, dla ścisłości historycznej stwierdzam, że północnym frontem zacząłem się zajmować w większym stopniu dopiero na krótko przed rozpoczęciem ofensywy przez p. Tuchaczewskiego, gdy wszystkie moje próby doprowadzenia do zwycięstwa nad jazdą Budiennego na południu kilkakrotnie spełzły na niczym. Mniej więcej pod koniec czerwca stało się dla mnie oczywistym, że szybkie uspokojenie na froncie południowym nie da się osiągnąć i że zatem poprzedni mój projekt, oparty na znegliżowaniu wartości jazdy, musi być zmieniony. Nie mogłem bowiem liczyć na bezzwłoczne wyciągnięcie wojsk z południa dla utworzenia manewrowej siły i próby decydującego uderzenia na północy.

Wobec tej zmiany w ocenie mojej, chcę w krótkich słowach streścić motywy, które mnie do tego doprowadziły, i dać konkluzję, do której doszedłem przed 4 lipca, to jest — dniem rozpoczęcia przez p. Tuchaczewskiego, decydującej operacji. Jak już zaznaczyłem, nie nadawałem zbyt wielkiego znaczenia faktowi znalezienia się jazdy Budiennego na bliskich tyłach jednej części naszych wojsk na Ukrainie. Jazda Budiennego nie wykazała zbyt wielkiej aktywności w tej sytuacji, tak, że

pomimo, iż już się znalazła na flance i nawet bezpośrednio w tyle za lewym skrzydłem najbardziej południowej naszej 6-ej armii, Koziatyn, gdzie to skrzydło było, stał przez dłuższy czas, nie odczuwając nacisku stojącej bardzo niedaleko armii konnej. Najbardziej izolowaną i na pół odciętą wydawała się armia 3-cia, stojąca w Kijowie i okolicach, gdzie dowodzący nią gen. Rydz-Śmigły, negliżując, tak, jak prawie wszyscy w owym czasie, działanie jazdy nieprzyjacielskiej, upierał się wciąż przy żądaniu, aby łatwe, jak mu się zdawało, zadanie zlikwidowania jazdy, będącej na jego tyłach, zostało dokonane bez potrzeby wycofywania go z nad Dniepru. Najciężej było dotknięte słabe zresztą liczebnie centrum frontu, do którego jednak wnet wysłano posiłki w postaci 3-ej dywizji i trzech pułków rezerwowych, świeżo sformowanych.

Pierwsza więc moja próba polegała na zespoleniu oddziałów dla uderzenia na jazdę Budiennego, gdy stał jeszcze pomiędzy nimi w Żytomierzu i okolicach. Projekt ten spełzł na niczym. Dałem wyraźny rozkaz do gen. Śmigłego, by porzuciwszy niepotrzebne w tej sytuacji stanie w Kijowie, odwrót swój skierował głównymi siłami wzdłuż szosy Kijów-Żytomierz, uderzając w ten sposób na główne siły Budiennego koło Żytomierza. Mógł być wtedy poparty w boju przez lewe skrzydło 6-ej armii i zgrupowaną koło Koziatyna naszą jazdę. Nawet słabe poparcie od zachodu nadjeżdżających oddziałów mogło było, zdaniem moim, być zaaranżowane. W niewytłumaczony dotąd dla mnie sposób depesza moja do gen. Śmigłego nie doszła i wycofał on swe wojsko w kierunku północno-zachodnim wzdłuż kolei Kijów—Korosteń—Sarny, to jest wzdłuż Polesia południowego, jak gdyby omijając starannie możliwości zetknięcia się z jazdą Budiennego. Zaznaczam, że przy tym manewrze jedna z dywizyj, a mianowicie 21-sza, wyszła na południowe Polesie pod Mozyrz, zwiększając w ten sposób siły nasze na — że powtórzę określenie p. Tuchaczewskiego — «mało ważnym» skrzydle armii, będącej pod rozkazami gen. Szeptyckiego.

Po tym wypadku kilka prób, zarządzonych przeze mnie by zgrupować uderzenie na jazdę Budiennego z paru stron, tak, by móc korzystnie wprowadzić w grę naszą słabszą znacznie, w porównaniu z przeciwnikiem, jazdę, zawsze spełzły na niczym z powodu jakiejś fatalnej niemożliwości zgrania kilku jednostek wojskowych do wspólnie czynionego manewru. Ostatnią taką przed 4-ym lipca próbą były prawie komiczne wypadki pod Równem, gdy raz 18-ta dywizja z 6-ej armii szła do ataku od południa, a 2-ga armia w tym sa-

mym czasie wykonywała odwrót ku północy; odwrotnie zaś gdy 2-ga armia przeszła do natarcia i jej 1-sza dywizja nocnym atakiem zdobyła Równe, 18-ta dywizja już się znajdowała we wstecznym ruchu ku Dubnu.

Nie mogę twierdzić, ażeby te śmieszne teraz kontredanse wpływały zanadto demoralizująco na samo walczące wojsko, gdyż, poza niektórymi jednostkami, większość wojsk, walczących na południu, zachowała w zupełności swą moralną siłę i wartość i, niezrażona niepowodzeniami, stawała do walki raz po raz. Lecz niechybnie stałe niepowodzenie nie mogło się nie odbić i rzeczywiście się odbijało na ogólnym nastroju, wyrażającym się w myśli o konieczności wprowadzenia jakiejś nowej metody dla zatrzymania i zwyciężenia nieuchwytnego dotąd przeciwnika. Za taką metodę powszechnie uważano, z czym i ja się zgadzam, wprowadzenie w grę większej ilości jazdy i z naszej strony. Do zorganizowania tego instrumentu walki przystąpiono też natychmiast z energią. Z góry jednak można było przypuszczać, że tak trudna rzecz łatwo i szybko zaimprowizować się nie da i że upłynie sporo czasu, nim efekt pracy będzie widoczny.

Najgorszy jednak wpływ tych wypadków dawał się spostrzec nie na samym froncie, lecz poza nim, na tyłach. Panika w miejscowościach, nawet o setki kilometrów w tyle położonych, wybuchała raz po raz, nieraz nawet w sztabach wyższych jednostek, rozszerzając się coraz głębiej i głębiej. Zaczynała pękać nawet praca państwowa, odczuwać w niej można było jakieś niepewne, chwiejne tętna. Obok nieuzasadnionych oskarżeń następowały chwile nieopanowanej trwogi z nerwowymi odruchami. Obserwowałem to stale naokoło siebie. Ten nowy instrument walki, jakim się okazała dla naszych nieprzygotowanych do tego wojsk jazda Budiennego, stawał się jakąś legendarną, nieprzezwyciężoną siłą. I rzec można, że im dalej od frontu, tym wpływ tej sugestii, nie poddającej się rozumowaniu, był silniejszy i bardziej nieodparty. Zaczynał się formować w ten sposób dla mnie najniebezpieczniejszy front, front wewnętrzny.

W takiej właśnie sytuacji pożegnałem się z poprzednio ułożonym projektem i, wiedząc z meldunków i wywiadów o koncentracjach nieprzyjacielskich na północy, wykoncypowałem dla siebie bardzo ogólnikowy plan postępowania na froncie przeciwko p. Tuchaczewskiemu. Mianowicie, wobec stałego odsłaniania, przez cofanie się południowego frontu, prawego skrzydła wojsk, stojących na północ od Prypeci, zgodziłem się w myśli na dobrowolne, bez nacisku nieprzyjaciela,

cofnięcie całego frontu północnego wstecz, mniej więcej do linij niemieckich okopów w centrum, wraz ze sformowaniem silniejszych grup manewrowych na obu skrzydłach.

Nie chcę w tym miejscu poruszać kwestii, dlaczego tego na czas nie uczyniłem, gdyż uczynię to później, stwierdziwszy jednak tę moją zasadniczą myśl, przechodzę do próby analizy szczegółowej otwarcia głównej kampanii r. 1920 przez natarcie wojsk sowieckich 4-go lipca.

## V

Analiza pierwszych dni decydującej operacji p. Tuchaczewskiego sprawiła mi bardzo dużo kłopotów. Natykałem się wciąż na coraz nowe sprzeczności, których wyjaśnienie zajęło mi sporo czasu. Jedne z tych sprzeczności wynikały z niedostatecznie uporządkowanych u nas dat i danych o działaniu wojsk w tym okresie, co pozwoliło się ustalić fałszywym i błędnym przedstawieniom rzeczy. Inne zaś sprzeczności wyrastały natychmiast, gdym porównywał wszystko to, co pisze p. Tuchaczewski, z datami i danymi, ustalonymi powoli przeze mnie, co do naszych wojsk, a również z datami i danymi, które znajdowałem u p. Sergiejewa co do wojsk, dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego. Wszystkie te sprzeczności są tak rażące, a realna historyczna sytuacja była tak dziwaczna, że długo nie mogłem się pogodzić z faktami, szukając ustawicznie sprawdzianów swych poglądów w nowych szczegółach, dobywanych od poszczególnych uczestników walk z tego okresu. Dodam, że jeszcze i teraz, podając swoją analizę, nie mogę się pozbyć pewnych wątpliwości, gdyż zanadto jaskrawo przeczą one wszystkiemu temu, co mówi p. Tuchaczewski, którego nadzwyczajna abstrakcyjność pracy pomieszana jest z publicystyczną przesadą określeń, jak: «rozgromiony», «zmiażdżony» itd.

Gdy, przerzucając po kilka razy dziełko p. Tuchaczewskiego, chciałem nabrać pewnego poglądu na jego myśl przewodnią, przychodziłem zawsze do przekonania, że p. Tuchaczewski wytknął sobie daleko sięgający plan, oczekując od siebie i od dowodzonych przez siebie wojsk znalezienia ostatecznej decyzji daleko od miejsca, gdzie operacje rozpoczynał, usuwając przy tym starannie naturalne zresztą chęci szukania natychmiast lokalnych częściowych powodzeń. Wszystko, co mówi p. Tuchaczewski przy przedstawieniu operacyj zarówno majowej, o czym mówiłem wyżej, jak i lipcowej, zdawałoby

się stwierdzać, że należy on do umysłów, chociaż abstrakcyjnych, to jednak umiejących szerzej i ogólniej patrzeć zarówno na teatr wojny, jak i na działania większych mas wojska. Widzieliśmy to już poprzednio, jeszcze bardziej cecha ta przejawia się w szerokim ujęciu jego rozważań, wciśniętym w części jego dzieła, mówiącym o operacji lipcowej. Tutaj właśnie, jak zaznaczyłem wyżej, pomieszcza on najpiękniejszą może część swojej pracy, gdy szuka rozstrzygnięcia problematu prowadzenia większej ilości wojska na wielkich przestrzeniach w ofensywnej operacji.

Odkładając rozpatrzenie ze swojej strony tych poglądów p. Tuchaczewskiego, zaznaczę, że widzi on wyjście w nagromadzeniu, jak się wyraża, mas taranowych, które muszą nieraz zmieniać kierunek swego ruchu, zależnie od działań przeciwnika, stawiającego próby oporu atakowi w tym czy innym miejscu, chociażby nawet połączone to było czy ze stratą czasu, czy z przedwczesnym wykryciem przez nieprzyjaciela zasadniczej myśli operacyjnej. Jest to, jak on mówi, jedyny sposób dla porównania przeciwuderzeń przeciwnika, który może wycofać swoje wojsko dla zorganizowania kontrataku. Przy przedstawieniu tej rzeczy widać na p. Tuchaczewskim wpływ początków kampanii 1914 r. we Francji, a p. Tuchaczewski zachęca, by na przykładzie naszej (sowieckiej) kampanii przeciw biało-polakom w 1920 r. z wielką korzyścią prześledzić kwestię wykorzystania mas taranowych. Opiera się on w tym wypadku na pewniku, że w tegoczesnych operacjach niepodobna zniszczyć siły nieprzyjaciela jednym szybkim uderzeniem i ruchem.

Jakżeż byłem zdumiony, gdy u p. Sergiejewa przeczytałem (str. 31 l. c.), że w ostatnich dniach czerwca p. Tuchaczewski osobiście odwiedził wszystkich dowódców armij i nakazał przepracować w szczegółach plan, który miał doprowadzić w razie powodzenia do okrążenia części naszych sił, ugrupowanych w okolicy Hermanowicze—Łużki—Głębokie. Więc plan dla działań 4-go lipca sprowadzał się do lokalnego czysto powodzenia, mającego na celu zrobienie małego Sedanu dla kilku naszych dywizyj. P. Sergiejew, zastanawiając się nad tym planem, podaje nawet graficzne szkice, przedstawiające jasno, na czym on polegał. Mianowicie, 15-ta armia, jak wiemy, złożona z najlepszych sił i najlepiej uposażona, miała atakować ten mały Sedan w Hermanowiczach i Głębokiem z frontu, natomiast sąsiednie dwie armie, 4-ta i 3-cia, miały być jak gdyby prawym i lewym ramieniem, wyrzucającym ręce od północy i południa na tyły Głębokiego i Hermanowicz dla odcięcia

wszystkich dróg odwrotu. P. Sergiejew stwierdza, że dla tego planu centrum (15-ta armia) było za silne, a skrzydła za słabe, i temu rozkładowi sił, który zresztą usprawiedliwia brakiem czasu, słusznie przypisuje nieudanie się planu (str. 32, 33 l. c.). Lecz gdzież tu jest taran, gdzie wreszcie operacja o szerokich i wielkich celach? Jak zobaczymy przy analizie, skrzydła nie wypełniły swego zadania, lecz p. Sergiejew stwierdza, że jeszcze w nocy z 5-go na 6-go lipca otrzymał on od p. Tuchaczewskiego dyrektywę, wskazującą na konieczność natężenia wszystkich sił, by do nocy z 6-go na 7-go lipca odciąć drogę cofającemu się nieprzyjacielowi w rejonie Osinogródek—Kuryłowicze (20—30 kilometrów na zachód od Głębokiego) (str. 50 l. c.). Więc jeszcze na trzeci dzień operacji armia północna (4-ta) ma to samo sedańskie zadanie.

Zdumienie moje jeszcze bardziej się powiększyło, gdy przechodząc dzień po dniu działania głównej siły p. Tuchaczewskiego — 15-ej armii — dostrzegłem, że już od trzeciego dnia operacji, a może nawet w drugim dniu, zaczęła się ona grupować nie do trwania w pracy o stylu Sedanu, lecz do robienia taranu dla dalszych operacyj. Ten dziwny rozdźwięk podczas pierwszych paru dni operacji nie był wywołany przez działania naszych wojsk, gdyż jedyną aktywną grupą, działającą jeszcze w przeciągu 5 i 6 lipca, była najbardziej północna grupa gen. Żeligowskiego, złożona z dwóch dywizyj (10-ej i 8-ej), która, nie otrzymawszy rozkazu o odwrocie, z małymi zresztą bojami straży tylnych, miała do czynienia i była w kontakcie jedynie z 4-tą północną armią sowiecką, więc nie oddziaływała wcale na akcje armii 15-ej. Reszta zaś sił — grupa gen. Jędrzejewskiego — odchodziła spokojnie, prawie bez zetknięcia z przeciwnikiem w kierunku południowo-zachodnim na Mołodeczno. Oryginalny Sedan!

W ogóle pierwsze dni operacji lipcowej p. Tuchaczewskiego zasługują na szczegółową analizę. Wpłynęły one bardzo silnie na zasadnicze ugrupowanie naszych polskich sił, na przebieg całej operacji z naszej strony prawie aż do Warszawy, a obok tego, wobec wyżej wyłuszczonego rozdźwięku w ideach operacyjnych p. Tuchaczewskiego, mającego inicjatywę w tym wypadku, dają one charakterystyczny obraz tego, co zwykle nazywam komedią pomyłek i niezrozumienia się wzajemnego przeciwników. Jak zwykle w takich wypadkach bywa, nawet nazwy takich bitew są sprzeczne. Dowódca naszych sił na tym froncie, gen. Szeptycki, w swoim usprawiedliwieniu się nazwał ją, zgodnie ze swym ciążeniem do liniowych rozkładów, bitwą na Aucie, maleńkiej rzeczce, którą z trudem znaleźć

można na mapie i której to nazwy nie spotkałem wcale ani razu u p. Tuchaczewskiego, ani u p. Sergiejewa. Widocznie nie przypuszczali wcale, że ta Orzechowna, tym razem rzeczna, gra dla ich przeciwnika wielką rolę. P. Sergiejew uważa tę bitwę za nieudany Sedan pod Głębokiem, czego znowu nikt z naszej strony nie rozumiał, a najczynniejszy aktor w tej bitwie, gen. Żeligowski, jak mi niedawno jeszcze mówił, zastanawiał się, czy czasami źle nie zrobił, nie uderzywszy na ów Sedan — Głębokie, gdy to zostało już zajęte przez nieprzyjaciela; nie mając bowiem na sobie nacisku, czuł się zupełnie swobodnym w decyzjach. Sam zaś p. Tuchaczewski, zadowolony z posiadania, już teraz zupełnie pewnego, «smoleńskich wrót», przechodzi łatwo do porządku dziennego nad ochrzczeniem ze swej strony tego dziwactwa wojennego, gdy już 7 lipca wyjaśnił z zupełną pewnością, że «oddziały przeciwnika w rejonie naszego głównego natarcia są zupełnie rozgromione» (str. 188). Taką bitwę warto zanalizować szczegółowiej *).

Zaczynam od północnej 4-ej armii, dowodzonej przez p. Sergiejewa. Zgodnie z sedańskimi zamiarami p. Tuchaczewskiego, zostawia on na lewym swoim skrzydle 18-tą dywizję, dając jej rozkaz za pomocą natarcia zatrzymać odwody przeciwnika w tym rejonie. Resztę zaś swoich sił, t. j. 12-tą i 53-cią dywizję oraz 164-tą brygadę, ściąga na wąski przesmyk pomiędzy Dźwiną a błotnistym jeziorem Jelnia, przesmyk, nie przewyższający 10 km (według p. Sergiejewa 4 wiorsty), z zadaniem przerwania tutaj frontu przeciwnika i skręcenia natychmiast całą piechotą wyraźnie na południe na Hermanowicze i Szarkowszczyznę oraz rzucenia kawalerii na razie ku zachodowi na głębokie tyły przeciwnika. Wobec tego, że p. Sergiejew pisze o rozpoczęciu bitwy huraganowym ogniem artylerii, zaznaczam, że skupił on na tym odcinku 70 dział lekkich i 8 ciężkich. P. Sergiejew streszcza pogląd na swoje zadanie w sposób następujący: «Wobec tego, że powodzenie manewru 4-ej armii wymagało szybkości wykonania, a dane o przeciwniku wskazywały, że między Dźwiną a jeziorem Jelnia znajduje się tylko jeden pułk piechoty i kilkuset ułanów, postawiono jednostkom grupy aktywnej zadania, wymagające po przerwaniu nieprzyjaciela przejścia:

dla jazdy 40 wiorst pierwszego dnia i 24 wiorsty drugiego;

dla 164-ej brygady 27 wiorst pierwszego dnia, 24 wiorsty drugiego;

*) Patrz szkice nr 1, 2.

dla 53-ej dywizji 29 wiorst pierwszego dnia, 30 wiorst drugiego;

Dla 12-ej dywizji 22 wiorsty pierwszego dnia, 18 wiorst drugiego.

Takie przestrzenie można było przewidzieć po przerwaniu przeciwnika, jako ruch kolumnami, gdyż słaby przeciwnik powinien był być rozpylony od naszego uderzenia, a odwodów widocznie tu nie miał» (str. 43 l. c.).

W istocie stał tutaj niecały 33-ci pułk, który jeden batalion miał w dalekim względnie odwodzie. Natarcie rozpoczęto z powodu mgły dopiero o 8 godzinie rano, po przygotowaniu go huraganowym ogniem, trwającym pół godziny. Pierwsze słabo widocznie obsadzone linie zostały zajęte już o godzinie 9. Odtąd posuwanie się p. Sergiejewa poszło tak powoli i z takim oporem, że po całym szeregu kontrataków z naszej strony, dopiero koło godziny 4 po południu, zmęczone bojem nasze 2 bataliony rozpoczęły szybki odwrót. Dopiero koło szóstej wieczorem dywizje i jazda p. Sergiejewa mogły się ściągnąć w kolumny i rozpocząć nakazany marsz. Nic dziwnego, że ani jedna z jednostek nie mogła wypełnić swego zadania, co ze smutkiem konstatuje p. Sergiejew (str. 46 l. c.).

Ta bohaterska obrona dwóch batalionów naszego 33-go pułku przeciwko dwum i pół dywizjom przeciwnika podtrzymywaną była, zgodnie z naszymi danymi, zaledwie przez 10 dział 8-ej dywizji, do której pułk należał. Zniweczyła ona prawie, albo co najmniej zrobiła wątpliwą, zamierzoną operację o sedańskim stylu, zatrzymując główne siły 4-ej armii w ich zamiarze szybkiego wyjścia na tyły i skrzydła naszych wojsk, walczących dalej na południu. Z przyjemnością zaznaczam ten fakt ze źródeł naszego przeciwnika, gdyż nieraz u nas przy doraźnych analizach ówczesnych bojów zarzucano zarówno temu pułkowi, jak i całej 8-ej dywizji, że dopuściły do przejścia jazdy nieprzyjacielskiej, która nam w przeciągu całej operacji do Warszawy jak najwięcej zaszkodziła. P. Sergiejew wyraźnie konstatuje, że uporczywy opór silnie zatrzymywał rozwój ich powodzenia i dopiero koło 16 godziny opór polski został złamany. Dodam, że ani jedno nasze działo nie zostało w rękach nieprzyjaciela.

Na sąsiednim odcinku 18-ta dywizja — a p. Sergiejew uważał ją za najlepszą — spędziła cały dzień w bezskutecznych zupełnie atakach na jedną z brygad 10-ej naszej dywizji. P. Sergiejew spokojnie stwierdza, że pomimo ciężkich strat dywizji i względnie wielkiego wydatku amunicji (300 naboi

na lekkie i 50—80 na ciężkie działo) natarcie 18-ej dywizji zostało odparte (str. 47 l. c.). Pierwszy więc dzień dla 4-ej armii skończył się względnym niepowodzeniem, gdyż oddalił możność wykonania sedańskich zamiarów i nie zużył żadnej części naszych odwodów, które w tym miejscu stanowiły trzy pułki 8-ej dywizji. Te, zgodnie z naszymi danymi, bez rozkazu większością swych sił ruszyły ku północy w stronę Pohostu i jeszcze dalej na północ dla osłony zagrożonego skrzydła.

Dalej na południe atakowała 15-armia, mając rozciągnięte w linii cztery dywizje. Natarcie prowadzone było na rozciągłości mniej więcej 50 km i spotkało również rozciągnięte w długiej linii: 11-tą naszą dywizję na południowym odcinku, brygadę 5-ej dywizji i 7-mą rezerwową brygadę na północnej części atakowanej przestrzeni. W odwodzie za nimi stała zgrupowana dywizja 17-ta, której bez pozwolenia dowódcy frontu w Mińsku nie wolno było użyć. Perypetie tego boju z trudem dają się wyjaśnić w jego szczegółach. Faktem jest, że na południowym odcinku wojska sowieckie poszły szybciej naprzód, niż na północnym. Mianowicie, na południe od kolei Połock—Mołodeczno wojska p. Tuchaczewskiego doszły w walce do rzeczki Mniuty, zrobiwszy mniej więcej 8 km od spotkania z pierwszymi naszymi liniami. Na północ zaś od tej kolei, gdzie walczyła większość 15-ej armii, pomimo pierwszych powodzeń wojska sowieckie zostały zatrzymane przez kontrataki zarówno 17-ej naszej dywizji od południa, jak i 10-ej dywizji od północy, które zatrzymały ruch atakujących sił, tak, że w końcu dnia przestrzeń, przebyta przez natarcie, nigdzie nie przewyższała 3—4 km. To względne powodzenie głównych sił p. Tuchaczewskiego nie odgrywało zresztą tak wielkiej roli dla sedańskiego planu, gdyż centrum w tym wypadku mogło postępować wolniej, a miało za sobą to powodzenie, że ściągnęło ku sobie nasze odwody. Z wojsk naszych duża część po tym dniu boju została prawie zupełnie zużyta, tak, że na długo stała się niezdolną do dalszej pracy. Tyczy się to brygady 5-ej dywizji i 7-ej brygady rezerwowej. Oprócz tego pozostawiono w ręku nieprzyjaciela niewielką zresztą ilość materiału artyleryjskiego.

3-cia sowiecka armia atakowała dalej na południe aż do Berezyny, uderzając częścią swoich sił na część naszej 11-ej dywizji, a trzema dywizjami prowadząc silne natarcie na brygadę 1-ej litewsko-białoruskiej dywizji, z rozkazem zajęcia już 5 lipca Dokszyc, oddalonych od frontu w linii powietrznej o 25 km, z tym, że już 6-go zarówno kolej Połock—Mołodeczno, jak i drogi odwrotu w kierunku południowo-zachodnim miały

być dla nas odcięte. Rezultatem dnia tego było, że po nadzwyczajnie ciężkich, całodziennych bojach siły sowieckie nigdzie nie przebyły 7 do 8 km drogi i bodaj największym rezultatem walki tego dnia, prawdopodobnie niezauważonym przez przeciwnika, była przerwa kontaktu i łączności pomiędzy 11-tą dywizją na północy i 1-szą litewsko-białoruską na południu. Natomiast rzeka Berezyna, która stała w oddaleniu 4—6 km od frontu, jako przegroda na drodze do Dokszyc, prawie nigdzie przez nieprzyjaciela nie była przekroczona. Znowu więc, jak na północy, skrzydło, mające szybkim ruchem przeciąć drogi odwrotu nieprzyjaciela ku południowemu zachodowi, zostaje w ruchu zatrzymane, pomimo wielkiej przewagi sił, jaką w stosunku do dywizji litewsko-białoruskiej posiada. Sedański manewr i tu, jak na lewym skrzydle, zawisł w powietrzu. Tu jest nawet gorzej, gdyż p. Sergiejew na północy zdążył jednak po uporaniu się z pierwszą przeszkodą ku wieczorowi zaznaczyć swój ruch na flanki i tyły nieprzyjaciela, podczas gdy cała 3-cia armia stała właściwie wieczorem 4 lipca w jednej długiej linii z centrum frontu — armią 15-tą.

Jeśli, jak widzieliśmy, celem wojsk p. Tuchaczewskiego było szybkie okrążenie naszej 1-ej armii w okolicy Hermanowicze—Głębokie, to znowu celem walki prowadzonej przez nas, było po prostu odparcie ataku nieprzyjacielskiego i restytucja sytuacji sprzed 4 lipca. Wszystkie rozkazy, czy to dowódcy frontu w Mińsku, czy to dowódcy 1-ej armii w Wilejce, czy wreszcie dowódców grup na odcinkach, nie pozostawiają pod tym względem żadnych złudzeń. Stąd cały dzień 4 lipca schodzi na próbach różnego rodzaju drobnych i większych kontrataków, mających na celu wyrzucenie przeciwnika poza linie, zajmowane rano tegoż dnia. Bitwa prowadzona była z naszej strony mniej więcej tak, jak się ją prowadziło w czasach wojny okopowej. Wszystkim zaś próbom przeciwnatarć, w rozmaitym czasie i w różnych miejscach czynionym, przyświeca nie co innego, jak «osiągnięcie poprzedniej sytuacji». Słowo to i określenie powtarza się dziesiątki razy jako charakterystyka celu, dla którego 1-sza nasza armia dnia 4 lipca walczyła na rozległym stukilometrowym froncie. Cel ten na całej tej przestrzeni osiągnęła właściwie tylko 10-ta nasza dywizja, która nie dała się zepchnąć ze swej pozycji i dzień zakończyła w stosunku do zadań, sobie postawionych, zwycięsko. Natomiast wszędzie gdzie indziej wojska nasze musiały odczuwać wrażenie przegranej, gdy w ciągu całego dnia ciężkich bojów, w których poza 8-mą dywizją na skrajnej północy brały już udział wszystkie nasze siły, cel, postawiony bojowi — osiągnię-

cie poprzedniej sytuacji — okazał się niemożliwy do osiągnięcia.

Pierwszy więc dzień boju 4 lipca zakończył się dla obu stron brakiem satysfakcji w osiągnięciu zamierzonych celów. P. Tuchaczewski dla zamierzonego Sedanu nie postąpił daleko naprzód, natomiast nasza 1-sza armia, wobec wielkiej przewagi nieprzyjaciela i nieposiadania już odwodów, zwątpić musiała w możliwość spełnienia postawionych sobie zadań. Lecz świt dnia 5-go znalazł obu przeciwników z niezmienionymi dotąd celami pracy i zadaniami boju.

Na północy 4-ta armia p. Sergiejewa posuwa się dalej w zamierzonym kierunku prawie w próżni, gdyż dwa bataliony 33-go pułku, straciwszy w walce poprzedniego dnia bardzo dużo, szybko wycofały się bez zetknięcia się z nieprzyjacielem nie w kierunku swojej dywizji na południe, lecz wprost na zachód, tak, że w dalszych perypetiach boju swojej dywizji nie brały zupełnie udziału. Pierwsze zetknięcie z nieprzyjacielem nastąpiło dopiero po południu dnia 5-go, gdy, jak oświadcza relacja naszej 8-ej dywizji, pod Pohostem i dalej ku północy miała ona w tym czasie walki ze strażami przednimi nieprzyjaciela. Potyczki te, pomimo swojej nieznaczności, zatrzymały większość sił sowieckich w dalszym marszu. P. Sergiejew skarży się specjalnie na swoją 53-cią dywizję, która w dniu tym nie tylko nie doszła do Szarkowszczyzny, jak to jej było nakazane, lecz nawet pod wpływem tych nieznacznych walk zmieniła zupełnie front z południowego na zachodni. To samo okazało się i dla sąsiedniej 12-ej dywizji, której silne prawe skrzydło i odwodowa brygada zatrzymały się w ruchu i w okolicy Starego Pohostu również zmieniły swój front z południowego na zachodni. Sedan stanowczo nie uśmiechał się wojskom p. Sergiejewa *).

P. Tuchaczewski o dniu tym w 4-ej armii pisze z pewną nonszalancją, mianowicie — twierdzi, że części 8-ej dywizji «zostały zaatakowane w czasie marszu, rozbite i straciły wszelką zdolność do boju. Ale i nasze oddziały nie osiągnęły tego, co mogły były osiągnąć w tych okolicznościach» (str. 188). P. Sergiejew jest skromniejszy i twierdzi tylko, że bez względu na wyraźną słabość przeciwnika, którego należało dobić i rozpędzić, wojska rozwijały się kilka razy w kierunku prawego swego skrzydła i wreszcie zupełnie nie wypełniły swego zadania na 5 lipca (str. 49 l. c.). Dodam, że w pojęciu p. Sergiejewa, a więc prawdopodobnie i p. Tuchaczewskiego,

*) Patrz szkic nr 3.

# Szkic № 1.


Gr. ppłk. Sawickiego
(33 p. p.)
164 br. s.
53 d. s.
12 d. s.
III k. k.
4 armia
18 d. s.
XX br. p.
10 d. p.
Gr. gen. Żeligowskiego
Gr. gen. Jędrzejewskiego
Gr. gen. Rządkowskiego
XIX br. p.
VII br. rez.
IX br. p.
54 d. s.
15 armia
16 d. s.
GR. K.
38 d. s.
11 d. s.
4 d. s.
11 d. p.
17 d. p.
3 armia
II br.
I br.
1 L. B. d.
15 d. p.
Brasław
Przebrodzie
Miory
Czeress
Dzisna
Pohost
Stary Pohost
Szarkowszczyzna
Koziany
Mosarz
Osino-Gródek
Głębokie
Plissa
Świła
Mażniewo
Postawy
Dunilowicze
Krupeń
Porpliszcze
Wołkołata
Kobylnik
Nowy-Miadziol Stary
Stare-Gaby Nowe
Parafjanów
Polana
Dokszyce
Berezyna
Niebyszyno
Gnieździłowo
Podziałka 1:400 000
0 5 10 15 20 25 30 35km

# Szkic № 2.


III k. k.
33 p. p
164 br. s.
4 armia
53 d. s.
12 d. s.
Brasław
Przebrodzie
Miory
Czeresa
Dzisna
Pohost
Stary Pohost
XX br. p.
18 d. s.
8 d. p.
10 d. p.
Germanowicze
XIX br. p.
54 d. s.
15 armia
Szarkowszczyzna
Koziany
VII br. rez.
IX br. p.
16 d. s.
Odwody
4 d. s.
GR. K.
17 d. p.
33 d. s.
Plissa
Świła
11 d. p.
11 d. s.
Kowale
Głębokie
Holubicze
Osino-Gródek
Mosarz
Postawy
Duniłowicze
1 p./17 d. p.
3 armia
Czernica Wielka
Porpliszcze
Wołkołata
Kobylnik
Tumiłowicze
1 L. B. d.
Berezyna
Dokszyce
Nowy Miadzioł
Stary
Stare Gaby
Nowe
Paraffianów
Polana
Gnieździłowo
Niebyszyno
Podziałka 1:400 000

większa część 8-ej dywizji, która wcale w dniu 4 lipca nie brała udziału w bojach, była już rozbita. Tak silnym był opór dwóch batalionów 33-go pułku, że nieprzyjaciel w swoich relacjach i obliczeniach zwiększał nasze siły, czyniąc z boju dwóch batalionów bój większej części 8-ej dywizji. P. Sergiejew dodaje, że «sytuacja obchodzącej grupy zaniepokoiła i sztab frontu, i dyrektywa, dana w nocy z 5-go na 6-ty, wskazywała na konieczność zrobienia wszystkich wysiłków, by do nocy z 6 na 7 lipca odciąć drogę cofającemu się przeciwnikowi w rejonie Osinogródek—Kuryłowicze». Ostatni wysiłek sedański!

Tymczasem dnia tego gen. Żeligowski nakazał od świtu wycofać 10-tą dywizję na rzekę Mniutę dla wyrównania swego frontu z sąsiadami z prawa. Zgodnie z relacją tej dywizji od 5-go o świcie dywizja bez żadnego trudu i bez nacisku wycofała się na Mniutę, zajmując w okolicach Łużek oba brzegi rzeczki, 8-ma zaś dywizja koncentrowała się w okolicach Pohostu. W tym cofnięciu 10-ej dywizji ze stanowisk, utrzymanych zwycięsko dnia poprzedniego, jest już element niewiary, by dzień 5 lipca dał to, czego nie osiągnięto dnia poprzedniego. Jest to zapowiedź zaczynającego się odwrotu naszej 1-ej armii.

Przejdźmy do centrum, do działań 15-ej armii sowieckiej.

Armia ta w ciągu 5 lipca idzie naprzód niezwykle powoli, znacznie wolniej, niż to było dnia poprzedniego, a już dzień 4 lipca nie był, jak widzieliśmy, rekordowym dniem pod względem przestrzeni, którą armia przeszła. Na szkicu p. Sergiejewa przedstawiona jest ona w ten sposób, że południowe dywizje (11-ta i 33-cia) minęły rzekę Mniutę, do której doszły dnia poprzedniego, zaledwie o parę kilometrów. Północna zaś grupa (54-ta i 16-ta) doszła dnia tego do tej rzeczki, nie mijając jej wcale. W relacjach wojsk naszych, walczących przeciwko 15-ej armii, nie znalazłem żadnego zrozumiałego dla mnie powodu, którym bym mógł wyjaśnić to zjawisko. Pomimo, iż ostatni rozkaz naszej 1-ej armii z dnia 4-go nakazywał dalszy kontratak dla osiągnięcia poprzedniego celu, wojska nasze właśnie od świtu prowadzą tylko boje o charakterze straży tylnych, grupując się właściwie do odwrotu. Niektóre grupy wspominają jedynie o boju artylerii, przykrywającej odwrót, i tylko najbardziej północna grupa, część 10-ej dywizji w Łużkach, na którą wyjść musiała 54-ta, najbardziej północna dywizja 15-ej armii, wspomina o ciężkich bojach, które miała po południu dnia 5-go na wschodnim brzegu rzeczki Mniuty.

To samo dzieje się w sąsiedniej 3-ej armii sowieckiej, która, po gwałtownych natarciach dnia poprzedniego, zaczyna poruszać się wolno, nie spiesząc wcale do sedańskiego celu,

nakazanego uprzednio. W dniu tym wisi nad całym długim placem boju jak gdyby jakiś kryzys bojowy oraz brak decyzji i obustronnej energii.

Inicjatywę w decyzji wzięła w swe ręce wreszcie nasza strona. Koło południa dowódca 1-ej armii, po porozumieniu się z dowódcą frontu, nakazał odwrót. Pierwszy punkt jego rozkazu głosi: «Sytuacja na froncie 1-ej armii wymaga cofnięcia jej, odłączenia od nieprzyjaciela i przeprowadzenia ugrupowania na nowej l i n i i celem przejścia do kontrakcji».

Rozkaz wobec sytuacji ówczesnej nie dochodzi jednocześnie do wszystkich wojsk, a najbardziej północna grupa pod dowództwem gen. Żeligowskiego nie otrzymuje go wcale. Pierwszy otrzymuje go gen. Rządkowski w Dokszycach o godzinie 13 minut 45 i nakazuje podwładnym mu dywizjom, 1-ej litewsko-białoruskiej i 11-ej, odmarsz z oderwaniem się od nieprzyjaciela w kierunku południowo-zachodnim, ogólnie na Mołodeczno. Wykonanie tego rozkazu przez grupę gen. Rządkowskiego otwiera zupełnie od południa dnia 5-go wszystkie drogi marszu w kierunku zachodnim dla oddziałów sowieckich w całej 3-ej armii i dużej części armii 15-ej na jej odcinku południowym, dotąd najdalej w kierunku zachodnim zaawansowanym. Następna ku północy grupa gen. Jędrzejewskiego rozkaz o cofaniu się i oderwaniu się od nieprzyjaciela otrzymała, że tak powiem, częściami w różnych porach dnia. Sam gen. Jędrzejewski świadczy, że rozkaz otrzymał dopiero późnym wieczorem 5 lipca. Grupa ta, złożona z 17-ej dywizji oraz z 7-ej rezerwowej brygady wielkopolskiej i brygady 5-ej dywizji, znajdowała się właściwie już od rana w odwrocie, krytym przez słabe straże tylne i artylerię, w naturalnym dla siebie kierunku odwrotu — wyraźnie ku zachodowi wzdłuż głównej drogi Głębokie—Duniłowicze i dalej w kierunku Wilna czy przez Postawy i Święciany, czy też przez Świr i Michaliszki. Gen. Jędrzejewski zajęty był zorganizowaniem tego odwrotu i ułożeniem ruchu wielkiej ilości taborów i bagażów na Duniłowicze. Tam właśnie wieczorem zastał go rozkaz. Odwrót w tym naturalnym i już organizującym się kierunku byłby dla całej grupy bardzo łatwym i nie zostawiłby najbardziej północnej części naszej armii pod dowództwem gen. Żeligowskiego, stojącego jeszcze w boju pod Łużkami i Hermanowiczami, w sytuacji zupełnie izolowanej. Rozkaz jednak gen. Szeptyckiego chciał inaczej. Łamał on naturę rzeczy i nakazywał całej grupie gen. Jędrzejewskiego ściągać się ku południowi na osłonę skrzydła 4-ej naszej armii, która już miała zaczynać swój niewymuszony odwrót. W ten sposób grupa gen.

Jędrzejewskiego, najbardziej zużyta w poprzednich bojach, miała dokonać w biały boży dzień nadzwyczaj trudnej operacji wojennej, flankowej defilady wzdłuż frontu nieprzyjaciela, dotąd zwycięskiego. Zamiast zaś zerwać, zgodnie z pisemnym punktem rozkazu, kontakt z wrogiem, co nastąpić może jedynie przez szybki ruch wstecz, musiała dokonać złożonego manewru zmiany naturalnego kierunku i iść na nowy kontakt z nieprzyjacielem, zbliżając się doń z każdą godziną swego marszu. Większość bowiem sił gen. Jędrzejewskiego dla dokonania żądanego odwrotu musiała iść w kierunku południowo-wschodnim, t. zn. w kierunku nieprzyjaciela. Jeżeli kiedykolwiek w ciągu tych dwu dni boju ta część armii naszej była narażona na tak pożądane dla p. Tuchaczewskiego «zmiażdżenie», «rozpylenie» i «doszczętne rozbicie», to właśnie w popołudniowych i wieczornych godzinach dnia 5 lipca, gdy wykonywała ten dziwaczny manewr, osłabiający w dodatku i resztę naszej armii, zwycięskiego dotąd gen. Żeligowskiego. Oto, np. krótki opis manewrującego w ten sposób I batalionu 69-go pułku piechoty z 17-ej dywizji, który ostatni opuszczał Głębokie. Odmarsz nastąpił po południu dnia 5-go. Batalion maszerował traktem Głębokie—Porpliszcze, gdzie na przestrzeni prawie 20 km szedł pod ogniem dalekim artylerii, który go bił ze wschodu. Toteż batalion rwał nieledwie galopem. Wyszedłszy z Głębokiego po południu, już pod wieczór był w Porpliszczach, mając w swoich kościach dwudziestoparokilometrowy marsz, by jeszcze dalej w nocy przejść kilkanaście kilometrów do Parafianowa. Gen. Jędrzejewski wskutek swego nienaturalnego odwrotu znalazł się w nadzwyczajnie kłopotliwej sytuacji, gdy, skierowawszy już tabory i bagaże w kierunku zachodnim, musiał wojsko przerzucać w kierunku prawie południowo-wschodnim. Twierdzi on w swojej relacji, że skutkiem tego oddziały w wielkiej swej części pozostały w ciężkich warunkach bojowych bez taborów, a nieraz nawet bez kuchni polowych.

Jeżeli ten nieszczęśliwy rozkaz nie wzmocnił sytuacji naszej na północy, to niechybnie cała grupa gen. Jędrzejowskiego uratowaną została nie przez co innego, jak przez zaznaczoną wyżej bezczynność u nieprzyjaciela. Ani południowa część 15-ej armii, ani cała 3-cia nie próbują nawet wyzyskać sytuacji i dopuszczają do defilady nieostrożnej grupy gen. Jędrzejewskiego wzdłuż swego frontu, czynionej w biały boży dzień po południu dnia 5 lipca. Karcą go niekiedy za ten nierozsądny manewr jedynie dalekim ogniem artylerii. Bankructwo zamierzonego Sedanu święci tu swój jaskrawy tryumf.

Jeszcze oryginalniejszy jest sposób wyjścia z Sedanu

grupy gen. Żeligowskiego, najbardziej północnej i najbardziej na los sedański narażonej. Do końca dnia 5 lipca bije się ona najlepiej ze wszystkich grup 1-ej armii i, jak zwykle to się dzieje przy porażkach, dzieli los najtęższych, bo znajduje się w najgorszym położeniu. W dodatku rozkaz o odwrocie nie dochodzi do niej wcale. Czuje ona tylko już od południa 5 lipca, że dokoła niej dzieje się coś niesamowitego. Za prawym jej, południowym skrzydłem, atakowanym na wschodnim brzegu Mniuty pod Łużkami, znika wszelki nasz opór. Oddziały 10-ej dywizji, które tu zwycięsko odpierają nieprzyjaciela, już pod wieczór mają na swych tyłach patrole i drobne oddziały nieprzyjacielskie. Na całym zaś froncie 10-ej dywizji na Mniucie i 8-ej dywizji w okolicach Pohostu odczuwa się nacisk zbliżających się większych sił 4-ej nieprzyjacielskiej armii p. Sergiejewa. Gen. Żeligowski w tej sytuacji zdecydował wykonać odwrót jeszcze nocą na 6-ty i wyjść, zbliżając się do grupy gen. Jędrzejewskiego, którą spodziewał się znaleźć w odwrocie w okolicach Duniłowicz. Marsz nocny był szybki, chociaż uciążliwy. Nieścigany i nienapierany przez nieprzyjaciela, gen. Żeligowski rano dnia 6-go ściągnął całą dywizję 10-tą w okolicy Mosarza, gdy 8-ma dywizja ciągnęła jeszcze po długim marszu od Szarkowszczyzny ku południowi *). Gen. Żeligowski zastał tutaj zupełną pustkę — ani swoich, ani nieprzyjaciela. Zaniepokojony prawdopodobnie tą pustką, po krótkim wypoczynku ruszył gen. Żeligowski do Duniłowicz, gdzie przyszedł pod wieczór, nie spotykając nigdzie nieprzyjaciela, nie mając również żadnego z jego strony nacisku skądkolwiek. 8-ma dywizja poruszała się w ten sam sposób nieco bliżej ku zachodowi, kierując się bezpośrednio na Postawy. Dwie dywizje dzień cały maszerowały w próżni — ani swoich, ani nieprzyjaciela. Gdzieniegdzie prawdopodobnie spotykano spóźnionego taborytę, popędzającego strudzone konie, z kierunkiem na zachód. Gdzieniegdzie w przydrożnych rowach leżał złamany wóz lub zdychający koń, zwykłe świadectwo minionej burzy wojennej przy spiesznych odwrotach. Ludność miejscowa prawdopodobnie twierdziła, że nasi już dawno przeszli, a nieprzyjaciela dotąd nie ma. Gen. Żeligowski w dniu tym musiał sobie setki razy zadawać pytanie, gdzież są swoi a gdzie nieprzyjaciel? Nacisku od północy, od armii p. Sergiejewa nie odczuł wcale w ciągu dwóch dni boju. Bił się dwa dni z frontem na wschód, z takim samym frontem biła się również cała armia 1-sza. Wiedział, że tam się działo coś niedobrego, że wtedy, gdy jeszcze wie-

*) Patrz szkic nr 4.

# Szkic № 3.




Podziałka 1:400000

0 5 10 15 20 25 30 35km

czorem dnia poprzedniego pod Łużkami i niedaleko od Hermanowicz toczył boje, na południu bój milkł, i że miał z tego powodu zagrożone prawe swe skrzydło. Teraz więc, idąc ku południowi, defilował przed frontem nieprzyjaciela, gdyby ten szedł tak, jak atakował — na zachód. Tym czasem z tej właśnie strony nic w przeciągu dnia całego mu nie groziło. Nic więc dziwnego, że gdy wieczorem i wśród niespokojnej nocy w Duniłowiczach namyślał się nad swą sytuacją, przyszedł do przekonania, że jest właściwie na tyłach nieprzyjaciela, który całą swą masą ruszył na południowy-wschód w kierunku Mołodeczna. Miał za sobą przecie cały dzień 6 lipca, a może i nawet dużą część poprzedniego dnia, 5-go.

Do takich oryginalnych sytuacyj doprowadziła nieudana sedańska operacja. Oddział silny, bo stanowiący trzecią część naszej armii, dla której przygotowywano Sedan, oddział, w dodatku najbardziej na skutki tego zamysłu narażony, oddział, najbardziej w ruchu opóźniony, znajduje się nagle w przeciągu dnia całego wolny, jak ptak niebieski, wolny w wyborze swych decyzyj i kierunku swych poruszeń. Jeżeli defilada gen. Jędrzejewskiego jest bankructwem wyraźnym idei sedańskiej, to gen. Żeligowski ze swymi dwiema dywizjami w dniu 6 lipca jest jaskrawym jej zaprzeczeniem, że niekiedy trudno przypuścić, by ten plan i zamiar kiedykolwiek u p. Tuchaczewskiego istniał.

Gen. Żeligowski parokrotnie mnie zapytywał potem o mój stosunek do jego decyzji cofania się dalej ku zachodowi, gdyż wahał się długo przed jej powzięciem. Sądził bowiem, że może należało wykorzystać tak niezwykłą sytuację na tyłach przeciwnika i, mając pod ręką spokojnego i dobrego żołnierza, uderzyć na te tyły, robiąc w nich zamieszanie. Jako centrum tych tyłów suponował wtedy największy punkt tej okolicy, Głębokie. Myśl ta uparcie prześladowała gen. Żeligowskiego w dniu 6 lipca. Pomimo, iż wszystkie próby wyjaśnienia kwestii, «co by było, gdyby było» są bezpłodne historycznie, prawa analizy sytuacji wojennej są inne, gdyż takie próby pogłębiają i uwypuklają znaczenie poszczególnych poruszeń wojsk i wpływ rozkazów dowódców. Dlatego też zatrzymam się nieco na tej oryginalnej sytuacji, w której się znalazł gen. Żeligowski, i na możliwej w tych warunkach decyzji wykorzystania zupełnej swobody jej wyboru, którą w dniu 6 lipca posiadał. Korzystając z prawa analityka, przeniosę zapadnięcie decyzji nie do Duniłowicz, lecz do Mosarza, gdy gen. Żeligowski stał na odpoczynku i po wyjściu z lasów nad rzeką Dzisną, po raz pierwszy odczuł próżnię, która go otaczała. Przypuszczenie

moje nie jest niemożliwym; gen. Żeligowski równie dobrze mógł się wahać w Mosarzu czy jego okolicach, jak i w Duniłowiczach. Był i tu, i tam w zupełnie analogicznej sytuacji, a marsz do Duniłowicz mógł go tylko utrwalić w przypuszczeniu, że się znalazł na tyłach nieprzyjaciela.

Dla analizy sytuacji chcę przede wszystkim oswobodzić gen. Żeligowskiego od jakiegokolwiek nacisku armii 4-ej p. Sergiejewa. W dniu bowiem 6 lipca dywizje p. Sergiejewa osiągnęły dopiero wieczorem, i to prawdopodobnie tylko strażą przednią, linię Mosarz—Szarkowszczyzna. Dzień więc 6 lipca stanowczo był wolny z tej strony dla gen. Żeligowskiego. Gdyby więc po dłuższym odpoczynku koło Mosarza, którego niechybnie wymagała jego dywizja, więc mniej więcej koło południa, gen. Żeligowski zdecydował uderzyć na jakoby tyły w kierunku Głębokiego, co by zastał? Od Mosarza do Głębokiego miał mniej więcej do 20 km. Marsz więc z ostrożnościami względnie niewielkimi trwałby jakich 5 godzin. Koło więc godziny 5-ej byłby w okolicach Głębokiego. Znalazłby tam niewielką grupę jazdy — brygadę kubańską, która sądząc z opisu p. Sergiejewa, nie odznaczała się wtedy bitnością i niechętnie wdawała się w boje. Obok tego podchodziłaby swymi strażami przednimi lub może większą kolumną, gdyż szła marszem podróżnym, 54-ta dywizja sowiecka od północy, od strony Łużek. Byłaby to akurat ta sama dywizja, która jeszcze dnia wczorajszego bezskutecznie atakowała gen. Żeligowskiego na jego prawym skrzydle koło Łużek. Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że gen. Żeligowski miałby w tym wypadku duże szanse zaskoczenia tej dywizji w marszu i pomieszania w ten sposób dużego manewru, dokonywanego w tym dniu przez 15-tą armię. Dywizja ta była prawo-skrzydłową dla armii 15-ej i zgodnie z rozkazami i zasadniczą ideą p. Tuchaczewskiego zachodziła w dniu tym, jako prawe ramię armii, długim, bo trzydziestokilometrowym marszem, zmieniając w dniu tym od Łużek kierunek z zachodniego prawie na południowy. Na szkicu p. Sergiejewa narysowana ona jest jako zajmująca 6-go wieczorem Głębokie, na prawym skrzydle całej 15-ej armii. Na podstawie notatki p. Sergiejewa na stronie 59 jego dzieła mam prawo przypuszczać, że właśnie w tym dniu 15-ta armia przyjmowała szyk nowy, który nie dopuszczał, aby w dniu 6 lipca w okolicach Głębokiego gen. Żeligowski pod wieczór znalazł co innego, oprócz 54-ej dywizji. Mówi on bowiem, że 15-ta armia po bitwie zmasowała się silnie dla dalszego manewru i dodaje: «Jeszcze od Głębokiego miała armia w pierwszej linii 54-tą, 33-cią i 11-tą dywizje. W drugiej zaś linii 4-tą i 16-tą». Gdy więc

54-ta była skrzydłową w Głębokiem, musiała 33-cia i 11-ta masować się gdzieś dalej na wschodzie w okolicach kolei Połock—Mołodeczno i nie miałaby możności w ciągu dnia 6-go do nocy w czymkolwiek 54-ej dywizji dopomóc. 16-ta zaś musiała być znacznie w tyle i także do nocy wpłynąć na sytuacje nie mogła.

Nie chcę twierdzić, że w ten sposób gen. Żeligowski zmieniłby zasadniczo sytuację na naszą korzyść, lecz niechybnie wpłynąć by to musiało na stratę co najmniej połowy następnego dnia, a może i więcej, w manewrach przeciwnika.

Gen. Żeligowski zaś mógłby zupełnie spokojnie po tym krótkim uderzeniu, przekonawszy się, że nie jest wcale na tyłach nieprzyjaciela, cofać się w kierunku jeziora Miadzioł, do którego i tak następnego dnia, tj. 7-go, bez żadnego nacisku ze strony nieprzyjaciela dochodził. U p. Sergiejewa 18-ta jego dywizja dochodzi do jeziora Madzioł dopiero 10-go lipca wieczorem. Miał więc gen. Żeligowski dla swego odwrotu dosyć czasu.

Zatrzymałem uwagę czytelnika na tym charakterystycznym epizodzie dlatego, iż uwypukla on w nadzwyczaj wydatny sposób sytuację obu stron, walczących w dn. 6-go lipca, gdy boje wszędzie ustają. Jest to ten dzień, w którym po nieudanym Sedanie nieprzyjaciel bez kontaktu z nami robił manewry dla nowego ugrupowania swoich sił. Dzień ten był — że tak powiem — nam darowany, jako czas, dla naszego manewru również.

Pierwszy więc bój 4-go, 5-go i 6-go lipca został zakończony. Stworzył on początek nowych niepowodzeń na froncie północnym, które się zakończyły dopiero w półtora miesiąca potem naszym zwycięstwem aż pod Warszawą. A skutki jego ciężyły nad wojskami strony naszej tak długo i tak silnie, żeśmy od wpływu tego boju oswobodzić się mogli tylko nadzwyczajnym wysiłkiem. Dziwnym musi się to wydać, gdyż — jak to wykazałem — nie był ten bój właściwie rozstrzygającym zwycięstwem nieprzyjaciela. Przeciwnie, zamiar jego okrążenia naszej 1-ej armii i możliwie doszczętnego jej zniszczenia nie powiódł mu się wcale, gdyż oba skrzydła (4-ta i 3-cia armie) zostały względnie łatwo zatrzymane w biegu. A jednak fakt pozostaje faktem, po tym półzwycięstwie wojska nasze prawie bez próby boju cofają się ustawicznie i to coraz szybciej, tak, że w miesiąc znalazły się u wrót stolicy, leżącej o prawie 600 kilometrów w tyle. Sam opis boju oraz dotychczasowa moja tej bitwy analiza nie daje dostatecznego wyjaśnienia tego zjawiska. Zbyt mało ważną wydaje się przyczyna wobec ogromu jej skutków i umysł bezwiednie zmuszony jest szukać głębiej i dalej. Szukajmy naprzód u przeciwnika.

P. Tuchaczewski nad bitwą tą zastanawiał się mało. Traktuje ją jako jeden z epizodów i, jak już wskazałem, nie wspomina wcale o swoim zasadniczym planie, który znalazłem wyświetlony u p. Sergiejewa. Wydaje się być zupełnie zadowolonym ze siebie i swoich wojsk i stwierdza spokojnie, wbrew faktom, że wszystkie zadania jego armii zostały spełnione w nakazanych terminach. P. Sergiejew temu zupełnie przeczy. O działaniach swej 4-ej armii nie pisze tak chwalebnie, a w końcu swojej książki pomieszcza w aneksie swój rozkaz z 7-go lipca, w którym daje swym podwładnym ostrą naganę. Charakterystycznymi są niektóre jej ustępy: «Dowództwo brygady 164-ej wykazało brak inicjatywy i zdecydowania. Cały dzień 5-go drepcze ona na tym samym miejscu pod pozorem nieotrzymania rozkazów i tym zatrzymuje ruch dywizji 53-ej. Ta ostatnia wyszła z okolic Szarkowszczyzny ze spóźnieniem o całą dobę i także dreptała 5-go lipca w jednym i tym samym miejscu, mając w odwodzie całych pięć pułków. Po zajęciu Szarkowszczyzny 53-cia dywizja niewiadomo po co ruszyła w kierunku Stukany, tzn. na tyły 12-ej dywizji». A nieco dalej dodaje p. Sergiejew ostro: «Żądam, aby przerwano stały strach z powodu skrzydeł i przestano brać w rachubę («uczytywat'») moralny stan przeciwnika. Nie dopuszczam nadal, aby poszczególne kompanie rozbitego przeciwnika, które nie zdążyły jeszcze uciec, były brane za świeże pułki, które groźbą uderzenia zatrzymują ruch całych naszych dywizyj». Tak mówi prawdomówny p. Sergiejew o dn. 5-go lipca, gdy nasza 8-ma dywizja, jakoby «rozpylona», «rozgromiona» i «zmiażdżona», zniweczyła wszystkie sedańskie zamiary od północy.

Co do drugiego, południowego skrzydła, 3-cia armia według p. Tuchaczewskiego zajęła, jak jej kazano, 5-go lipca Dokszyce, a 6-go Parafianowo. Tym czasem w istocie opór 1-ej litewsko-białoruskiej dywizji zatrzymał 3-cią armię o tyle, że jak p. Sergiejew na str. 52 stwierdza, «rejon Parafianowo został osiągnięty przez nią dopiero 8-go lipca, tzn. wtedy, gdy mogły tam być z naszej strony jedynie ostatnie patrole straży tylnych».

Dla p. Tuchaczewskiego fakty te nie istnieją, jest on pewien, że rozgromił i zmiażdżył przeciwnika, co mu prawdopodobnie zastępuje nieudany Sedan. Jak dalece nie orientuje się p. Tuchaczewski, co uczynił on i jego wojska, można przypuszczać z jego rozkazu, danego ze Smoleńska 7-go lipca o godzinie 9-ej minut 40 rano. Dane o swym przeciwniku streszcza on krótko w pierwszych słowach tego rozkazu: «Główne siły rozgromionego przeciwnika odeszły w popłochu («odchły-

# Szkic № 4.




Podziałka 1:400 000

0 5 10 15 20 25 30 35km

nuli») w kierunku Postaw» (aneks. nr 10, str. 122, Sergiejew l. c.). Tym czasem wiemy, że, niestety, na ten naturalny kierunek główne siły 1-ej armii nie odeszły wcale, gdyż zostały 5-go po południu ściągnięte rozkazem gen. Szeptyckiego w całkiem innym kierunku, w kierunku Parafianowa i Mołodeczna. Na postawski zaś, że się wyrażę stylem mego przeciwnika, kierunek wyszły tylko, i to przypadkowo, dwie dywizje — 10-ta i 8-ma, których dowódca, gen. Żeligowski, zupełnie swobodny od jakiegokolwiek nacisku nieprzyjaciela, zamierzał przez pewien czas przejść do ofensywy przeciwko jego wojsku.

Na podstawie tych błędnych danych o nas, p. Tuchaczewski nakazuje najsłabszej swojej armii, wzmocnionej zresztą kawalerią, pościg za rozgromionym i doszczętnie rozbitym przeciwnikiem w kierunku na Postawy i Wilno. Natomiast zbiera główne swe siły, armie 15-tą i 3-cią, w silnie zaciśnięty kułak, z którym, oddalając się ku południowi od ścigającej armii 4-ej, rusza na dokończenie zwycięstwa, by «zmiażdżyć» i «rozgromić» resztę sił naszych na tym froncie, naszą 4-tą armię, stojącą na Berezynie. Ma ona teraz być atakowana z frontu przez armię 16-tą i większą część grupy mozyrskiej, nacierającej na Bobrujsk i mającej kierunek na Słuck; na jej lewe skrzydło już 6-go lipca skierowana jest 3-cia armia. Najbardziej zaś uposażona i najsilniejsza 15-ta armia idzie w kierunku Mołodeczna, jako główny odwód, jakby stara gwardia Napoleona, by złamać ostatni opór, gdyby taki był jeszcze stawiany.

Gdy myślę o tych wszystkich działaniach i pracach naszego przeciwnika w przeciągu tych pierwszych dni operacyj, prowadzących ku Warszawie, nie mogę znaleźć w nich nic takiego, coby usprawiedliwiało wielkie znaczenie tego boju i brak poważnego oporu aż do Warszawy. Gdy myślę o tych bojach, gdy je analizuję, nie mogę nie widzieć jakiejś dziwnej obawy i braku silnej decyzji w wojskach sowieckich. Pomimo olbrzymiej przewagi, jaką mają specjalnie na skrzydłach, dywizje nieprzyjacielskie istotnie zbyt często «drepczą na miejscu», nie wyzyskując ani swej przewagi, ani niezaprzeczonych taktycznych zwycięstw. Nie sądzę, bym się omylił, przypuszczając, że owa obawa («robost'»), którą p. Tuchaczewski przypisywał jedynie 16-ej swej armii, a p. Sergiejew, jak widzieliśmy, rozszerzał ją po majowej przegranej i na inne dywizje, specjalnie w skrzydłowej 3-ej i 4-ej armii — że obawa ta przed wartością przeciwnika działać jeszcze musiała silnie podczas bojów na początku lipca. Zobaczymy, jak wkrótce nauczą się sowieccy żołnierze negliżować nas, jak niezdatny

do boju tłum; lecz jeszcze w pierwszych dniach lipca obawa ta istnieje. Nawet wybrana 15-ta armia, złożona z dywizyj najlepszych, które dotąd z nami szpady nie krzyżowały, po niechybnych sukcesach w dn. 4-go i początku 5-go lipca staje w bezczynności, gdy nasze wojska się cofają. Czyżby wietrzyła ona jakąś zasadzkę, jak gdyby oczekując niespodziewanego, a zwykłego dotąd u nas, Polaków, manewru? Czuć jeszcze we wszystkim naszą dotychczasową przewagę moralną nad przeciwnikiem. Na drodze drepczącym na miejscu dywizjom stoją jeszcze dotąd fantomy poprzednich porażek i niepowodzeń, tak, że wojska zdają się nie wierzyć przesadnym, zaczerpniętym z publicystyki agitacyjnej, określeniom swych dowódców. U przeciwnika więc nie znajdziemy wytłumaczenia głębokiego strategicznego znaczenia taktycznej przegranej, którąśmy ponieśli w dn. 4-go i 5-go lipca. Poszukajmy więc tego u siebie.

Już poprzednio mówiłem, że dowódcy z naszej strony bojem 4-go i 5-go lipca postawili jako cel swym podwładnym utrzymanie swego stanu posiadania, a gdzie ten został przez nieprzyjaciela naruszony, «osiągnięcie poprzedniej sytuacji». Ostatnie słowa postawiłem w cudzysłowie, gdyż powtarzają się one tak często w depeszach, raportach i rozkazach, że stanowią jakoby myślowy refren w muzyce bojowej z tych dni. Słowa charakterystyczne! Wydaje się, że ten marny skrawek ziemi jest jakimś utraconym skarbem, dla którego wytężyć trzeba wszystkie wysiłki. Czyżby tak istotnie było w pojęciach dowodzących? Gdy odczytuję raz po raz oceny wartości wojennej tego skrawka terenu, znajduję akurat sąd odwrotny. Każdy z dowodzących w swoich relacjach skarży się na różne jego braki. Więc jeden twierdzi, że z powodu błot na linii frontu były trudności komunikacji wzdłuż niego, gdy — odwrotnie— dla nieprzyjaciela z powodu suszy błota te nie stanowiły dostatecznej przeszkody. Inny stwierdza, że z powodu wielkiej ilości krzaków przed frontem pole obstrzału było bardzo małe i nieprzyjaciel miał wielką łatwość podejścia. Nawet nieszczęśliwa Auta, której mianem chrzczą główni dowódcy samą bitwę, doczekała się zjadliwej oceny w relacji jednego z nich. Gen. Jędrzejewski, dowodzący grupą w centrum, pisze: «O ile mogła na oko (z mapy) rzeczka Auta budzić zaufanie, jako przeszkoda, to w rzeczywistości wątły ten strumyk nie przedstawiał żadnej wartości obronnej». Jedynie może gen. Ledóchowski, dowodzący 11-tą dywizją, nie mówi ujemnie o tym skarbie utraconym. Stwierdza on bowiem w relacji krótko, że pozycja była dobra i zdatna do utrzymania. Wszyscy zaś

w jeden głos, niewyłączając i wyższych dowódców, jak gen. Zygadłowicza, dowodzącego 1-szą armią, i gen. Szeptyckiego, dowodzącego frontem, stwierdzają, że pozycja, na której przyjęto bitwę, była zbyt rozciągła dla naszych sił oraz za mało uposażona przy tej rozciągłości w artylerię. Powstaje więc naturalne pytanie, po co właściwie jako cel prawie dwudniowych bojów stawiano «osiągnięcie poprzedniej sytuacji?» Jeżeli ta pozycja nie była tak dobrą, to względnie łatwo znaleźćby można było inną, chociażby nienajlepszą, lecz mającą te same lub inne nieco wady, na której równie dobrze, a może i lepiej, bić się można było. Po co tak się upierać przy pozycji niedogodnej, a uporczywie przez nieprzyjaciela w przewadze atakowanej?

Gdy się mówi o pozycji, o którą bitwy się toczą, prowadzi to każdego, znającego historię wojen, do tzw. wojny pozycyjnej. Pozycją nazywamy taki czy inny szmat gruntu, który ze względu na swą budowę daje możliwie dużo przewagi obrońcom nad atakującym. Przez pewien więc czas w historii wojen sztuka wojenna wysilała się na wyszukanie w terenie takich pozycyj, na których wojsko bezpieczniej boje przyjąćby mogło. Lecz doświadczenia wojenne zaprzeczyły podobnej podstawie myślowej, gdyż nieprzyjaciel zwykle takie pozycje obchodził, nie kusząc się o ich zdobywanie. A zresztą, gdy okop wzmacniać począł prawie każdy jaki chcąc skrawek ziemi, pozycje w ogóle straciły dużo na wartości. Nie dla pustego więc słowa «pozycje» stawiali nasi dowódcy jako cel naszym wojskom osiągnięcie straconych, a złych, według nich, pozycyj. Szło tu o co innego, i gdyby w rozkazie zamiast abstrakcyjnego określenia «osiągnąć poprzednią sytuację», użyto bardziej materialnego określenia «odebrać straconą linię okopów», bylibyśmy w domu, gdyż właściwie o to jedynie toczono bój. Nie pozycja, uznana zresztą za marną, a łatwa do odnalezienia w innym miejscu, grała tu rolę, lecz długa linia w ten czy inny sposób wybudowanych umocnień, przeprowadzonych okopów. Tylko wtedy zresztą, gdy tak pojmiemy cel bitwy, nabiera ona strategicznego znaczenia, zamiast być szeregiem nieskoordynowanych niczym walk bez większego celu.

Umyślnie podkreślam tę różnicę, jaka istnieć musi, zdaniem moim, pomiędzy pozycją a okopem, pomiędzy wojną pozycyjną a okopową. Gdy wojna pozycyjna, tak, jak ją określiłem wyżej, należy już dość dawno do przeszłości, wojna okopowa, trwając długich kilka lat na wielkich przestrzeniach podczas wojny europejskiej, nie tylko stała się powszechnie znaną, gdyż brało w niej udział dziesiątki milionów ludzi, lecz

swymi wymogami zdążyła urobić głowy i dusze ludzkie i stworzyć nawet specjalny język wojskowy. W początkach wojny europejskiej w 1914 r. okop należał wyłącznie do taktyki, do metody, jaką boje prowadzono. Obok karabinu, każdy żołnierz niósł w boje łopatkę, jako część nieodłączną swego uzbrojenia. I czy się miał bronić przeciwko nieprzyjacielowi, czy miał iść na niego w natarciu, musiał swej łopatki używać jako środka walki. Więc w gwałtownych ruchach i manewrach, którymi otwarto czteroletnią olbrzymią wojnę, okop używany był wszędzie, czy w natarciu, czy w obronie, lecz nigdzie jako cel wielkich bojów nie był wyznaczony i do dziedziny strategii, wyznaczającej te cele, nigdy się nie wdzierał. Niekiedy dzięki swej sile, sile obronnej, nabierał on znaczenia pozycji, którą to nazwą chrzczono ongiś specjalne skrawki terenu, od natury mające wartość obronną; lecz i wtedy był on tylko epizodem olbrzymich zapasów milionowych armij, które aż do końca r. 1914 wyrzec się nie chciały głównego czynnika zwycięstwa — ruchu.

Dopiero w następnym roku na polach Francji i Belgii obaj przeciwnicy stanęli w bezruchu i bezwładni, zatrzymani naprzeciw siebie długą, nieprzerwaną linią okopów. Okop wtedy, jako nieprzezwyciężona zagroda, niszcząc główny czynnik dotychczasowy — manewr i ruch, wdarł się zwycięsko z dziedziny taktyki do strategii.

Jako dumny zwycięzca zaczął tyć, zaczął opływać w rozkosze i żądać od prowadzących wojnę, jak moloch, coraz to nowych ofiar. Wyrastały więc linie okopów jedna za drugą, tworzyły się całe labirynty, tak, że człowiek świeży, gdy w nie trafiał, był jak w nowym nieznanym mieście, gdzie bez planu, drogowskazów, nazw ulic i ciągłych rozpytywań zabłądzić trzeba. Okop zażądał ofiary z codziennego życia ludzkiego. Żołnierze uczynili z nich swe mieszkania, a ogromne wysiłki ludzkie próbowały z tego niezwykłego miejsca uczynić mieszkanie dogodne, zdatne do pracy i odpoczynku. Dla żądań nowego fetysza wojny w jego rydwan zwycięski wprzągnięto wszystko, co kraj wojujący miał do swego rozporządzenia. Więc inżynier, nie marny piechur, stosował tam swą wiedzę techniczną, a liczne fabryki dostarczały ogromnej ilości materiału budowlanego, które okop w siebie wchłaniał. Jak w wielkim mieście, biegły we wszystkich kierunkach druty, łączące sztaby i dowódców, składy i magazyny, szpitale i stajnie. Okop tył, wzmacniał z każdym miesiącem swą potęgę i coraz dokładniej, coraz gruntowniej burzył i niweczył siłę dotychczasowego zwycięzcy wojennego ruchu i manewru.

W tej kilkuletniej wojnie o okopy wyrobiła się specjalna psychologia u żołnierzy i u dowódców. Psychologia, związana po pierwsze z budownictwem wojskowym o specjalnym charakterze, budownictwem, zużywającym masy materiału budowlanego, a następnie ze zmechanizowaniem ogromnej części działań bojowych, jak to jest zawsze przy skupieniu wielkich ilości ludzi w ciasnym współżyciu i współdziałaniu dla jednego celu. Walczono wtedy z największym wysiłkiem o cząsteczki labiryntu okopowego, zwycięstwem zwano przejście pół kilometra tej nowej, nieznanej dotąd przeszkody. Okupywano te zwycięstwa wielkimi stratami ludzi i jeszcze większą stratą drogocennego materiału wojennego. I wtedy, w takiej właśnie wojnie okopowej, która ruch i manewr tak dalece ograniczyła, strategia wyznaczać poczęła dla boju skromniejsze, niż dawniej, cele, i wtedy «osiągnięcie poprzedniej sytuacji» oznaczało odebranie zdobytych przez nieprzyjaciela okopów, jako straconego skarbu.

Wojna w dawnym tego słowa znaczeniu zdawała się znikać i długo wszystkie próby i wysiłki najświetniejszych umysłów, by do strategii z triumfem dawnego zwycięzcę wprowadzić z powrotem, zdawały się być bezpłodnymi. Wielki wódz świata wojny, który olbrzymim swym geniuszem przełamał ongiś strategię linii i niezdobytych pozycyj, wielki Napoleon, musiał nieraz w grobie się przewracać, myśląc o zaniku jego nauk i zgubie w bezpamięci jego świetnych czynów. Gdy on dumnie mówił, że wiele wojen wygrał nogami żołnierza, ich ruchem i błyskawicznym manewrem, tu wojna najwidoczniej się wyradzała, degenerując się w bezpłodne usiłowania wszelkiego rzemiosła i industrii, wysilających swe ręce dla podaży olbrzymiego materiału, potrzebnego dla prowadzenia tego rodzaju zapasów. Złamania woli przeciwnika oczekiwano od zmęczenia przez ustawiczny mord ludzi i przez wypompowanie sił przemysłu i rękodzieła.

Główną więc zasadą wojny okopowej jest postawienie tak silnej przeszkody ruchowi nieprzyjaciela, że tylko za pomocą olbrzymiej zatraty sił i żyć ludzkich oraz materiału wojennego ruch jest dozwolony, każda więc próba tego ruchu karaną być musi takimi właśnie stratami i bój przybiera charakter przekonania przeciwnika, który ośmielił się atakować, że wszelkie jego próby są daremne. W ten sposób dopiero okop z całą jego komplikacją techniczną i ze zmianą, wywołaną przezeń w duszach żołnierzy i ich dowódców, staje się częścią strategii wojennej, opuściwszy niziny taktyczne.

Gdy z tego punktu widzenia wojny okopowej staram się

zanalizować naszą wojnę polsko-sowiecką, znajduję zawsze, zarówno w swoich wspomnieniach, jak i w dokumentach, wewnętrzne tarcie w naszym wojsku w tej właśnie sprawie. Wtedy, gdy ja, jako naczelny wódz, wyrzekłem się od razu próby prowadzenia wojny okopowej, nie widząc możności nawet zastosowania jej metod pracy u nas, spotykałem zawsze, zarówno u swych podwładnych, jak i w społeczeństwie, hołdowanie zasadzie «faites une ligne forte». Będąc pod silnym wrażeniem świeżo minionej wojny w Europie, ludzie w moich próbach wprowadzenia w naszej wojnie metod ruchu i manewru zbyt często, niestety, chcieli widzieć niedorozwój myśli strategicznej, uciekającej od całej krasy i potęgi niedawnego pana strategii — tłustego i opasłego okopu. Okop zaś u nas właśnie mógł być bardzo chudym i bardzo mizernym. Nie mógł być żywiony, by nabrać potrzebnej strategicznej tuszy ani przez przemysł, którego nie było, ani przez wysiłek ludzki dla dostatecznego zaludnienia okopu i utrzymania go w należytej tuszy i znaczeniu. Do r. 1920 wpływ mój przeważał o tyle, że okop wracał do należnej mu dziedziny, dziedziny taktyki i metody boju, a stałe zwycięstwa, któreśmy odnosili, zdawały się potwierdzać słuszność mego zapatrywania. Okop jednak niechętnie ustępował ze swego tronu. Mścił się, szukał rewanżu, pozostawiając na swoim miejscu nieodłączną swą siostrzycę — linię, kłócącą się w stałej sprzeczności z wprowadzonym przeze mnie ruchem i manewrem. Mścił się — zostawiał naokoło mnie i specjalnie za plecami wzruszanie ramion, niezadowolone szepty i ciche, bolesne skargi na przestarzałe dziecinno-romantyczne pomysły strategiczne naczelnego wodza. «Faites une ligne forte!» To jest wojna współczesna, to jest zbawienie Polski! Ileż wstydliwych zakątków historii mógłbym wyświetlić, związanych z tą kontrowersją!

Wracając do analizy lipcowych bojów, zaznaczam, że cel, stawiany bojowi 4-go i 5-go lipca przez naszych dowódców, zaczerpnięty był nie skądinąd, jak z psychologii i strategii okopowej. Szukał on, zgodnie z tą strategią, dowiedzenia przeciwnikowi, który nas atakował, że okop, wybudowany przez nas, jest nie do przebycia i że, gdy stąpił na nim nogą, ukaranym być musi za to świętokradztwo. Gdy zaś przeglądam dokumenty, rozkazy, raporty i relacje, znajduję w nich jasne dla mnie dowody, że okres, poprzedzający bitwę, był okresem rewanżu pana strategii — okopu, w stosunku do naczelnego wodza.

Oto jeden z takich dokumentów, pełnych określeń i pojęć, zrozumiałych jedynie przy prowadzeniu wojny okopowej

w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Mówię o planie obrony odcinka 1-ej armii. Gen. Zygadłowicz otrzymał rozkaz od dowódcy frontu, głoszący, że «obecnie zajęta linia 1-ej armii stanowi zasadniczą linię obronną, umocnienie której należy wszelkimi środkami przyspieszyć». Plan obrony, nakazany przez generała Zygadłowicza, polegał na następującym:

«Każda grupa operacyjna w swoim odcinku miała przeprowadzić umocnienie linii obronnej i odcinek swój we współudziale z artylerią i przy pomocy własnych rezerw, przygotowanych przeciw wszelkim atakom nieprzyjacielskim, utrzymać. Automatyczne współdziałanie artylerii i rezerw z obsadą pierwszej linii obronnej według zasad znanych i rozkazem 2226/III z dn. 1-go lipca do ogólnej wiadomości przypomnianych». Dalej czytamy: «W razie przerwania frontu miała wkroczyć odnośna, dla odcinka z góry przeznaczona, rezerwa, zasadniczo», jednak na rozkaz dowództwa armii. Na dobitkę zaś w końcu planu dodaje: «Rezerwy operacyjne stały tak blisko, że mogły w przeciągu 5—6 godzin na każdym punkcie przynależnego im frontu do boju wkroczyć».

Gdy czytam teraz nieznany mi w owe czasy dokument o «zasadniczej linii obronnej i automatycznym działaniu piechoty z artylerią», z podziwem myślę, czyżby to było istotnie? Czyżby nie było jakichś wahań i jakiejś samokrytyki w stosunku do takich rozkazów? Owszem, były. Oto inny dokument tegoż gen. Zygadłowicza, oceniający jego sytuację 3-go lipca przed samym bojem. Pisze on tak, jak profesor. «Jak z doświadczeń wojny światowej wynika, obsada powyższa linii bojowej przez piechotę była w ogólności dosyć gęsta, o ile linia bojowa tak linearnie, jak i w głąb, jest wybudowana i posiada odpowiednie przeszkody druciane». Jednak generał nadmienia, że «szerokość odcinka dywizyjnego w wojnie światowej na frontach, atakiem zagrożonych, nie przekracza 3.000—4.000 metrów», wtedy, gdy u nas «szerokość odcinków dywizyjnych 1-ej armii ponad kilkanaście kilometrów uniemożliwiała pożądane liczne wydzielenie rezerw i dostateczne ich ugrupowanie w głąb».

Gorzej jest z artylerią, albowiem «do podparcia frontu zagrożonego należy według doświadczeń wojny światowej na 150 metrów frontu najmniej liczyć 2 lekkie i 1 średnie działo». Według rachunku generała dla jego armii wypada, jako minimalne zapotrzebowanie, 880 dział polowych lekkich i 440 dział 15-centymetrowych. «Tymczasem — skarży się boleśnie generał — stało na froncie bojowym około 100 dział lekkich

i około 45 dział średnich». A dalej, po wzmiankowanym wyżej rozkazie o automatycznym współdziałaniu artylerii z piechotą, generał przy ocenie, po przedstawieniu cyfrowych danych, dodaje: «Chociaż sytuacja nasza materialna nie pozwalała wymogom powyższym zadośćuczynić, to jednak dane te ilustrują, jak słabo zaopatrzony artylerią był front i że na skuteczne poparcie piechoty przez ogień artyleryjski w krytycznych chwilach, tak w formie automatycznego ognia zaporowego, jak skoncentrowanego ognia odpierającego, można było liczyć jedynie w razie lokalnych, tylko części frontu obejmujących ataków».

Najgorzej jednak jest z ukochanym dzieckiem okopów, nieodłącznym jego opiekunem, drutem kolczastym. Tak więc generał skarży się na «opłakane stosunki przewozowe». Z trudem dano 5 wagonów drutu kolczastego dla 1-ej dywizji litewsko-białoruskiej z Mołodeczna do Parafianowa, a 13 zaledwie wagonów przepchano do stacji Podświlie, a przecież — płacze generał — ilość tego drutu nie wystarczała, aby jeden rząd przeszkody wzdłuż frontu wykonać! I w biednej, skłopotanej głowie generała powstawały pewnie złote sny, gdy ku frontowi zagrożonych odcinków, w których stał ongiś, biegły specjalnie w tym celu wybudowane koleje i kolejki, wiozące ofiary jego panu — okopowi, setki wagonów drutu, setki wagonów, napełnionych klocami, setki z materiałem budulcowym drzewnym i żelaznym i gdy na ogromnej przestrzeni, pokrytej drutami telefonicznymi, kłócono się zawzięcie o dostarczenie czym prędzej rolek papy dla pokrycia dachów nad mieszkaniami żołnierzy. Wobec tego wszystkiego generał sądzi, że w lipcu 1920 r. armia znalazła się «przed zadaniem, którego przezwyciężenie wymagało nadludzkich sił», a «elementarnej fali» nie można było postawić zapory.

Nie przeszkadza to jednak wydawaniu rozkazów i ich wykonaniu, sprzecznym najzupełniej z tak słusznie ocenianą sytuacją. Więcej, czytam oto rozkaz gen. Rządkowskiego, dowodzącego grupą. Rozkaz z dn. 30-go czerwca. Punkt pierwszy głosi: «W załączeniu przesyła się: a) szkic systemu linii obronnej na obszarze 1-ej i 4-ej armii, nakazanej przez dowództwo frontu gen. Szeptyckiego; b) szkic systemu linii obronnej na obszarze 1-ej armii, rozwinięty z poprzedniego przez dowództwo tejże armii. Nadmienia się, że projektowana przez dowództwo 11-ej dywizji «pierwsza linia drugiej pozycji» zgadza się z pierwszą linią dowództwa frontu i 1-ej armii i za taką ma być uważaną». Mają tam być «place, względnie węzły obronne, tzn. większe lub mniejsze

kompleksy punktów oporu w taktycznie najważniejszych punktach oraz poszczególne punkty oporu między tymi węzłami na taktycznie mniej ważnych punktach. Odległość węzłów, uwzględniając konieczność taktyczną, powinna być tak obliczoną, ażeby pomiędzy dwoma sąsiednimi węzłami był związek ogniowy, a rezerwy, rozlokowane z tyłu, mogły na czas zdążyć (zapewnie automatycznie — uwaga moja) w przerwy między węzłami i paraliżować wtargnięcie nieprzyjaciela. Odległość punktów oporu taka, by mogły się wzajemnie popierać ogniem karabinów (flankowym). W myśl powyższego odpowiednio do lokalnych warunków należy uzupełnić liczbę punktów oporu». Szkic, przysłany do wykonania, który teraz po raz pierwszy widzę, przedstawia głębokość tego ufortyfikowanego obszaru na mniej więcej 50 kilometrów!! Mnóstwo mniejszych i większych gwiazd i gwiazdeczek, mających reprezentować «place i węzły obronne», upiększa plan gen. Szeptyckiego, a wszystkie połączone są nieprzerwanym okopem. I to ma być wykonane! Tym mają sobie zaprzątać umysły i dowódcy, i żołnierze, gdy — jak widzieliśmy — obsada linii przez piechotę jest niedostateczną, przez artylerię zupełnie niewystarczającą, a konieczny materiał dla umocnień — druty, jak widzieliśmy, nie wystarcza dla przeprowadzenia jednego rzędu drutów na pierwszej linii. Ten projekt jednak istniał historycznie i, zdaje się, tylko dzięki niewykonaniu tego projektu dowódca frontu uznał siebie za pobitego i nie zatrzymał dalej «elementarnej fali» innymi metodami.

Nie będę cytował wielu innych dokumentów, świadczących o rozpanoszeniu się systemu wojny okopowej w owym czasie na północnym naszym froncie. Zatrzymam się na jednym z nich, który tyczy się działania artylerii, według rozkazu — zautomatyzowanej dla współdziałania z piechotą. Leży przede mną szkic dla takiej pracy III dywizjonu 1-go pułku artylerii polowej litewsko-białoruskiej dywizii. Ileż wspomnień obudził we mnie ten szkic! Jest to r. 1916 w całej swej krasie! Ileż takich szkiców przeglądać musiał w owe czasy każdy z dowódców, ilu oficerów było zajętych w sztabach dowództw wykończeniem, skontrolowaniem i poprawieniem takich właśnie szkiców! Na leżącym przede mną szkicu jest prawie wszystko, co raj okopowej wojny żąda mieć. Cyfry, litery, różne kolory ołówków, długie strzałki, oznaczające kierunek ognia, i wreszcie tak charakterystyczny plan zmechanizowanego ognia zaporowego z notatką o z góry określonym wydatku amunicji. Wymienione jest wszystko: i minuty, w ciągu których ogień ma trwać, i szybkość tego ognia. Nadmienię,

że oszczędność amunicji jest bardzo widoczna, albowiem bateria 7-ma ma tylko przez dwie minuty strzelać po 3 strzały na działo i na minutę, a zatem w sumie dla ognia, mającego zatrzymać dywizję nieprzyjacielską, bateria 7-ma ma oddać aż 24 strzały!! Ależ koń by się śmiał z takiej zapory!! A gdy dodam, że tych nieszczęsnych 12 dział dywizjonu ma pokryć ogniem zaporowym 9 km przedpola frontowego, gdzie według «doświadczeń wojny światowej» minimalnie stać by musiało 120 dział lekkich z odpowiednio ilością średnich dział, z których ani jednego na odcinku nie było, a o ciężkich nawet mowy być nie mogło, to chyba czytelnik wybaczy moje żołnierskie zaklęcie! Gdy pomyślę o żołnierzu, co pod huraganem żelaziwa, miotanego nań z setek i setek paszcz działowych, szedł w obawie przedśmiertnej na okop nieprzyjacielski w istotnej wojnie okopowej i gdy przypomnę szare, ziemiste twarze swych żołnierzy po jednodniowym, nie dwuminutowym trwaniu w okopach w piekle istotnego ognia, nie mogę bez goryczy myśleć o tych kpinach z żołnierza i z oficera, mającego czas marnować na głupie naśladownictwo marnej żabki, wyciągającej łapkę do podkucia jej olbrzymią podkową. Okopie, okopie, wielki fetyszu, coś największe umysły i najtęższe charaktery zwyciężał, strzeż się swych małych przyjaciół, bo ci, według przysłowia, zgubią cię i ośmieszą!!

Dlatego też ze wszystkich dokumentów, w których się rozejrzałem, najbardziej mi się podobała relacja gen. Jędrzejewskiego, który, skarżąc się na «wątły strumyk» — Autę, na słabość ufortyfikowania pozycji i na brak drutów, stwierdza, że «zawczasu należało opracować dokładny plan odwrotu, nie narażając oddziałów na niepotrzebne straty, dając możność zmierzenia się z siłami nieprzyjacielskimi na d o g o d n y c h d l a n a s p o z y c j a c h, a nie zmuszać nasze oddziały bić się na pierwszej linii, niepotrzebnie niszcząc materiał ludzki bez nadziei powodzenia». A raj okopów przecie istniał! Gdzieś w tyle świeciła «niemiecka linia obronna z czasów wojny światowej; linia ta, stanowiąca doskonałą pozycję o niezliczonych odrutowaniach», z których we dnie nawet trudno było się wydobyć. No, czyż nie raj! Nawet przy jasnym słoneczku zabłądzić w drutach można!

Ta dziwna, niezrozumiała dla mnie tęsknota do wojny okopowej u naszych dowódców mieć musiała inne groźne następstwa. Okop, wdzierając się zwycięsko do strategii, stać się musiał własnością, że się tak wyrażę, tych dowódców, których przywilejem służbowym była praca strategiczna, praca wyższego dowodzenia. A taktyka teatru wojny, jak niektórzy

nazywają strategię, zazdrośnie swych przywilejów strzeże, ograniczając w swobodnym użyciu obiektów swojej uwagi taktykę niższą, taktykę placu boju. Stąd zawsze oczekiwać można, że użycie okopu, określenie jego siły, kierunku, ilość pracy, nań wydanej, więcej zależeć będzie od wyższych dowódców, niż od niższych i żołnierza. Im bardziej więc łopata staje się bronią strategiczną, tym mniej bez rozkazu użyje jej żołnierz i młodszy oficer. W naszych więc warunkach, gdzie niepodobna było myśleć o rozwoju okopowej wojny, jako taktyce teatru wojny, wszelkie próby w tym kierunku czynić musiały naszego żołnierza i oficera słabszym i gorzej uzbrojonym, gdy wyższy dowódca brał na siebie rozporządzanie się jego łopatką.

Dla psychologii okopowej dowódców nadzwyczajnie charakterystycznym jest fakt z 17-tą naszą dywizją, która, jak wiemy, stała w odwodzie i, będąc zachowaną do rozporządzenia dowódcy frontu, nie wchodziła do automatycznego współdziałania ani z artylerią, ani z piechotą. Od pierwszej chwili boju, gdy do Wilejki, a zatem i do Mińska, miejsca pobytu dowódcy frontu, przyszły wiadomości o cofaniu się 11-ej naszej dywizji, zaczęto pertraktacje pomiędzy dwoma wyższymi dowództwami o użycie do boju tej dywizji.

Pertraktacje trwały przez pewien czas, gdyż zwykle są różnice zdań, które trzeba wyrównać, lecz szło nie o zasadę samą ani o czas, lecz o metodę i sposób użycia siły 17-ej dywizji. Tym czasem sytuacja bojowa zmieniała się, powoli dochodziła do świadomości dowódców. Gen. Jędrzejewski znalazł się w sytuacji znacznie cięższej, niż 11-ta dywizja nasza, która utrzymała się po pierwszym cofnięciu. Musiały być więc nowe narady i znowu o metodę pracy odwodu. Wreszcie dowódca frontu oddaje dywizję, lecz z t y m, że użyta będzie w całości, zbierze się w Mazniewie i Kolanie i atakować będzie ku północy. Naturalnie, obraz ten, który został uwieczniony w rozmowach pomiędzy Mińskiem a Wilejką za pomocą aparatu Hughes'a, nawet przez przeciętną sztukę wojenną jest dawno osądzony. Nie można zwykle dowodzić szczegółami boju, będąc o kilkaset kilometrów oddalonym od placu, gdzie szpady wojenne się krzyżują. Lecz jest to zupełnie dozwolone i naturalne przy wojnie okopowej. Tam daleko sięgająca rozbudowa sieci telefonów i komunikacji, rozbudowa, w którą włożono masę materiału i wysiłków ludzkich, daje warunki, przy których istnieje ciągła styczność dowódcy z najdrobniejszymi szczegółami boju. Tam często takie dyrygowanie jest nawet koniecznym, gdyż zawsze istnieje obawa, że zmechanizowana i z konieczności automatycznie działająca część funkcji

bojowej wojsk może ucierpieć i być nieraz powodem niepowodzeń, nie dających się naprawić. Lecz tutaj, gdzie dowodzący z trudem przepychają kilka wagonów drutu kolczastego, tutaj, gdzie wiadomości z pola bitwy dochodzą tylko w ogólnikowej, często zagadkowej, a trudno sprawdzalnej formie, dowodzenie batalionami o kilkaset kilometrów jest nadużywaniem taktyki teatru wojny kosztem taktyki placu boju bardzo jaskrawym. Dywizja 17-ta, jak stwierdza gen. Jędrzejewski, przyszła do pracy dopiero po południu z opóźnieniem, jak pisze ten generał, o 5—8 godzin. Lecz za to miejsce koncentracji 17-ej dywizji, Mazniewo—Kolano, daje akurat frontu 4 km, co zgodnie z «doświadczeniem wojny światowej» stanowi należyty odcinek dywizji na «zagrożonym» froncie!

Jeżeli zatrzymałem się tak długo na rozważaniach, związanych z wojną okopową i jej systemem, to dlatego, iż jest to jedyna bodaj próba nasza w ubiegłej wojnie, by wbrew moim — naczelnego wodza — poglądom, zakosztować istotnej jakoby wojny, wojny europejskiej. Próba nie udała się. W pierwszych dniach lipca została ona skompromitowana. Lecz dzięki niej, taktyczna, łatwa do zniesienia porażka stała się przegraną strategiczną, której skutki sięgały bardzo daleko. Nie są to próżne słowa. Ta sama 1-sza armia, niedawno jeszcze, bo w maju, swobodnie się cofnęła przed przewagą nieprzyjacielską, a gdy przybyły dalekie, nie o pięć czy sześć kilometrów, jak z dumą mówił gen. Zygadłowicz, stojące odwody, równie swobodnie przeszła z nimi do kontrataku, nie mając na sobie wrażenia klęski, wrażenia swej bezsilności; teraz dla fantomów wojny okopowej, bez żadnych środków do prowadzenia walki tą metodą, wszystkie siły wciągnięto do boju z iście okopowym celem osiągnięcia «poprzedniej sytuacji», jako jedynego celu, godnego wysiłku żołnierza. Żołnierz pod takim dowództwem miał zasłużyć na ostrogi rycerza europejskiej miary, nie oberwusa polskiego, nie wiedzącego dobrze, co czyni. Kopał przecie okopy według szkiców najwyższych dowódców i niechybnie o uszy jego obijały się spory o to, gdzie właściwie jest pierwsza linia drugiej pozycji, a gdzie druga pierwszej? Gdzie są rygle, a gdzie zasadnicze linie? Biednemu żołnierzowi tym trudniej było zgadnąć tę wielką sztukę okopów, że wszystkie te place, węzły obronne, rygle i numerowane linie i pozycje były najczęściej bliźniaczo podobne do siebie, t. zn. — istniały tylko na papierze lub na terenie oznaczone były jakimś marnym, zasypującym się rowem. Gdy więc wszystkie te cudactwa trzeba było opuścić i wysiłek żołnierza dla osiągnięcia poprzedniej sytuacji, tak widocznie

ważny dla wyższych dowódców, poszedł na marne, żołnierz — jak zwykle w takich wypadkach — stanął przed alternatywą: albo on wraz ze swymi wysiłkami jest niezdatny i bezsilny i ostrogi europejskie nie są dla niego, albo jego dowódcy nie wiedzą, co czynią. Było to więc wstrząśnięcie moralne żołnierza, które niełatwo było naprawić i stąd płynie ten niezaprzeczony, wielki wpływ boju nad «wątłym strumieniem» — Autą, który, będąc wobec wielkich zamiarów nieprzyjaciela zaledwie pół-zwycięstwem jego, stał się dla nas nie porażką taktyczną, lecz wielką przegraną strategiczną.

## VI

Boje naszej 1-ej armii z trzema armiami p. Tuchaczewskiego zakończyły się właściwie 5-go lipca. Zwycięskie dywizje nie ruszyły do natychmiastowego pościgu. Jazda, która w tych wypadkach jest bardzo czynną i skuteczną, idąc na skrajnym, północnym skrzydle, szła właściwie w próżnię, nie mając przed sobą żadnego nieprzyjaciela, a połowa jej, bo cała jedna dywizja, została zatrzymana do obserwacji naszych sąsiadów i niedawnych sojuszników — Łotyszów. Jak gdyby dla pościgu w centrum rzucona była osobna brygada jazdy kaukaskiej, która, minąwszy Głębokie 6-go lipca, szła bardzo wolno ku zachodowi. O działaniach tej jazdy relacje nasze nic nie mówią. Dużo zaś o niej opowiada p. Sergiejew. Działania jej w żadnym wypadku pościgiem nazwać nie można; natomiast, sądząc z opowiadań p. Sergiejewa, brygada ta dość starannie unikała jakiejkolwiek łączności ze swymi wojskami. Rozkazem p. Tuchaczewskiego z 7-go lipca brygada oddana została dla prowadzenia pościgu w kierunku zachodnim, nakazanym tym rozkazem dla całej 4-ej armii pod dowództwem p. Sergiejewa. Dużo kłopotu miał ten dowódca z odszukaniem właściwego miejsca pobytu tej brygady; stwierdza on z całą stanowczością, że 15-ta armia, której ta brygada podlegała, nie mogła mu wskazać ani miejsca, gdzie ona się znajduje, ani też sposobów, jak ją odszukać. Nic dziwnego więc, że p. Tuchaczewski tak się mylił, gdy twierdził w swoim rozkazie z 7-go lipca, że główne siły polskie odeszły w kierunku zachodnim, w kierunku Postaw. Brak pościgu i brak jasnego obrazu sytuacji po niezaprzeczonym zwycięstwie, które w dodatku wyolbrzymia p. Tuchaczewski publicystyczną przesadą określeń, jest bardzo charakterystycznym zjawiskiem wojennym. Nie chcę być złośliwym, lecz przypomina mi to niezmiernie sytuację armii nie-

mieckiej w 1870 r., gdy po bezładnej, wypadkowej, przez nikogo nie dowodzonej i wbrew naczelnemu dowodzeniu zrobionej, a także zwycięskiej bitwie pod Spicheren, armia ta zaczęła działać w próżni, natykając się raz po raz na niespodzianki, które ją drogo kosztowały, jak, np., następna bitwa pod Vionville. Bitwa 4-go i 5-go lipca nie była Spicherenem, gdyż niewątpliwie była jak z jednej, tak z drugiej strony dowodzoną i tej złośliwości w stosunku do p. Tuchaczewskiego nie chcę czynić; lecz niechybnie już 5-go lipca armie p. Tuchaczewskiego, zaniechawszy pościgu, utraciły kontakt z nieprzyjacielem i mogły być narażone na niespodzianki.

Skądżeż jednak płynie ten brak ruchu, tak naturalnego i tak koniecznego na wojnie? Jedną z przyczyn już spróbowałem zanalizować — to charakterystyczne dreptanie na miejscu różnych dywizyj. Widzimy je i w pościgowej brygadzie jazdy. Udaremniło to pomysły sedańskie, dając p. Tuchaczewskiemu tylko pół-zwycięstwo; świadczyło ono również o pewnej obawie przed nieprzyjacielem. Lecz niechybnie poza tym był pewien brak i w dowodzeniu. Nie chcę zaś, bo nie mogę bez danych i materiałów, analizować, gdzie właściwie ten brak miał miejsce. Bez posiadania raportów, które dn. 5-go wpływały do rąk p. Tuchaczewskiego, trudno to stwierdzić. Faktem jest jednak, że gdy jeszcze w nocy z 5-go na 6-ty popycha p. Tuchaczewski swą armię 4-tą w kierunku sedańskim ściśle na południe, to już 6-go, jak sam to pisze, wyrzekając się sedańskich zamiarów, zaprzestał pchać armię 3-cią — południowe skrzydło — w kierunku sedańskim na zachód i na północ. Armia bowiem 3-cia już 6-go otrzymuje zadanie poparcia jeszcze bardziej południowej armii 16-ej ruchem na Mińsk, prawie ściśle południowym. Nasze relacje stwierdzają, że tego właśnie dnia lewoskrzydłowa dywizja naszej 4-ej armii (15-ta), przygotowując się do odwrotu, osłaniała się niewielkimi posterunkami wzdłuż rzeczki Ponii, gdy 1-sza litewsko-białoruska już była odeszła na południe od Dokszyc. Tam też notują nasze relacje słaby kontakt z patrolami nieprzyjacielskimi.

Cóż jednak robiła wybrana armia, najbardziej uposażona 15-ta? Skierowana była wyraźnie ku zachodowi, przeszła w ataku dn. 4-go od 4 do 10 kilometrów i — jak wiemy — stanęła, nie czyniąc wcale wielkich postępów w dn. 5-go lipca. Zrzekła się jakiegokolwiek pościgu, oddając go w ręce słabej brygadzie jazdy. Dnia zaś 6-go widzimy ruch najbardziej północnej prawoskrzydłowej dywizji 54-ej, zmieniającej gwałtownie kierunek z zachodniego na południowo-zachodni, takim bowiem

jest kierunek marszu z Łużek na Głębokie *). Czy i 15-ta armia otrzymała 6-go rozkaz zaniechania Sedanu i zmiany dotychczasowego kierunku swego marszu, p. Tuchaczewski nie pisze. Jest to uwidocznionym dopiero w rozkazie z 7-go lipca, danym w Smoleńsku o godzinie 9 minut 40 rano. U p. Sergiejewa przytoczony on jest w całości. Zmienia p. Tuchaczewski kierunek 4-ej armii z południowego na zachodni, 15-ej z zachodniego na południowo-zachodni na Mołodeczno; co do 3-ej armii, rozkaz nakazuje dalsze wypełnianie postawionego już zadania, to znaczy marszu w kierunku na Mińsk.

Z tych wszystkich danych niezwykle trudno jest określić, kiedy właściwie p. Tuchaczewski wyrzekł się idei Sedanu i jaki nań wywarło wpływ to dreptanie na miejscu wszystkich jego armij dn. 5-go lipca. Skłonny jestem przypuszczać, że w dalekim Smoleńsku raporty, przechodzące przez alembik dowództw armij, musiały być bardzo sprzeczne w przeciągu tych dwu dni boju, i p. Tuchaczewski musiał mieć te rozdźwięki w duszy, które się uwidoczniły w braku nacisku na swych podwładnych i w stopniowym rozchwiewaniu się i wreszcie zaniku idei sedańskiej. W tym rozdźwięku wracały mu echem idee niedawnej przeszłości, węzeł myślowy geograficzno-geometryczny, związany ze smoleńskimi wrotami i skrętem wojska o 90° w nowym kierunku. Wskutek tego rozdźwięku i wskutek pracy koło węzła myślowego widzimy zaniechanie pościgu, widzimy utratę kontaktu z nieprzyjacielem i powolne dreptanie na miejscu ogromnej większości wojsk p. Tuchaczewskiego, obracających się półsennie koło jakiejś wyobrażalnej osi. Dzięki temu tańcowi chocholemu koło węzła myślowego p. Tuchaczewskiego nasze wojska wyszły zupełnie cało z opresji, pomimo, iż rozkaz gen. Szeptyckiego zmuszał je do odchodzenia w nienaturalnym i — dodajmy — niepotrzebnym kierunku. Dzięki temu też jedynie gen. Żeligowski — nie «gros» nasze, jak chce p. Tuchaczewski, — najzupełniej niedotknięty rozbiciem i porażką, reprezentował dla p. Tuchaczewskiego «zmiażdżone», «rozgromione» resztki armii, zmykające ku zachodowi w «postawskim kierunku». Siły dowodzenia w tej pierwszej bitwie «pochodu za Wisłę» nie mogę dostrzec. Wojska p. Tuchaczewskiego dreptały za często na miejscu w obawie przed «rozgromionym» nieprzyjacielem, a ich dowódca kiwał się pomiędzy Sedanem, którego wojska nie czyniły, a pomiędzy «taranem», którego znowu p. Tuchaczewski nie zrobił. W środku zaś boju, gdy przerwał się Sedan, prze-

*) Patrz szkic nr 4.

rywa bój i pościg sam wódz, przerzucając się do taranu i zwrotów geometrycznych, zostawiając swobodę działania przeciwnikowi.

Przeciwnik już 5-go szuka swobody działania. Rozkaz gen. Szeptyckiego dnia tego przed południem nakazuje całej armii, dotąd walczącej, oderwać się od nieprzyjaciela, by właśnie tę swobodę działań uzyskać. Celem tego, jak głosi pierwszy punkt rozkazu, jest «przeprowadzenie ugrupowania nowej linii celem przejścia do kontrakcji». Nie wiem, czy dowódca frontu wyjaśnił dostatecznie dowódcy armii myśl swoją, lecz rozkaz 1-ej naszej armii, powtarzając zresztą w pierwszym punkcie polecenie dowódcy frontu o przejściu do kontrakcji, w punkcie piątym zarządza zajęcie «nowej linii obronnej». Kontrakcją więc ma być linia obronna; a w jednym z ostatnich punktów wyraźnie nakazano «linię obronną wzmocnić technicznie». Niewątpliwie samo sformułowanie tych rozkazów wywołać musi w umyśle podwładnych wrażenie sprzeczności. Sprzeczność tym bardziej wyrasta i tym bardziej dziwną się staje, gdy się na mapie wytknie nową linię kontrakcyjno-obronną. Zaczyna się ona w Niebyszynie na rzece Ponii, a kończy się daleko na północy, na trakcie od Szarkowszczyzny ku Święcianom, w Kozianach. Rozciągłość tej kontrakcji, czy linii obronnej, technicznie wzmocnionej, wynosi mniej więcej 100 kilometrów, to znaczy akurat tyle, co jeszcze przed paru dniami zajmowała nasza 1-sza armia na linii obronnej nad «wątłym strumieniem — Autą». A gdy sobie przypomnimy, jak techniczne wzmocnienie owej linii wyglądało i ile skarg z powodu niedostateczności wzmocnień ona wywołała, gdy przypomnimy, jak smutnie skończyła się próba linii obronnej w boju 4-go i 5-go lipca, zrozumiemy, jak gorzką ironią dla wojsk, czytających ten rozkaz, brzmieć musiała chęć dowódcy armii, wyrażona w tymże piątym punkcie słowami: «utrzymanie tej linii jest konieczne». Wobec tego odcinki «linii obronnej» całkiem już nie odpowiadają «doświadczeniu wojny światowej».

Odcinki te jednak mają jeszcze jedną charakterystyczną własność. Gdy dwie północne dywizje, 8-ma i 10-ta, mają zająć odcinki nowej linii obronnej na 55 kilometrów (8-ma — 30, 10-ta — 25), to trzy dywizje na południu (17-ta, 11-ta i 1-sza litewsko-białoruska), mają odcinki znacznie mniejsze, przeciętnie nie przenoszące 15 kilometrów, to jest tej gęstości obsady, którą miały i w boju 4-go, 5-go lipca. Nie jest to chyba bezcelowe i chociaż wątpliwym mi się wydaje, aby względne zmasowanie na południu miało zadość uczynić żądaniom do-

wódcy frontu prowadzenia jakiejś kontrakcji, jednak zanalizować trzeba, po co właściwie zrobionym jest to zgęszczenie na południu, a rozrzedzenie na północy? Muszę to uczynić tym bardziej, że taki właśnie rozkład strategiczny 1-ej armii jest wynikiem wspomnianej już defilady całego naszego centrum w boju 4-go i 5-go lipca, defilady, która istotnie narażała wojska na «rozgromienie» i «rozpylenie». Sądząc z rozkazu gen. Szeptyckiego, przypuszczaćby można było, że ma on za swoim lewym skrzydłem gdzieś bezczynnie stojącą 7-mą armię. Przynajmniej punkt drugi i trzeci rozkazu zajmują się względnie dużo tą sąsiednią «armią». Przytaczam oba dotyczące punkty «in extenso». Punkt drugi głosi: «7-ma armia otrzyma od Naczelnego Dowództwa rozkaz cofnięcia oddziałów, stojących na północy, do rejonu Święcian»; w punkcie trzecim czytamy: «Trakty Duniłowicze—Postawy—Hoduciszki oraz Szarkowszczyzna — Koziany — Twerecz (oba trakty, prowadzące do Wilna — uwaga moja) zajmie dowództwo 1-ej armii odpowiednimi oddziałami grupy gen. Żeligowskiego, względnie 8-ej dywizji piechoty, by dać możność dowódcy 7-ej armii przesunięcia jeszcze do dyspozycji stojące oddziały, względnie przeprowadzenia ewakuacji Wilna».

Dla wyjaśnienia tej zagadkowej 7-ej armii muszę zaznaczyć, że pomimo tak szumnej nazwy składała się ona z jednej formującej się jeszcze dywizji, tzn. 2-ej litewsko-białoruskiej. Dywizja ta liczyła w swoim stanie 2.700 bagnetów i użytą była do pilnowania i obserwacji naszej ówczesnej linii demarkacyjnej między nami a Litwą na przestrzeni nie mniejszej nad sto kilkadziesiąt kilometrów, tzn., że samo zebranie rozsianych po tej dużej przestrzeni posterunków zająćby musiało dobrych kilka dni. Szumna zaś nazwa była przeżytkiem, utrzymywanym po likwidacji tego jej stanu, gdy liczba wojsk, które posiadała, była znacznie większa. Niejasne więc sformułowanie rozkazu gen. Szeptyckiego, nieledwie podsuwające już z góry ewakuację najważniejszego centrum politycznego — Wilna, upoważniało, zdaniem moim, dowódcę 1-ej armii do rozrzedzenia siły swojej na północnym odcinku, gdy jego bezpośredni przełożony widocznie o ten północny odcinek dbać nie chciał. Nie mógł bowiem dowódca 1-ej armii ani chwili przypuszczać, że gen. Szeptycki wartość bojową «7-ej armii» wyżej ocenia, niż ona była realnie. Nie chcę analizować wpływów tej decyzji, gdyż w ogóle unikam w tej swojej pracy tzw. przeze mnie «wstydliwych zakątków historii». Zaznaczam tylko fakt, potrzebny do zrozumienia operacji z naszej strony, że rozkaz

5-go lipca gen. Szeptyckiego, po naszej przegranej taktycznej dn. 4-go i 5-go lipca, ugrupował cofającą się po bitwie naszą 1-szą armię w sposób nienaturalny i nie odpowiadający sytuacji. Miała ona mieć w ten sposób silniejsze prawe skrzydło, ściśle związane z lewym skrzydłem 4-ej naszej armii, do której spieszył już rozkaz o jej odwrocie, tak, jak gdyby 4-ta armia, dotąd niezagrożona, musiała mieć oparcie na dotkniętej już porażką sąsiadce. Oparcie zaś zostało uczynione kosztem północnego skrzydła, osłaniającego kierunek zachodni, prowadzący do głównego centrum politycznego kraju — Wilna. Rozkaz ciężko zaważył na szali nie tylko dla Wilna, ale, jak to zobaczymy przy dalszej analizie, i dla całego frontu, dowodzonego przez gen. Szeptyckiego. Nieszczęsny ten rozkaz gen. Szeptyckiego, ściągający na lewe skrzydło 4-ej naszej armii ogromną większość sił naszej 1-ej armii, mógłby być jeszcze związany z pierwszym punktem rozkazu, który mówi o przegrupowaniu dla kontrakcji. Lecz w tym wypadku rozkaz byłby ogromnie spóźniony. Na kontrakcję 4-ej armii był czas dn. 4-go i 5-go lipca, gdy jej aktywna pomoc sąsiedniej armii, będącej w ciężkim boju z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, mogłaby niechybnie wpłynąć silnie na stan rzeczy. Wtedy jednak 4-ta armia, zgodnie z systemem myśli okopowej, stała biernie, przyglądając się zapasom na północy i bodaj jedyny ruch, który wykonała, było zrobienie, mówiąc językiem okopowym, ryglowej pozycji nad nowym wątłym strumieniem, rzeczce Ponii. Ta bierność w pracy wojennej daje się zauważyć również w zupełnie niepotrzebnej stracie czasu, gdy 4-ta armia rozpoczęła swój odwrót dopiero 7-go lipca. Nie chcę analizować powodów i przyczyn tego opóźnienia, gdyż w historii ten dzień czy dwa dni nie odegrały, zdaniem moim, roli strategicznej wobec ogromu zjawisk wojennych, które nastąpiły potem. Zaznaczam ten fakt tylko dlatego, że jeżeli, jak wykazałem wyżej, p. Tuchaczewski dzień 6-go i prawdopodobnie 7-go darował nam, czyniąc w próżni swoje manewry, to my, mówiąc o kontrakcji, a trzymając się w istocie zasady pasywnego zupełnego oporu, nie tylko nie wykorzystaliśmy tych dni, lecz zwróciliśmy je w całej pełni p. Tuchaczewskiemu. Dodam, że z Warszawy rozkaz o odwrocie 4-ej armii został wysłany 6-go lipca.

Tak czy inaczej, odwrót zarówno 4-ej armii, jak i 1-ej, od dnia 7-go lipca był w pełnym toku, zmierzając ku zachodowi. Odwrót 1-ej armii odbywał się w większości wypadków bez żadnego kontaktu z nieprzyjacielem, albo z bardzo małymi, nieznacznymi potyczkami, nieledwie patroli. Armia 4-ta

zaś miała pewne trudności w pierwszych paru dniach odwrotu, później jednak cofała się bez wielkich przeszkód, odrywając się stopniowo od nieprzyjaciela. Dla olbrzymiej większości wojska postawił gen. Szeptycki, jako cel strategiczny odwrotu, długą linię okopów niemieckich. W nich aż do południowego krańca jeziora Świrskiego miały stanąć dywizje obok dywizyj, i tylko dwie dywizje, 8-ma i 2-ga litewsko-białoruska, zostały poza tymi okopami *).

Co do samej metody odwrotu, jako strategicznej operacji, mam do zaznaczenia, że zarówno w 1-ej, jak i w 4-ej naszych armiach trzymano się, niestety, systemu linii tak uporczywie i tak bezwzględnie, przynajmniej w rozkazach, że wojska nasze musiały dokonać tego odwrotu z wielkim trudem i ciężarem. System w 1-ej armii nieco się różnił od systemu armii 4-ej. Przede wszystkim w 1-ej armii odwrót był w rozkazie zupełnie schematyczny, gdy w 4-ej, będącej teraz pod rozkazami gen. Skierskiego, są próby uniknięcia schematu i jakiegoś indywidualizowania sytuacji w poszczególnych jednostkach. Wyznaję, że ten suchy schemat rozkazów jest po prostu przerażający. Wydaje się czytającemu rozkazy, jak gdyby dowódca działał w jakiejś próżni i przesuwał bezduszne pionki na mapie. Dla względnie łatwo układającego się odwrotu 1-ej armii zarządzono w drodze do «ostatecznej lini obronnej» aż trzy pośrednie także «linie obronne». Co właściwie te «obronne linie» oznaczały, nie wiedział chyba sam piszący, lecz że wojsko musiało gorzko odczuwać ten system, niemożliwy do wykonania, jeżeli go brać serio, to pewne. Przecież istotnie to są kpiny z żołnierza, gdy on może przypuszczać, że dowódca żąda od niego urządzenia linii obronnej na rozciągłości z górą 100 kilometrów po to, tylko, ażeby natychmiast prawie ją opuścić i dążyć do nowej, równie bezpłodnej pracy. Oprócz tego, samo pojęcie l i n i i o b r o n n e j zmusza, o ile rozkaz jest słuchany, do cofania się nieledwie patrolami, rozciągniętymi na ogromnej przestrzeni, czyniąc ten dziwny manewr pod groźbą nadejścia nieprzyjaciela, któremu przed kilku dniami nie sprostano w otwartym boju. Jestem przekonany, że olbrzymia część wojska tego rozkazu nie wypełniała i zaledwie może jacyś nieszczęśliwcy padali ofiarą dla «molocha linij obronnych», tego surogatu wielkiego pana strategii — okopu. Przy czytaniu późniejszych meldunków, które o stanie 1-ej armii mówiły ujemnie, należy stanowczo brać pod uwagę, że armia ta po półzwycięstwie przeciwnika dn. 4-go i 5-go lipca, dobitą do reszty

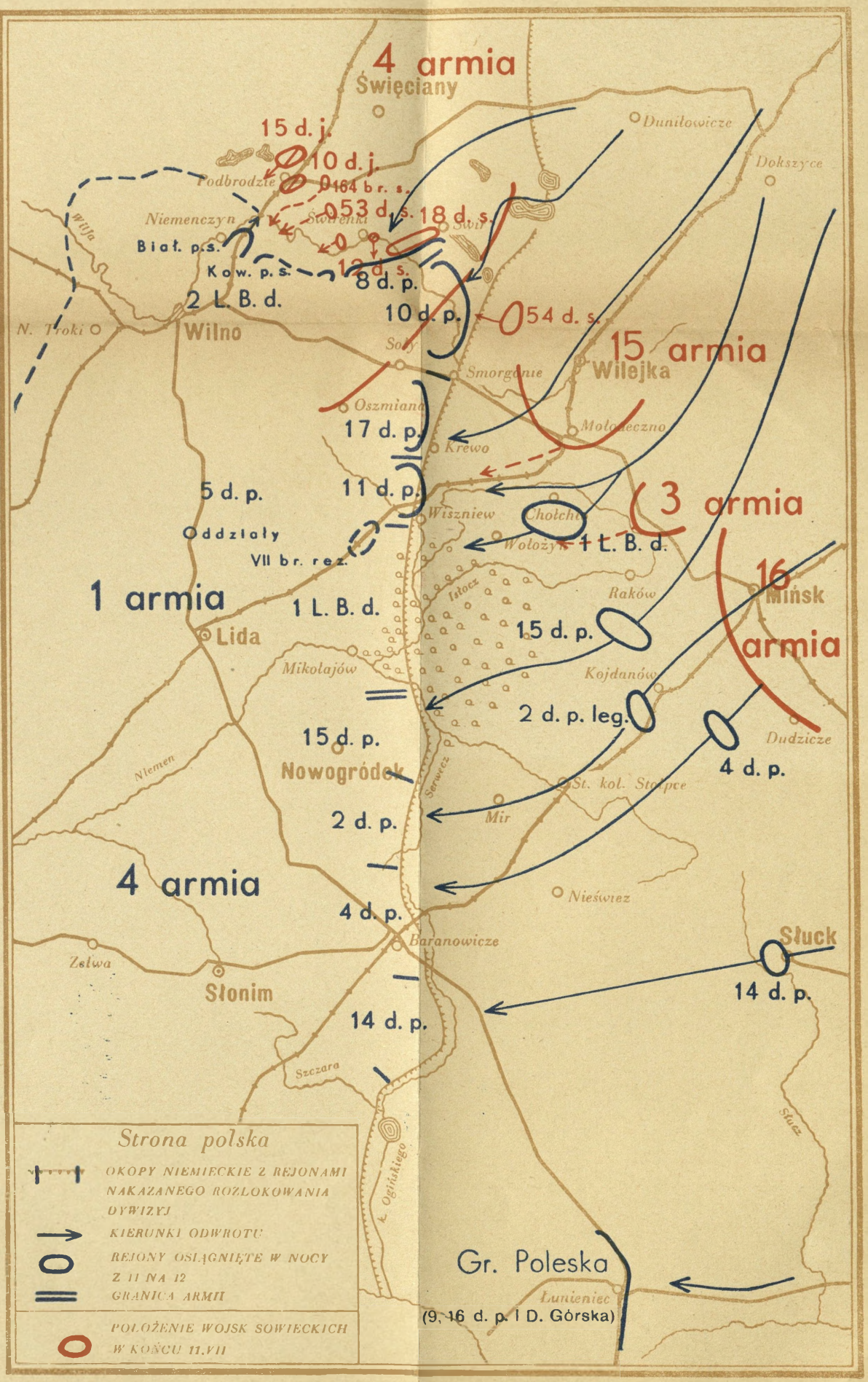
*) Patrz szkic nr 5.

być mogła przez tę beznadziejność pracy, na którą skazywały ją rozkazy operacyjne.

W 4-ej armii mamy również przekleństwo linij obronnych, z dodatkiem podziału ich pomiędzy fazy. W pierwszej fazie jest ich aż trzy. To samo rozumowanie, które zrobiłem w stosunku do pojęcia «linii obronnej» dla 1-ej armii, stosuje się w całej rozciągłości i do 4-ej. Te same, prawie niewykonalne rozkazy, te same prawie słowa z dodatkami koniecznymi, związanymi z kontaktem z nieprzyjacielem. I dopiero dn. 11-go nowy rozkaz daje jakąś zmianę. Punkt drugi tego rozkazu wreszcie mówi: «Dalszy odwrót dywizyj ma odbywać się w zwartych kolumnach na głównych liniach komunikacyjnych, z pozostawieniem tylnych straży tylko w celach wywiadowczych». Wyobrażam sobie, jak głęboko i serdecznie były wdzięczne wojska, że wreszcie zrozumiały jedynie dlatego, że odwrót obu naszych armij jest właściwie dalszym ciągiem systemu, który panował przy prowadzeniu boju 4-go i 5-go lipca. Jak tam, dzięki hołdowaniu zasadzie strategicznej okopowej wojny, widzieliśmy bierny opór, dany nieprzyjacielowi, bez żadnej próby zmiany w czasie boju strategicznego rozkładu, tak teraz w odwrocie widzimy tę samą bierność w cofaniu się wszystkich dywizyj równoległymi liniami, nie dotykając w żadnym wypadku idei manewru, nie czyniąc najmniejszej próby zmienienia w czymkolwiek tego, co nieprzyjaciel zastał w dn. 4-go lipca. Rozkład strategiczny zostaje ten sam, co był poprzednio, lecz za to błędy jego wyrastają niepomiernie.

Dn. 4-go lipca 1-sza nasza armia, dotknięta bojem, miała frontu 100 kilometrów. Sąsiednia 4-ta armia, biernie czekająca na wyniki bitwy na północy, miała tegoż frontu prawie 200 kilometrów. Przy nakazanym przez gen. Szeptyckiego odwrocie stosunek ten zmienia się gwałtownie. Gdy 4-ta armia dojdzie do linij niemieckich okopów, front jej zwęża się i dojdzie do owych 100 kilometrów, które poprzednio miała armia 1-sza. Odwrotnie, 1-sza armia, odchodząc zgodnie z rozkazem ku zachodowi, front swój szybko rozszerza, tak, że «linia obronna», nakazana do zajęcia przez dowódcę, wynosi kilometrów 200. Sytuacja więc strategiczna dla 4-ej armii, porażką niedotkniętej, znakomicie się poprawia, gdy, odwrotnie, dla 1-ej z niesłychaną szybkością się pogarsza. Skutki fatalnego błędu rozkazu gen. Szeptyckiego z dn. 5-go lipca dają swoje gorzkie owoce. Gdy «gros» sił 1-ej armii, zmuszone rozkazem do niebezpiecznej defilady przed frontem nieprzyjaciela, zeszło z naturalnych dróg odwrotu, odchodząc w kierunku Mołodeczna, zbliżało się ono, jak wiemy, ku 4-ej armii, zostawiając dalej na północy

# Szkic № 5.


4 armia
Święciany
15 d. j.
10 d. j.
164 br. s.
53 d. s.
18 d. s.
Biał. p.s.
Kow. p.s.
12 d. s.
8 d. p.
2 L. B. d.
10 d. p.
54 d. s.
Wilno
15 armia
Wilejka
17 d. p.
5 d. p.
11 d. p.
3 armia
Oddziały
VII br. rez.
1 L. B. d.
1 armia
1 L. B. d.
16 armia
Mińsk
Lida
15 d. p.
2 d. p. leg.
4 d. p.
15 d. p.
Nowogródek
2 d. p.
4 armia
4 d. p.
Słuck
14 d. p.
Słonim
14 d. p.
Gr. Poleska
(9, 16 d. p. i D. Górska)
Strona polska
OKOPY NIEMIECKIE Z REJONAMI NAKAZANEGO ROZLOKOWANIA DYWIZYJ
KIERUNKI ODWROTU
REJONY OSIĄGNIĘTE W NOCY Z 11 NA 12
GRANICA ARMII
POŁOŻENIE WOJSK SOWIECKICH W KOŃCU 11.VII
Podziałka 1:1 500 000

nieznaczną tylko część sił swoich. Przy analizie rozkazu wykazałem, że skutkiem jego było zgęszczenie sił naszych ku południowi, a rozrzedzenie ku północy. Działo to się wewnątrz 1-ej armii. Teraz widzimy to samo zjawisko wewnątrz całego frontu, dowodzonego przez gen. Szeptyckiego, gdy odcinek południowej armii w dwójnasób zwęził, a odcinek północny w dwójnasób rozszerzył. Dzieje się zaś to wtedy, gdy właśnie na północy 1-sza armia uległa przeważającej przemocy silnie skoncentrowanego nieprzyjaciela, a południe miało przed sobą nieprzyjaciela w niektórych miejscach równego sobie, a na większości swego frontu posiadało niezaprzeczoną nad nim przewagę.

W ten sposób nasza armia coraz bardziej rozrzedza północne swoje skrzydło, — rozrzedza do tego stopnia, że wreszcie najbardziej północna cząstka naszej armii, złożona z dwóch dywizyj (8-ej i 2-ej litewsko-białoruskiej), dywizyj, może najsłabszych liczebnie w całej armii, zajęła — bez przesady — 100 kilometrów frontu. Z góry przesądzamy więc tam o swojej przegranej, gdyby nieprzyjaciel w tę właśnie stronę uderzył. Ten jednak, wiedziony rozkazem p. Tuchaczewskiego z 7-go lipca, zmienił swój dotychczasowy nacisk na północ i zachód i większość swoich sił skierował w innym kierunku. W kierunku, najbardziej zagrożonym, a najmniej przez nas obstawionym, ruszyła jedna tylko armia 4-ta p. Sergiejewa, armia, której piechota lubiła dreptać na miejscu, a jazda dotąd nie przejawiała swoich właściwości. Reszta wojsk, które się biły 4-go i 5-go lipca, w zawiłym manewrze, czynionym w próżni, skręcała się w kułak, odwracając się bokiem i prawie plecami od 4-ej armii. Rozkład strategiczny wewnątrz każdej z tych armij jest także zasadniczo inny. Armia 4-ta idzie szerokim bardzo frontem, może się więc poruszać szybko, a szybkość jej jeszcze bardziej może być zwiększona przez to, że ogromną część jej sił stanowi jazda; odwrotnie — reszta wojsk jest, jak my mówimy, zaciśnięta w kułak, czy, jak chce p. Tuchaczewski, w taran. Raz jeszcze zacytuję charakterystyczne określenie w tej sprawie p. Sergiejewa: «Wąskie korytarze dla 15-ej i 3-ej armii pozwalały prowadzić dywizje w dwóch, a nawet w trzech liniach, zmasowane na głębokość i zatem mając zawsze gotowe w zaciśniętym kułaku dywizje dla jakiegokolwiek manewru. 15-ta armia przyjęła taki system marszu jeszcze od Głębokiego, mając w pierwszej linii 54-tą, 33-cią i 11-tą, a w drugiej, za skrzydłami, 4-tą i 16-tą. Po dwóch, trzech marszach dywizje, maszerujące na czele, były zmieniane przez tylne odwodowe i w ten sposób osiągano znaczną oszczędność sił

piechoty». Ten system marszu nie mógł być szybkim; armia z pięciu dywizyj piechoty z przynależną do nich artylerią i taborami, maszerująca, jak gdyby była pułkiem!

Ma ona w dodatku zmieniać co pewien czas straż przednią. Połączone to być musi z «oszczędnością sił piechoty», lecz za to z ogromną stratą czasu — za każdym razem najmniej pół dnia, a może i całej doby. Taka armia, jak żółw, pełznąć musi w porównaniu z chartem, puszczonym ze smyczy dla pościgu, jak to było przeznaczone północnej 4-ej armii. Żółw i chart, oddalający się w dodatku wzajemnie, nie są kolegami w ruchu i niechybnie do celu jednocześnie lub mniej więcej jednocześnie dojść nie są w stanie.

Z błędu strategicznego gen. Szeptyckiego i z dziwnej rozbieżności celów i ruchów dwóch sowieckich armij wynika niezwykle oryginalna bitwa o posiadanie Wilna. Bitwa ta znowu, jak boje 4-go i 5-go lipca, nie miała przejściowego, taktycznego znaczenia, lecz osiągnęła wyżyny strategii. Jest zaś dziwaczna i oryginalna, gdy, pomimo jej wielkiego znaczenia dla całej kampanii, nie należy wcale do dziedziny sztuki wojennej, gdyż niezwiązana jest w niczym z myślami i zamiarami obu dowodzących frontem: gen. Szeptyckiego i p. Tuchaczewskiego. Pierwszy z nich celowo odcinek ten, tzw. linij obronnych, wszelkimi sposobami osłabia, rozrzedzając obsadę, więc nie ma zamiaru i chęci dawać tam lub przyjmować bitwy o większym znaczeniu. P. Tuchaczewski zaś — jak wiemy — po zupełnie nieudanym Sedanie, uwierzywszy w «rozgromienie», «rozpylenie» i «zmiażdżenie» uciekającego jakoby w popłochu przeciwnika, rzuca w tym kierunku także rozrzedzoną i rozsypaną na wielkiej przestrzeni najsłabszą swą armię. Siłą zaś istotną, «gros» swoim, w decydujący kułak je zgiąwszy, nie spieszy, bo pewny jest swego, «festinat lente» krokiem żółwia, by decyzję znaleźć gdzie indziej. Wielka strategia święcić ma swój dzień uroczysty gdzie indziej; gdzieindziej zaszumi Nike, z ramienia Marsa i Minerwy, darząc zwycięstwem i karząc klęską — tak chcą obaj dowódcy. Po cóż dla nich ta niespodzianka, że nie tam, gdzie oni wyznaczają, szale losów nie bitew, lecz wojny się chwieją? Czyżby dla pociechy strapionego poprzednim bojem p. Sergiejewa? Bo w tej bitwie wileńskiej Nike, szumiąca skrzydłami, jemu na głowę zwycięskie laury włożyła.

Nim jednak laur ten otrzymał, spieszy upiększyć w swej książce nie samą bitwę, lecz swój marsz do bitwy. A wobec tego, że marsz ten wcale nie należy do ładnych, a jest jakiś dość przypadkowy, upiększa go — jak zwykle w takich wypadkach — słowami i określeniami, dającymi piękno wielkości,

gdy treści brakuje. Istotnie piękna skądinąd książka p. Sergiejewa upstrzona jest, niestety, wielkim określeniem «place d'armes». W tym marszu pod Wilno przecina on powiat, którym się szczycę, jako kolebką mego życia — powiat święciański. Nigdym nie przypuszczał, że tak bogaty jest on w strategiczne rozkosze, w «places d'armes». «Place d'armes» jest w naszej stolicy w Święcianach, «place d'armes» jest również pod Świrem. A że miasto Święciany ma marną jedynie kolejkę wąsko-torową, a piękne miasteczko Świr i jego stare zamczysko, od czasu, gdy stoi, nigdy świstu parowozu nie słyszało, więc by w wieku dwudziestym jako strategiczne «places d'armes» służyć komukolwiek mogły, trzeba wielkiej, olbrzymiej wartości ziemi i piękna jej tworów, by tak wysokim obiektem strategii służyć miały. Dumnymi być mogą miejscowi «incolae», mówiąc stylem makaronicznym. Widzieliśmy Orzechownę, zastępującą dumny Smoleńsk w bujnej wyobraźni p. Tuchaczewskiego, widzieliśmy marny rząd drutów i parę lichych rowków, zmuszające naszych dowódców wyższych do nakazu, by 7-ma bateria 1-ej litewsko-białoruskiej dywizji 24 pociskami huragan ognia zaporowego czyniła; więc nic dziwnego, że i wojska p. Sergiejewa, pomimo, iż za «rozpylonym» wrogiem idą, są ostrożne w stosunku do sławnego powiatu święciańskiego, gdy tyle «places d'armes» im grozi. Pomimo, że być miała chartem, spuszczonym ze smyczy, zanadto nie spieszy. Oto określenia samego dowódcy armii, p. Sergiejewa: «Rozkaz był przesłany konnemu korpusowi telegrafem bez drutu, lecz wypełniony przez jazdę nie był» (str. 53 l. c.). «Brygada 164-ta cały dzień 8-go lipca przestała na miejscu w okolicy Zamosza». Następnie ruszyła, zdaniem p. Sergiejewa, w niepotrzebnym zupełnie kierunku. Ruch jazdy p. Sergiejew charakteryzuje słowami: «Ruszyła się ona bardzo wolno szerokim frontem» (str. 54), tłumaczy zaś ją następującymi słowami: «Nieznaczne potyczki z jazdą przeciwnika (nasz 13-ty wileński pułk ułanów)) i z jego odchodzącymi małymi pieszymi grupami (nasz tzw. słucki pułk) silnie zatrzymywały ruch konnej masy» (str. 54). Oto dalej opis p. Sergiejewa działania jego piechoty i jazdy kaukaskiej: «Pomimo paniki, rozpowszechniającej się na tyłach przeciwnika z powodu zjawienia się naszej jazdy w okolicach Widze i Dukszty, udało się jednak Polakom zorganizować jako tako opór na niemieckich pozycjach, przy czym w okolicy na południe od Postaw do jeziora Miadzioł opór ten okazał się dostatecznym, (była to «rozpylona» 8-ma dywizja nasza), aby zatrzymać jazdę kubańską do wieczora 9-go lipca, to jest do podejścia 18-ej dy-

wizji». Ruchy więc 4-ej armii teraz bardzo przypominają dreptanie na miejscu podczas manewru sedańskiego 4-go i 5-go lipca. Znowu straty dni całych, powolne ruchy żółwia, gdy trzeba być chartem. Jeszcze w tym czasie działają naprzeciw armii p. Sergiejewa trzy nasze dywizje. Na prawym skrzydle dywizja 10-ta gen. Żeligowskiego, w środku dywizja 8-ma pułk. Burhardt-Bukackiego i na północnym skrzydle powoli się ściągająca i zbierająca 2-ga dywizja litewsko-białoruska gen. Boruszczaka wraz z niecałym pułkiem wileńskich ułanów. Lecz przy cofaniu się ku Wilnu już dywizja 10-ta odchodzi — odchodzi do ważniejszych zadań — na południe, by stanąć na południe od jeziora Świrskiego w raju drutów — okopach niemieckich. Naprzeciw 4-ej armii sowieckiej pozostają więc dwie nasze dywizje poza okopami, więc w gorszej sytuacji taktycznej, lecz za to strategicznie obdarowane czy obciążone rozciągłością niezwykłą, bo aż prawie 100 kilometrową od Świrskiego jeziora po miasteczko Dubinki. A jednak! «E pur si muove!» Są groźne «places d'armes'y!» I wojska p. Sergiejewa zaczynają znowu dreptać na miejscu. Dn. 11-go lipca rozpoczyna się na północy naszego frontu pod Wilnem «trzydniowy bój na Wilii», jak pisze p. Sergiejew. Więc — zgodnie z jego słowami — koło Podbrodzia jazda spotkała 11-go lipca «silny opór przeciwnika i prowadziła wyczekujący bój», czekając na podejście reszty jazdy i piechoty.

Dywizje 53-cia i 12-ta, rozciągnięte na długim froncie, przekonały się tegoż 11-go lipca, że «na całej linii rzeki Wilii przeciwnik trzymał się mocno i odpierał wszystkie próby naszych (sowieckich) strzelców owładnięcia przeprawami». Dalej na południu nie było lepiej. Jazda kubańska znalazła piechotę przeciwnika już w rejonie miasteczka Świr i, szukając jego skrzydła, wyjaśniła, że cała linia rzeki Straczy od Świru do Michaliszek silnie zajęta jest przez przeciwnika, który trzymał się także i za rzeką Wilią na zachód od Michaliszek». Jeździe się nie udało! «Lecz — pisze p. Sergiejew — po nadejściu 18-ej dywizji nie poszło lepiej. Kilka ataków na miasteczko Świr zostało odpartych i dowódca dywizji zdecydował podciągnąć ciężką artylerię». Pościg się zatrzymał. Ogólne wrażenie p. Sergiejewa było, że my zdecydowaliśmy się bronić Wilna i to przypuszczenie opierał — o, ironio losów i dowódców! — «na dosyć g ę s t e m ugrupowaniu sił przeciwnika» na linii rzeki Wilii i na świrskim «place d'armes». Walka o Wilno trwała według p. Sergiejewa trzy dni i w wielu miejscach miała charakter «długotrwałego i uporczywego boju»; zaczęła się 11-go lipca, zakończyła wzięciem Wilna 14-go.

Faktem zaś jest, że trzy dni spędziły w boju dwie najsłabsze w całym wojsku dywizje. Faktem jest, że jedna z nich, 2-ga litewsko-białoruska, szła w tych dniach do natarcia i pułk białostocki zdobył stację Podbrodzie już o 10 kilometrów poza linią Wilii. Faktem jest, że nie w gęstym ugrupowaniu sił stały owe dywizje, lecz w najrzadszym, w najsłabszym strategicznie na całym długim froncie gen. Szeptyckiego. Gdy wróg nie «rozpylił» poprzednimi bojami tych dywizyj, pomimo, że w to wierzył, «rozpylić» je musiał rozkład strategiczny, dający im poza okopami i rajem drutów prowadzenie trzydniowego boju na rozciągłości prawie 100 kilometrów!

Cóż robią w tym czasie, w dn. 11-go lipca, inne szczęśliwsze dywizje, co mają stanąć w bardziej zgęszczonej formacji, osłonięte rajem okopów, olbrzymią ilością drutów, w których i przy jasnym słoneczku zabłądzić można? Idziemy po kolei ku południowi. Sąsiednia dywizja 10-ta, targnięta na bok z naturalnej drogi odwrotu na Świr i Michaliszki, po bezdrożach niekiedy, jeszcze 10-go po południu lub wieczorem osiąga linię okopów bez jakiegokolwiek kontaktu z nieprzyjacielem. Dzień 11-go lipca przechodzi tam spokojnie. Dalej ku południowi ma stać 17-ta dywizja. Znowu dn. 11-go lipca kontaktu z nieprzyjacielem nie ma. Jeszcze dalej 11-ta dywizja w dn. 11-go lipca ma, jak piszą jej relacje, forsowny marsz odwrotowy bez kontaktu z nieprzyjacielem do istotnego raju drutów pod Bogdanowem. Wysłane przed front dn. 12-go patrole powróciły nad ranem 13-go, nie napotykając nigdzie nieprzyjaciela. Wreszcie najbardziej południowa dywizja 1-ej armii, 1-sza litewsko-białoruska, dn. 11-go osiąga okopy na południe od Bogdanowa, także nie widząc wroga. W dniu więc 11-go, gdy p. Sergiejew z całą swoją armią skonstatował «zgęszczoną» obsadę nie drutów i okopów, lecz właściwie świeżego powietrza, pełnego zresztą «places d'armes», a wojska jego starym zwyczajem zaczęły dreptać na miejscu, cała reszta 1-ej naszej armii w błogim spokoju używa lub spieszy używać raju drutów i okopów na dawnych pozycjach niemieckich, wybudowanych ongiś ze zniszczeniem lasów litewskich i ogromnym nakładem pracy, przemysłu i rękodzieła najbardziej przemysłowego kraju Europy — Niemiec.

Jeszcze szczęśliwsza pod względem sytuacji strategicznej nasza 4-ta armia, oddawszy dn. 11-go Mińsk, zgodnie z cytowanym już rozkazem, wydanym tegoż dnia, zwija się w kolumny marszowe i jest w pełnym odwrocie bez jakiegokolwiek kontaktu z nieprzyjacielem ku zachodowi do swojej części okopów niemieckich. A część to niemała! Dla najliczniejszej

naszej armii i najmniej bojami dotkniętej wynosi akurat tyle, co rozciągłość frontu dwóch dywizyj na północy, w dniu tym rozpoczynających trzydniowy, przeciągły i uporczywy bój o Wilno.

Im dalej ku południowi, tym we froncie gen. Szeptyckiego dzieje się lepiej wojsku. Ciężar taktyki jest mniejszy, a prezenty strategii większe. Najbardziej południowa grupa poleska nie jest wyjątkiem z tego prawa. Złożona z trzech dywizyj naszych, ma przeciwko sobie niewielki oddział nieprzyjacielski, gdyż tzw. w armiach Sowietów grupa mozyrska ma dwa wręcz rozbieżne kierunki natarcia. Dobra jej połowa atakuje naszą 14-tą dywizję, idąc za nią od Bobrujska ku Słuckowi, na północ od właściwego Polesia. Nasza więc poleska grupa ma przeciwko sobie najsłabszego nieprzyjaciela. Mamy tam olbrzymią przewagę, jakiej w ciągu całej długiej wojny nie mieliśmy nigdzie i nigdy. To też raporty stamtąd brzmiały zawsze triumfalnie, upiększone zresztą wielkim huraganowym ogniem artylerii, którym błota poleskie w raportach pokrywano z jednej i z drugiej strony.

Mniej więcej to samo dzieje się w armiach, dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego. Dn. 11-go lipca, gdy wojska północnej 4-ej armii zaczęły dreptać na miejscu «place d'armes» święciańskiego powiatu, oczekując w jednym miejscu ciężkiej artylerii, w innym nadejścia piechoty czy jazdy, ściśnięte w kułak dwie armie — 15-ta i 3-cia — idą prawie bez kontaktu z nieprzyjacielem, daleko od zaangażowanego w boju p. Sergiejewa. W dniu tym wieczorem armia 15-ta zajmuje dopiero Mołodeczno, będąc w ten sposób najmniej o dwa dni marszu od okopów niemieckich. I tylko najbardziej północna jej dywizja 54-ta wejdzie nazajutrz 12-go najbardziej przednimi swymi strażami w kontakt z naszymi dywizjami 10-tą i 17-tą. Obok kroczy również «taranowa» 3-cia armia. Dn. 6-go lipca — jak wiemy — ruszyła w kierunku prawie południowym, z okolic Dokszyc w stronę Mińska. Idzie zapewne równie powoli, jak 15-ta, gdyż jest zmasowanym taranem. Gdy jednak nieprzyjaciel, to znaczy Polacy, nie czekając na uderzenie, ani mu przeciwdziałając, dobrowolnie odeszli wstecz i oddali Mińsk, taran armii 3-ej, nie zrobiwszy nic, zawraca, prawdopodobnie znowu ze stratą czasu, ku północnemu zachodowi, zbliżając się tym razem ku armii 15-ej. Jest ona także w dn. 11-go lipca, jak i w następnych, bez kontaktu z nieprzyjacielem. Armia 16-ta zajmuje w dniu tym Mińsk, mając wszędzie do czynienia jedynie z patrolami straży tylnych, zostawionych, zgodnie z rozkazem, nie dla celów bojowych, lecz wywiadowczych.

Jasnym więc jest chyba, że trzydniowy bój pod Wilnem jest dziełem przypadku, nie celowego kierownictwa wojną ze stron obu. A jednak znaczenie tej bitwy i jej wynik zaciężyły na dziejach wojny w znacznie większym stopniu, niż poprzednie cięższe znacznie boje 4-go i 5-go lipca. Po pierwsze, od tej chwili my, Polacy, mieliśmy dwie wojny zamiast jednej. Zgodnie ze stwierdzeniem i p. Tuchaczewskiego, i p. Segiejewa Litwa wyszła z dotychczasowej neutralności i wzięła udział po stronie Sowietów. Na szali wypadków wojennych późniejszych, aż do zakończenia orężnego starcia, fakt ten był dodatkowym ciężarem, nieraz wielkim, cisnącym naszą polską szalę ku dołowi na wagach dziejowych. Ciśnie ją nieraz może i dotąd. Sam bój nie był ciekawy, chociaż p. Sergiejew charakteryzuje go jako uporczywy, gdyż z chwilą, gdy osobisty jego wpływ skupił w paru miejscach większe siły dla ataku, iluzja «place d'armes» prysnąć musiała i rozrzedzone do stopnia pyłu szeregi obrońców Wilna utrzymać linii nie były w stanie. Natomiast próby natarcia z polskiej strony, które były jednak robione i doprowadziły, jak wiemy, nawet do zajęcia Podbrodzia, nie mogły przy takim uszykowaniu wojsk, będących w mniejszości, dać jakiegokolwiek rezultatu. Gdy więc 14-go Wilno padło, znajdziemy natychmiast wpływ tego wypadku na cały rozkład strategiczny jednej i drugiej strony. W rozkazach polskich odtąd aż do samej Warszawy powtarzać się będzie raz po raz w punkcie pierwszym sakramentalne jakby określenie: «Z powodu obejścia naszego lewego, północnego skrzydła przez nieprzyjaciela» — cofa się reszta wojska ku zachodowi. Zaraz po wzięciu Wilna 14-go cofają się wstecz ku Lidzie najbliżsi sąsiedzi, dywizje 10-ta i 17-ta, osłonięte rajem drutów i okopów. Za nimi cofa się reszta 1-ej armii prawie bez boju na okopach, a jeszcze dalej to samo się dzieje z 4-tą armią, która porzuca okopy dla nowej linii, już bez raju drutów, za rzeką Szczarą. Wszystkie więc myśli i plany strategiczne pękły w jednej chwili z powodu przypadkowej bitwy pod Wilnem. Prezenty strategii dla południa, ciężary taktyki dla północy, których początkiem był rozkaz gen. Szeptyckiego z 5 lipca, zemściły się srodze na stronie polskiej.

Obok zaś nowej wojny i przewrócenia zasady rozkładu strategicznego mieliśmy w dodatku olbrzymi upadek moralny wojska, dowódców i całego narodu. Czego nie zrobił jeszcze «wątły strumień» Auta, to dokończyła Wilia, «naszych strumieni rodzica». Prawie zabawnym, a charakterystycznym tego objawem były wypadki następnych dni pod Lidą; po raz pierwszy od 4 lipca formuje się tutaj coś w rodzaju silniejszego

ugrupowania wojsk polskich. Zbiera się tu, jak gdyby dla jakiejś większej pracy, kilka dywizyj, spieszących w tym kierunku z różnych stron. Robi się to, co jeszcze przed kilku dniami rozstrzygać by mogło boje pod Wilnem na naszą korzyść. Lecz robi się to pod batem nieprzyjaciela, w ujemnym dla zwycięstwa celu — odwrotu, ucieczki, utraty artylerii, cofania się prawie w bezładzie. Od tej bitwy wraz z jej skutkami kończy się też tak częste dotąd dreptanie na miejscu wojsk sowieckich, które w obawie przed dotąd zwycięskim nieprzyjacielem nie miały pewności siebie, pewności zwycięzców. Nieznaczne więc starcie, gdy weźmiemy ilość wojska zaangażowanego w tej bitwie, stało się ogromnym wypadkiem, zmieniającym głęboko taktykę teatru wojny.

Przy całej powyższej analizie sytuacji wojennej, zakończonej naszą przegraną pod Wilnem, ani razu nie wspomniałem o roli w tym naczelnego wodza z naszej strony. Zostawiłem go z gotową prawie decyzją, powziętą jeszcze przed bojem 4 lipca, gdy doszedł do przekonania, że musi zmienić swój poprzedni pogląd na sytuację strategiczną, którą wytworzyły sukcesy jazdy Budiennego na południu. Szukając dalszych wysiłków dla zwiększenia ilości jazdy po naszej stronie, dla północnego frontu miałem w owe czasy wyrobione zdanie, że najlepiej jest cofnąć dobrowolnie, bez nacisku nieprzyjaciela cały front ku zachodowi i, oparłszy centrum o linię niemieckich okopów, sformować gdziekolwiek w okolicy istotnego «place d'armes», Wilna, silniejszą grupę manewrową, zdatną do operacji nie w rozciągłej i słabej linii. Na Polesiu wtedy większe siły mogłyby się stać odwodem, gdyż front tameczny po cofnięciu się za rzekę Ptycz zwężał się tak niepomiernie, że dla rozwoju większych sił nie było właściwie miejsca. Nie przyszło jednak do tego.

Gdym dla omówienia wszystkich tych spraw w końcu czerwca wezwał do Warszawy gen. Szeptyckiego, znalazłem w nim ogromny upadek ducha. Na zebraniu kilku generałów, u mnie w Belwederze, oświadczył mi, że właściwie wojna jest przegrana i że sądzi, iż należy zawierać pokój za wszelką cenę. Motywy, które przytaczał, polegały na następującym: na południu sukcesy konnej armii Budiennego tak dalece demoralizują wojska na całym teatrze wojny, a demoralizację czuć już silnie w kraju, że nie wydaje mu się możliwym, by wysiłki nasze zatrzymać te sukcesy mogły. I dlatego oczekuje on, że na najgłębszych jego tyłach, w Brześciu, zjawi się wkrótce Budienny ze swoją jazdą, co uniemożliwi mu stanie dalej na froncie, a odwrót zamienić może w bezład i nieporządek. Na

północy, mając pod swym dowództwem najlepsze części naszej armii, front swój utrzymać może, chociaż naprzeciw niego grupuje się coraz większa siła nieprzyjacielska, z głównym celem wzięcia Mińska. Najbardziej zaś niebezpiecznym wydaje mu się silny wzrost narodowego uczucia w armii przeciwnika, wywołany przez zajęcie przez nas Kijowa. Spowodowało to dobrowolne wstąpienie do armii sowieckiej wielkiej ilości oficerów świeżo rozbitej przez Sowiety armii Denikina, którzy, jako fachowcy, zdołali w bezład sowiecki wprowadzić ład i należytą dyscyplinę. Więc wtedy, gdy u nas zwiększa się bezład, jest odwrotnie u nieprzyjaciela i nie jest wykluczone, że wobec niepowodzeń na południu, mogą wybuchnąć u nas rewolucyjne zamieszki, które będą potrzebowały interwencji armii; ta zaś może być dana jedynie przez zupełnie pewne wojska, będące pod jego, gen. Szeptyckiego, dowództwem.

Motywy te nie trafiały mi wcale do przekonania, projekt zaś zawierania za wszelką cenę pokoju odrzuciłem. Natomiast wypowiedziałem swoje zdanie o sytuacji, nadzieję zatrzymania postępów Budiennego na południu i chęć dla wygrania czasu cofnięcia całego frontu północnego wstecz, w powyżej wyłuszczonym ugrupowaniu. Gen. Szeptycki uważał jednak za lepsze przyjęcie boju na przygotowanych jakoby pozycjach, na których stały wojska. Czuł się na nich — dodał — pewniejszym, niż przy wykonywaniu żądanego przeze mnie manewru.

Miałem więc wtedy do wyboru: albo zmienić gen. Szeptyckiego na dowództwie frontu, albo też w przeciwnym wypadku zatrzymać się na rozstrzygnięciu gen. Szeptyckiego, gdyż wolę zawsze mieć gorsze rozstrzygnięcie, lecz pewniejszego siebie dowódcę. Po pewnym wahaniu wybrałem decyzję drugą, wskazując jednak na konieczność w razie cofnięcia się armii urządzenia rozkładu strategicznego, zgodnego z moim pojęciem. Gdy minął 4 lipca z niekorzystnym dla nas wynikiem, już 6 lipca szedł mój rozkaz z Warszawy, przypominający gen. Szeptyckiemu urządzenie frontu zgodnie z moim poglądem. Pogląd ten wynikał nie tylko z poczucia wielkiego strategiczno-politycznego znaczenia Wilna, jako centrum życia wielkiego obszaru ziemi, a zatem głównego węzła dróg w tych okolicach, lecz i z prostego obliczenia niemożliwości rozciągnięcia frontu wzdłuż linii okopów niemieckich, sięgających aż pod Dyneburg. Gdzieś więc w okolicach Wilna musiała być na północnej flance naszych armij wolna od okopów grupa, dla której osłony drutów znaleźć nie można. Grupa ta w tym czy w innym miejscu natarcia osłaniałaby jednocześnie i samo Wilno. W rozkazach i rozmowach z owych czasów

zwykłym przymiotnikiem stosowanym z Warszawy dla tej grupy, był przymiotnik «s i l n a». Dlatego też niespodzianką i to bardzo przykrą, był rozkaz gen. Szeptyckiego z dnia 5 lipca, wręcz przeciwny tej zasadniczej myśli. Wszystkie próby do dnia 11 lipca wywołania zmiany pod tym względem okazały się w stosunku do gen. Szeptyckiego daremnymi. Zaznaczam i tutaj, jak zawsze dotąd, że jako naczelny wódz niosę zawsze swoją dozę odpowiedzialności. Jak się wyraziłem w jednym z dokumentów, pisanych pod moje osobiste dyktando, a będących w biurze historyczno-wojennym, właśnie w sprawie gen. Szeptyckiego, rozumiem, iż ta doza odpowiedzialności mojej leży w pozostawieniu przy dowodzeniu gen. Szeptyckiego, niezdatnego do tego pod względem moralnym. Lecz doprawdy, pomimo, iż bardzo surowo się odnoszę do słusznie i niesłusznie ciążącej na naczelnych wodzach odpowiedzialności, nie mogę brać na barki wszystkich dziwadeł strategicznych gen. Szeptyckiego, wykazanych przy odwrocie po bitwie 4 i 5 lipca. Być zawsze silniejszym tam, gdzie bój się nie toczy, a słabszym, gdzie w bitwie decydują się losy wojny, nie starać się nigdy o zmiany widocznie złego rozkładu strategicznego, jest przeczyć temu — jak Napoleon mówi — zdrowemu sensowi wojny i ulegać biernie woli dowódcy nieprzyjacielskiego.

Jedynym pytaniem, jakie postawić można, jest, czy było choć cokolwiek możliwym, by zadość uczynić woli naczelnego wodza, który palcem wyraźnie wskazywał na okolice Wilna, gdzie chce mieć zebraną silniejszą grupę? Zadawałem sobie nieraz to pytanie, zadawałem je i przy niniejszej analizie; dla odpowiedzi przytoczę «in extenso» ustęp z rozkazu, wydanego dnia 7 lipca dla 4-ej armii, która jak wiemy, cofała się po liniach, zbliżających się do siebie tak dalece, że z każdym dniem marszu stawała się coraz bardziej zgęszczona i znajdowała się po każdym marszu w coraz lepszej sytuacji strategicznej. Jeden z punktów tego rozkazu głosi: «Dywizja 4-ta w związku z odwrotem 4-ej armii koncentruje swoje oddziały w rejonie Mińska, zajmując linie fortyfikacyj Mińska. Pułk 31-szy (nawiasem mówiąc, należy do 10-ej dywizji), znajdujący się dwoma batalionami na linii fortyfikacyjnej, a jednym batalionem w Mińsku, oraz 37-my pułk (należący do 6-ej dywizji), zdążający z Bobrujska do Mińska, przechodzą pod rozkazy płk. Kaliszki, jako dowódcy grupy operacyjnej. Zadaniem grupy jest utrzymanie Mińska do chwili przejścia oddziałów tyłowych 2-ej dywizji legionowej, po czym krycie dalszego odwrotu». Mamy więc przykrycie Mińska właściwie dwiema i pół dywizjami. Mińska, który ma się zamiar opuścić bez boju.

Mamy nawet luksus, że jedna dywizja drugą kryje przy odwrocie. Mamy także pułk, stojący bezczynnie w Mińsku, a należący do dywizji, będącej pod Wilnem. Mamy wreszcie jeden pułk odosobniony i zdążający także nie do Wilna, gdzie palec naczelnego wodza wskazuje konieczność dla niego silnej grupy, lecz do tegoż Mińska, który za parę dni ma być opuszczony. A w dodatku stoją w Mińsku gotowe pociągi i linia kolejowa, gotowa do usług w kierunku Wilna, niezagrożona wcale przez nieprzyjaciela, skoro w najbliższym do niego punkcie, Mołodecznie, stoi jeszcze tegoż 7 lipca dowództwo armii 1-ej.

Połowa tego luksusu, t. zn. choćby dywizja, mogłaby spokojnie zastąpić bezczynnie stojącą 10-tą dywizję gen. Żeligowskiego, którą, jakby umyślnie dla osłabienia północnego skrzydła pod Wilnem, ściągnięto ciężkim marszem z nad Jeziora Miadzioł, gdzie stała w związku z 8-mą dywizją; ściągnięto ją, jak wiemy, na południe, osłabiając grupę wileńską. A gdy sobie uprzytomnimy owe charakterystyczne dreptanie na miejscu 4-ej armii p. Sergiejewa przed «rozpylonymi» przez nas samych na 100 km przestrzeni dwiema dywizjami; gdy uprzytomnimy, że ani 11 lipca, ani 12-go, ani nawet może 13-go żadna z części innych armij sowieckich wmieszać się do boju nie mogła; gdy wreszcie weźmiemy pod uwagę, że pomimo oczywistej słabości obrońców Wilna była to jedyna na całym długim froncie gen. Szeptyckiego atakująca grupa, której atak nie był nawet bez powodzenia — to łatwo sobie wyobrazić można, że przy tej zupełnie możliwej do okazania pomocy, zgodnie ze wskazaniami i rozkazami naczelnego wodza, mogłoby być odniesione zwycięstwo nad drepczącą nieśmiało 4-tą armią p. Sergiejewa; zwycięstwo nad tą właśnie armią, która w dalszym rozwoju operacji decydowała stale i zawsze, aż do Warszawy, o nieustannym, nieprzerwanym cofaniu się frontu gen. Szeptyckiego. Lecz na poddanie się jasne i wyraźne woli nieprzyjaciela jeszcze dotąd nigdzie na wojnie nie znaleziono lekarstwa!!

## VII

Dwie bitwy, które zanalizowałem, rozstrzygnęły losy kampanii, dowodzonej przez p. Tuchaczewskiego, aż do Warszawy. Pierwsza z nich, 4 i 5 lipca, stoczoną została z całą naszą 1-szą armią, gdy większość naszych wojsk, 4-ta armia i grupa poleska, stały bezczynnie, nie przeszkadzając nieprzyjacielowi

w odniesieniu nad nami pół-zwycięstwa przeważającymi siłami. Druga, od 11 do 14 lipca, toczona była z małą zupełnie cząstką naszych wojsk wtedy, gdy cała reszta frontu w żadnych bojach nie brała udziału. Obie te bitwy otworzyły drogę nie dla «gros» p. Tuchaczewskiego i nie dla jego taranu, lecz dla najbardziej północnej części jego wojsk, 4-tej armii z grupą jazdy. Odtąd wszystkie próby zatrzymania nieprzyjaciela rozstrzygane były z jego strony w ten sam sposób, jak rozstrzygniętą została bitwa pod Wilnem. P. Sergiejew ze swoją armią i jazdą, idąc od Wilna już względnie wąskim korytarzem, systematycznie obchodził północne skrzydło naszych wojsk, jakby jakaś boczna awangarda, ciągnąca za sobą resztę sił sowieckich. Każde takie obejście rozstrzygało, jak pod Wilnem, o próbach oporu wpierw w 1-ej armii, która się cofała, za nią spieszyła również wycofać się południowa 4-ta armia. Wobec istnienia na skrajnym skrzydle wojsk sowieckich jazdy, te rozstrzygnięcia przybierały niekiedy rozmiary właściwie klęsk, gdy szybkość w opanowaniu terenu uderzała w wyobraźnię. Próby oporu z naszej strony były właściwie epizodami, które pod względem strategicznym były bliźniaczo podobne do siebie. Pomimo, że p. Tuchaczewski poświęca najrozmaitszym swoim kombinacjom podczas swego pochodu ku Wiśle względnie dużo miejsca, pomimo także, że i naszej stronie tworzono mnóstwo najrozmaitszych kalkulacyj i kombinacyj, nie chcę poświęcać ze swojej strony miejsca dla ich analizy. Wszystkie bowiem te próby miały charakter zupełnie jednakowy i zasadniczo naszego rozkładu strategicznego w niczym nie zmieniały. Były one stale jak gdyby rozpaczliwymi skutkami pierwszych niepowodzeń. Wobec zaś tego, że pierwszy bój był — jak próbowałem wykazać — pół-zwycięstwem, drugi zaś pod Wilnem był na pół przypadkiem, historyk wojen zawsze zastanawiać się będzie nad dziwną zagadką, ukrytą w znaczeniu takich bojów.

Ruch wojsk p. Tuchaczewskiego po otwarciu drogi dla 4-ej armii i jazdy trwał nieustannie. Przeciętna przestrzeń na jeden dzień aż do Warszawy i jej okolic wypada około dwudziestu kilometrów, więc prawie jeden marsz dzienny. Takie długie marsze, przerywane jednak bojami, stanowić mogą zaszczyt zarówno dla armii, jak i dla dowódców.

Specjalnie zaś główny wódz, który ma dosyć sił i energii, woli i umiejętności, by podobnych prac wojennych dokonywać, nie należy do miernot i przeciętnych. I, do prawdy, szczerze wolałbym teraz, gdy o tym piszę, dostrzec w dziełku p. Tuchaczewskiego, zamiast dziwnych przesadnych określeń i nie-

smacznych wymyślań, metodę dowodzenia i organizację tego pięknego marszu. Powinszuje mu go każdy historyk i każdy analityk. Wpływ tego marszu był olbrzymi. P. Tuchaczewski chce go porównać w jednym ze swych strategicznych orzeczeń do marszu armii niemieckiej w kierunku na Paryż. Istotnie, ten nieustanny robaczkowy ruch większej ilości nieprzyjaciela, przerywany od czasu do czasu jak gdyby skokami, ruch, trwający tygodnie, sprawia wrażenie czegoś nieodpartego, nasuwającego się, jak jakaś ciężka potworna chmura, dla której przegrody się nie znajdzie. Jest w tym coś beznadziejnego, łamiącego wewnętrzne wartości człowieka i tłumu. Przypominam sobie rozmowy, które w owych czasach toczyłem. Jeden z generałów, z którym często mówić musiałem, prawie co dzień rozpoczynał swą rozmowę i raport słowami: «ależ marsz! ależ marsz!». Było coś w tym z podziwu i coś z goryczy bezsilności. Na wojskowych marsz taki robi wrażenie jakiegoś potwornego kalejdoskopu, w którym co dzień układa się jakaś nowa sytuacja, z nowymi nazwami punktów geograficznych, pomieszanych z numerami pułków i dywizyj, nowym układem czasu, nowym obliczaniem przestrzeni. I chociaż ten poczwarny kalejdoskop przesuwa obrazy powoli, lecz swą nieodpartą jednostajnością ruchu po pewnym czasie czyni chaos niezakończonych kontrkombinacyj, niewypełnionych rozkazów i raportów, niezwiązanych z nową, już istniejącą realnie sytuacją.

Pod wrażeniem tej nasuwającej się chmury gradowej łamało się państwo, chwiały się charaktery, miękły serca żołnierzy. Wszędzie dookoła wpływ tego marszu widziałem. I gdy już poprzednio wspomniałem o takim samym wpływie jazdy Budiennego, to teraz marsz nieustanny p. Tuchaczewskiego przewyższył znacznie swym znaczeniem i wpływem poprzednie wypadki. Dla naszej polskiej strony pod wpływem wydarzeń wytwarzał się coraz wyraźniej i coraz jaśniej poza frontem zewnętrznym front wewnętrzny, który swą siłą we wszystkich historiach wojen był zwiastunem klęski i największym czynnikiem przegranej nie bitew, lecz wojen. P. Tuchaczewski chce porównywać swój marsz ku Warszawie z marszem Niemców ku Paryżowi. I tam niechybnie powstawać musiał front wewnętrzny, front nieodpieralnego rozumu bezsilności i mędrkowania tchórzów i słabych, lecz Paryż, który tyle prób w historii swojej zwycięsko przebył, nie był Warszawą, ledwie wyłonioną z błota wiekowej niewoli — niewoli, gdy wiek cały tryumf święciły rozum bezsilności i mędrkowania tchórzów. Więc front wewnętrzny był silniejszy, niż w 1914 r. w Paryżu,

a opór przeciwko podszeptom trwogi i natchnieniom bezsilności był mniejszy i słabszy. Państwo trzeszczało, wysiłki wojsk rozdrabniały się w odruchach, a praca dowodzenia z dniem każdym była trudniejszą i cięższą moralnie. Niechybnie, wśród powodzi trwogi, bezwładu i bezsilności były próby zorganizowania elementu walki i elementu siły, lecz nie trzeba ich historycznie przesadzać. Nie miały one wcale żywiołowej potęgi i mocy, a osłabione były krzykactwem i nadmiarem bezładu organizacyjnego. Dla krzykactwa rzucono hasło nonsensowe nowej armii ochotniczej, armii, w której przede wszystkim wyrastały w nonsensie organizacyjnym liczne sztaby, przepełnione nowymi prowenistami. Zdołałem zatrzymać ten nonsens, nakazując podstawę organizacyjną tylko batalionową i dozwalając z najsilniejszych i najmniej krzykliwych elementów sformować jedną tylko dywizję ochotniczą, która zresztą, jako taka, do końca wojny dzieliła los razem z innymi dywizjami.

Ten proces rozkładu sił, ten proces łamania się woli u nas, zdaniem moim, był największym tryumfem, który przypisać mogę p. Tuchaczewskiemu. Tym marszem ku Warszawie, żywionym niechybnie jego wolą i siłą pracy, jako dowodzącego, złożył p. Tuchaczewski dowód, że musiał wyrosnąć nad przeciętność i pospolitość. Lecz gdy książeczkę jego przerzucam, znajduję raz po raz jakieś świadome czy nieświadome fałsze, którymi upiększa niepotrzebnie swój marsz. Dla charakterystyki tych niepięknych piękności wskażę na romans czy bajkę z tysiąca i jednej nocy, tyczącą się Grodna i Niemna. Czego tam nie ma! Jakaś dziwna, nieznana w naszej historii, koncentracja z zachodu i wschodu prawie sześciu naszych dywizyj na Grodno. Jakieś dziwadło ruchów, których nie było w istocie, i ogromne mnóstwo słów i jeszcze raz słów o «pieszych masach», o «zmiażdżeniach», o dziwnych manewrach i kontrmanewrach, które wreszcie są zakończone «ostatecznym rozbiciem i zdemoralizowaniem» biało-Polaków. Gdy się czyta ten romans, który się dzieje w wyobraźni p. Tuchaczewskiego — a tych romansów p. Tuchaczewski tworzy w swym dziełku dość dużo — rzuca się z pewnym niesmakiem książkę. Po co tyle pajaca w wielkiej dziejowej pracy wojny!

Historia Grodna jest prosta. Gdy «wrota wileńskie» przed armią p. Sergiejewa i jego jazdą się otworzyły i gdy 2-ga litewsko-białoruska dywizja w przeważnej swej części uległa w podwójnej wojnie z Sowietami i Litwą, jazda prostym ruchem, paru szwadronami straży przedniej, zajęła Grodno. Grodno, dla upiększenia życia wojennego fortecą zwane, fortecą zre-

sztą tylko w pojęciu literatury naszej i sowieckiej, gdzie łatwo o «place d'armes» bez kolei, o fortyfikacje bez drutów kolczastych, o huraganowy ogień z kilku podpsutych armat i o fortecę z «rozpylonymi» fortami, które i teraz oglądać każdy może. W ten sposób jazda p. Sergiejewa prześcigała znacznie lewe skrzydło naszej 1-ej armii, która nie dla żadnych koncentracyj koło Grodna, lecz dla zwyczajnego, niezmiennego obsadzenia linii Niemna i Szczary, równoległymi znowu drogami cofała się od modrej Wilii ku szaremu jej kochankowi — Niemnowi. Na skrajnym zaś skrzydle, gdy 2-ej dywizji litewsko-białoruskiej zabrakło, cofały się dwie dywizje, 8-ma i 10-ta, których ani «rozpylić», ani «zmiażdżyć», ani «doszczętnie rozbijać» raz jeszcze ani p. Tuchaczewski, ani p. Sergiejew nie potrzebował, gdyż przecie w swojej drodze od Sedanu w Hermanowiczach—Szarkowszczyźnie były w książkach obu autorów «miażdżone» i «rozpylane» co najmniej pięć razy. Wbrew temu nadmiarowi klęsk, które w książkach p. Sergiejewa i p. Tuchaczewskiego poniosły, spełniły i tym razem swój żołnierski obowiązek. A będąc pod rozkazami gen. Żeligowskiego, który dotąd tego ogromu publicystycznych klęsk nie odczuwał, musiały obie dywizje, gdy dojście nawet do Niemna było dla nich zamknięte, drogę sobie ku Niemnowi otworzyć. I jak ongiś 6 lipca w Duniłowiczach, tak po paru tygodniach pod Grodnem gen Żeligowski wraz z płk. Burhardt-Bukackim, dowodzącym 8-mą dywizją, wahali się, czy drogi tej ku Niemnowi nie otwierać w Grodnie, zajętym już przez jazdę sowiecką. Gdy zaś udało się przejście koło Łunnej Woli otworzyć, zaniechali boju o Grodno, przechodząc przez Niemen ku zachodowi.

Tak samo bajką, a nie historią, jest koncentracja sił naszych ku Grodnu od zachodu. Poza kilku batalionami, na gwałt rzuconymi dla zasłonięcia najbardziej północnego skrzydła na nowej linii Niemna i Szczary, zdołano jeszcze na czas przywieźć z Polesia jedną brygadę 9-ej dywizji, którą skierowano pod Grodno, jako na punkt najsłabszy długiej linii frontu gen. Szeptyckiego. Jest to zresztą jedyny wypadek wzmocnienia rozrzedzonej kosztem południa północnej części tego frontu.

Oprócz grodzieńskiej bajki jest nie mało i innych bajek u p. Tuchaczewskiego. Jest ich tak dużo, że każdej z nich prostować nie sposób. Nie mogę jednak nie być względnym jako analityk i historyk dla p. Tuchaczewskiego. Miał on na pewno w ręku różne daty i dane, tyczące się naszej strony czy w zeznaniach jeńców, czy to z takich, czy innych dokumentów, wziętych przez jego wojska w tej epoce. A wobec niechybnej ich sprzeczności pomiędzy sobą, daty te i dane reprezentowały

może dość wiernie ten chaos w ocenach sytuacji i prób kontrmanewrów, jaki istniał u nas w owe czasy. Mógł zarazem czerpać z tego prawdopodobnie obfitego materiału wszystko, co zechciał. Sam ja, naczelny wódz wojsk polskich, z pewnym podziwem i poczuciem krasy nowości odnajduję teraz przy mych pracach dokumenty i pisma, nieznane mi wcale z czasów pochodu p. Tuchaczewskiego ku Warszawie. Ba, nie uważam tego wcale sobie za ujmę, gdyż w owe czasy, nie poddając się wcale nastrojom trwogi bezwładności, zatrzymałem się w stosunku do frontu, dowodzonego przez gen. Szeptyckiego, na zupełnie określonej decyzji i szukałem dróg dla zatrzymania pochodu ku Wiśle czy Warszawie za pomocą jedynego sposobu — kontrataku. Dla charakterystyki mego stosunku w tych sprawach przytaczam dosłownie notatkę moją, uczynioną na jednym z dokumentów historycznych, zatytułowanych «Sprawa generała Szeptyckiego», notatkę, napisaną w r. 1921, więc przy świeższej znacznie pamięci, niż to jest obecnie.

«Co się tyczy — pisałem w tej notatce — wszelkich operacyj na północy od przegranej na Aucie i Berezynie, muszę powiedzieć, że uważałem za względnie bezcelowe rozważanie szczegółowe tych czy innych decyzyj. Zasadniczo wróciłem do idei niemieckich okopów i silnego lewego skrzydła poza okopami pod Wilnem. Lecz przy pierwszych atakach na 4-tą armię przestałem wierzyć w wykonanie tego planu, a to dla przyczyn następujących. Wykonanie tego planu z jego konsekwencjami wymagało: a) bardzo szybkiego odwrotu z poświęceniem wielu rzeczy dla wygrania czasu, b) uporządkowania choć trochę oddziałów, c) co główne dla podniesienia «morale» i znaczenia nowej ery dla wojska, wyznaczenie nowych dowódców. Rozmyślałem nad tym wszystkim parę dni i dałem święty spokój, a to dla przyczyn następujących: 1) panika na tyłach, nawet dalekich od frontu, zaczęła się od razu, usposabiając bardzo popłochowo wojska i nie wróżąc wielkiego powodzenia dla pracy tyłowej i kolejowej; 2) stosunki personalne w armii i specjalnie pośród wyższych oficerów należały do najgorszych, jakie kiedykolwiek przy studiach historycznych znałem. Zmiany więc w większym stylu, przy złym moralnym stanie już wtedy w całym kraju — mogłyby doprowadzić do katastrofy organizacyjnej i tak zawsze wiszącej nad moją głową; 3) odruch moralny, jaki miałem i nad którym zastanawiałem się najdłużej, było wyjechać samemu na front i objąć tam dowództwo bezpośrednio. Z przykrością niezmierną dla siebie odrzuciłem i ten projekt. Główną przyczyną tego było poczucie, że stan moralny kraju całego zaczynał być tak fatalny dla

celów wojny, nastrój popłochowy i nerwowy tak napięty i wielki, że od tego czasu poza frontem zewnętrznym zacząłem mieć, jako poważny minus w moich kalkulacjach, front wewnętrzny. Nie chciałem usunąć się od odpowiedzialności, co byłoby rzeczą łatwą. Uznałem wtedy, że narazie miejsce moje jest w Warszawie dla zmiany «morale» wewnętrznej i trzymania frontu wewnętrznego, chociażby dobrą miną i zupełną pewnością siebie. Nie uważałem więc za możliwy odjazd swój na dłuższy czas. Wobec tego wszystkiego ogólną strategiczną myślą moją od tego czasu było — aż do sierpniowych dni pod Warszawą — 1) front północny wygrywa tylko czas — 2) w kraju energiczne przygotowanie rezerw — dyrygowałem je wtedy na Bug, bez plątania ich w walki odwrotowe frontu północnego, 3) skończenie z Budiennym i ściągnięcie z południa większych sił dla kontrataku, który planowałem z okolic Brześcia. Uparcie do końca trzymałem się tej zasadniczej myśli».

Pominąwszy notatkowy styl uwag na marginesie dokumentów, oddają one ściśle moje, naczelnego wodza strony polskiej, rozważania. Jeżeli tak myślałem zaraz po pierwszym boju 4 i 5 lipca, to tym silniej utwierdzałem się w tym mniemaniu, gdym widział bezowocność wszelkich usiłowań zmiany nonsensowego strategicznego rozkładu wojsk naszych na północnym froncie. Już po utracie Wilna przyszedłem do przekonania, że momentem zmiany dowódców na północnym froncie będzie przejście przez nasze wojska Bugu i Narwi. Przypuszczałem, że większa ilość wojsk na Polesiu, prawie niezaangażowanych przy cofaniu się w bojach, utrzymać zdoła Brześć i okolice i w ten sposób osłonić zdoła koncentrację wojsk od południa dla silniejszego uderzenia. Koniecznym jednak warunkiem dla tej koncentracji było usunięcie z góry silnego atutu, który posiadał przeciwnik w jeździe Budiennego. Z piechotą nieprzyjacielską na południowym naszym froncie liczyłem się bardzo mało. Po klęsce, którą zadałem na polach Ukrainy 12-ej armii sowieckiej, piechota nieprzyjacielska nie wykazywała wielkiej siły i była właściwie dodatkiem do pracy konnej armii Budiennego. Parę nowych dywizyj, które na tym froncie się ukazały, pomimo, że jedna z nich nosiła dumną nazwę «żelaznej», prędko wyszarpały swe «żelazo» w bojach z naszą 3-cią armią (gen. Rydza-Śmigłego) i straciły energię i ochotę do walki. Kołem rozpędowym wojny na południu była jazda Budiennego i nie sądziłem, by mi było trudno, po usunięciu lub przynajmniej znacznym unieszkodliwieniu tej jazdy, wyciągnąć większe siły z południa, by je skoncentrować gdzieś

pomiędzy Kowlem a Brześciem i wraz z grupą poleską, mało bojami zmęczoną, przejść do kontrataku w kierunku północnym.

W tych swoich rozważaniach brałem również pod uwagę stan moralny wojska. Gdy na północy obserwowałem stale postępujący rozkład sił moralnych, to na południu, odwrotnie, spostrzegałem jak gdyby stężenie moralne i wzrastającą ufność w przezwyciężenie kryzysu. Tam długi front cofał się i łamał z przyczyn często drobnych, a wojska cofały się nieraz bez boju i często w nieładzie; na południu wojsko wykazywało zdolność stałą do manewru i powracało ustawicznie do walki i boju. Boje zaś, choć nie były nawet zwycięskimi, codziennie zmniejszały siły głównego przeciwnika, Budiennego, siły, bardzo trudne dla niego do odnowienia. Duża i z każdym dniem wzrastająca różnica wartości militarnej naszego południa w porównaniu z północą z wielką wyrazistością uwidoczniała się w przestrzeniach, które w odwrocie oddawano przeciwnikowi. Istotnie, jeżeli za datę wyjściową dla porównania weźmiemy datę 4 lipca, gdy bój na północy się rozpoczął, i zatrzymamy się na dacie 20 lipca, gdy wojska północy osiągnęły mniej więcej linię Niemna i Szczary, to cyfry łatwo zilustrują słuszność mego poglądu. W armii 1-ej, np. dywizja 10-ta przeszła w tym czasie w odwrocie 395 km. W armii 4-ej wzięta dla przykładu 2-ga dywizja legionów miała odwrotowy przemarsz 295 km. W tym samym czasie odpowiednie cyfry dla dla trzech armij na południu, 6-ej, 2-ej i 3-ej, wynoszą 100, 80 i 130 km. Cyfry te są wymowne, a z każdym dniem i z każdym kilometrem stawały się wymowniejsze. Dodam, że organizacja liczniejszego korpusu jazdy z naszej strony, co się odbywało w Zamościu i okolicach, szła wprawdzie powoli, lecz zbliżała się ku końcowi. Wyjeżdżałem tam, by pracę organizacyjną przyspieszać i nadążyć z użyciem jazdy w odpowiednim czasie. Liczyłem więc, iż mogę z pewnym prawdopodobieństwem rachować, że gdzieś w końcu lipca będę mógł przystąpić do decydujących operacyj. Na Bug i Narew wysłane zostały poszczególne bataliony ochotnicze i uzupełnienia dla cofających się 1-ej i 4-ej armij i około 25 lipca nakazałem koncentrację sił na południu dla uderzenia na jazdę Budiennego. To uderzenie podjąć miała z północy 2-ga armia z okolic Beresteczka, dokąd skierowane zostały świeżo zorganizowane dywizje jazdy. Od zachodu części 6-ej armii miały w tym ataku brać udział.

Niestety, koncentracja szła tak powoli, a początki boju, który się w okolicach Beresteczka rozwijał, były tak niewy-

raźne, że choć jazda Budiennego, silnie szarpnięta podwójnym atakiem, zmuszona była do cofania się, to bitwa nie wydawała mi się taką, abym mógł liczyć na szybkie i decydujące jej rezultaty.

Nie mogłem osobiście, jak zamierzałem, dojechać do wojsk walczących. Po drogach, rozmiękłych po parodniowych deszczach, mój samochód odmówił posłuszeństwa. A gdym niecierpliwie śledził przebieg boju w Chełmie, w kwaterze dowodzącego frontem gen. Rydza-Śmigłego, nieprzyjaciel zdobywał już na północy Łomżę i w szybkim tempie zbliżał się do Bugu i Brześcia. Pamiętam — 30 lipca kazałem zapytać gen. Sikorskiego, dowodzącego w Brześciu, na jak długo liczyć mogę, że obroni Brześć i jego okolice? Było to dla mnie ważne, gdyż rozmyślnie zostawiłem na Stochodzie części 3-ej armii dla osłony od wschodu całego rejonu Kowla, gdzie w tym czasie zamierzałem koncentrować siły do kontrataku, gdy uda mi się skończyć z Budiennym. Odpowiedź brzmiała pocieszająco. Gen. Sikorski sądził, że uda mu się zatrzymać w Brześciu i okolicach do 10 dni, a zatem — jak sądziłem — pomimo powolnie rozwijającej się operacji przeciw jeździe nieprzyjacielskiej, uda mi się ją zakończyć. Niestety, obliczenia gen. Sikorskiego okazały się złudnymi. Brześć padł nazajutrz, 1 sierpnia. Brześć upadł, a z nim razem i cała moja kalkulacja. Jeżelim często przy analizach był złośliwym w stosunku do zbytniego związywania się w pracy dowodzenia z nazwami geograficznymi, figurami geometrycznymi i szumnie brzmiącymi słowami z terminologii strategii i taktyki, to nieraz już starałem się być złośliwym i w stosunku do siebie, szukając, czym nie wpadł w taką zasadzkę w związku z Brześciem. Po upadku tej niby fortecy, dobę całą przetrzymałem, nie zmieniając rozkazów, pomimo, iż dowódca 3-ej armii, gen. Zieliński, znajdował się w Kowlu, miejscu mojej koncentracji, z otwartą zupełnie flanką ku północy. W dodatku zaś od wziętego przez nieprzyjaciela Brześcia prowadziła bita szosa do Kowla, droga dwa razy krótsza i dogodniejsza, niż droga spod Brodów i Beresteczka, gdzie zgromadzone były znajdujące się w nierozstrzygniętym jeszcze boju moje siły, których mógłbym użyć do planowego kontrataku. Szło o to, czy cofnąć osłonę od wschodu, rozciągniętą wzdłuż Stochodu i górnego Styru, i wyrzec się w ten sposób dawniej planowanego uderzenia ku północy wzdłuż wschodniego brzegu Bugu, czy upierać się dalej przy swoim zamiarze? Niechybnie, upadek Brześcia, z którym tyle wiązałem, wywarł na mnie silne i głębokie wrażenie — tak był

niespodziewany i nieoczekiwany. Lecz po dobie wahania się i rozmyślań pożegnałem się ze swoją ideą i dałem rozkaz ewakuacji Kowla i cofnięcia 3-ej osłaniającej armii na Bug.

## VIII

2 sierpnia wróciłem z Chełma do Warszawy. Znalazłem ją w znacznie trwożniejszym nastroju, niż ją zostawiłem przy odjeździe. Istotnie, ostatnia rzeczna przegroda, osłaniająca Warszawę od północy i wschodu — Narew, była prawie w posiadaniu nieprzyjaciela. Już nazajutrz padła Łomża i cała 1-sza nasza armia cofała się ku stolicy. Na Bugu stały jeszcze w gorącej walce wojska naszej 4-ej armii i grupy poleskiej. Lewe skrzydło tej armii było już silnie zagięte wzdłuż Bugu ku zachodowi, wobec posuwania się naprzód 15-ej i dużej części 3-ej armii sowieckiej. Dalej ku południowi, też na Bug, w stronę Chełma, Hrubieszowa i Sokala cofały się dobrowolnie z mego rozkazu 3-cia i części 2-ej naszej armii. Bój z jazdą Budiennego zamilkł. Brody zostały przez nas na Budiennym zdobyte i pomimo, że w ostatniej fazie boju jazda nasza pod Klekotowem nieco ucierpiała, konna armia Budiennego nie miała siły po tym boju rozpocząć natychmiast zaczepnych operacyj. Ogólny więc rozkład strategiczny nie zmienił się zasadniczo w niczym. Jak dawniej od 4 lipca, północ stała u nas gorzej, niż południe, i zgodnie z dotychczasową receptą działań wojennych oczekiwać można było, że z chwilą, gdy p. Sergiejew ze swoją 4-tą armią gdziekolwiek odniesie zwycięstwo, zacznie się cofać naprzód nasza 1-sza armia, za nią 4-ta. Nasze zaś południe, które świeżo odniosło pół-zwycięstwo nad Budiennym, zostawione będzie swemu losowi.

Była jednak dla obu stron zasadnicza różnica w sytuacji strategicznej w porównaniu ze wszystkimi poprzednimi. Po pierwsze, wojska sowieckie zbliżały się ku stolicy polskiej, ku Warszawie, co niechybnie obciążało niezmiernie nasze położenie, dając strategiczną przewagę przeciwnikowi. Zrównoważyć tej przewagi nie mogła okoliczność, że po raz pierwszy od tak dawna mieliśmy konną armię Budiennego, na pół pobitą, przed swoim frontem, a nie tak, jak zawsze, na tyłach. Lecz może więcej wpływał na zmianę sytuacji strategicznej stron obu fakt, że pomiędzy północą a południem przestawała już istnieć ogromna bariera strategiczna w postaci Prypeci, otoczonej błotami. My, Polacy, wszystkie wygody ominięcia tej bariery mieliśmy po swojej stronie, odwrotnie — wojska so-

wieckie miały jeszcze przed sobą Bug, który krępował swobodę manewrowania wszystkimi siłami.

To też, gdy przejrzymy dziełko p. Tuchaczewskiego, znajdziemy, że chce on przypisać swoje niepowodzenie pod Warszawą głównie tej okoliczności, iż nie mógł zjednoczyć w jednym wysiłku pracy północy i południa. Rozważaniom nad swoją sytuacją i naszą polską przy zbliżaniu się ku Wiśle poświęca p. Tuchaczewski całe dwa rozdziały. Trudno mi prostować wszystkie błędy w danych p. Tuchaczewskiego o nas. Błędów tych jest bardzo dużo i musiałbym, wbrew swemu zamiarowi, przedłużać zanadto moją pracę. Nie chcę zaś podjąć się prostowania wszystkich orzeczeń p. Tuchaczewskiego również ze względu na to, iż oba rozdziały noszą na sobie zrozumiałe zresztą piętno szukania usprawiedliwienia siebie z powodu klęski, którą poniósł, idąc ku Wiśle, pod Warszawą. Zatrzymam się potem na niektórych bardziej rażących błędach i przejdę do oceny rzeczowej rozważań strategicznych p. Tuchaczewskiego.

Jak mówiłem, widzi on główną przyczynę swojej klęski w braku współdziałania pomiędzy nim a południową częścią wojsk sowieckich — 12-tą i 1-szą konną armią. Nie wydaje mi się słusznym to narzekanie. Istotnie, p. Tuchaczewski stwierdza, że już dawniej miał przyrzeczenie głównego dowódcy, iż po minięciu Brześcia, a więc linii Bugu pod jego dowództwem złączone będą wszystkie siły, działające przeciwko Polsce. Lecz Bug przez południe nie był ominięty i nieprzyjaciel wszędzie próby sforsowania Bugu na południu od Brześcia zwycięsko odparł. Więc p. Sergiejew, który także się nad tą kwestią zastanawia, jest nieco sprawiedliwszy, gdy mówi: «Niepowodzenia pod Chełmem i Hrubieszowem pokazały, że 12-ta armia przejdzie tylko tam, gdzie ją puści przeciwnik». To samo, gdy dalej zaznacza, że «niepowodzenie pod Brodami musiało już doprowadzić do wątpliwości w rozważaniach («nawiesti na rozmyszleńja») — (str. 102, 103, Sergiejew l. c.). Narzekania p. Tuchaczewskiego istotnie są dziwne. Cóżby on powiedział, gdyby usłyszał narzekania, np., Budiennego, że w chwili, gdy on również swój pochód ku Wiśle czynił i dochodził do Zamościa, to p. Tuchaczewski, wówczas już rozbity pod Warszawą, nie pomagał mu w jego dumnych zamiarach. P. Budienny miałby zupełnie taką samą rację, narzekając na p. Tuchaczewskiego, jak p. Tuchaczewski, gdy narzeka na p. Budiennego. Jazda Budiennego w owym czasie była w części rozbita i odchodziła ku wschodowi, by zalizywać swe rany. W zdobytych na tej jeździe Brodach, my, Polacy, mogliśmy

swobodnie bez przeszkód jakichkolwiek załadować 18-tą naszą dywizję, która Brody zdobyła, i wywieźć ją najspokojniej do zagrożonej Warszawy. Zostawała tylko na razie 12-ta armia, o której już nieraz wspominałem, że po klęsce, którą jej zadałem na polach Ukrainy w kwietniu, nie miała do końca wojny wielkiej wartości wojennej. I ciesząc się, że u p. Sergiejewa spotykam taką samą jej ocenę, stwierdzam, że podczas całego boju pod Warszawą nie mogła ona złamać oporu nie trzech dywizyj, które wtedy jeszcze miała naprzeciw siebie, lecz i jednej tylko naszej dywizji (7-ej), która do końca bitwy warszawskiej pod Chełmem osłaniała prawe skrzydło naszego kontrataku z nad Wieprza. Jedno z dwojga — albo p. Tuchaczewski, licząc na współdziałanie południa, musiał nań poczekać, względnie mu pomóc, albo też nie narzekać potem, gdy zdecydował się rozpocząć ostateczny «pochód za Wisłę» bez możności posiadania efektywnej pomocy z południa.

Tym czasem p. Tuchaczewski, licząc na to współdziałanie, nie tylko decyduje ruch naprzód, lecz rozkazem swym z 8-go sierpnia oddala swe wojska najwyraźniej ku północy, obchodząc głównymi siłami (dwiema armiami) nawet Warszawę, jak gdyby uciekając od tego współdziałania, na które liczy. Otrzymał on zresztą jako pomoc najbardziej północną dywizję 12-ej armii (58-mą), która podchodziła do Włodawy trochę na południe od Brześcia. Wyznaję, że zarówno podczas samej wojny, jak i teraz, gdy ją analizuję, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że p. Tuchaczewski wcale na współdziałanie nie liczył. Wyznaczył on bowiem sobie cele tak dalekie, jak forsowanie Wisły pomiędzy Płockiem a Modlinem, jak to widzę z jego rozkazu, który czytam teraz dopiero. Taki zaś cel niepodobna było wiązać z drepczącą nieśmiało przed Bugiem 12-tą armią, ani z nadszarpaną armią Budiennego, która dobrych kilka dni po niepowodzeniu pod Brodami nie dawała o sobie znaku życia. Jeżeli nawet skoncentrowanie wojsk sowieckich pod Warszawą, czego, nawiasem mówiąc, oczekiwałem, odsuwało p. Tuchaczewskiego ku zachodowi o 200 z górą kilometrów od 12-ej armii nad Bugiem, to «pochód za Wisłę» w dolnym jej biegu poza Warszawą (czego wcale nie czekałem) dodawał do tej przestrzeni jeszcze jakąś dobrą setkę kilometrów, czyniąc już zupełnie iluzorycznym współdziałanie z pozostałą gdzieś daleko ku wschodowi 12-tą armią.

W początkach swej pracy, charakteryzując p. Tuchaczewskiego, mówiłem, iż widzę w nim typ wodza, zbyt jednostronnie zaabsorbowanego własnym jedynie zadaniem i własnymi myślami. Typ ten nazywam typem doktrynera, dla któ-

rego napoleońska «réalité des choses» rzadko istnieje. Przypuszczam, że i w tym wypadku p. Tuchaczewski spokojnie znegliżował stan rzeczy na południu od swych armij i spokojnie nad niebezpieczeństwem, mu grożącym, przeszedł do porządku dziennego. Drugie zapomnienie o «réalité des choses» wyrażało się, jak mi się zdaje, w negliżowaniu przeciwnika, którego w wyobraźni swojej, jak i w książce, tak często «miażdżył», «rozgramiał» i «rozpylał». Miał co prawda, w tej sprawie niemałe usprawiedliwienie. Dotąd walcząc z gen. Szeptyckim, «pochód ku Wiśle» przeprowadzał względnie bardzo łatwo i wszystkie próby oporu właściwie łamał wysiłkami jednej 4-ej armii. Umiał on zresztą skoncentrować często przeciw jednej 1-ej naszej armii przeważające siły, a zostawiał przeciwko reszcie naszego wojska małą część swych wojsk, jak gdyby był zupełnie pewnym, że z naszej strony żadnej niespodzianki spodziewać się nie może. Lecz gdy p. Tuchaczewski w dziełku swoim nad sytuacją się zastanawia, wpada zawsze w dziwną sprzeczność. Z jednej więc strony, wierząc w «zmiażdżenie», tak często powtarzane, stwierdza, że było to już nie wojsko, z którym wypadło nam się mierzyć w lipcu tegoż roku, gdyż było całkowicie zdemoralizowane. Poza «rozgromieniem» zaś wszystkie tyły były zawalone przez dezerterów. A obok tego w wyobraźni p. Tuchaczewskiego, dzięki zaostrzonym stosunkom klasowym, wszędzie wewnątrz Polski coś «głucho się burzyło» albo «kłokotało i burliło», czyli wrzało. Mógł więc negliżować takiego przeciwnika! Jednak p. Tuchaczewski w sposób, nawet przesadny i nieodpowiadający prawdzie, przedstawia szybki niesłychanie wzrost naszych sił wojennych w tym okresie. Dodaje przy tym, że nowe formacje «bez względu na swą młodość i brak wyszkolenia miały dostateczne zalety bojowe». Nawet jako jedną z przyczyn klęski pod Warszawą podaje on tę zwiększoną wartość wojenną naszego wojska. Znowu powiem, że sprzeczności takie, jawnie niezgodne z «réalité des choses», godzić może jedynie głowa doktrynera.

Wynikiem rozumowań i rozważań p. Tuchaczewskiego był rozkaz, dany przez niego 8-go sierpnia. Rozkaz ten jest powtórzony i u p. Sergiejewa. Czytelnik znajdzie jego streszczenie na str. 206—208 dziełka p. Tuchaczewskiego wraz ze szkicem nr 12, przedstawiającym, jak on wypełnienie tego rozkazu sobie wyobraża. Dodam, że rozkaz ten nam, stronie polskiej, był nieznany i skazani byliśmy na domysły, oparte na obserwacji ruchów nieprzyjaciela. Negliżowanie przeciwnika występuje w tym rozkazie nadzwyczajnie jaskrawo. P. Tuchaczewski wiedział, gdyż mówi o tym bardzo wyraźnie przy swo-

ich rozważaniach, że właśnie w Warszawie i jej okolicach, a włączam do nich i Modlin, koncentrowaliśmy możliwie wielkie siły dla obrony stolicy. Pomimo to p. Tuchaczewski skierowuje na Warszawę wraz z Modlinem dwie swoje najbardziej południowe armie. Dwie zaś północne, w tym najsilniejszą 15-tą, rzuca na obejście Warszawy, nakazując forsować Wisłę pomiędzy Płockiem a Modlinem. Robi więc manewr, przy którym siły jego, już oddzielone znaczną przestrzenią od armii 12-ej, pozostałej nad Bugiem, mają być jeszcze przepołowione szeroką i silną przegrodą Wisły. Trzeba mieć bardzo złe pojęcie o przeciwniku oraz o jego wartości wojennej, gdy się na tak niebezpieczny manewr zdobywa. Za osłonę od południa tego manewru mogła być uważana tzw. mozyrska grupa, którą p. Sergiejew liczy na dwie dywizje. Dodana do nich jest zbliżająca się, lecz znacznie jeszcze w tyle będąca, 58-ma dywizja, oddana p. Tuchaczewskiemu z 12-ej armii. Lecz w rozkazie grupa ta nie otrzymuje wyraźnego zadania osłaniania manewru, przeciwnie — p. Tuchaczewski nakazuje jej także «pochód za Wisłę» ze sforsowaniem jej w okolicach Dęblina.

Powtarzam — o wyjściu tego rozkazu ani jego treści nie wiedziałem wcale. Obserwowałem tylko ruch wojsk sowieckich, zbliżający je zewsząd ku Warszawie. Znając zaś wielkie znaczenie dla wojny każdej stolicy, przypuszczałem, że p. Tuchaczewski starać się będzie skoncentrować wszystkie swe siły do złamania naszego oporu i zajęcia Warszawy. Obserwowałem, co prawda, pewne ruchy jazdy p. Sergiejewa, nie zbliżające jej do Warszawy, lecz skierowujące jak gdyby północną armię 4-tą, albo przynajmniej jej jazdę, w kierunku wyraźnie zachodnim. Lecz przypisywałem ten ruch zamiarowi p. Tuchaczewskiego odcięcia nas od morza, tzn. od Gdańska, za pomocą jakiegoś zagonu jazdy, popartego jakąś częścią piechoty. W analizie p. Tuchaczewskiego znajduję również ten motyw, jako brany w rozważaniach w rachubę. Widocznie jednak p. Tuchaczewski przy wydaniu rozkazu Gdańsk zarzucił, gdyż 8-go sierpnia nakazuje on 4-ej północnej armii wystawić jedynie w kierunku Torunia słabą osłonę.

Jest jeszcze jedno dziwne nieporozumienie w rozważaniach p. Tuchaczewskiego o naszym postępowaniu. Twierdzi on mianowicie, że wywieźliśmy prawie wszystkie wojska z Galicji wschodniej, zostawiając tam tylko formacje ukraińskie Petlury i gen. Pawlenko wraz z jedną dywizją jazdy. Chociaż p. Tuchaczewski sam nieco wątpi i dodaje, że coś z pieszych dywizyj, jako resztki naszej armii, także mogło zostać, jednak, chwaląc nas w innym miejscu za taką śmiałość, szuka w tym

twierdzeniu, jak mi się zdaje, zwiększenia sił naszych, zebranych przeciwko niemu, a zarazem cięższego oskarżenia swoich południowych kolegów, że mu nie pomogli podczas klęski pod Warszawą. Tym czasem rzecz się wcale inaczej miała. Z naszej 6-ej armii odjechała tylko 18-ta dywizja i niewielka część jazdy. Natomiast 12-ta, 13-ta i połowa 6-ej dywizji zostały na miejscu, przybyła zaś 5-ta dywizja, mocno poturbowana na północy, którą kazałem odesłać do Lwowa dla uzupełnienia i reorganizacji, gdyż sformowaną była przeważnie z lwowian i Polaków, mieszkańców Galicji wschodniej. Wtedy zaś, gdy p. Tuchaczewski przygotowywał się do dania swego rozkazu, tzn. 6-go i 7-go sierpnia, naprzeciw 12-ej armii stały jeszcze najlepsze moje dywizje, 1-sza i 3-cia legionowe. Rozkład ten nie mógł być zupełnie nieznany p. Tuchaczewskiemu i jeśli przybycie do Warszawy 18-ej dywizji mogło ujść jego obserwacji, to cała reszta przesunięć, które nastąpiły dopiero potem, nie mogła stanowczo być brana w rachubę podczas tej decyzji 8-go sierpnia. Zatrzymuję czytelnika tak długo na tych wstępnych rozważaniach, gdyż w obu rozdziałach p. Tuchaczewskiego, poświęconych przygotowaniom do bitwy warszawskiej, trudno jest często doszukać się prawdy historycznej. Domieszał on bowiem w swym dziełku ogromną ilość żalu z powodu nieudanej operacji i mnóstwo argumentów i motywów, niezwiązanych z jego myślami przed wydaniem rozkazu 8-go sierpnia, lecz wynikających z wahań i analiz późniejszych.

Dziwnym zbiegiem okoliczności daty rozkazów zasadniczych dla bitwy warszawskiej są dla obu stron jednakowe, różnicę stanowią zaledwie dwie doby, gdyż nasz rozkaz został wydany dn. 6-go sierpnia. Przede wszystkim sprostować chcę dziwaczne twierdzenie, jakoby z tą datą związana była jakaś rada wojenna, gdyż wszystkie zasadnicze decyzje w ciągu wojny pobierałem sam, nie zwołując nigdy żadnej rady. Gdym 2-go sierpnia wrócił z południa, z Chełma, do Warszawy, zastałem — jak już wspomniałem — stan bardzo trwożny. Odczułem natychmiastowy nacisk na mnie całego wojennego otoczenia, abym przystąpił do dania nowych decyzyj, gdy nasza stolica, Warszawa, była zagrożona. Nie było bowiem w owym czasie wyjątków w sądzie, że Warszawa, a nie co innego, jest celem operacji p. Tuchaczewskiego. Stan wszystkich odpowiedzialnych czynników, zarówno wojskowych, jak i cywilnych, był bardzo nerwowy. Stale od miesiąca trwające niepowodzenia, ze wszystkimi moralnymi i materialnymi skutkami klęsk, ciążyły niezmiernie silnie, jak zwykle w takich wypadkach, na wszystkich wojskowych. Co do mnie osobiście, będąc

zdecydowanym walczyć do ostatka, byłem jednak także pod wrażeniem świeżo nieudanej kombinacji, związanej z planem kontrataku z pod Brześcia, i w pierwszej chwili nie widziałem po prostu żadnego rozsądnego rozstrzygnięcia. Dlatego też odrzuciłem od razu wszelki nacisk na siebie i zapowiedziałem swą decyzję na dzień 6-go sierpnia. Już w tym wyborze daty, uważanej przeze mnie za szczęśliwą, bo związaną z moją niedawną przeszłością — dniem wymarszu w 1914 r. z Krakowa na wojnę — każdy analityk łatwo dostrzeże poczucie niepewności siebie, jak gdyby rozchybotania moralnego. Minęły bowiem dawno te czasy, gdy wodzowie mieli koło siebie wróżbitów, określających dnie szczęśliwe i feralne. Śmiem więc twierdzić, że data rozkazu niezależną była od słusznej czy niesłusznej oceny sytuacji przez kogokolwiek. Wobec tego jednak, że naokoło tej decyzji zaplątany został u nas nadzwyczajnie śmieszny węzeł plotek, domysłów i legend, nawet broszur i wydawnictw, których odbicie znajduję zarówno u p. Tuchaczewskiego, jak i u p. Sergiejewa, zatrzymam się nieco, po prostu dla ścisłości historycznej, na tej wcale zresztą nieważnej dla analizy sprawie.

Najbliżej mnie z urzędu stali w owe czasy trzej panowie: gen. Rozwadowski, jako szef sztabu, gen. Sosnkowski, jako minister wojny, i świeżo przybyły gen. Weygand, jako doradca techniczny misji francusko-angielskiej, przysłanej w tym groźnym dla nas czasie. Opinie tych panów o sytuacji były, jak zwykle, nadzwyczajnie rozbieżne. A że sytuacja była niezwykle gorąca, prawdopodobnie i debaty w mojej nieobecności niezbyt były przyjemne. Zastałem bowiem sytuację taką, że dwaj z tych panów, generał Rozwadowski i gen. Weygand, jak się śmiałem wówczas, rozmawiali pomiędzy sobą tylko notami dyplomatycznymi, przesyłanymi z jednego pokoju do drugiego na placu Saskim. Godzącym zaś sprzeczności i dobrym duchem opiekuńczym tej pary, wiecznie będącej w sporze, był gen. Sosnkowski, minister wojny. P. Tuchaczewski widocznie coś słyszał o tych sporach, gdy mówi, że francuscy i polscy pisarze lubią porównywać bitwę na Wiśle z operacją na Marnie. Istotnie, Marna we wszystkich rozmowach była wspominana bardzo często, przy czym dwaj panowie, gen. Weygand i gen. Sosnkowski, mieli specjalną do Marny predylekcję. Jak niegdyś marszałek Joffre chciał mieć rzeczną zasłonę Marny czy Sekwany, poza którą mógłby przeprowadzić przegrupowania cofających się dotąd wojsk ku lewemu swemu skrzydłu, gdzie się znajdowała stolica, Paryż, tak i tutaj, za rzeczną zasłoną Sanu i Wisły, szukano manewru silnego lewego

skrzydła w stolicy, Warszawie, i jej okolicy, Modlinie. Jak tu, tak i tam, szukano kontrataku lewym skrzydłem, wychodzącym ze stolicy. Gen. Rozwadowski był tej Marny przeciwnikiem, gdyż w ogóle był przeciwnikiem wszystkiego, co mówiono z innego pokoju w gmachu na placu Saskim. Zresztą, jako zupełnie swoisty patriota Galicji wschodniej, nie mógł wewnętrznie się zgodzić ze znanym a wrogim mu hasłem «za San». Natomiast gen. Rozwadowski, jak zwykle zresztą, sypał koncepcjami, jak z rękawa, nie zatrzymując się na żadnej i zmieniając je nieledwie co godzinę.

Jeżeli to piszę w stosunku do gen. Rozwadowskiego, to nie dlatego, aby mu ujmę zrobić, lecz czynię to wobec chęci spotykanej u nas nieraz ośmieszenia tego generała, który właśnie w tym ciężkim dla nas okresie niemałe położył zasługi. Wybrałem go jako swego szefa sztabu nie dlatego, by był do tej funkcji najlepszym, lecz dlatego, że stanowił szczęśliwy i zaszczytny wyjątek pomiędzy większością ówczesnych starszych generałów. Nie tracił nigdy sprężystości ducha, energii i siły moralnej; chciał wierzyć w nasze zwycięstwo, gdy wielu, bardzo wielu traciło już ufność i, jeśli pracowało, to ze złamanym charakterem. Godziło mnie to z wielkimi brakami generała, jako szefa sztabu, gdyż nie wiem, czy istniała w ogóle jakakolwiek sprawa, której potrafiłby się trzymać w ciągu jednej chociażby godziny. Nie dziwiłem się też wcale, że gen. Weygand, przyzwyczajony do systematycznej pracy w sztabach, doszedł aż do dyplomatycznej metody dla stosunków wzajemnych *).

Osobiście mały brałem udział w dyskusjach i sporach, lecz na równi z innymi, nawet z p. Tuchaczewskim, spłodziłem historyczne porównanie, które i teraz wydaje mi się może najbardziej trafne, o ile w ogóle porównania historyczne trafnymi być mogą. P. Tuchaczewski, chcąc uczynić żal swój do południa bardziej jaskrawym, porównuje bitwę pod Warszawą do klęski Samsonowa we wschodnich Prusach 1914 r. Tam bowiem gen. Rennenkampf, tak, jak tutaj Budienny i dowódca 12-ej armii, stawiając sobie inne cele, nie pomógł na czas Sam-

*) Jakiś bubek w świeżo wydanej broszurce «Kampania w r. 1920 w świetle prawdy» ośmiesza gen. Rozwadowskiego, przypisując mu niestworzone rzeczy, jakoby dla pognębienia mnie, jako naczelnego wodza. Broszura ta wywołała już ostrą odprawę oficera, z którym więcej w rzeczach operacyjnych pracowałem, niż z gen. Rozwadowskim, gen. Piskora. Nie sądzę, aby było warto zajmować się tego rodzaju literaturą, gdyż jeśli jej autor jest admiratorem gen. Rozwadowskiego, to zaiste powtórzyć można przysłowie rosyjskie, że «wysługujący się kiep jest niebezpieczniejszy od wroga».

sonowi, gdy marszałek Hindenburg skoncentrował swe siły przeciwko niemu i klęskę mu zadał. Co do mnie, porównywałem «pochód za Wisłę» p. Tuchaczewskiego do pochodu również «za Wisłę» gen. Paskiewicza w r. 1830. Twierdziłem nawet, że koncepcja i budowa marszu prawdopodobnie wzięta jest z archiwum wojny polsko-rosyjskiej z 1830 r. Z pewną dozą triumfu przy przeczytaniu p. Tuchaczewskiego i p. Sergiejewa spostrzegłem, że niektóre motywy, znane mi w stosunku do feldmarszałka Paskiewicza, walczącego z rewolucyjną Warszawą i na pamiątkę swych czynów mającego tytuł księcia warszawskiego, są bliźniaczo podobne do motywów p. Tuchaczewskiego, gdy sięgał prawie w sto lat potem po naszą stolicę. P. Tuchaczewski, jak i Paskiewicz, opierał prawe skrzydło — «gros» swoich sił — o państwa jakoby neutralne, lecz nam wyraźnie wrogie. Już w samym początku miał p. Tuchaczewski z tego dużą korzyść, gdy Litwa zaczęła mu czynnie pomagać. Z pewnym niepokojem śledziłem też wypadki, gdy prawe jego skrzydło zaczęło się w ten sam sposób opierać o Wschodnie Prusy. Kazałem nawet szukać danych, czy nie miał on tych korzyści, jakie ongiś miał Paskiewicz. Ten mianowicie, mając, jak i p. Tuchaczewski, tyły i komunikacje bardzo uciążliwe i trudne, szukał pomocy pruskiej, opartej na wspólnym interesie zaborców Polski, pomocy w dostawach dla wojska wszystkiego, co potrzebnym było dla życia. Specjalnie obawiałem się o dostawę amunicji, której p. Tuchaczewskiemu mogło brakować po długim marszu od Dźwiny i Berezyny do Warszawy.

Wszystkie porównania historyczne szwankują, pozostają jednak potrzebą każdego wykształconego umysłu. Wojskowi zaś specjalnie cechę taką mieć muszą, gdyż umysł i charakter kształcą najczęściej na historii pracy wojennej, nawet dawno minionej. Historyczne więc przykłady są, jak ja je nazywam, częstymi węzłami myślowymi w rozważaniach dowódców. Nie stają się one nigdy tak silnymi i potężnymi, jak inne węzły myślowe z różnych doktryn i doktrynek i przy przykładach historycznych, branych w dyskusjach, najmniej zwykle potrzeba potężnego okrzyku z pod kopuły Inwalidów w Paryżu: «Mais c'est la réalité des choses qui commande, messieurs!», gdyż rzadko przykłady historyczne są motorycznym czynnikiem ludzi, a zatem i wodzów. Lecz gdy jestem przy tym temacie, przy książkowym, literackim skrzyżowaniu szpady z p. Tuchaczewskim, nie chciałbym ominąć sposobności, by mu powiedzieć, że przykład Marny dla niego nie jest też bez podstaw.

Naturalnie, nie idzie tu o rozkład strategiczny i założenia

bitwy, gdyż te istotnie nie mają z sobą nic wspólnego z prostego powodu. Gdy gen. von Kluck podstawiał swe prawe skrzydło Paryżowi, zbliżając się ku sąsiedniej armii gen. Buelowa, p. Tuchaczewski oddalał się od sąsiadów na południu, czyniąc raczej zagrożonym swe lewe skrzydło, a prawe, zgodnie ze swym zamiarem, mając oparte o neutralne, lecz wrogie Polakom Prusy Wschodnie. Podobieństwo znajduję raczej w psychicznym podkładzie rozkazów i czynności Niemców w 1914 r. i p. Tuchaczewskiego w 1920 tryumfalne raporty o «Sieg'u», gdzie przeciwnik p. Tuchaczewski «rozpylał», «miażdżył» i «gromił», gen. von Kluck, von Buelow i von Hausen, nie mając tych określeń rosyjskich w raportach, wysyłali do głównej kwatery co dzień tryumfalne raporty o «Sieg'u», gdzie przeciwnik «fluchtartig» unikał spotkania z groźnymi kohortami Niemców. A gdy w głównej kwaterze niemieckiej wreszcie w rozbicie armii francuskiej, na podstawie tych raportów, uwierzono, wycofano od nich dwa korpusy dla innych potrzeb państwa, dwa korpusy, których właśnie dla «Sieg'u» na Marnie brakowało. U nas, gdy p. Tuchaczewskiego i Sergiejewa czytałem, najczęściej «rozpylanymi», najbardziej «miażdżonymi», zawsze ostatecznie zdemoralizowanymi i niezdatnymi do boju, okazywały się przy cofaniu się od Dźwiny i Berezyny ku Wiśle trzy nasze dywizje: 8-ma, 10-ta i 1-sza litewsko-białoruska. Właśnie te dywizje najlepiej moralnie cały odwrót wytrzymały i w ich kontrataku załamały się pierwsze powodzenia przy uderzeniu bezpośrednim na Warszawę.

Przechodząc do decyzji, powziętej przeze mnie 6-go sierpnia, zaznaczyć od razu muszę, że przy tych dyskusjach, którym nieraz niechętnie się przysłuchiwałem, nie brano nigdy pod uwagę dwóch nadzwyczaj ważnych dla mnie, jako Naczelnego Wodza, motywów. Jednym z nich był fakt, że mieliśmy prowadzić pertraktacje pokojowe. Właśnie pod naciskiem tego, co p. Tuchaczewski nazywa kompletem międzynarodowego kapitału czy międzynarodowej burżuazji, która jakoby nami dowodziła, mieliśmy wysłać delegację nie gdzie indziej, jak do Mińska, gdzie się znajdował p. Tuchaczewski, by żebrać o pokój. Inaczej, jak żebraniną, tego nazwać nie mogę, gdy wszczynać miano rozmowę o pokoju w chwili, kiedy zwycięski nieprzyjaciel do stolicy naszej pukał i groził zniszczeniem organizacji państwa przedtem, nim słowo o pokoju wyrzecze. Nie wiem, jak się stosowali uczuciowo i myślowo do tego kroku szanowni uczestnicy dyskusji historycznej na placu Saskim, nie wiem i nie badałem tego nigdy. Wiem zaś, że mnie, człowiekowi, którego pokory uczono, a nie nauczono nigdy, mo-

ment ten ciężył więcej, niż cokolwiek, a jako Naczelny Wódz i Naczelnik Państwa, mocno w rachubę brać musiałem, by nasza delegacja nie wyjeżdżała ze stolicy bez pewności jej utrzymania. Zaciążyło to, jak zobaczymy, silnie na mojej decyzji.

Drugą okolicznością, o której nie dyskutowano, a która stanowi zawsze jeden z wielkich ciężarów wodzów, była rzucająca się w oczy konieczność reorganizacji całego dowodzenia w razie, gdybyśmy inicjatywę mieli brać w swoje ręce. Zgodnie ze swoją poprzednią decyzją, o której wspomniałem, zmieniłem już był dowódców na północy, zarówno gen. Szeptyckiego, jak i gen. Zygadłowicza. Gen. Szeptycki został usunięty od dowodzenia, tak, jak zamierzałem, po wyjściu wojsk na Bug. Gen. Zygadłowicz, dowódca 1-ej armii, został już wcześniej, bo po upadku Grodna, zastąpiony przez gen. Romera. Z prawdziwą przyjemnością zaznaczam, że z chwilą, gdy ten energiczny generał wziął dowodzenie w swoje ręce, nasza 1-sza armia, pomimo, iż znowu miała na sobie ciężar skoncentrowanych północnych trzech armij przeciwnika, umiała zrobić to, czego w ogóle od północy żądałem — wygrać na czasie.

Pamiętam dobrze i zawsze z przyjemnością wspominam ten moment, gdy pewnego dnia, przeglądając szkic sytuacji dziennej według raportów otrzymanych, spostrzegłem niespodziewany i nieznany dotąd fakt, że prawo-skrzydłowa dywizja 1-ej armii (1-sza litewsko-białoruska) została prześcignięta w odwrocie ku zachodowi przez sąsiednią 4-tą armię, tak, że musiała głęboko zagiąć swoje prawe, odsłonięte skrzydło. Zresztą sam p. Tuchaczewski uznaje, że opór naszej 1-ej armii na linii Narwi był pierwszą poważniejszą przeszkodą, jaką napotkał w swoim pochodzie ku Wiśle. Lecz przy decyzji, którą miałem powziąć, gdy nie szło już o zmianę personalną, musiało się zmienić dużo w organizacji dowodzenia i rozgraniczeniu zadań. Inaczej sama myśl o wzięciu inicjatywy w nasze ręce zawczasu była chybiona.

Te dwa ciężary, o których nie dyskutowano, leżały bezpośrednio na mnie, a pierwszy z nich był ciężarem wprost przygniatającym, na dnie bowiem jego leżał jak gdyby mus nonsensu strategii, nonsensu rozumu. Z ciężarem tym najwięcej miałem do czynienia, gdym wieczorem 5-go sierpnia i w nocy na 6-ty, nie na jakiejś naradzie, lecz w samotnym pokoju w Belwederze, przepracowywał siebie samego dla wydobycia decyzji. Istnieje cudowne określenie największego znawcy duszy ludzkiej na wojnie — Napoleona, który mówi o sobie, że gdy przystępuje do dania ważniejszej decyzji na wojnie, jest «comme une fille qui accouche» — jak dziewczyna, która ro-

dzi. Nieraz po tej nocy myślałem o wielkiej finezji myśli Napoleona, który, gardząc słabością płci pięknej, siebie, olbrzyma woli i geniuszu, przyrównuje do słabej dziewczyny, męczącej się w połogu. Mówi o sobie, że jest wtedy «pusillanime» — trwożliwy. W tej męce trwożliwej nie mogłem sobie najwięcej dać rady z nonsensami założenia dla bitwy, nonsensem pasywności dla «gros» moich sił, zebranych w Warszawie. Kontratak, zdaniem moim, z Warszawy i Modlina prowadzony być nie mógł. Wszędzie uderza on frontalnie na przeciwnika, na jego główne siły, w całości, jak mi się zdawało, ściągane ku Warszawie, a dotąd ani wojska, ani dowódcy nasi rady ze zwycięskim nieprzyjacielem dać sobie nie mogli. A oprócz tego nad całą Warszawą wisiała zmora mędrkowania bezsilności i rozumkowania tchórzów. Jaskrawym tego dowodem była wysłana delegacja z błaganiem o pokój. Warszawę skazywałem z góry na pasywną rolę, na wytrzymanie nacisku, który szedł na nią. Lecz wtedy z pasywną rolą wiązać nie chciałem ogromnej większości sił swoich. Gdy znowu myślałem o zmniejszeniu obsady pasywnej, to bać się zaczynałem o to, czy Warszawa wytrzyma i czy sam fakt wymarszu jakiejś części wojska, już do niej wciągniętej, nie wywoła zmniejszenia słabych sił moralnych i braku zaufania do możliwości obrony. Znałem dobrze z historii obserwacji Lwowa, co znaczy wielkie miasto, gdy na peryferiach jego bój się toczy i gdy na jego ulicach, jak było wówczas w Warszawie, włóczą się we wszystkich kierunkach elementy bezpośrednich tyłów będących w boju jednostek. Żołnierz wtedy wspólnym żyć musi życiem z miastem i każde drgnięcie w tę czy inną stronę duszy miasta łamie lub podtrzymuje siły żołnierza. Pamiętałem dobrze, że większość sił moich, zebranych w Warszawie, przychodziła do stolicy po długim szeregu porażek, po długich i nieustannych niepowodzeniach. Zmniejszenie ich sił liczbowo, wyrzucenie z niej jednostek, które już tam były, wydawało mi się niebezpieczeństwem. Czy więc dziesięć dywizyj, prawie połowę sił polskich, skazywać na pasywność? Oto pytanie, które sobie stawiałem. Przerzucałem bez końca zamierzoną obsadę Warszawy i Modlina. Dzięki nadzwyczajnej energii, którą dla Warszawy rozwinął gen. Sosnkowski, od razu rzucała się w oczy ogromna, dotąd nieznana u nas na wojnie, obsada artylerii. Zbliżała się ona znacznie do tego ideału, który wykreśliło «doświadczenie wojny światowej». Artyleria więc rozwinąć mogła i rozpętać istny huragan ognia, nie ten, którym mnie tak często karmiono w raportach. Więc znowu wydawało mi się możliwym, zgodnie z sensem wojny, sensem taktyki, zastąpić choć

część żywych sił piechoty, zdatnej do ruchu, wzmożoną potęgą ognia artylerii. Ile razy robiłem próby przekonania siebie o konieczności nienakazywania tak oczywistego dla mnie nonsensu, tyle razy cofałem się przed decyzją, zgnieciony odpowiedzialnością za państwo i jego stolicę. Nie mogłem się zdobyć ani na zaufanie do sił moralnych wojska i mieszkańców stolicy, ani na pewność dowódców jednych i drugich. Ten nonsens założenia męczył mnie tak niezmiernie, że doprawdy niekiedy wydawało mi się, że ze wszystkich kątów coś chichocze i kpi ze mnie, gdy nonsens i wyraźną głupotę biorę za podstawę mojej rachuby czy mojej decyzji.

Wszystkie kombinacje, które przy tym założeniu czyniłem dla zorganizowania czynnika ruchu i ataku, musiały być z konieczności słabymi i znacznie mniej uposażonymi, niż pasywna, skazana jedynie na obronę część sił moich. Bo skąd ją było brać, tę siłę, jak ją dla ruchu organizować? Bezsilność, gdym przemyśliwał o konieczności inicjatywy, pluła mi wprost w twarz, gdym zaczynał przerabiać rachunek. Rachunek ten nigdy mi się nie kleił. Pierwsze, co rzucało się od razu w oczy, to była 4-ta armia, cofająca się powoli od Bugu. Prosty kierunek, w którym pchał nieprzyjaciel, wprowadzał ją na Wisłę pomiędzy Warszawą a Dęblinem. Tam nie było ani mostów, ani szybkich przepraw. Przy silniejszym nacisku nieprzyjaciela rzuconą być mogła na Wisłę i znaleźć się w sytuacji zupełnie krytycznej. Trzeba było ją targnąć albo ku Warszawie, albo ku Dęblinowi, albo też ją rozpołowić, rzucając część jedną ku północy, część drugą na południe. Stąd więc, gdyby wszystko lub większą część odchylić na południe, można byłoby mieć trochę siły wolnej, niezwiązanej Warszawą. Wymagało to jednak natychmiast choć jakiej takiej obsady zachodniego brzegu Wisły pomiędzy Warszawą a Dęblinem. I znowu pasywna część wojsk wyrastała kosztem sił, zdatnych do uderzenia. Stan moralny 4-ej armii także budził pewne obawy. Cofała się ona równie długo, jak 1-sza, mając za sobą może mniejsze boje, ale nagła i niespodziewana utrata Brześcia, tak świeża w mojej pamięci, nie skłaniała mnie wcale do ufności pod tym względem.

Drugim źródłem sił dla mnie mogło być południe, z którego już wyciągniętą była 18-ta dywizja. Południe w szczęśliwszym znajdowało się położeniu, niż północ, a usilna praca bojowa i niezmordowana czynność dowódców dawały większą gwarancję siły moralnej wojsk, wziętych stamtąd. Ułatwieniem, i to bardzo znacznym, był fakt, że Budienny z całą swą jazdą był wypchnięty przed front naszych wojsk i z tego powodu ruch kolei i pieszych marszów nie mógł być zaburzony

przez ruchliwą jazdę. Kiedy jednak próbowałem rachować, co mogę mieć stamtąd, zawsze i ciągle dochodziłem do wniosku, że nie jestem w stanie osłabić swoich sił na południu w jakimś większym rozmiarze. Zwycięstwo nad Budiennym było bardzo połowiczne i chociaż zdawało się, że nie jest on w stanie natychmiastowo przedsięwziąć nowej ofensywy, to jednak przy próbie znacznego osłabienia naszych sił nie było wykluczonym, zdaniem moim, że konna armia, która nam dotąd tyle szkodziła, nie zacznie na nowo swego pochodu naprzód. A naturalnym ruchem i najbardziej dla nas groźnym byłoby zbliżanie się do głównych sił sowieckich, do armii, dowodzonej przez p. Tuchaczewskiego. Wszystkie więc kombinacje, które w tej właśnie dziedzinie w nocy z 5 na 6 sierpnia robiłem, dawały mi tylko możność wyciągnięcia z południa, jeżeli nie chciałem zanadto ryzykować, jakichś dwóch pułków piechoty i może jakiej brygady kawalerii. Grupka taka niewiele dla siły kontrataku znaczyć mogła i niewiele wpłynąć na stan moralny innych wojsk była w stanie. Przy zestawieniu więc wszystkich danych nigdy nie mogłem dojść podczas mojej pracy do innych wyników, jak, że do kontrataku użyć można było trzech do czterech dywizyj piechoty z niewielką ilością jazdy. A cóż to znaczyć mogło wobec nieprzyjaciela, który dotąd rozbijał bezustanku opór większości sił naszej armii?

Wszelkie próby dawały nicość siły — nonsens założenia, bezrozum bezsilności lub nadmiar ryzyka, przed którym logika się cofała. Wszystko wyglądało mi w czarnych kolorach i beznadziejnie. Jedynymi zaś najjaśniejszymi plamami na moim horyzoncie był brak jazdy Budiennego na tyłach i bezsilność 12-ej armii, która po klęsce na Ukrainie podnieść się nie była w stanie. Reorganizacja dowodzenia była względnie jasną. Z chwilą, gdy większość wojska zebrana być musiała w ciasnym rozkładzie w Warszawie i okolicach, musiało tam być postawione jednolite dowodzenie, a ilość wojska już zebranego dawała konieczność podziału na dwie armie. Kontratak, bez względu, z jakich ilości sił by się składał, musiałby być dowodzony przez jednego dowódcę. Południe, które od niebezpieczeństwa północ osłaniało, musiało także być oddane w jedne ręce. Łamało to w zupełności dotychczasowy rozkład dowodzenia. Najtrudniejsze zadanie wypadło na tego, kto mając słabość, musiał dać siłę i kto wbrew sensowi musiał mieć rozstrzygającą rolę. Z góry zdecydowałem, że nie mogę żądać od nikogo ze swych podwładnych, by ten nonsens brał na swoje plecy, i z chwilą, gdy jako naczelny wódz nonsens w założeniu biorę, brać muszę też i wykonanie części najbardziej

nonsensownej. Dlatego też z góry zatrzymałem się na myśli, że grupą kontratakującą, bez względu, czy silniejszą, czy słabszą, dowodzić będę osobiście. Uśmiechała mi się zresztą ta myśl skądinąd, by w czasie decydującej operacji nie być stałym obiektem nacisku mędrkującej trwogi i rozumkującej bezsilności.

Zestawiwszy po kilka razy wszystkie próby rachunku, zdecydowałem dwie rzeczy: wycofać ku południowi większą część naszej 4-ej armii i zaryzykować osłonę południową, wyciągając z niej dwie dywizje, które uważałem za najlepsze — 1-szą i 3-cią legionowe. Następnie ostatecznie postanowiłem, że kontratak poprowadzę sam, chociaż z góry w ten sposób przesądzałem, że wprowadzam wskutek tego bezład w dowodzeniu, gdy biorę może na czas dłuższy dowodzenie bezpośrednie małej zaledwie części wojsk, których byłem naczelnym wodzem.

Gdy 6-go rano zameldował się u mnie po rozkazy gen. Rozwadowski, wszedł do mego gabinetu ze szkicem, jako jeszcze jedną propozycją czy kombinacją. Szkic właściwie przedstawiał próbę rozstrzygnięcia, co z 4-tą armią robić, gdy cofać się ona musi widocznie na odcinek Wisły bez mostów i bez szybkiej możności przekroczenia tej szerokiej przegrody. W tym szkicu próbował gen. Rozwadowski wykorzystać wsteczny ruch 4-ej armii, by ją, jak sobie przypominam, w okolicach Garwolina w liczbie paru dywizyj skoncentrować, a przypuszczając, że nieprzyjaciel zgromadza swoje siły wyraźnie na Warszawę, uderzyć tą skoncentrowaną grupą ku północy, t. zn. ku Warszawie. Odrzuciłem od razu ten projekt i tę myśl, mówiąc, że wątpię, by w tych warunkach nawet koncentracja udać się mogła. Nieprzyjaciel, który dotąd ma przewagę, z łatwością nie dopuści do zmiany frontu i wtedy koncentrująca się grupa musi albo zmykać do Warszawy, albo — co gorsze — rzuconą będzie ku Wiśle, co może skończyć się dla niej katastrofą. Wskazałem mu też od razu, że 4-ta armia w swojej większości odejść musi dalej na południe, by tam się skoncentrować i przejść do kontrataku. Natomiast nakazałem, jako konieczność, wyciągnięcie z frontu południowego dwóch dywizyj, 1-ej i 3-ej, dla wzmocnienia sił kontratakującej grupy. Rozumiejąc zaś, że południe, w ten sposób osłabione, nie potrafi prawdopodobnie nieprzyjaciela, którego ma przed sobą, efektywnie zatrzymać, poleciłem nakazać 6-ej naszej armii przy nacisku nieprzyjaciela cofać się zwolna ku Lwowu. Natomiast w razie marszu Budiennego ku północy, kazałem, by cała nasza jazda z najlepszą tam dywizją piechoty natychmiast

za konną armią Budiennego ruszyły, starając się za wszelką cenę w pochodzie ją zatrzymywać. Po krótkiej dyskusji wybraliśmy jako miejsce koncentracji okolice, przykryte względnie szeroką rzeką Wieprzem z oparciem lewego skrzydła o Dęblin i przykryciem w ten sposób mostów, zarówno przez Wisłę, jak i przez Wieprz. Na tej podstawie wypracowany został rozkaz 6 sierpnia, regulujący rozkład strategiczny dla wojsk do bitwy pod Warszawą *).

Zasadniczy mój rozkaz, przygotowujący bitwę, spotkał się prawie natychmiast z rozkazem p. Tuchaczewskiego. Gdy teraz zestawiam te dwa rozkazy, żałuję niezmiernie, żem nie mógł w owe czasy zajrzeć w Mińsku do tajemnic rozkazowych p. Tuchaczewskiego. Z iluż ciężarów duszy byłbym zwolniony! Ile innych, efektywniejszych koncepcyj możnaby było wytworzyć, gdybym wiedział albo przypuszczał z pewną dozą prawdopodobieństwa, że p. Tuchaczewski nie stawia sobie jako celu natarcia wszystkimi siłami na Warszawę! To przepołowienie wojska ze skierowaniem dwóch armij nie dla ataku bezpośredniego, lecz dla długiego marszu i jeszcze dłuższej być może przeprawy przez szeroką Wisłę, oswobodziłoby mnie od połowy ciężaru trwogi o Warszawę. I prawie przekonany jestem, że nie potrzebowałbym się męczyć nad zasadniczym nonsensem, którym wziął za podstawę do decyzji. Dwie armie sowieckie miały tracić czas, idąc w próżnię, a czas w tej chwili był bardzo drogi. Czas ten więc tracił nieprzyjaciel, ja go bez żadnej pracy wygrywałem. Nie przeszkadzając wcale w tym tak korzystnym dla mnie przegrywaniu czasu przez p. Tuchaczewskiego, próbowałbym wykorzystać zebrane i skoncentrowane siły dla działania po wewnętrznych liniach i rozbicia nieprzyjaciela częściami. Wtedy, kto wie, czybym nie zmusił 4-tą naszą armię do odwrotu nie gdzie indziej, jak do Warszawy.

Obciążeniem dodatkowym nonsensu zasadniczego mego rozkazu z 6 sierpnia była okoliczność, że wszystkie grupy pasywne albo były już zebrane, albo wycofać się miały w kierunkach prostych i naturalnych. Wyjątkiem, mogącym budzić wątpliwość, czy się zamiar uda, była właśnie grupa aktywna, była grupa uderzeniowa. Wszystkie bowiem wojska, które w skład tej grupy wchodzić miały, były w bezpośrednim kontakcie i boju z nieprzyjacielem, a kierunek ruchu, który ich na miejsce koncentracji prowadził, wymagał skomplikowanego manewru, a nie prostej, zwyczajnej czynności wojskowej. Tak więc dywizje 4-ej armii, 14-ta, 16-ta i 21-sza, będąc jeszcze

*) Patrz szkic nr 6.

6-go, a nawet 7 sierpnia w gorących bojach nad Bugiem, musiały nie tylko oderwać się od nieprzyjaciela, lecz robić ryzykowny, prawie flankowy marsz dla osiągnięcia rejonu poza Wieprzem. Specjalnie tyczyło się to 14-ej dywizji, jako będącej najdalej na północy, pod Janowem, i mającej najdalszy, ukośny marsz aż pod Dęblin. Pierwszy lepszy wypadek, silniejszy nacisk nieprzyjaciela w tym czy innym miejscu, rozchwianie się moralne, tak częste dotąd w takiej czy innej dywizji czy pułku, stawiało cały manewr pod znakiem zapytania, nie dając żadnej pewności, że grupa uderzeniowa, którą zdecydowałem się dowodzić sam, zbierze się na czas i w tej sile, jaką jej przypisywałem. Jeszcze gorzej i jeszcze trudniej składała się sytuacja dla dwóch dywizyj, które wybrałem z południa dla pracy kontrataku: 1-ej i 3-ej legionowej. Kazałem dodać do nich i część jazdy, dla której, naturalnie, odmarsz był najłatwiejszy, lecz dla obu dywizyj piechoty, stojących od 150 do 250 km od miejsca koncentracji i będących w kontakcie z nieprzyjacielem, zadanie przerastało, zdaniem moim teraźniejszym i ówczesnym, przeciętne siły ludzkie. W duszy rachowałem, pomimo, że rozkaz brzmiał inaczej, że gen. Rydz-Śmigły, na którego zadanie to spadło, potrafi ściągnąć na miejsce koncentracji najwyżej jedną dywizję i jedną brygadę jazdy. O drugiej dywizji, której nakazałem również marsz ku północy, zabroniłem sobie nawet marzyć.

Nic więc dziwnego, że od 6 do 12 sierpnia gorączkowo śledziłem, jak się ten manewr, tak ryzykowny i niepewny, udaje. W dniach tych obserwacje nieprzyjaciela i jego działań nie naprowadziły mnie wcale na żadne podejrzenie, aby wojska p. Tuchaczewskiego działały zgodnie z jego rozkazem 8 sierpnia i omijały Warszawę. Dały się, co prawda, spostrzegać ruchy, skierowane ku zachodowi, t. zn. ku Wiśle w dół od Modlina. Atakowany więc był Ciechanów, atakowaną Mława i były słabe zresztą ruchy w kierunku Płocka i Włocławka. Lecz były to ruchy jazdy, która, jak sądziłem, ma na celu przerwanie komunikacji Warszawy z morzem — z Gdańskiem. Co się tyczy wycofywania się dywizyj naszej 4-ej armii, szło ono prawie bez przeszkód ze strony nieprzyjaciela, gdyż ten 16-tą swoją armią wyraźnie się ściągał ku północy, mając południowe skrzydło tej armii na szosie Brześć—Warszawa. Gdy więc dywizje 4-ej armii szosę tę minęły, zdążając na południe do Wieprza, nacisk nieprzyjaciela prawie że ustał. Mogłem więc być pewien, że wszystkie trzy dywizje na czas zdążą się przykryć Wieprzem i staną do mojej dyspozycji.

Gen. Rydz-Śmigły rozwiązał swoje zadanie w sposób nad-

# Szkic № 6.

Sytuacja 12.VIII wieczorem

Augustów
Lipsk
Grodno
Grajewo
Szczuczyn
Ostrołęka
Kuźnica
Sokółka
Kolno
Myszyniec
Janowo
Chorzele
Działdowo
Nowogród
Łomża
Białystok
Szczytno
Mława
Ostrołęka
Gródek
Śniadowo
Zambrów
Wysokie Mazowieckie
Przasnysz
Rożan
Maków
Ostrów
Bielsk
Brańsk
Kleszczele
Pułtusk
Płońsk
Płock
Wyszków
Nasielsk
Węgrów
Sokołów
Siemiatycze
Drohiczyn
Janów
Siedlce
Kałaszyn
Mińsk
Kolbiel
Karczew
Brześć n/B.
Biała
Międzyrzec
Łuków
Garwolin
Osieck
Skierniewice
Żelechów
Radzyń
Parczew
Kock
Dęblin
Lubartów
Puławy
Radom
Lublin
Sawin
Chełm
Włodawa
Sławatycze
Hrubieszów
Zamość

12 d. s.

4 armia

53 d. s.

54 d. s.

III k. k.

18 d. s.

Gr. gen. Karnickiego

33 d. s.

4 d. s.

11 d. s.

16 d. s.

15 armia

5 d. s.

3 armia

6 d. s.

56 d. s.

Gr. gen. Baranowskiego

17 d. p.

41 p. p.

5 armia

Br. Sy b.

35 p. p

18 d. p.

11 d. p.

D. och.

10 d. p.

1 L. B. d.

8 d. p.

15 d. p.

1 armia

XVIII br. do 5 arm.

16 armia

21 i 27 d. s.

2 d. s.

17 d. s.

10 d. s.

8 d. s.

GR. MOZ.

57 d. s.

58 d. s.

4 d. p.

2 armia

2 d. p. leg.

14 d. p.

XII b r. p.

16 d. p.

4 armia

Gr. mjr. Hozera

Gr. gen. Bałachowicza

12 armia

25 d. s.

7. d. p.

7 d. s.

3 armia

1 d. p. leg.

w transportach

6 d. p. Ukr.

44 d. s.

3 d. p. leg.

Podziałka 1:1 000 000

zwyczaj zręczny. Operacje jego i działania dwóch dywizyj, 1-ej i 3-ej, stanowią jedną z najchlubniejszych kart, jaką armia polska posiada. Gen. Śmigły i obie dywizje znalazły rozstrzygnięcie zawiłego zadania w sposób aktywny. Zgodnie z moralną siłą, którą posiadały, szukały naprzód obie dywizje zwycięstwa nad nieprzyjacielem, z którym były w kontakcie, by w ten sposób, wygrawszy na czasie, odejść spokojnie ku północy, dokąd je wzywałem. 1-sza dywizja legionowa dnia 8 sierpnia rozbiła 24-tą dywizję sowiecką, zdobywszy na niej 8 dział nie daleko od Horochowa i szybkim marszem podążała ku Sokalowi, gdzie na nią czekały przygotowane pociągi. Odjazd 1-ej dywizji odbywał się bez przeszkód. To samo zrobiła dywizja 3-cia pod Hrubieszowem, niestety jednak, nie mając pociągów przygotowanych, musiała odbywać swój ruch ku północy marszem pieszym. Opóźnienie tej dywizji wywołane również było przez trudności doręczenia jej na czas odpowiedniego rozkazu. Przed odejściem jednak zdążyła 3-cia dywizja rozbić nieprzyjaciela, który już Bug przechodził, wyrzucając go za rzekę i zdobywając na nim obfity materiał wojenny. Boje 1-ej i 3-ej dywizyj miały jeszcze jeden ciekawy i charakterystyczny skutek. Oto u jednego z naszych zabitych oficerów, gdzieś koło Chełma, nieprzyjaciel znalazł rozkaz nasz 6 sierpnia, zarządzający nowe ugrupowanie sił. Nieostrożność ta, tak często powtarzająca się w historii wojen i tak ciągle surowo zakazywana przez wszystkie regulaminy wszystkich armij, dawała w ręce Sowietów sekret naszych poruszeń. U p. Tuchaczewskiego i p. Sergiejewa znajduję, że w głównym dowództwie sowieckim nie dano najzupełniej wiary temu dokumentowi, gdyż z tejże 12-ej armii przyszły doniesienia, że pod Hrubieszowem dywizje, wyznaczone do ataku na północy, 1-sza i 3-cia, biją się i zwyciężają na południu, nie gdzieś w okolicach Lubartowa, dokąd ich rozkaz 6 sierpnia wołał. P. Tuchaczewski, który na stronie 205 stwierdza, iż miał spór z tego powodu ze swym przełożonym, nie uczynił jednak nic, ażeby zabezpieczyć samemu zagrożone lewe skrzydło i tyły.

Przed wyjazdem swoim 12 sierpnia wieczorem z Warszawy miałem na placu Saskim ostateczną rozmowę z trzema wyżej wymienionymi panami. W rozmowie tej stwierdziłem w następujących punktach swój pogląd na sytuację: po pierwsze, z 20 dywizyj, które miały wziąć udział w decydujących walkach o naszą stolicę, Warszawę, prawie 15, więc 3/4 ma rolę pasywną, i zaledwie 1/4, czyli pięć i pół dywizyj, z których jedna jest opóźniona w ruchu, ma rolę aktywną. Warszawa, w której zebrane jest dziesięć i pół dywizyj, posiada jeszcze

ogromną artylerię i sądzę, że nawet jednym ogniem artylerii w połączeniu z lotnikami, także zebranymi w Warszawie, daje się zatrzymać nieprzyjaciela względnie łatwo. Nie sądzę więc, aby czas miał większe dla Warszawy znaczenie. Przeciwnie, przypuszczam, że w interesie całości jest, aby nieprzyjaciel poniósł wielkie straty przy ataku i zmuszony był silnie się związać bojowo z obsadą warszawską, tak, aby nie był w stanie przeciwstawiać nadchodzącym wojskom, dowodzonym przeze mnie, t. zn. pięciu dywizjom, większej siły. Po drugie, wskazałem, że wojska, skoncentrowane do kontrataku, t. zn. pięć i pół dywizyj, muszą mieć pewien czas dla odpoczynku i należytego ugrupowania się oraz wchłonienia uzupełnień, które tam zostały zadyrygowane. Muszę mieć czas także sam do obejrzenia wojsk, gdyż obawiam się, że ich stan moralny nie jest tak wysoki, jakby to było pożądane dla tak trudnej i ryzykownej operacji. Dlatego też nie sądzę, abym mógł wcześniej rozpocząć operację, niż 15 sierpnia; przypuszczam zaś, że zdołam w przeciągu dwóch dni od rozpoczęcia operacji być tak blisko od atakowanej Warszawy, że wspólna praca wojenna z «gros» sił, skupionych w Warszawie i okolicy, byłaby już możliwa. Wskazałem przy tym, że byłoby wtedy pożądane, aby południowy odcinek obsady warszawskiej z dodatkiem wszystkich czołgów, które na tym odcinku należy zebrać, rozpoczęły natarcie wzdłuż szosy, prowadzącej w stronę Mińska i Brześcia. Zamierzałem bowiem atakować szerokim bardzo frontem i wówczas lewoskrzydłowa 14-ta dywizja, która pójdzie wzdłuż szosy lubelskiej, może się znaleźć w bardzo ciężkiej sytuacji, gdy izolowana wpadnie na większe siły nieprzyjacielskie. Po trzecie, wskazałem na groźne niebezpieczeństwo, które czyni z ruchu, dowodzonego przeze mnie, przedsięwzięcie nadzwyczajnie ryzykowne. Wyciągnąwszy bowiem z południa 1-szą i 3-cią legionowe dywizje, otworzyłem niejako bramę wpadową pomiędzy innymi i dla konnej armii Budiennego. Pomimo zaś, że istnieje tam nasza jazda z nakazem zatrzymywania konnej armii Budiennego w pochodzie ku nam, doświadczenie jednak dotychczasowe nie pozwala mi być pewnym. Oczekiwać mogę, że w krótkim przeciągu czasu mogę mieć na swoich bezpośrednich tyłach od Sokala i Hrubieszowa maszerującą konną armię Budiennego lub jej część, co może w wielkim stopniu udaremnić moje usiłowania. Zaznaczyłem przy tym, że na Bugu przeciwko 12-ej sowieckiej armii zostawiam bardzo słabe siły — 7-mą dywizję w okolicach Chełma i bardzo słabą 6-tą ukraińską dywizję na południe od niej.

Wreszcie przy pożegnaniu z gen. Sosnkowskim wskaza-

łem mu na bezład, jaki panuje zarówno w dowodzeniu, jak i w zorganizowaniu wojska i żądałem od niego, by stale i ustawicznie wpływał na usunięcie wszystkich grup, grupek, podgrup i nadgrup, przedgrup i zagrup, których pomimo moich starań zostawało jeszcze tak dużo, że byli dowódcy ze sztabami bez wojsk, a w niektórych miejscach stu żołnierzy dzieliło się na trzy grupy, dowodzone przez generałów. Dalej zaś, ażeby stale starał się być dalej tym duchem opiekuńczym w stosunku do wiecznie kłócących się i prowadzących spór generałów, zmniejszając we wszelki możliwy sposób tę anarchię dowodzenia, której się obawiałem. Przy braku bowiem mego autorytetu mogła się załamać obrona stolicy nawet wtedy, gdy przewagę nad wrogiem mieć możemy.

Po załatwieniu tych spraw 12-go wieczorem wyjechałem z Warszawy. Wyjeżdżałem pełen poczucia nonsensu i nawet pewnego wstrętu do siebie, że dla tchórzostwa i niemocy polskiej musiałem zaprzeczyć wszelkiej logice i wszelkim zdrowym prawom wojny. Natomiast — wyznaję — odczuwałem bardzo silną ulgę, gdym opuszczał środowisko, gdzie minuta znaczy więcej, niż godzina, godzina więcej, niż doba, a doba więcej, niż tydzień.

Po przybyciu do Puław, jako do swojej kwatery, i rozejrzeniu się w sytuacji skonstatowałem od razu kilka rzeczy. Przede wszystkim, że stan moralny wszystkich dywizyj, a było ich zebranych cztery, nie był tak zły, jak poprzednio przypuszczałem. I chociaż właśnie przed moim przyjazdem jedna z dywizyj, mianowicie 21-sza, starym, nabytym już przez miesiąc zwyczajem, ni stąd ni zowąd, pod naciskiem niewielkiej grupki nieprzyjaciela ustąpiła z przedmościa na Wieprzu — z Kocka, który nakazano jej trzymać, nie sądziłem, by ten trudny przełom moralny, którego po długim odwrocie wymaga kontratak, był niemożliwym do wykonania. Natomiast znalazłem uzupełnienia, zadyrygowane akurat odwrotnie, niż to było potrzebne z powodu uzbrojenia. Tak więc bataliony z bronią francuską trafiły do dywizyj, uzbrojonych w mauzery niemieckie lub manlichery austriackie. Rozplątanie tego chaosu wymagało więc czasu. Oprócz tego zaobserwowałem niesłychane wprost braki w wyekwipowaniu i umundurowaniu żołnierzy. Takich dziadów, jak ich nazywałem, dotąd w ciągu całej wojny nie widziałem. W 21-ej dywizji prawie połowa ludzi defilowała przedemną w Firleju — boso. Przypominałem sobie, ile to razy i ilu z moich podwładnych w ciągu wojny przypisywało porażki, które ponieśli, nie czemu innymu, jak złemu wyekwipowaniu żołnierza. Natomiast z pewną przykrością my-

słałem także, że wszystkie zapasy, a przynajmniej ich większość, zostały wydane na wojska, którym nie przeznaczałem rozstrzygającej na wojnie roli. Wreszcie wszystkie dane, które zebrałem o nieprzyjacielu, były nieco enigmatyczne. Zgodnie z rozkładem strategicznym nieprzyjaciela, musiałem mieć przeciwko sobie mozyrską grupę. Skład jej i siła nigdy u nas nie były dostatecznie skonstatowane. Wiedzieliśmy, że w skład jej wchodzi 57-ma dywizja, lecz oprócz tego wchodziły także jakieś oddziały («otriady»), tworzące coś osobnego od grupy, tak, że dotąd ścisłości w danych nigdy nie miałem. Dotychczasowa jej praca wojenna kazałaby mówić, że jest to jakaś bardzo silna grupa wojska. Atakowała ona od 4 lipca w dwóch rozbieżnych kierunkach i to tam, gdzieśmy byli najsilniejsi — wzdłuż właściwego Polesia i na północ od niego, wzdłuż szosy Bobrujsk—Brześć. I nieraz w raportach czytywałem w przeciągu ubiegłego miesiąca o znacznych siłach nieprzyjaciela, atakujących nas nie bez powodzenia to w jednym, to w drugim kierunku. Tymczasem teraz, 13 sierpnia, obserwowałem właściwie przed sobą pustkę. Były to jak gdyby tylko patrole z nieznacznym zgęszczeniem ich u Kocka i u Maciejowic nad Wisłą, gdzie jakoby te małe grupy przygotowały się do przeprawy przez rzekę. Przyznaję, że brałem wszystko to za oddziały partyzanckie, rozesłane po kraju dla rekwizycji, grabieży i furażowania. Największe skupienie przedstawiała 58-ma dywizja z 12-ej armii, która od Włodawy szła w kierunku albo Lubartowa, albo Chełma.

Raporty z Warszawy brzmiały uspokajająco, nieprzyjaciel widocznie przygotowywał się do ataku i czynił odpowiednie przegrupowanie sił. Z południa też niepokojących wiadomości nie miałem. Utwierdziłem się więc w tym przekonaniu, z którym zresztą wyjeżdżałem z Warszawy. Miałem trochę czasu przed sobą i postanowiłem zaczynać nie wcześniej, jak 17-go rano, gdy natarcia na Warszawę już się dostatecznie rozwiną i związą «gros» sił sowieckich z naszym polskim «gros», będącym w Warszawie. Przez ten czas mogłem silniej zlać w jedną nieliczną grupę, mającą przed sobą atak, i doczekać, by 3-cia dywizja legionowa, opóźniona w swym pochodzie na północ, doszła do należytego wyrównania z resztą dywizyj.

Lecz następnego dnia, 14-go, sytuacja dla mnie zmieniła się na gorsze. Z Warszawy nadeszły trwożne depesze. W pierwszym ataku Sowietów został złamany nasz opór i Radzymin wraz z okolicą został szturmem zdobyty. Depesze brzmiały trwożliwie, oddając nastrój, który musiał w stolicy panować. Pewne zdziwienie wywołały we mnie wiadomości o zwiększa-

jącym się nacisku wojsk p. Tuchaczewskiego w kierunku zachodnim, w kierunku Płocka, a nawet Włocławka i Brodnicy. Depesze, zawiadamiające o tym, mówiły nie tylko o jeździe, jak poprzednio przypuszczałem. Była w tym jakaś zagadka, której rozwiązać nie mogłem, gdyż przewracało to w pewnej mierze moje dotychczasowe pojęcie, że p. Tuchaczewski koncentrował wszyskie swoje siły na Warszawę. Lecz w trwożnych depeszach, idących z Warszawy, próbowano robić wyraźny nacisk na mnie, abym spieszył z pomocą i zgodził się, chociaż nie przygotowany, iść natychmiast naprzód. Pomimo, iż cały ten nacisk i trwoga wydawały się absolutnym nonsensem, to jednak gdy, jak wykazałem wyżej, zrobiłem ustępstwo dla trwogi z sensu i rozumu wojennego, po pewnym wahaniu przesunąłem datę wymarszu o jeden dzień i zawiadomiłem Warszawę, że zaczynam uderzenie 16-go o świcie. Rozkaz, który wydałem, narażał najbardziej dwie skrzydłowe dywizje, 14-tą na lewym i 1-szą legionową na prawym skrzydle. Zdecydowałem bowiem, o czym wszystkie wojska zawiadomiłem, uderzać szybko, nakazując przechodzić przestrzenie, do których oprócz 1-ej legionowej inne wojska nie były przyzwyczajone. Zakazałem najzupełniej dbać o skrzydła, gdyż każda dywizja iść musiała naprzód tak szybko, jak mogła, nie myśląc wcale o tym, czy sąsiad z tej czy innej strony za nią nadąży. Spodziewając się zaś generalnego boju nie gdzie indziej, jak pod Warszawą, nakazałem jak najszybszy marsz 1-ej legionowej, która musiała być zachodzącym prawym ramieniem skrzydłowym może już drugiego dnia, gdyby lewo-skrzydłowa 14-ta dywizja napotkała gdzieś w okolicach Kołbieli na zorganizowany już opór przeciwko odsieczy, dążącej ku Warszawie. Niepokoiła mnie t. zw. mozyrska grupa; nie widziałem jej sił przed sobą, a wiadomości lotnicze stwierdzały jakiś wielki ruch furmanek, zdążających ze wschodu i północnego wschodu do Łukowa i Żelechowa. Mogła więc to być jakaś spiesznie wysyłana grupa, może nawet ta mozyrska, tak, że moja 1-sza legionowa dywizja, nie kryta niczym od wschodu, mogła wpaść w sytuację względnie niebezpieczną. Jako ogólną zasadę postawiłem wszystkim wojskom, t. zn. czterem dywizjom, osiągnięcie na drugi dzień szosy Brześć—Warszawa. Wyjątek stanowiła 3-cia dywizja legionowa, która weszła w kontakt z 58-mą dywizją sowiecką i, staczając z nią boje, nie mogła wchodzić w mój rachunek dla obliczeń bitewnych, zbliżonych ku Warszawie. Prędzej rachować chciałem na całą lub część 2-ej dywizji legionowej, która stała na pasywnym odcinku na zachodnim brzegu Wisły od Dęblina ku północy. Posuwanie się bo-

wiem sił moich ku północy przez sam ten ruch oswobadzało od zadania tę dywizję.

Dn. 15-go sierpnia wiadomości z Warszawy brzmiały nieco bardziej uspokajająco, lecz wszystkie walki świadczyły że nacisk nieprzyjaciela coraz bardziej się zwiększa zarówno w okolicach Radzymina, jak i na północ od Warszawy, w okolicach Modlina. Natomiast na południu zaczęła się rozwijać praca konnej armii Budiennego, pod którego naciskiem 6-ta nasza armia zaczęła się wycofywać w kierunku Lwowa.

Dn. 16-go rozpocząłem atak, o ile w ogóle atakiem nazwać to można. Lekki i bardzo łatwy bój prowadziła przy wyjściu tylko 21-sza dywizja, która niewiadomo po co parę dni temu, uszkodziwszy most, cofnęła się z Kocka, a teraz musiała w bród forsować Wieprz, by Kock znowu odbierać. Inne dywizje szły prawie bez kontaktu z nieprzyjacielem, gdyż nieznacznych potyczek w tym czy innymi miejscu z jakiemiś małymi grupkami, które natychmiast po zetknięciu się z nimi rozpraszały się i uciekały, kontaktem nazwaćbym się nie ośmielił. Cały dzień spędziłem w samochodzie głównie przy 14-ej lewoskrzydłowej dywizji, zbierając ciągle dane i wrażenia swoje oraz mych podwładnych. Nie mogę nie powiedzieć, że tego dnia wieczorem, gdy wszystkie już dywizje przebiegły po dobrych trzydzieści kilka kilometrów ku północy, główną zagadką, którą chciałem sobie rozstrzygnąć, była tajemnica tak zwanej mozyrskiej grupy. Właściwie nie było jej wcale, oprócz 57-ej dywizji; lecz taki wynik rozumowań przeczył najzupełniej dotychczasowym przez miesiąc cały wykuwanym z dnia na dzień wrażeniom, jakie posiadałem. Przecież była to jakaś apokaliptyczna bestia, przed którą cofały się przez miesiąc liczne dywizje. Wydawało mi się, że śnię. Jako wynik, do którego doszedłem, był pogląd, że czeka mnie gdzieś jakaś zasadzka. Lewo-skrzydłowa 14-ta dywizja, minąwszy swobodnie Garwolin, już od południa właściwie weszła w sferę działania lewego skrzydła 16-ej armii sowieckiej, atakującej Warszawę. Miałem bowiem wiadomość, że pod Górą Kalwarią miała ta armia forsować Wisłę, a od Karczewa i Wiązowny, o których pisały depesze, że są atakowane, straże przednie 14-ej dywizji stanęły dn. 16-go o niecałe 20 czy 25 kilometrów. A nieprzyjaciela nie było! Kazałem wieczorem całej 2-ej dywizji legionowej, oswobodzonej od zadania, skupić się natychmiast w Dęblinie i być jakąś rezerwą przy tylu tajemnicach, grożących zewsząd jakimiś zasadzkami. Gdzieś jednak musiała być mozyrska, dotąd zwycięska grupa, gdzieś także 16-ta armia, atakująca Warszawę.

Dzień 17-go sierpnia *) nie przyniósł mi żadnego wyjaśnienia tych zagadek. Szukałem go teraz na prawym skrzydle. Spędziłem znowu dzień cały w samochodzie, szukając śladów tajemnicy i choć pozoru zasadzek. Dobrze po południu zastałem w Łukowie dowódcę 21-ej dywizji wraz z jego sztabem, festynującego wesoło po tak wspaniałym marszu. Gdy dowódcy brygad i niektórych pułków mnie otoczyli przy stole, wszyscy w jeden głos twierdzili, że właściwie nieprzyjaciela nie ma i z zapałem mi opowiadali, jak cała ludność spieszy im z pomocą. Tak więc, gdy jakaś grupka nieznaczna nieprzyjaciela chce stawiać opór, to nieledwie baby z cepami i chłopi z widłami spieszą sekundować naszym góralom, gdy ci boso w tyralierze idą do ataku. Straż przednia górskiej dywizji zatrzymała się na pół drogi pomiędzy Łukowem a Siedlcami. Kazałem zaraz prowadzić dalej atak na Siedlce, licząc, że może w tym centralnym punkcie znajdę jakieś rozwiązanie tajemnicy mozyrskiej grupy. Dalej ze wschodu wiedziałem, że 1-sza legionowa, wyprzedzając wszystkich, strażami przednimi osiągnęła już Białą i Międzyrzec, jeszcze dalej zatrzymana w biegu 3-cia legionowa rozbiła 58-mą sowiecką dywizję i szła, prąc ją przed sobą, ku Włodawie i Brześciowi. Gdym pod wieczór wracał ku zachodowi po pięknej szosie od Łukowa w stronę Garwolina i minąłem okolice Żelechowa, gdzie spotkałem tyły 16-ej dywizji, idącej na Kałuszyn, wydawało mi się, że jestem gdzieś we śnie, w świecie zaczarowanej bajki. Nie rozumiałem właściwie, gdzie jest sen, a gdzie prawda. Czy śniłem wtedy, gdy jakaś zmora dusiła mnie jeszcze tak niedawno swą nieprzepartą siłą ustawicznego ruchu, zbliżającego potworne łapy do śmiertelnego ścisku gardła, czy śnię teraz, gdy pięć dywizyj swobodnie i bez oporu przebiega śmiało te same przestrzenie, które jeszcze tak niedawno w śmiertelnej trwodze odwrotu oddawały nieprzyjacielowi? Pomimo, iż sen mógł być radosny, nie mógł się wydawać wtedy realnym. Miesiąc cały sugestii, sugestii przemocy, nie chciał mijać. Sen radości nie mógł być realnym! Pod tymi wrażeniami przyjechałem wieczorem do Garwolina. Pamiętam, jak dziś, tę chwilę, gdy pijąc herbatę obok przygotowanego do snu łóżka, zerwałem się na równe nogi, gdym wreszcie usłyszał odgłos życia, odgłos realności, głuchy grzmot armat, dolatujący gdzieś z północy. Więc nieprzyjaciel jest! Więc nie jest on jakąś ułudą! Wstyd mój za lęk i strach, który miałem ongiś przed potworną zmorą, co zaczęła mi się wydawać jakąś dziką tylko fantasmagorią, nie

*) Patrz szkic nr 7.

był nieracjonalnym i bez powodów! Nieprzyjaciel był i świadczyła o nim muzyka boju na północy. Jeszcze ułożywszy się do snu, raz po raz głowę z poduszki unosiłem, by sprawdzić swoje wrażenie. Głuchy odgłos armat miarowo, zwolna wstrząsał powietrze, mówiąc mi o boju, prowadzonym bez nerwów, spokojnie, ze spokojnie odbijanym taktem. Gdzieś koło Kołbieli, czy trochę dalej, biła się w nocy moja 14-ta dywizja. Obliczyłem sobie szybko, że nawet, jeśli bój nie będzie miał chwilowego powodzenia i może 14-ta dywizja się cofnie, odciąży jednak swym bojem zagrożoną Warszawę, a ja nazajutrz zdążę podciągnąć do miejsca boju 2-gą legionową z Dęblina i sąsiednią 16-tą dywizję od wschodu.

Dn. 18-go, gdym rano zerwał się ze snu, armaty już nie grały; była zupełna cisza. Zdecydowałem się zaraz pojechać sprawdzić sytuację. Nigdy nie zapomnę dziwnego wrażenia, gdym bez żadnych przeszkód przyjechał do Kołbieli i zastał w dworku przy szosie tylko tyły 14-ej dywizji i wiadomość o tym, że dywizja ta bój w nocy toczyła i ruszyła pospiesznym marszem już do Mińska, by zgodnie z moim rozkazem być o świcie trzeciego dnia na szosie brzeskiej. Gdzież więc jest 16-ta armia? Gdym jechał do Mińska, świadczyły o niej armaty, zostawione bez zaprzęgów i bez obsługi w polu, świadczyły o niej dość liczne trupy ludzi i koni obok szosy, świadczyła wreszcie ludność, która z zachwytem opowiadała mi, zatrzymując auto, gdy mnie poznawano, że «bolszewiki» uciekały w bezładzie i w popłochu w różne strony. Wielu z opowiadających uważało moją podróż za mało bezpieczną, gdy w okolicy tak dużo rozsypanych i rozproszonych «czerwonych kozaków». W Mińsku zastałem 14-tą dywizję, skoncentrowaną wraz z 15-ym pułkiem ułanów. Wszystkie dane, które zaraz ściągnąłem o ubiegłym boju, mówiły, że 14-ta dywizja spotkała się z przeciwdziałaniem najbardziej południowych dywizyj sowieckiej 16-ej armii (8-ej i 10-ej). Dywizja nasza, poniósłszy względnie niewielkie straty, bo nie przekraczające 200 ludzi, opór złamała i była świadkiem jakiejś popłochowej ucieczki. Dowiedziałem się też, że zgodnie z moim poprzednim rozkazem część załogi warszawskiej, mianowicie dywizja 15-ta, uderzyła wzdłuż szosy Warszawa—Mińsk i że obecnie stoi w niedalekich Dębach Wielkich. W Dębach Wielkich zastałem 15-tą dywizję skoncentrowaną i mającą najzabawniejszy w świecie rozkład bojowy. Po obu stronach szosy stały baterie, jedne zwrócone ku północy, inne ku południowi. W dowództwie dywizji wyjaśniono mi, że jest to koniecznym, gdyż właściwie nieprzyjaciel, wycofujący się pospiesznie z pod War-

# Szkic № 7.

*Sytuacja 17.VIII wieczorem*

Augustów
Lipsk
Grodno
Grajewo
Szczuczyn
Osowiec
Kuźnica
Sokółka
Kolno
Myszyniec
Łomża
Nowogród
Białystok
Janowo
Chorzele
Działdowo
Gródek
Szumsk
Mława
Ostrołęka
Śniadowo
Zambrów
Wysokie Mazowieckie
Przasnysz
Rożan
Maków
Sierpc
Raciąż
Ostrów
Brańsk
Bielsk
St. kol. Bialowieża
Kleszczele
Płock
Płońsk
Nasielsk
Wyszków
Siemiatycze
Modlin
Węgrów
Sokołów
Drohiczyn
Janów
Warszawa
Siedlce
Kałaszyn
Mińsk Mazowiecki
Brześć n/B.
Biała
Międzyrzec
Karczew
Kołbiel
Skierniewice
Góra Kalwaria
Osieck
Garwolin
Łuków
Żelechów
Radzyń
Sławatycze
Parczew
Kock
Włodawa
Dęblin
Lubartów
Radom
Puławy
Lublin
Hrubieszów
Sawin
Zamość

4 armia
15 armia
3 armia
16 armia
12 armia

Gr. gen. Karnickiego
Płk. Dreszer
Br. syb. D.Och.
9 d. p.
18 d. p.
17 d. p.
VII br. rez.
10 d. p.
1 L. B. d.
8 d. p.
15 d. p.
14 d. p.
XII br. p.
16 d. p.
21 d. p.
21 d. s.
2 d. s.
17 d. s.
Resztki 10 i 8 d. s.
Resztki GR. MOZ.
1 d. p. leg. i Gr. Jaworskiego
3 d. p. leg.
4 br. j.
58 d. s.
25 d. s.
7 d. s.
7. d. p.
44 d. s.

Podziałka 1:1 000 000

szawy, jest wszędzie — i na północy, i na południu. Zapowiedziałem dywizji przyłączenie jej do 4-ej naszej armii i kazałem przygotować się do wymarszu na północ, by forsować Bug, za którym spodziewałem się znaleźć opór. Było dla mnie oczywiste, że uderzenie, prowadzone w tak szybkim tempie, dało już swe wyniki pod Warszawą. Ze wszystkich danych wnosiłem, że jeśli nie mogłem nigdzie spotkać oporu ze strony tzw. mozyrskiej grupy, to oczekiwany przeze mnie opór 16-ej sowieckiej armii jest właściwie zakończony. Trzy jej dywizje (8-ma, 10-ta i 17-ta) po krótkim i wcale niekrwawym boju były prawie w rozsypce. Nie sądziłem, by dwie następne dywizje tej armii (2-ga i 27-ma) mogły stawiać opór skoncentrowanym wysiłkom z południa 14-ej i 15-ej naszym dywizjom i z zachodu skupionym dla łatania przerwy pod Radzyminem dywizjom naszym z obsady Warszawy. Wobec tego jakikolwiek opór spotkać mogłem tylko na Bugu, gdzie z konieczności nieprzyjaciel ściągaćby musiał siły swojej 3-ej armii, które walczyły pod Zegrzem i dalej na zachód za Narwią. W przeciwnym bowiem wypadku 3-cia armia znalazłaby się w sytuacji nadzwyczajnie ciężkiej, mając wszystkie drogi odwrotu przegrodzone podwójnie — i przez nieprzyjaciela, i przez rzekę Narew. Stąd wyprowadziłem wniosek, że większość armii sowieckiej musi się cofnąć od Warszawy ku wschodowi i że zatem z naszej strony należy jak najszybciej zarządzić zupełną jednolitość działań wszystkich wojsk, zebranych pod Warszawą, aby po rozbiciu jednej z sowieckich armij energicznym pościgiem i naciskiem zewsząd rozbić i porazić resztę sił nieprzyjaciela.

W tym celu zdecydowałem udać się zaraz do Warszawy, by i pościg, i ogólne uderzenie zorganizować i nakazać. W Warszawie znalazłem nastrój nieco inny, niż ten, którego się spodziewałem. Jeżeli była radość i pewne uczucie ulgi z powodu oswobodzenia Warszawy od bezpośredniego nacisku, to znowu istniał duży niepokój z powodu licznych ataków na miasta na dolnej Wiśle, jak Płock i Włocławek i posuwania się oddziałów nieprzyjacielskich coraz dalej w tzw. korytarz gdański. Obok tego wszystkim tym, z którymi mówiłem, sytuacja strategiczna nasza nie wydawała się tak korzystną i tak radykalnie zmienioną, jak ja o tym sądziłem. Gdy ja oswobodzony byłem już od sugestii naszych miesięcznych niepowodzeń w niedawnej przeszłości i widziałem jedyną możność dla nieprzyjaciela uchylenia się od grożącej mu klęski przez obronę Bugu, do którego zbliżały się dywizje 4-ej armii i wojska gen. Rydza-Śmigłego, to w Warszawie czułem wyraźnie trwający

jeszcze nacisk moralny dotychczasowych sukcesów p. Tuchaczewskiego.

Próby odciążenia wschodniego frontu Warszawy przez uderzenie mniej naciskanego przez nieprzyjaciela frontu północnego pod Modlinem (nasza armia 5-ta) dały pewien rezultat. Posunięto się do Nasielska i wzdłuż Narwi ku północy. Lecz za to tym bardziej wydawała się panom w Warszawie zagrożoną lewa flanka dalszego poruszenia się ku północy 5-ej armii i tej części 1-ej, która szła w natarciu po zachodnim brzegu Narwi. Gdy ja osobiście nie widziałem w tym niebezpieczeństwa i byłem przekonany, że — wszystko jedno — nieprzyjaciel będzie musiał się cofać, nie widziałem tegoż przekonania i tej pewności w Warszawie. Dreszcz i trwoga o stolicę były tam jeszcze tak silne, a dalsze postępy nieprzyjaciela ku zachodowi tak znaczące, że jedynie z pewnym trudem ustępowano pod moim naciskiem.

Rozkaz mój z 18-go sierpnia stawiał cele operacyjne dla armij naszych następująco:

«3-cia a r m i a — przesłanianie Lubelszczyzny i Chełmszczyzny, obsadzenie Bugu, wywiad na Zabużu oraz pomoc lewemu skrzydłu frontu południowego przez działanie od północy na oddziały 12-ej armii bolszewickiej, nie krępując się granicą południową swego odcinka.

2-ga a r m i a — wytężony pościg w kierunku północnym dla zajęcia Białegostoku i zaatakowania cofających się kolumn nieprzyjaciela od wschodu, jednocześnie zaś zabezpieczenie się od wschodu przez obsadzenie Brześcia Litewskiego (3 dywizja legionów, kierowane do 2-ej armii 19-ta dywizja piechoty i 41-szy pułk piechoty przeznaczone są do działania w rejonie Augustów—Wołkowysk).

4-ta a r m i a — wytężony pościg w kierunku północnym celem szybkiego sforsowania Bugu na odcinku Brok (włącznie) Granne (wyłącznie), zajęcie Mazowiecka i przypieranie nieprzyjaciela ku granicy niemieckiej razem z tendencją działania szybciej prawem skrzydłem dla oskrzydlenia.

1-sza a r m i a — pościg frontowy, a więc w kierunku północno-wschodnim. Oś pościgu: Warszawa—Wyszków—Ostrów—Łomża. Kawalerię skierować na lewe skrzydło dla zamknięcia luki między piechotą armii a granicą.

5-ta a r m i a — likwidowanie całkowite III konnego korpusu 4-ej armii i tych części 15-ej armii bolszewickiej, które przez ruch 5-ej armii ku północy na Przasnysz—Mławę zostaną odcięte».

Uzupełniłem rozkaz ten listem, pisanym z Siedlec już następnego dn. 19-go sierpnia późno w nocy, gdy wiedziałem, że na Bugu ani 4-ta armia, ani wojska gen. Śmigłego nie znajdą większego oporu. Z tego też powodu uznawałem już za zupełnie możliwe zmniejszenie ilości wojska, użytego do bezpośredniego pościgu. Sądziłem, że można już dużą część skupionych dotąd w okolicach Warszawy wojsk wywieźć w części na południe, w części zaś wyraźnie na wschód dla sformowania nowego naturalnego frontu, obróconego nie na północ, jak dotychczas, lecz ku wschodowi. Początki tej reorganizacji frontu znajdują się już w rozkazie z 18-go sierpnia. W punkcie trzecim tego rozkazu dałem rozporządzenie, by z 5-ej i 1-ej armii jak najspieszniej wyciągnąć 41-szy suwalski pułk i 19-tą dywizję, zwaną dawniej 1-szą litewsko-białoruską. Stało to w związku z moim zamiarem, już wtedy powstałym, by pułk 41-szy, jako sformowany z ochotników suwalszczan, wysłać do rodzinnego zakątka dla oswobodzenia go od najazdu sowiecko-litewskiego. Natomiast dywizja 19-ta, również sformowana z ochotników z naszych kresów, miała odejść, jak mówi rozkaz, «pospiesznymi transportami» przez Warszawę—Siedlce w kierunku na Czeremchę, by stanąć od razu jako straż przednia do oczyszczenia swej ściślejszej ojczyzny od nieprzyjaciela. W liście do szefa sztabu w punkcie drugim zamiary moje są już zupełnie skrystalizowane. Nieprzyjaciela uważałem za rozbitego i streszczałem wobec tego swój nakaz w sposób następujący: «Armia 5-ta obejmuje pościg. Armia 4-ta nacisk w kierunku północnym i coraz większe zwężanie wszystkich dróg odwrotowych. Armia 2-ga zaskakuje od wschodu. Jeżeli nie wspominam o 1-ej armii (armii, będącej w środku pomiędzy 5-tą a 4-tą), to dlatego, iż przypuszczam, że dla niej nie znajdzie się miejsca i że ona będzie musiała być rozparcelowana pomiędzy 2-gą i 3-cią armie, która to ostatnia prawdopodobnie będzie musiała objąć nie tylko osłonę Bugu i Lublina, ale i uderzenie na południe dla degażowania Galicji». Chciałem więc już 20-go skończyć z tym nonsensem strategicznym, z którego ongiś wyszedłem, jako z podstawy dla bitwy pod Warszawą.

Rozkaz mój z 18-go sierpnia, zmieniony nieco w następnym dniu 19-go, spotkał się z rozkazem p. Tuchaczewskiego, wydanym prawie jednocześnie. P. Tuchaczewski chce ustanowić dla niego datę tę samą, to jest dzień 18-go sierpnia. Niestety, przy rozejrzeniu się w całym materiale, znajduję tyle sprzeczności z tym twierdzeniem p. Tuchaczewskiego, że muszę zatrzymać się nieco dla wyjaśnienia kontrowersji. P. Sergiejew

na stronie 92 wyraźnie pisze, że rozkaz był wydany 17-go sierpnia o 18-ej godzinie (6 wieczorem). Twierdzi przy tym, że w sztabie frontu w Mińsku 17-go rano otrzymano wiadomości o «zaczynającym się ataku jakichś polskich sił z okolic Lublina, skierowanym wprost na północ, i o rozbiciu grupy mozyrskiej jednocześnie na szerokim froncie od Dęblina do Włodawy». P. Tuchaczewski zaś twierdzi na stronie 213, że «niestety, o ofensywie polskiej dowództwo frontu dowiedziało się dopiero 18-go sierpnia z rozmowy hughes'owej z dowódcą 16-ej armii. Ten ostatni o ofensywie dowiedział się dopiero 17-go. Grupa mozyrska nic nie dała znać o tym, co się stało. — Dowódca 16-ej armii, meldując w rozmowie hughes'owej o wynikłym położeniu, wypowiedział się za koniecznością odwrotu dla zorganizowania się, lecz nie uważał ofensywy białych polskich oddziałów za poważną i przewidywał możność zlikwidowania jej». Stanowczo stwierdzam, że jakakolwiek rozmowa dowódcy armii 16-ej z Siedlec z p. Tuchaczewskim w Mińsku Litewskim nie była możliwa w dniu 18-go sierpnia, gdyż Siedlce w większej swojej części były zajęte przez 21-szą naszą dywizję już 17-go późnym wieczorem. I jest rzeczą zupełnie niepodobną do wiary, aby dowódca 16-ej armii, zmuszony prawdopodobnie do szybkiej zmiany miejsca swego pobytu, mógł 18-go rozmawiać w ten dziwny sposób. Dn. 17-go sierpnia wieczorem i w nocy większość jego armii (8-ma, 10-ta i 17-ta dywizje) znajdowała się w zupełnie popłochowym odwrocie i wszelka komunikacja pomiędzy «komandarmom 16» a jego dywizjami już tej nocy była przecięta. We wspomnieniach p. W. Putny, zatytułowanych «Pod Warszawą», a opisujących działania 27-ej dywizji sowieckiej, dywizji, należącej do 16-ej armii, która to dywizja atakowała i wzięła Radzymin, znajduję następujące dane w tej sprawie: «Według zapowiedzi rozkazu dowódcy armii, otrzymanego w 27ej dywizji około 16 godziny 17-go sierpnia, dywizje armii miały odejść na rzekę Liwiec». Przy czym p. Putna przypisuje to faktowi, że 8-ma i 10-ta dywizje, będące dalej na południe od 27-ej, zostały przez nas, Polaków, rozbite, a polskie straże przednie weszły już do Mińska. Stwierdza przy tym, że zgodnie z rozkazem dywizja 27-ma o północy 17-go sierpnia bez przeszkody ze strony nieprzyjaciela odeszła z pod Radzymina, mając jednak już przed sobą odchodzące i cofające się w bezładzie części sąsiadujących ku południowi dywizyj. Po zestawieniu tych wszystkich faktów nie mogę przypuścić, aby data rozkazu p. Tuchaczewskiego była 18-go sierpnia, lecz sądzę, że jest to albo omyłka druku, albo też data została przez p. Tuchaczewskiego przesunięta

rozmyślnie przy pisaniu dziełka. Dlatego też i szkic, dołączony przeze mnie do moich rozważań o bitwie warszawskiej, zestawia sytuację obu stron walczących na 17-go wieczorem, gdy rozkaz p. Tuchaczewskiego zaczynał już działać, a gdy nazajutrz zaczął działać mój rozkaz.

Od razu powiedzieć muszę, że mieliśmy z p. Tuchaczewskim pod względem wydanych prawie jednocześnie rozkazów losy prawie jednakowe. Rozkazy zostały wykonane w obu walczących armiach tylko przez część wojska, nie przez całość. Rozkaz p. Tuchaczewskiego, jak sam on mówi, był dany już za późno. P. Tuchaczewski stwierdza, że przyczyną wydania rozkazu o cofaniu się był fakt, że na lewym jego skrzydle sytuacja układała się krytycznie. Dodaję, że dzięki rozproszeniu działań 4-ej armii p. Sergiejewa, p. Tuchaczewski nie miał przy wydawaniu rozkazu pewności, że może na swym prawym skrzydle osiągnąć szybko większy sukces, które właśnie tam tym prawym skrzydłem szukał. Rozkaz więc o cofnięciu się z pod Warszawy wydany został przez sowieckiego wodza pod wpływem niespodziewanego dla niego natarcia pięciu dywizyj polskich. Jeżeli zaś twierdzi, że rozkaz był już spóźniony, to dlatego, że skierowując 16-tą swoją lewo-skrzydłową armię na Liwiec i uchylając ją w ten sposób, jak mu się zdawało, od uderzenia owych pięciu polskich dywizyj, nie wiedział, że ta armia już nie była zdolną do stawiania jakiegokolwiek oporu.

Prawo-skrzydłową, więc najbardziej północną dywizją tej armii, była wspomniana 27-ma dywizja sowiecka, która jeszcze kilka dni temu przyprawiła o trwogę Warszawę, zdobywając Radzymin. Z opisu działania tej dywizji, który już cytowałem, biorę dosłownie stan armii 16-ej dnia 18-go sierpnia po południu. Oto opis: «Jeszcze 18-go sierpnia rano wyjaśniło się, że inne dywizje armii już usunęły się ze swych operacyjnych linij odwrotowych i ich jednostki, poza nieznacznymi wyjątkami, poruszały się w kierunku północno-wschodnim, jako najmniej niebezpiecznym. Sztaby polowe 2-ej i 10-ej dywizji w południe 18-go sierpnia znajdowały się: pierwszy w Paplinie, drugi w Sudninowie, obydwa na odcinku 27-ej dywizji. Po szosie Węgrów—Sokołów—Drohiczyn szły jednostki 21-ej dywizji (ta należała już do 3-ej armii i brała udział w walkach pod Radzyminem), tyłowe instytucje i tabory 27-ej, 2-ej, 17-ej, 10-ej i 8-ej (są to wszystkie pięć dywizyj 16-ej armii, nie brak ani jednej!). Droga ta zalana była nieprzerwaną kolumną, posuwającą się wolno w dwóch, trzech rzędach. Sztab polowy 27-ej dywizji przybył do Sokołowa o 21 godzinie 30 minut 18-go sierpnia, gdzie wyjaśniło się, że nieprzyjaciel o świcie 18-go

sierpnia zajął już był Siedlce i posuwał się w kierunku na Sokołów i Drohiczyn; koło 21 godziny Polacy zajęli już okolice Rozbitego Kamienia, skąd odrzucili 50-tą brygadę (17-ta dywizja). Pociąg pancerny przeciwnika podszedł do Sokołowa i ostrzeliwał artylerią szosę, po której wciąż jeszcze szły kilku rzędami tabory wszystkich dywizyj 16-ej armii. Niektóre rozluźnione jednostki 8-ej, 10-ej, 17-ej i 57-ej (z mozyrskiej grupy) dywizyj i tabory odchodziły przez Sokołów w północno-wschodnim kierunku (więc już nie na Drohiczyn!!). Wobec takiej sytuacji i wobec przerwania technicznej łączności z dowództwem armii w dywizji postanowiono odejść za Bug, o czym posłano zawiadomienie do dowództw 2-ej, 10-ej i 21-ej dywizyj».

Liwiec więc, wyznaczony przez p. Tuchaczewskiego jako miejsce zatrzymania się 16-ej armii, był już opuszczony przez całą tę armię 18-go wieczorem pod naciskiem straży przedniej naszej 21-ej dywizji i pociągu pancernego, do tej straży przedniej należącego. W dodatku zaś poza 16-tą armią w tym opuszczeniu Liwca brała już udział i jedna dywizja 3-ej armii sowieckiej. Ten obrazek, za pożyczony nie z relacyj bojowych naszych, lecz z opisu własnego przeciwnika, świadczy o stanie 16-ej armii, która zwycięsko przebiegła olbrzymią przestrzeń od Berezyny do Warszawy, mając za sobą sukces za sukcesem. Teraz armia ta, stoczywszy 17-go bitwę z dwiema tylko naszymi dywizjami (14-tą i 15-tą), wyrzekała się wszystkich zadań, jej przeznaczonych, pod naciskiem straży przedniej jednej dywizji (21-ej). Dodam, że wszystkie trzy dywizje nasze: 14-ta, 15-ta i 21-sza, które teraz dnia 17-go i 18-go odnosiły nad 16-tą armią zwycięstwo, były starymi jej znajomymi, gdyż zaczynając od Berezyny aż do samej Warszawy stale i ciągle miały z nią do czynienia. Armia więc 16-ta rozkazu p. Tuchaczewskiego wypełnić nie mogła.

Spójrzmy na dalszą, 3-cią armię. Ma ona według rozkazu zatrzymywać przeciwnika. Widzieliśmy już, że lewo-skrzydłowa jej dywizja 21-sza wciągnięta została do katastrofy 16-ej armii i dzieliła z nią smutne jej losy. Reszta, z trzech dywizyj złożona, atakowała jeszcze niedawno Warszawę i okolice Zegrza, teraz odchodziła za Bug. P. Sergiejew konstatuje, że sytuacja dalszej ku północy 15-ej armii 19-go sierpnia stała się ciężką, gdy straciła ona łączność na lewym skrzydle ze spiesznie odchodząca na wschód 3-cią armią.

Ze swojej strony cytuję ustęp z listu mego, już przytaczanego, do gen. Rozwadowskiego, pisanego w nocy z 19-go na 20-go sierpnia. W końcu listu piszę: «Zagadką dotąd dla mnie nierozwiązaną jest, gdzie się znajduje 3-cia armia nieprzyja-

cielska oraz ta część 15-ej, która nie bierze udziału w operacjach na północ od Modlina». Zagadkę tę starałem się rozwiązać i znacznie później po wojnie. Wiedziałem bowiem, że 3-cia armia odchodziła pospiesznie przez Ostrów, bardzo słabo broniąc przedtem Bugu, lecz w pościgu, bardzo gwałtownym i pospiesznym, jaki od 19-go rano został przeze mnie w 4-ej naszej armii zarządzony, armia 3-cia sowiecka nie odegrała tej roli, jaką jej chciał przypisać p. Tuchaczewski, to znaczy nie zatrzymywała wcale nieprzyjaciela. Były, co prawda, od czasu do czasu w przeciągu dni 20-go i 21-go nieznaczne potyczki z łatwo rozpraszalnymi oddziałkami, lecz oporu właściwego i zorganizowanego nikt nie stawiał. Na kopii ostatniego szkicu p. Siergiejewa znajduję ją dn. 19-go koło Wyszkowa, dn. 20-go za Ostrowiem, a już dn. 22-go omijającą starannie Białystok i Łomżę i zdążającą już w kierunku Ossowca. Znowu więc skonstatować muszę, że i druga z rzędu armia sowiecka — 3-cia, rozkazu p. Tuchaczewskiego nie słuchała i, zwycięsko przeszedłszy olbrzymią przestrzeń od «wątłego strumienia Auty» ku potężnej Wiśle, cofała się szybko i to bardzo szybko, nie chcąc prowadzić boju, jej nakazanego, z paru dywizjami polskimi, idącymi na nią od południa.

Rozkaz p. Tuchaczewskiego został usłuchany jedynie przez 15-tą jego armię. Ta stanęła dla uratowania sytuacji. Miała zabezpieczyć odejście zaawanturowanej daleko na zachód armii 4-ej i w przeciągu dni 18-go i 19-go starała się to uczynić. Jak zwykle przy porażkach bywa, cierpi najbardziej ten, co jest najdzielniejszy. 15-ta armia została zaatakowana wtedy, gdy inne armie albo — jak to robiły 16-ta i 3-cia — odchodziły pospiesznie ku północnemu wschodowi, albo — jak to robiła 4-ta armia, która zresztą na czas nie otrzymała rozkazu — starały się dopiero skoncentrować do odwrotu swoje zanadto rozsypane dywizje.

Niepodobna dokładnie zrozumieć sytuacji 15-ej i 4-ej armij sowieckich bez zestawienia jej z działaniami naszych wojsk na zachód od Narwi. Rozkaz mój 18-go sierpnia, jak już powiedziałem, nie był w zupełności wypełniony przez wszystkie nasze wojska. Rozkaz wyraźnie skierowywał wszystkie armie, z wyjątkiem najbardziej zachodniej 5-ej, ku północnemu-wschodowi, 4-ta więc armia iść miała w ogólnym kierunku na Mazowieck, tak, aby się bardziej zbliżyć do zanadto izolowanej armii 2-ej gen. Śmigłego, dążącej w kierunku Białegostoku. Armia bowiem 2-ga miała podwójne zadanie — osłaniała nas od wschodu, na co zużyć musiała dużą część sił, i próbowała zarazem zaskoczyć na drogi odwrotowe cofającego się ku

wschodowi nieprzyjaciela na linii Bielsk—Białystok. Siły po temu miała wydzielone bardzo niewielkie, jako naturalny skutek nonsensu założenia, z którego wyszedłem dla rozkładu strategicznego bitwy pod Warszawą.

Natomiast 1-sza armia, oswobodzona przez sukcesy mego kontrataku z nad Wieprza od jakiegokolwiek nacisku, otrzymała przez rozkaz 18-go sierpnia kierunek dla dalszych działań na Łomżę—Ostrołękę. Ruch ten jednak przez 1-szą armię nie został wykonany ani 19-go, ani 20-go. Już w rozkazie na 19-ty działania 1-ej armii naszej zostały jakby przepołowione. Dla zastosowania się do rozkazu mego z 18-go sierpnia dywizje 8-ma, 10-ta i 7-ma brygada rezerwowa rozpoczęły swój marsz pościgowy na Bug, utrzymując nakazany kierunek na Łomżę i Ostrołękę, lecz reszta 1-ej armii została właściwie złączona w działaniach z działaniami armii 5-ej. W ten sposób, gdy nieprzyjaciel właściwie zabierał się do odwrotu lub ten odwrót spiesznie już wykonywał, 1-sza nasza armia swoim rozkazem starała się być wciąż silną na zachód od Narwi, nie na wschód od niej. Już 20-go ten zachodni kierunek myśli i działań dowodzenia nad 1-szą armią zostaje zaznaczony tak jaskrawo i wyraźnie, że cała 1-sza armia, nie wyłączając i tych dywizyj, które działały na wschód od Narwi, otrzymuje rozkaz przekraczania Narwi z powrotem, z dążeniem ku zachodowi. Rozkaz ten, w rażącej stojący sprzeczności z rozkazem moim z 18-go sierpnia, spowodowany był przypuszczeniem, że nieprzyjaciel koncentruje się dwiema swymi armiami, tzn. 4-tą i 15-tą, na północ od Ciechanowa koło Mławy.

Kiedy wspomniałem, że jedyną armią, która rozkaz p. Tuchaczewskiego wykonała, była 15-ta, to przyznać muszę, że dzielna musiała być postawa tej armii w ciągu 18-go i 19-go sierpnia, jeśli wywołała ze strony polskiej koncentrację wojsk w tak nieużytecznym dla całości operacji kierunku, jak zachodnim, odciągając w ten sposób od zadań pościgowych całą naszą 1-szą armię. Kierunek ten tym bardziej był nieużytecznym w dniu 20-go sierpnia, że 15-ta armia sowiecka 19-go sierpnia wieczorem zdecydowała się odejść przez Ostrołękę właśnie w kierunku Łomży, która przez fatalny rozkaz, powtarzam, sprzeczny zupełnie z moim nakazem, została oswobodzona od nacisku z naszej, polskiej strony. P. Sergiejew na stronie 92 swego dzieła nie pozostawia pod tym względem żadnej wątpliwości. Oto, co pisze on w tej sprawie: otrzymał on w Sierpcu dopiero 19-go sierpnia zasadniczy rozkaz p. Tuchaczewskiego o odwrocie. Mógł się jeszcze przez Mławę i Przasnysz rozmówić osobiście o sytuacji z p. Tuchaczewskim, bę-

dącym w Mińsku. Jak pisze p. Sergiejew, «dopiero w tej osobistej rozmowie z dowódcą frontu przekonał się o konieczności odprowadzenia swoich wojsk już nie do okolic Ciechanowa, a znacznie dalej na wschód. Dopiero 19-go sierpnia rozpoczęła swój odwrót 4-ta armia». Co do 15-ej armii, p. Sergiejew pisze, że stała ona 17-go, 18-go i 19-go sierpnia w bojach, «lecz nie otrzymując pomocy dla swego prawego skrzydła od 4-ej armii i straciwszy na lewym skrzydle łączność z odchodzącą pospiesznie na wschód 3-cią armią, 15-ta armia decyduje się, zgodnie zresztą z dyrektywą frontu, na odejście, i przez Ostrołękę idzie do okolic Łomży». Na stronie 94 p. Sergiejew opowiada, że tegoż dnia 19-go, gdy już znowu stracił łączność z dowództwem frontu, próbował ją nawiązać przez 15-tą armię i w okolicach Ciechanowa trafił właśnie na moment, gdy 15-ta armia już swymi strażami tylnymi odchodziła ku Ostrołęce. Osądziwszy zaś, że w ten sposób jest odcięty już od swej armii 15-ej i nie chcąc trafić do niewoli, szybko odjechał na wschód do Augustowa i Grodna. Kiedy więc 19-go wieczorem armia 15-ta pospiesznie odchodziła ku wschodowi, nasza 1-sza armia przedsiębrała zabawny manewr przechodzenia z trudem Narwi w akurat odwrotnym kierunku — ku zachodowi.

Dziwaczny ten i nonsensowny rozkaz, który niemało się przyczynił do zmniejszenia klęski armii sowieckiej pod Warszawą, wywołał z mojej strony silny sprzeciw, lecz, niestety, zbyt małe poprawki. Specjalnym rozkazem, wysłanym do 8-ej dywizji, stojącej już pod Ostrowiem, zabroniłem tej dywizji słuchać rozkazu swej armii i przyłączyłem ją do armii 4-ej, rozkazując jej dzielić dalsze losy nie z armią 1-szą, a z 4-tą. Tę ostatnią skierowałem znowu na opuszczony kierunek — na Łomżę. W ten sposób zwolniłem nareszcie nacisk na odchodzącą 3-cią sowiecką armię, która też zgodnie z określeniem p. Sergiejewa, wyszła najlepiej z klęski warszawskiej. Naraziłem również w ten sposób armię gen. Śmigłego, a specjalnie biegnącą bez zatrzymania prawo-skrzydłową jej dywizję, 1-szą legionową, na zupełną izolację i działanie bez jakiegokolwiek poparcia sąsiednich armij *).

*) Nie mogłem znaleźć w archiwach naszych ostrej depeszy, wysłanej przeze mnie z Siedlec z powodu tego nieoczekiwanego dla mnie ruchu 1-ej armii. W notatkach, które mam przed sobą, pisanych w Siedlcach, poza ostrym określeniem słowem «idiotyzm», nazywam ten ruch koncentracją w kierunku Poznania. Czyniłem w ten sposób aluzję do względnie licznej ucieczki najbardziej przyzwyczajonych do pokory elementów naszej stolicy z Warszawy, gdy ta była zagrożoną. Uciekano do Poznania, gdzie również chciano ewakuować rząd i centralne instytucje.

Nieraz po ukończonej wojnie zastanawiałem się i próbowałem analizować działanie własne i innych podczas bitwy warszawskiej. Wydawało mi się bowiem zawsze, żem nie wyzyskał dostatecznie sytuacji, wytworzonej przez atak pięciu naszych dywizyj z nad Wieprza. Osiągnąłem, jak to czytelnik już wie, tym atakiem wydanie 17-go sierpnia rozkazu o cofnięciu wszystkich wojsk sowieckich z pod Warszawy ku wschodowi. Przy analizie jednak dochodziłem do przypuszczenia, że były z mej strony niedociągnięcia, które z klęski, poniesionej przez wojska sowieckie pod Warszawą, nie uczyniły klęski ostatecznej, z której walczące z nami państwo wyjścia by nie znalazło. Pierwsze niedociągnięcie, jakie widziałem zawsze, jest to niewyzyskanie dostatecznie dnia 18-go sierpnia, który spędziłem w Warszawie. Dzień ten dla 4-ej naszej armii, a właściwie dla jej dalszego pościgu, był prawie stracony. Bez mego bezpośredniego nacisku armia ta bardzo niewiele uczyniła nawet dla wyjaśnienia sytuacji. A mogła, zdaniem moim, gdyby była przeze mnie dalej pchana, dojść swobodnie do Bugu i swymi strażami przednimi już 18-go wyjaśnić rozmiar klęski, którą poniosła 16-ta armia sowiecka, oraz wejść w kontakt z cofającą się już 3-cią armią sowiecką.

Możliwość ta istniała, gdy się uwzględni, że do ruchu rozpędowego 4-ej armii dołączone być mogły usiłowania całej 1-ej armii, gdyby ta tegoż dnia ruszyła w kierunku, nakazanym jej dopiero rozkazem, wydanym po południu 18-go. Spędziłem ten dzień w Warszawie, gdzie, jak już wspomniałem, sytuacji tak optymistycznie brać nie chciano i gdzie zatem próbowano robić przez pół, nie na całego. Drugie niedociągnięcie, które przy analizie zawsze wykrywałem, było, żem 19-go sierpnia, kiedy już dostrzegłem wspomnianą pracę połowiczną, nie na całego, ze strony panów, których zostawiłem w Warszawie, nie ująłem wszystkiego natychmiast w swoje ręce, kasując ten chaos organizacyjny i bezład dowodzenia, który się rozwijał i wzrastał po moim wyjeździe 12-go sierpnia dla prowadzenia kontrataku. Nonsens założenia w bitwie warszawskiej, wypływający z sugestii miesięcznych porażek i klęsk, któreśmy ponosili, był tak silnie założony w Warszawie, że ludzie z trudem oswobadzać się mogli od jego konsekwencyj. Było tam stale jak gdyby dążenie do utrzymywania na bezpośrednim froncie w Warszawie możliwie wielkiej ilości wojsk, zabezpieczających stolicę od trwogi. Szybki, błyskawiczny przewrót sytuacji, dokonany przeze mnie tak nieznacznymi siłami, nie wydawał się nikomu trwałym, gdy przedtem prawie półtora miesiąca cała nasza armia na południu i na północy rady z nie-

przyjacielem dać sobie nie mogła. A gdy sugestia zmory, tak długo trwającej, była jeszcze dostatecznie silną, czepiano się najdrobniejszych przejawów aktywności nieprzyjaciela, by przypuszczać jeszcze możliwość klęski, a nie być pewnym zwycięstwa. W umysłach więc i sercach trwało jak gdyby zaćmienie, gdy ja już 19-go i 20-go byłem zupełnie od jakiejkolwiek trwogi oswobodzony. Dokładnie zdawałem sobie sprawę, że trzeba jak najszybciej skończyć z niepotrzebnym skupieniem nadmiaru wojsk pod Warszawą, jako skutkiem nonsensu założenia strategicznego przy początkach bitwy. Jak już wspominałem, podczas mego pobytu w Warszawie 18-go sierpnia najgorętsze debaty, toczone z niepokojem, tyczyły się nie czego innego, jak wiadomości z Płocka, który dnia tego był przez Sowiety zdobyty, jak o atakach na Włocławek i ruchach sowieckich w okolicach Brodnicy i Torunia. Sugestia porażek i klęsk w ten sposób jak gdyby się wzmacniała — nieprzyjaciel szedł wciąż naprzód, zdobywając nowe miasta i szerząc się ku zachodowi. Dlatego też wyznaję, że z pewnym podziwem czytałem u p. Tuchaczewskiego skargi na swoją 4-tą armię, a u p. Sergiejewa uznanie słuszności wszelkich krytyk, zwróconych pod jego adresem za działania 4-ej armii podczas bitwy warszawskiej. Narzekania p. Tuchaczewskiego już zupełnie są nieusprawiedliwione. Dał przecie wyraźny rozkaz 8-go sierpnia, skierowujący 4-tą i 15-tą armię nie do zdobywania Warszawy, lecz do «pochodu za Wisłę».

Poszły więc obie armie, nie dotykając Warszawy i zebranych tam polskich wojsk, wprost ku zachodowi. Do Wisły zaś, czy w Płocku, czy we Włocławku, doszła jedynie 4-ta armia p. Sergiejewa, wyprzedzając, jak zwykle dotąd, szerokim frontem. Dla samej idei forsowania Wisły nie był to wcale zły sposób. Dlatego też, powtarzam, o co p. Tuchaczewskiemu w skargach na p. Sergiejewa chodzi? Przypuszczam, że obaj ci autorowie ulegli pewnego rodzaju sugestii, gdy krytykowali działanie 4-ej sowieckiej armii. Autorytetem, któremu ulegli, sądząc z treści cytat, była pobieżna bardzo analiza jednego z oficerów francuskich, który wydał broszurę o tym boju. Dowcipna uwaga tego Francuza mówi, że 4-ta armia sowiecka, zamiast być pod Warszawą, walczyła raczej z traktatem wersalskim, niż z Polakami. Przypisuje on nawet do pewnego stopnia niepowodzenie sowieckie brakowi współdziałania pod Warszawą nie czego innego, jak 4-ej armii p. Sergiejewa. Jest to dość zrozumiałe dla mnie nieporozumienie. Polega ono na sugestii trwogi o Warszawę, gdy wszyscy bezwiednie chcieli widzieć skoncentrowane siły p. Tuchaczewskiego nie gdzie

indziej, jak przy Warszawie. Tym czasem, zgodnie z rozkazem p. Tuchaczewskiego z 8-go sierpnia, nie tylko 4-ta armia nie chciała walczyć o Warszawę, lecz również i 15-ta armia, najliczniejsza i najbardziej uposażona, omijała naszą stolicę i zaplątana była w bojach tylko swoim lewym skrzydłem, nie całością. A stwierdzić wyraźnie trzeba, że Wisłę w «pochodzie za Wisłę» ujrzała tylko jedna północna 4-ta armia p. Sergiejewa. Będąc zaś najdalej ku zachodowi, w najcięższe w porównaniu z innymi armiami wpadała tarapaty przy odwrocie. Pozostaje jednak przy niej zasługa, że najdłużej przeciągnęła sugestię porażek i klęsk w stosunku do nas, Polaków. Tym zaś z chwilą, gdy nie mogła czy nie umiała wiele zrobić bezpośrednio, pomogła bardzo efektywnie odwrotowi zarówno 3-ej armii sowieckiej, jak i 15-ej.

Wracając do historii odwrotu armij sowieckich i naszych działań, stwierdzam, że z powodu dziwnego rozkazu, grupującego 1-szą armię ku zachodowi, 4-ta nasza armia została skierowana na Łomżę; 15-ta zaś armia sowiecka 19-go wieczorem znajdowała się w pełnym odwrocie ku tejże Łomży. Dla pomocy zaczynającej dopiero odwrót 4-ej armii zostawiła jedną dywizję na północ od Ciechanowa. Odwrót armii był bardzo pospieszny. Przyłączyły się do niego i niektóre części 4-ej armii sowieckiej, które zdążyły minąć Ciechanów. Już 21-go sierpnia większość 15-ej armii wraz z częściami 4-ej jest w Łomży, osłaniającej swój dalszy odwrót boczną osłoną w okolicach Śniadowa. Nasza 4-ta armia, zmuszona do zmiany kierunku, oswobodziła w ten sposób 3-cią sowiecką armię od bezpośredniego nacisku, nie zdążyła zaś dobiec do swego nowego celu, opuszczonego przez dziwaczny odwrót ku zachodowi 1-ej armii. Dlatego też 21-go pod Śniadowem wchodzą w kontakt z cofającą się 15-tą armią tylko straże przednie lewo-skrzydłowej dywizji 15-ej. Oddziały te, co prawda, zdobyły Śniadowo, co, o ile mi wiadomo, wywołało już w Łomży w wojskach sowieckich prawdziwy popłoch. Nazajutrz 22-go koncentruje się już cała 15-ta dywizja nasza i silnym uderzeniem wieczorem zdobywa Łomżę. Przy tak pospiesznym tempie mowy, naturalnie, być nie mogło o uporządkowanym odwrocie. Gdy nazajutrz przyjechałem do Łomży, stwierdziłem, że bardzo wielu z podwładnych p. Tuchaczewskiego rozpytywało w Łomży i jej okolicach nie o co innego, jak o drogi, wiodące do Prus Wschodnich. Znowu więc cała armia czyniła pospieszny odwrót pod naciskiem jednej tylko naszej dywizji.

Pozostała jeszcze na zachodzie 4-ta armia. Była najdalej, aż na brzegach Wisły, najpóźniej otrzymała rozkaz i utraciła

Następnie wdenorą zostały XVI armia Podadunowe jej dywizye 8a
10a i 17a wdenone zostały koło Kalwela i Nowoświsza dnia 17go wieczór
, Wzięto przez nazwę 14ą i 15ą dywizye z dwóch stron linii wszystkich dywizyj
rozproszyły się odwrót i cofały w zakwadrat. Dla tych niemcy odrzuty
ły. tam dzień przerwy - na wschód za Wejciuny. Dwóch to pułków w
swoim liście do gen. Sosnowskiego. Dnia tych był rozbitkowie wyżywa wsty.
Za przez ludność miejscową, która formalnie nie nie wydała polowania Na wsie
Pana Kirgiejewa widzimy ją jak 18go dnia się za Liwcu pod Ogrodem mapie
drogę odwrotową teraz za Drohiczyn. Wdenora przez dzielnicę tego dnia przez
a vangardę jednej tylko dywizyj zanej 21ą i widzę że jeden zaraz i awan.
garda 1ą legionowej już zabiegnie ją drogę w Drohiczynie cofnęły się XVI armia
jak to na rysunku naszem pokazano ku północy w stronę Bielska. Próby ogrom
na drogi wybrano zostały złamane szczególnie przez obejście 1ą Legionowy i koło
Bielska część taborów i niemców tej dnia armia wycofanie pościgu armii
kazyo do Wołkowyska. Gros zaś zatrzymane jest przez zajęcie już 20 sierpnia
Bielska przez 1ą Legionową i po bardzo słabym ze swej strony oporze zna-
cza się ku północy, nazajutrz po wyjściu przez Białystok. Dotąd tego ów

Fotografia fragmentu rękopisu «Roku 1920»

dotychczasowego swego dowódcę, który szedł od zwycięstwa do zwycięstwa, a teraz był w pospiesznym, w bardzo pospiesznym odwrocie do Augustowa i Grodna. Dotychczasowymi jednak zwycięstwami i siłą moralną przykuła ku sobie tyle uwagi i tyle trwogi, że wszystko to (z wyjątkiem dwóch dywizyj), co dotąd przeciwko armiom p. Tuchaczewskiego miało bronić Warszawy, skierowane jest ku niej, by ciasną siecią ją otoczyć i zdławić. Od wschodu więc idzie ku niej 1-sza armia, lecz ta, mając do przezwyciężenia zadane jej nowe skręty i zmuszona w części bez mostów przechodzić jeszcze raz Narew, nie nadąża nigdzie — ani do Łomży, gdzie była 18 sierpnia skierowana, ani pod Mławę, gdzie ją nowe rozkazy dowódców posyłają. Ściga ją i naciska od południa aktywniejsza znacznie od 1-ej armii — 5-ta. Lecz armia p. Sergiejewa i bez niego broni się, jak lew osaczony. Dnia 22 sierpnia, gdy Łomża już była w moim ręku z opuszczonym pospiesznie mostem przez Narew, armia 4-ta sowiecka przerwała przeszkody, otwierając drogę dla swojej piechoty i taborów. Nazajutrz nieznaczna już przeszkoda, naprędce rzucona do Chorzel z tejże 5-ej naszej armii, została szybko zniesiona i reszta 4-ej sowieckiej armii ruszyła ku wschodowi. Było jednak za późno. Od Łomży ku północy wybiegły już przegrodzić jej drogę dwie dywizje (14-ta i 15-ta) z naszej 4-ej armii. Po krótkim boju i próbie przerwania i tej przegrody, 4-ta armia sowiecka wyrzekła się dalszych usiłowań i przeszła granice Wschodnich Prus, składając tam broń. Tak się zakończyła historyczna bitwa pod Warszawą.

P. Sergiejew załącza do swojej książki szkic bitwy pod Warszawą. Jest on nieco zaplątany i niezupełnie ścisły dla naszych działań, niedokładnie przez niego znanych i zrozumianych. Dla charakterystyki armij sowieckich reprodukuję ten szkic, opuszczając wszystkie szczegóły, gdyż wtedy nie każdy zorientuje się w tej chaotycznej, źle dowodzonej po obu stronach bitwie *). Odkładając szczegółową analizę bitwy pod Warszawą na później i ograniczywszy się tylko do ogólnej strategicznej jej oceny, i w reprodukcji szkicu ograniczam się w ten sposób. Tym jaśniej występuje wtedy praca strategicznych jednostek p. Tuchaczewskiego, poszczególnych armij. Streszczam losy ich po krótce, zaczynając od południa.

Grupa mozyrska przedstawiona jest na szkicu jasną linijką, łączącą 58-mą dywizję we Włodawie z jakąś strzałką z numerem 57 pod Żelechowem, dodatek stanowi jakieś taje-

*) Patrz szkic nr 8.

mnicze kółko, otaczające Łuków. Wobec tego, że ani ten szkic, ani działania moich wojsk nie wyjaśniły mi tajemnicy mozyrskiej grupy, zwycięskiej od 4 lipca w dwóch kierunkach, a zupełnie nie stawiającej oporu w dniach 16 i 17 sierpnia, ograniczę się krótkimi słowy. Dywizja 58-ma dwa razy próbowała zatrzymać naszą 3-cią dywizję legionową bezskutecznie i wycofała się rozbita za Bug, oddając Włodawę i Brześć, zajęty 19 sierpnia. Nasza 3-cia legionowa zatrzymała się potem w Brześciu, przedłużając w ten sposób pasywną osłonę Bugu. W ten sposób aktywna dalsza praca ku północy wojsk gen. Śmigłego skurczyła się do działań 1-ej dywizji legionowej z brygadą jazdy, sekundowanych od zachodu poparciem dalekim 21-ej górskiej dywizji. Reszta mozyrskiej grupy z 57-mą dywizją wyszła zupełnie z rachuby, była bowiem istotnie «rozpyloną» do tego stopnia, iż jeńcy z 57-ej dywizji brani byli przez wszystkie nasze wojska, zaczynając od lewo-skrzydłowej dywizji 14-ej do prawo-skrzydłowej 1-ej legionowej na przestrzeni od Wieprza aż po Białystok i Łomżę.

Następnie uderzona została 16-ta armia. Południowe jej dywizje 8-ma, 10-ta i 17-ta zaatakowane zostały koło Kołbieli i Mińska dnia 17-go wieczór i 18-go rano przez naszą 14-tą i 15-tą dywizję z dwóch stron. Część sowieckich dywizyj rozprószyła się od razu i cofała w naturalnym dla siebie kierunku odwrotu, t. j. tam, skąd przyszły — na wschód ku Brześciowi. O nich to pisałem w swoim liście do gen. Sosnkowskiego. Duża część tych rozbitków wyłapana została przez ludność miejscową, która formalne na nich urządzała polowanie. Na szkicu p. Sergiejewa widzimy 16-tą armię, jak 18-go zbiera się na Liwcu pod Węgrowem, mając drogę odwrotową teraz na Drohiczyn. Uderzona wieczorem tegoż dnia przez straż przednią jednej tylko dywizji naszej, 21-ej, i wiedząc, że jazda nasza i straż przednia 1-ej legionowej już zabiegają jej drogę w Drohiczynie, cofa się 16-ta armia, jak to na szkicu pokazano, ku północy w stronę Bielska. Próby oporu na Bugu szybko zostają złamane, szczególnie przez obejście 1-ej legionowej, i koło Bielska część taborów i nieznaczna ilość wojsk unika pościgu, umykając do Wołkowyska. «Gros» zatrzymane jest przez zajęcie już 20 sierpnia Bielska przez 1-szą legionową i po bardzo słabym ze swej strony oporze rzuca się ku północy, szukając wyjścia przez Białystok.

Wobec tego, że szkic p. Sergiejewa urywa dzieje 16-ej armii w Bielsku, dając potem tylko rozprószone w różne strony strzałki, cytuję p. Putnę, dziejopisa 27-ej dywizji sowieckiej w tym pochodzie. Opisuje on, że Bielsk próbowała odebrać

od naszej 1-ej dywizji legionowej 21-sza dywizja sowiecka, a gdy się to jej nie udało, 16-ta armia, która cały czas nie miała żadnego związku ani z dowódcą swoim, ani z żadną inną armią sowiecką, przechodząc z trudem przez Narew pod Surażem, wyszła 22 sierpnia koło południa na 12 wiorstę szosy Białystok—Mazowieck, gdy Białystok już od rana 22-go był zajęty przez straż przednią 1-ej dywizji legionowej. Oto, jak opisuje p. Putna, co na tej 12 wiorście się znalazło: «Na szosie do Białegostoku zgrupowane były liczne tabory i poszczególne jednostki trzech armij (407-my, 408-my, 409-ty pułki i części 2-ej, 3-ej, 6-ej, 8-ej, 10-ej, 17-ej, 21-ej, 55-ej dywizyj). Przeciwnik silnie zajmował Białystok i próby jednostek 2-ej i 21-ej dywizyj wyrzucenia go z miasta nie miały powodzenia». Nastąpił wieczorem nowy rozpaczliwy atak na Białystok jednych i nocne przemarsze dookoła innych. Przez pewien czas droga przez Białystok była nawet otwarta, lecz w rezultacie zostawiono mnóstwo materiału wojennego i wielką ilość jeńców w rękach 1-ej dywizji legionowej. Stan zaś armii oddaje p. Sergiejew słowami: «Wszelki porządek ostatecznie został naruszony i części 16-ej armii wyszły w postaci marnych resztek tak groźnych niegdyś dywizyj». Dodaje zaś w uwadze: «Utrzymały jeszcze jakiś porządek i zdatność do boju tylko po jednej brygadzie 8-ej i 17-ej dywizyj i dwie brygady 27-ej dywizji (z piętnastu brygad, które były w armii)».

Następna, 3-cia armia sowiecka najszczęśliwsze losy miała w bitwie warszawskiej. Rozkaz p. Tuchaczewskiego ruszył ją do ataku na Modlin; lewym swym skrzydłem pomagała 16-ej armii, z tego właśnie powodu jej 21-sza dywizja podzieliła losy sąsiedniej armii. Przy rozbiciu armii 16-ej cofnęła się za Narew, próbując przez chwilę tylko stanąć na Bugu. Gdy to się nie udało, zerwała kontakt z armią 15-tą, pozostawiając ją swemu losowi, a widząc klęskę 16-ej armii, zaczęła spiesznie uchodzić wzdłuż szosy Wyszków—Ostrów—Zambrów. Na szkicu p. Sergiejewa mamy ją pod Wyszkowem 19-go, następnego dnia 20-go pod Ostrowiem, gdzie nie próbuje w ogóle stawiać oporu i odchodzi dalej, będąc jeszcze na równi z odchodzącą tamże i będącą już koło Ostrołęki 15-tą armią. Lecz już dalej wyrzeka się jakiegokolwiek udziału i współudziału z innymi armiami, spieszy wykorzystać czas, gdy nasza 4-ta armia zwrócona została ku Łomży, a nasza 1-sza armia czyni swój odwrót za Narew ku zachodowi. Na szkicu widzimy ją 22-go, w dniu klęski 16-ej armii pod Białymstokiem i 15-ej pod Łomżą, jak, nie pomagając w żadnym kierunku, spieszy w postaci trzech strzałek ku północnemu-wschodowi na Ossowiec

i w kierunku Grodna. P. Sergiejew stwierdza, że z klęski warszawskiej wyszła ona najlepiej, stwierdzić to mogę również i ja, gdyż znalazłem ją w miesiąc później, uparcie broniącą Grodna i przejścia przez Niemen.

Armia 15-ta nie szła pod Warszawę, obchodziła ją, idąc w kierunku Wisły w dolnym jej biegu poza Modlinem, zaczepiła więc o obsadę naszą w Warszawie lewo-skrzydłowymi dywizjami, lecz nie doszedłszy do swego celu, otrzymała 17-go wieczorem rozkaz cofania się z powodu natarcia polskiego z nad Wieprza. Cofnęła się, by przyjąć na siebie ciężar bojów w tym czasie, gdy żadna armia już bojów nie prowadziła. Dnia 19-go widzimy ją skoncentrowaną w Ciechanowie, Makowie i Przasnyszu, czekającą jeszcze na nadejście 4-ej armii, lecz wobec zupełnego rozbicia 16-ej armii i odejścia 3-ej — armia ta cofa się. Na szkicu p. Sergiejewa znajdujemy ją 20-go w okolicach Ostrołęki, 22-go jest ona w Łomży, którą pod naciskiem jednej dywizji naszej (15-ej) traci tegoż dnia. Odchodzi pospiesznie już przez Grajewo, dotykając w ten sposób granicy ze Wschodnimi Prusami. Zostawiła ona w ostatnim boju i natychmiastowym pościgu wielką ilość jeńców, przy czym nie mała jej część, zmęczona i zniechęcona do dalszych bojów, przeszła przez granicę do Wschodnich Prus, dając się tam rozbroić.

Wreszcie armia 4-ta uwidoczniona jest na szkicu p. Sergiejewa, jak koncentruje się zewsząd — spod Włocławka, Brodnicy i z za Wkry, w liczbie czterch dywizyj i konnego korpusu, i 22-go przebija pod Mławą pierwszą przeszkodę (naszą 18-tą dywizję), 23-go rozbija słabą drugą przegrodę pod Chorzelami (jeden pułk t. zw. sybirskiej brygady) i wreszcie 25-go pod Kolnem, zatrzymana przez naszą 14-tą i 15-tą dywizję, przechodzi przez granicę i daje się rozbroić we Wschodnich Prusach.

W historii bitwy warszawskiej zastanowić musi każdego dziwna, nieoczekiwana i tak nagła zmiana ról obu stron walczących. Zwyciężony zostaje zwycięzcą, zwycięzca zwyciężonym — w jakieś parę dni. Gdy zaś zestawi się niezwykłą jakąś sugestię klęski polskiej, która nieodparcie narzucała się umysłom i sercom ludzkim nie tylko u nas w Polsce, lecz i na całym świecie, gdy się zestawi niezaprzeczony fakt upadku moralnego młodego państwa polskiego, czego wyrazem była wysłana delegacja pokojowa do stóp p. Tuchaczewskiego, z nagłym przewrotem, który w jakiś błyskawiczny sposób nastąpił — szuka się bezwiednie jakichś nadzwyczajnych przyczyn tej nagłej zmiany, tego piorunującego przewrotu. Gdym dawał charakterystykę potężnego wpływu, który wywarł p. Tu-

# Szkic № 8.


Położenie 16. VIII
» 15. 3 i 16 armii 19. VIII
» » » 20. VIII
» » » 22. VIII
» 4 » 25. VIII
III k. k. i 12 d. p. w kierunkach na Włocławek, Toruń i Brodnicę.
4 armia
15 armia
14 d. p.
25. VIII
15 d. p.
22. VIII
18 d. p.
1. p. syb. br.
15 armia
15 armia
21. VIII
4
Sierpc
16. VIII
54 d. s.
53 d. s.
Raciąż
18 d. s.
3 armia
3 armia
16. VIII
20. VIII
3 armia
15 armia
164 br. s.
4
3
Grodno
15
3 armia
Kuźnica
22. VIII
Białystok
27 d. s.
2 d. s.
17 d. s.
22. VIII
16 armia
16 armia
20. VIII
1 d. p. leg.
25. VIII
21 d. s.
27 d. s.
2 d. s.
17 d. s.
10 d. s.
19. VIII
18. VIII
21 d. p.
1 d. p. leg.
18. VIII
1 armia
Warszawa
15 d. p.
17. VIII
16 armia
16. VIII
8 d. s.
14 d. p.
17. VIII
57 d. s.
3 d. p. leg.
19. VIII
Brześć n/B.
25 VIII
GR. MOZ.
14 d. p.
16 d. p.
21 d. p.
58 d. s.
12 armia
4 armia
16. VIII
1 d. p. leg.
3 d. p. leg.
Gr. uderzeniowa
16. VIII
Podziałka 1:1 000 000
Augustów
Lipsk
Grajewo
Szczuczyn
Osowiec
Myszyniec
Janowo
Działdowo
Szumsk
Nowogród
Śniadowo
Zambrów
Rożan
Ostrów
Pułtusk
Bielsk
Płock
Płońsk
Modlin
Mińsk Mazowiecki
Siedlce
Kałaszyn
Karczew
Skierniewice
Góra Kalwaria
Osieck
Garwolin
Łuków
Żelechów
Radzyń
Kock
Parczew
Włodawa
Dęblin
Puławy
Radom
Lublin
Lubartów
Sawin
Chełm
Hrubieszów
Zamość
Janów
Siedlce
Międzyrzec
Biała
Stawatycze
Kleszczele
Drohiczyn
St. kol. Białowieża
WISŁA
BUG
WKRA

chaczewski swym zwycięskim pochodem, mówiłem, żeśmy mieli po swojej stronie wrażenie kalejdoskopu, wywołującego chaos obliczeń, rozkazów i raportów. Kalejdoskop kręcił się może powoli, lecz przy nim dzień nie podobny był tak dalece do dnia następnego, że jakby w kontredansie plątały się wszystkie figury — manewry dywizyj i pułków z nazwami geograficznymi. Teraz ja miałem swój rewanż i swój tryumf.

Nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa rżnęła muzyka wojny! Nie dzień z dniem się rozmijał, lecz godzina z godziną! Kalejdoskop, w takt wściekłego galopu zakręcony, nie pozwalał nikomu z dowodzących po stronie sowieckiej zatrzymać się na żadnej z tańczących figur. Pękały one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerastały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary. Nie wiem, czy moi podwładni ówcześni zdawali sobie w tym galopie zdarzeń sprawę, co się dzieje właściwie. Część zachodnia — napewno nie! Byli w okresie najwyżej kontredansu i to dosyć lichego. Natomiast zawsze z przyjemnością wspominam, że zakręciwszy korbę kalejdoskopu na takt wściekłego galopa i kontrolując siebie co chwilę, konstatowałem z rozkoszą, że zachowuje dobrą «tête froide d'un chef», który nie dostaje zawrotu głowy od zwycięstwa i nie upada od porażek. To też gdy Warszawa, po przydługiej sugestii klęski, przeszła do festynów i uroczystości, ja w Siedlcach przygotowywałem dalszą wojnę i zaraz po wzięciu Łomży, bo 23-go, dałem nowy zarys dalszych operacyj. Zmieniłem od razu nienaturalny, ku północy zwrócony, front, na prosty i naturalny — wschodni, dzieląc wojska na nowo pomiędzy nowe armie i przechodząc jako zwycięzca do porządku dziennego nad mnóstwem śmiesznego chaosu dowodzenia i jego rozkładu z czasów porażek i klęski.

## IX

P. Tuchaczewski był wyznaczony przez państwo, któremu służył, na stanowisko na tyle wysokie w organizacji armii, prowadzącej wojnę, że nie mógł być oswobodzony od rachunków i kalkulacyj, które są udziałem najwyższych stopni dowodzenia podczas wojny. Na stopniach tych bowiem dowódca ograniczać się nie może jedynie do technicznych zadań, związanych z działającą wojenną armią. Musi, chociażby dla sądu własnego o możliwości realizacji zadań, które przeznacza swym podwładnym, mieć stały rachunek i kalkulację sił i war-

tości wojennej swego państwa, jak i tego państwa, z którym wojnę prowadzi. Bez takiego rachunku wyższe dowodzenie jest z konieczności słabym i łatwo jest wtedy poplątać takiemu wodzowi rachunek ściśle wojskowy przez dodanie i jakby wrzucenie mu do pracy elementów i danych, zapożyczonych z dziedziny mu obcej, a jednak ciążącej nad nim nieustronnie. Dziedziną taką są, że użyję określenia poprzednio przeze mnie użytego, fronty wewnętrzne obu stron wojujących. Siła i kierunek frontu wewnętrznego w stosunku do toczonej wojny stanowi często znacznie więcej, niż siła i wartość samego wojska. Dlatego też nie dziwię się wcale, że p. Tuchaczewski poświęcił cały rozdział rozważaniu tej właśnie dziedziny, związanej ze sztuką wojny. Wobec tego zaś, że ja w wojnie stałem na szczeblu jeszcze wyższym, niż p. Tuchaczewski, gdyż nie tylko dowodziłem armią polską, lecz byłem zarazem Naczelnikiem Państwa, musiałem robić ten sam rachunek stale i systematycznie. Chcę więc teraz, gdy o tej wojnie piszę, zestawić po krótce oba rachunki i wpływ ich na wojnę także w specjalnie poświęconym temu rozdziale.

P. Tuchaczewski prowadził swe armie ku Wiśle i za Wisłę w imieniu i z zadaniem niesienia siłą tego, co w rozważaniach zagadnienia nazywa rewolucją. Zgodnie z tym i tytuł rozdziału brzmi «Rewolucja z zewnątrz». Już sam tytuł zadania wojennego ma w sobie ślady wyraźne faktu, że rewolucja wewnętrzna nie istniała, gdy ją na ostrzu bagnetów z zewnątrz przynosić trzeba było. W każdym razie faktem było niezaprzeczonym, co stwierdza i p. Tuchaczewski, że sowiecka Rosja wojnę prowadziła z nami pod hasłem narzucenia nam, Polakom, ustroju jednakowego ze sobą, t. zn. sowieckiego, i ten cel chrzciła nazwą rewolucji z zewnątrz. Fakt, że taki właśnie cel był dla wojny postawiony, był mi zupełnie dobrze znany i dlatego stwierdzam od razu, że osobiście prowadziłem wojnę nie o co innego, jak o to, aby ta rewolucja z zewnątrz przez sowieckie bagnety do nas przyniesiona nie była. Polska początek wojny z Sowietami miała już w r. 1918, a był to rok, w którym zaledwie dwa ostatnie miesiące żyć zaczęła życiem samodzielnym. Dotąd bowiem, jak zapewne p. Tuchaczewskiemu wiadomo, żyć była zmuszoną — również przez bagnety, panie Tuchaczewski — życiem nie polskim, przez siebie samą urządzonym, lecz życiem obcym, związanym aż z trzema państwami: Rosją, Niemcami i Austrią. Ta niewola u zaborców trwała do końca r. 1918, już więcej, niż 120 lat. Więcej zatem, niż wiek cały, darzono Polskę za pomocą bagnetów, które ongiś Polskę zwaliły, dobrodziejstwami życia obcego i dlatego nie-

raz gorąco znienawidzonego. Polska więc w r. 1918 rozpoczynała na początku zimy wiosenny okres swego swobodnego życia po wiekowej niewoli. I chociaż ta wiosna w historii naszej zwaną będzie krótkotrwałą, chociaż kwiaty, którymi wiosna ludzi darzy, nie pokryły barwną powłoką pleśni i wyziewów wiekowej niewoli — była jednak wiosna ta dość silną, by uzbroić w wysiłki dostateczną ilość ludzi, nie chcących raz jeszcze zakosztować, co znaczy bagnet p. Tuchaczewskiego, niosący zagładę naszego własnego życia na korzyść złych czy dobrych, to było wszystko jedno, lecz przymusowych tortur niewoli. Jako Naczelnik Państwa Polskiego i Wódz Naczelny jej sił zbrojnych, dumny dotąd jestem, że byłem wyobrazicielem tych, co wiosnę w Polsce głosili i przejawy jej piersiami własnymi osłaniali.

Postawiłem też sobie, niezależnie od nikogo, już w r. 1918 wyraźny cel dla wojny z Sowietami. Zdecydowałem, mianowicie, natężyć siły, aby możliwie daleko od miejsc, gdzie się nowe życie wykluwało i wykuwało, obalić wszelkie próby i zakusy narzucenia raz jeszcze życia obcego, życia, nieurządzonego przez nas samych. W r. 1919 zadania tego dokonałem. Odrzuciłem próby sowieckie tak daleko, że pracy odbudowy własnego życia, także złej czy dobrej, w to nie wchodzę, Sowiety nie były w stanie mącić i jej przeszkadzać. Ta wielka przestrzeń, którą się zabezpieczyłem od «rewolucji z zewnątrz», miała nawet dla celów wojny swoje złe strony. Przy znanej bowiem lekkomyślności naszego narodu, przy, niestety, powolnej i często nieudolnej pracy budownictwa nowego życia zapomniano o prawach, ciążących nad narodem, gdy wojnę prowadzi. Nie widziano jej z bliska i za mało brano ją w rachubę. Cel więc sobie postawiony osiągnąłem w 1919 r. Zapytać jednak wolno, czy nie ma jakiego błędu w rachunkach i kalkulacjach p. Tuchaczewskiego? Gdy po zwycięstwach jego, odniesionych nad nami, praca budownictwa u nas, pod wpływem tych zwycięstw, zamarła, gdy rękę swą już wyciągał po centrum naszego życia, stolicę Warszawę, gdy więc bagnety zrobiły już swoje, rewolucja sowiecka jednak pozostała tylko na bagnetach, nie mając wtedy wartości wewnętrznej w Polsce. A przecie cały rachunek p. Tuchaczewskiego i jego państwa nie na czym innym się opierał, jak na tym, że bagnety dają tylko hasło i dają możność przejawienia siły tejże rewolucji sowieckiej wewnątrz kraju, do którego przyszły.

Sili się więc p. Tuchaczewski słowami, określeniami i stylem zrobić to, czego nie zdołał zrobić w r. 1920 bagnetem i przemocą. Łatwym jest przeciwstawić słowa — słowom, da-

jąc czytelnikowi do wyboru zatrzymanie serca tam, gdzie słowo mu się bardziej podoba. Dla przykładu spróbuję. Więc jesteśmy u p. Tuchaczewskiego biało-Polakami, może to u niektórych jego czytelników wywoła radosne bicie serca, ja na to określenie się nie gniewam. W herbie bowiem naszego państwa mamy orła nie innego, jak białego koloru i gdy, jak każdy orzeł, mając dziób zakrzywiony i ostre szpony, rozwinął swe skrzydła w kampanii p. Tuchaczewskiego 1920 r., przeciwstawić się potrafił dwugłowemu potworkowi, chociaż ten w czerwony wymalował się kolor. Zostańmy więc biało-Polakami, gdy nasz orzeł jest biały, jedną naturalną ma głowę, a szpony dość ostre, by potworki zwyciężać i gniazda swego bronić. Prawda, jesteśmy także «pańską Polską». Jakżeż mi to dokładnie przypomina czasy dzieciństwa, gdy w Wilnie ze wstrętem i obrzydzeniem rzucałem książki tak znanych w szkolnictwie rosyjskim autorów, jak Iłłowajski. Tam również uczono dzieci, jak wielkie moskiewskie cary «pańską Polskę» dobrodziejstwami darzyły, jak wielkie zasługi przed Bogiem, ludzkością, a zatem i Polską mają, a ta «miatieżna» w każdym pokoleniu wiosnę swego życia krwawym powstaniem święci — «pańska Polska»! Przypomina mi to bardzo piękną anegdotę. Mianowicie, jeden z rosyjskich «radykałów» twierdził, że Polska tak jest przesiąknięta «pańską kulturą» i «pańskim» wstrętnym sposobem myślenia, że nawet do Boga zwraca się przez «Pan», a zwyczajny «tufiel» nazywa «pan-tufiel». P. Tuchaczewski w rachunku swoim wcale nie bierze pod uwagę, że akurat w tym czasie, gdy on «pochód za Wisłę» czynił, u nas w sejmie najsilniejszym stronnictwem było stronnictwo chłopskie, włościańskie, które także do Boga zwraca się przez «Pan», a o «tuflu» mówi nie inaczej, jak «pan-tufiel». Akurat wtedy, gdy do bram stolicy p. Tuchaczewski pukał, na czele rządu, który Polskę bronił, stali przedstawiciele zarówno włościan, jak i robotników, pp. Witos i Daszyński. Lecz jeżeli, jak powiedziałem, na wodza, który, będąc złamanym moralnie, woli przeciwnika się poddaje, nie ma lekarstwa, to także świat nie znalazł lekarstwa na głowę i oczy doktrynera. P. Tuchaczewski tych faktów nie widzi i nie chce rozumieć. «Réalité des choses» dla niego nie istnieje. Nie istnieje więc i w wielu wypadkach, gdy o nas mówi.

Oto, np. na stronie 195 pisze: «Jeszcze przed rozpoczęciem naszej ofensywy cała Białoruś, jęcząca pod uciskiem polskich obszarników i białych polskich armij, gotowała się i wrzała od powstań chłopskich». Doprawdy, głowy doktrynerów są cudowne! P. Tuchaczewski nie widzi wcale, że

w przeciągu całej wojny, którą Sowiety prowadziły z nami, na tyłach bliskich, a bardziej jeszcze na dalekich frontu, przeciw nam zwróconego, inne wojska sowieckie i inni koledzy p. Tuchaczewskiego nie robili nic innego, jak z trudem zwalczali takie czy inne przeciw Sowietom powstania! Nawet duża część armii, dowodzonej przez Tuchaczewskiego, przyszła do boju z nami, gdy różne powstania gdzieś wewnątrz sowieckiej Rosji zgnieść zdołała. Nic zaś podobnego w Polsce nie było. I wojska, o ile były zorganizowane, swobodnie mogły być stawiane do walki z tym, co było przed frontem, a nie z tym, co poza frontem się znajdowało! Zaledwie w paru miejscach w przeciągu całej wojny zmuszony byłem do posłania bardzo słabych oddziałów i to nie dla wojny, nie dla boju, lecz dla zrobienia masowych rewizyj i odebrania broni, którą można było mi zagrozić. Pamiętam, jak jednemu z wybitnych przedstawicieli jednego z państw zachodnich, który zwykł był wierzyć znacznie więcej «carosławnemu historykowi» Iłłowajskiemu, niż mnie, i który zatem, tak samo, jak p. Tuchaczewski, oczekiwał, że coś musi «gotować się» i «wrzeć», pokazałem, jak na moich tyłach pracują koleje i telegrafy bez żadnej osłony. Może p. Tuchaczewski zechce, jak i w innych miejscach, widzieć w tym niedorozwój «rewolucji», a odwrotnie — w powstaniach, z którymi sam walczył na tyłach polskiego frontu, przerost kontrrewolucji, dla strategii i kalkulacji wodza te słowa nic nie zmieniają. Fakty mówią, że w swojej kalkulacji p. Tuchaczewski błądził, a ja błędu ani w sercu, ani w myśli nie miałem. Powiada p. Tuchaczewski, że ma jeszcze «charakterystyczny i świetny przykład uzupełnienia klasowego» w postaci 30.000 ludzi, którzy weszli w skład jego armij, prowadzonych za Wisłę. Gdyby tak i było, chociaż p. Tuchaczewski, jak widzieliśmy na początku książki, z tablic obrachunkowych swych sił wstydliwie «uzupełnienie» to wykluczył, to nasze dwie t. zw. litewsko-białoruskie dywizje w ogólnej ilości dały tyleż ochotników, którzy się armii p. Tuchaczewskiego przeciwstawiali. I znowu obojętnym jest dla strategii i sztuki wodza, jak te cyfry będą ochrzczone, gdyż w najgorszym dla mnie wypadku świadczą one o równej możliwości uzupełnienia wojsk dla jednej i dla drugiej strony. Co do mnie zaś, stwierdzam, że osiągając swój cel postawienia pomiędzy Warszawą a Sowietami możliwie wielkiej przestrzeni, działałem jako człowiek, który teatr wojny znał tak dobrze, że zarówno krajobraz, jak i każdy człowiek miał mnie za swego, nie obcego, i przemawiał zupełnie zrozumiałym dla mnie językiem. Widziałem więc dobrze, że olbrzymia, ogro-

mna większość ludności odnosiła się z głęboką nieufnością, a często z wyraźną niechęcią do Sowietów i ich panowania, widząc w nich — słusznie czy niesłusznie, jest to także dla strategii obojętne — panowanie nieznośnego teroru, który chrzczono nazwą żydowskiego. Dlatego też nie czułem nigdy w przeciągu całej wojny trwogi o to, bym na swoich tyłach mógł mieć jakiekolwiek powstanie.

Co się zaś tyczy Polski, która także u p. Tuchaczewskiego wygląda w r. 1920 tak, że nikt, kto tę wojnę przeżył, jej by nie poznał, to w odpowiedzi p. Tuchaczewskiemu zacytuję ustęp z jednego z moich listów, pisanych pod Warszawą. Pracując w nocy z 19 na 20 sierpnia w Siedlcach, zestawiałem wszystkie dane o stanie wojsk i ludności. Na podstawie tych danych zmieniłem nieco mój rozkaz dany 18-go, a do ówczesnego ministra wojny, gen. Sosnkowskiego, pisałem o potrzebach, że tak powiem, rządowych. Oto są moje ówczesne wrażenia: «To, co się tu dzieje, przechodzi zupełnie ludzkie wyobrażenie. Żadna droga nie jest pewna, tyle rozbitych i rozsypanych, ale również zwartych i izolowanych oddziałów z armatami i karabinami maszynowymi włóczy się tu wszędzie w okolicach. Narazie załatwia się z nimi miejscowa ludność oraz najrozmaitsze człony tyłowe różnych dywizyj, które jednak muszą ciągnąć dalej za swoją dywizją, a po nich pozostaje przeraźliwa pustka, tak, że przypuszczam, że gdyby nie chłopi, którzy się uzbroili, to jutro albo pojutrze Siedleczczyzna będzie we władzy bolszewików, rozbitych i rozprószonych poprzednio przez nas, a ja i różne komendy przy pomocy uzbrojonej ludności będziemy siedzieli w uzbrojonych miastach. Powtórzcie to również Skulskiemu (ówczesnemu ministrowi spraw wewnętrznych) i powiedzcie mu, że w Siedlcach, na trzeci dzień po zdobyciu przez nas, nie znalazłem absolutnie żadnej władzy cywilnej, a tym bardziej uzbrojonych policjantów». Obrazek ten sytuacji mojej, Naczelnika Państwa Polskiego, który spokojnie i bezpiecznie się czuje, gdy w mieście policji nie ma, a dokoła jest więcej nieprzyjaciela, chociażby rozbitego, niż wojsk, mu podwładnych, daje wymowny wyraz, czym była Polska ówczesna w swoim stosunku do dobrodziejstw sowieckich, niesionych na bagnetach p. Tuchaczewskiego. I jeżeli p. Tuchaczewski woli rezolucje «masowych mityngów» w Białymstoku, to ja — wyznaję — wolę swoją sytuację w Siedlcach.

P. Sergiejew zawsze jest bardziej prawdomówny, niż p. Tuchaczewski. Pisze on o tej kwestii na stronie 82 całkiem inaczej. Oto są jego słowa: «Rachuba na wybuch polskiej rewolucji mogła być poważnie czyniona tylko w politycznych

kancelariach i to dostatecznie oddalonych od frontu. W wojsku mało w to wierzono i, zdaje się, próba formowania polskiej armii czerwonej w Białymstoku była dostatecznym dowodem, że źródła naszych informacyj zbyt optymistycznie patrzyły na położenie sprawy w Polsce». Zdanie p. Sergiejewa świadczy o tym, ile złudzeń i iluzyj pęknąć musiało u wojska sowieckiego przy zetknięciu się z «réalité des choses». P. Tuchaczewski zresztą nie był w owych czasach tak odosobniony. Bardzo wielu cudzoziemców, którzy wówczas zwiedzali Polskę po raz pierwszy, a którzy, tak, jak p. Tuchaczewski, skłonni byli zawsze bardziej wierzyć historykom szkolnym Iłłowajskim, niż «réalité des choses», rozmawiając ze mną, najczęściej stawiali mi pytanie, czy ja — ówczesny Naczelnik Państwa, nie obawiam się wybuchu rewolucji «à la Russie» u nas? Otrzymywali zawsze i niezmiennie ode mnie odpowiedź, że jeżeli sądzonym jest, w co zresztą wątpię, by świat zechciał przejść przez eksperyment rosyjski, będziemy my, Polacy, ostatni, którzy to zrobimy. Dodawałem zawsze, że jesteśmy zbyt bliskim sąsiadami Rosji, abyśmy łatwo na naśladownictwo się zdobywali.

Cała frazeologia p. Tuchaczewskiego jest mi dobrze znaną. Tyle lat życia swego spędziłem w pracy dla ruchu socjalistycznego, że boję się, iż p. Tuchaczewskiego na świecie nie było, gdy literatura ze słów, używanych przez niego, była w moich rękach. Zapożyczona ona jest z prac wielkiego uczonego i myśliciela — Karola Marksa. I chociaż nigdy w swym życiu nie byłem stronnikiem tego, co nazywają materialistycznym pojmowaniem dziejów, a co stawiano zawsze jako podstawę wszelkiej frazeologii marksistów, umiałem zawsze odróżnić wielkość pracy samego Marksa od wulgaryzacji jego głębokich zawsze myśli. Natomiast, gdy widzę p. Tuchaczewskiego, idącego śladami księcia warszawskiego Paskiewicza, jak stuka do bram Warszawy, powtarzając zaklęcia, zaczerpnięte z Marksa, nie mogę nie odpowiedzieć mu tytułem znanej u nas w Polsce broszury innego wielkiego teoretyka socjalizmu, Liebknechta — «Soll Europa kosakisch werde?». Czy Europa ma zostać kozacką?

Pomijając podstawy myślenia o nas p. Tuchaczewskiego, a zatrzymując się jedynie na wyniku pracy jego w wyższym dowodzeniu wojną, stwierdzić należy, że p. Tuchaczewski omylił się, gdy sądził, że znajdzie wydatną pomoc dla siebie w Polsce podczas wojny. A że niewątpliwie złudzenie to wpływało na jego sposób dowodzenia i specjalnie dało mu argumenty i motywy, gdy decydował o pochodzie «za Wisłę», analiza bez-

stronna orzec winna, iż w rachunku i kalkulacji sił swego państwa i państwa nieprzyjaciela błądził, błąd zaś zemścił się na nim i na dowodzonych przezeń wojskach.

Rozdział zakończyć chcę postawieniem kropki nad «i» natury politycznej. P. Tuchaczewski, jak zresztą i p. Sergiejew, chcą zawsze widzieć w działaniach moich jakąś podwładność w stosunku do wielu bardzo nieokreślonych instytucyj. Tych instytucyj wymieniają ilość nie małą. Więc jest Ententa, więc jest zrzeszenie kapitalistów świata całego, więc jest także komplet imperialistów, jest wreszcie sztab Ententy i ściślej — sztab francuski. Pod tym względem p. Tuchaczewski jest dziwnie podobny do niektórych moich podwładnych i rodaków, którzy wszystkie porażki przypisują mnie, wszystkie zaś zwycięstwa albo sobie, albo, gdy nie przypuszczają, by im kto uwierzył — Francuzom. Naturalnie na gorącą chęć, żeby tak było, nie ma żadnego sposobu ani lekarstwa i nie dla przekonania kogokolwiek z tak dobrze o sobie sądzących to piszę, lecz dla ścisłości historycznej dodaję: objąłem dowództwo wojsk polskich jako naczelny wódz armii, budowanej z niczego, sam bez niczyjego upoważnienia; zostałem zaś jednomyślnie wybrany na Naczelnika Państwa Polskiego przez sejm, przez siebie zwołany, i nie sądzę, by teraz tajemnicą dla kogokolwiek było, że oba te fakty zaszły nie za wpływem, lecz przeciw chęciom tego, co w owe czasy zwano Ententą. Nie widzę zresztą w tym wstydu ani dla siebie, ani dla Ententy. W sprawach politycznych byłem zawsze przedstawicielem, jak to już mówiłem, tych, co w naszej, niestety, krótkotrwałej wiośnie nowego życia, bronić chcieli własnymi piersiami odbudowy Polski, z błota niewoli wydobywającej okruchy swego istnienia. Wiedząc zaś, jak to jest trudne, ześrodkowałem swe wysiłki i myśli dla tego tylko celu, gdy Ententa — co także nie jest tajemnicą — szukała rozwiązania problemu rosyjskiego więcej znacznie, niż takiego czy innego ułożenia spraw polskich. W sprawach zaś wojny i jej decyzjach nieskłonny byłem ulegać komukolwiek. Toteż przedstawiciel Francji militarnej, którym był w Polsce gen. Henrys — a tego zawsze z całą serdecznością wspominam — jeżeli i miał kiedykolwiek złudzenia, to zaniechał zupełnie prób tego rodzaju. Zresztą nie ma w tym nic dziwnego i nie sądzę, bym komukolwiek jaką ujmę robił, gdy powtórzę bardzo mądre zdanie innego reprezentanta tejże Ententy i tegoż sztabu francuskiego, gen. Weygand'a, akurat w czasie kryzysu warszawskiego; kiedy, zmęczony brakiem siły wewnętrznej u nas, Polaków, którzy w chwili najgroźniejszej szukali pokory i, za radą zewnętrzną idąc, posyłać mieli delegację do kwatery p.

Tuchaczewskiego do Mińska, chciałem zrzucić na pół z siebie odpowiedzialność w tym wypadku i zaproponowałem gen. Weygand'owi współudział w dowodzeniu — odmówił mi. Twierdził rozsądnie i rozumnie, że dowodzenie wojskiem, tak szybko sformowanym, jak nasze, i tak mu nieznanym ani co do wartości, ani co do dowódców, ani wreszcie co do tego, czego od wojska wymagać można, jest za trudnym i niemożliwym dla niego. Dlatego też zadawalał się wypowiedzeniem teoretycznym sądów i, przynajmniej co do mnie, powstrzymywał się od jakiegokolwiek nacisku na moje jakiekolwiek decyzje i postanowienia. I jeżeli, wolny w wyborze dla bitwy warszawskiej, wybrałem nonsensowne, zdaniem moim, założenie, dając do pasywnych prac obrony trzy czwarte wojska, a do ataku jedną czwartą, nie obciążam nonsensem niczyjego sumienia, oprócz mego własnego.

## X

Praca wojny jest sztuką. Sztuka tworzy dzieła, a obiektem sztuki wojny jest zawsze zwycięstwo. Zwycięstwa więc szuka każdy dowódca, jako produktu swej pracy dowodzenia, swej pracy mózgu, nerwów i woli. Praca wojsk, dowodzonych przez wodza, jest właściwie materializacją tego, co przed tą pracą przemyślał, przeżył i skombinował dowódca.

P. Tuchaczewski niechybnie był wodzem nieprzeciętnym. W swoim pochodzie za Wisłę materializował on swoje poprzednie rozważania, swoją poprzednią pracę duszy. Odnosił zwycięstwa — jest to rzecz niezaprzeczona. Musiał więc szukać dróg i metod, którymi zwycięstwo uzyskiwał, darząc nim zarówno wojsko, którym dowodził, jak i państwo, które w wojnie reprezentował.

Wojnę tę prowadziłem ja z naszej polskiej strony. Znając dokładnie swoją w tej dziedzinie pracę, wiem i rozumiem dobrze, że praca dowodzenia ze strony przeciwnej, ze strony sowieckiej, równie niełatwą była, jak ze strony naszej. Dlatego, gdy — jak mówiłem we wstępie — nieraz z niesmakiem odrzucałem książkę p. Tuchaczewskiego, pełną zjadliwego, jak mu się zdawało, niszczenia nieprzyjaciela, tak, jak nie potrafił tego zrobić w rzeczywistości, książkę, pełną fałszów historycznych, książkę o przysmaku dla mnie wstrętnym, bo jakąś marną publicystyką smarującą wielkie dzieło wojny — gdym więc z niesmakiem i niechęcią odrzucał tę książkę, ratowała mnie i moją robotę myśl, że wyświetlić potrafię na przykładzie

p. Tuchaczewskiego wielką pracę dowodzenia, czynioną przez niego w niezwykłych warunkach.

P. Tuchaczewski jako dowódca potrafił dać nieraz zwycięstwo. Nie jest wcale obowiązkiem zwycięzcy tłumaczyć, jak to uczynił. Nie jest wcale obowiązkiem wodzów czyny swoje chcieć czy móc ubierać w teoretyczne rozważania, teoretyczne określenia, w coś w rodzaju doktryny. Przysłowie francuskie, które mówi: «la critique est aisée, mais l'art est difficile», jasno stwierdza prawa tworzących dzieła sztuki i pozostawiających tworzenie doktryn i teorii sztuki komu innemu. I nie każdy wódz wielkich wojen kusił się o ubranie swej pracy w szatę teorii, w szatę zakończonej we wszystkich szczegółach jak gdyby doktryny. Prawie każdy jednak, pracując nad swym dziełem — zwycięstwem, próbował i potem dać choćby zarys, tłumaczący metody swojej pracy i rozwój swojej myśli, którą realizował za pomocą działań żywej siły ludzkiej podwładnego mu wojska.

Spróbował tego i p. Tuchaczewski, i — że powtórzę raz jeszcze — kilka stronniczek jego dziełka, które tej właśnie dziedzinie pracy swojej poświęcił, są — zdaniem moim — upiększeniem jego wykładów, upiększeniem, które godziło mnie z pracą, przedsięwziętą przeze mnie obecnie.

P. Tuchaczewski, przedsiębiorąc swój pochód za Wisłę, był oddalony od obiektu swoich pożądań, od celu, który sobie wytknął, o dobrych kilkaset kilometrów. Przebiegł więc przed tym swoją myślą, a później pracą przestrzeń, równającą się połowie Europy. Przedsięwzięcie nie małe! W dziełku swoim podaje metody swej pracy, tworzone przed tym, nim ją rozpoczął na polu bitwy. Stwierdza on, że «przy obecnych rozległych frontach» «skupienie mas taranowych» jest koniecznym wynikiem charakteru wojny obecnej. Szuka on więc w swych rozważaniach sposobu żywienia wojny siłą, przy przebieganiu wielkiej przestrzeni, za pomocą sformowania taranowych — jak określa — mas. Te dojść muszą wszędzie, gdzie operacja się zatrzymuje, jako rezerwa, zachowana w ręku głównodowodzącego. Rezerwą tą chce złamać opór nieprzyjaciela wszędzie, gdzie nieprzyjaciel zechce go postawić. W ten jedynie sposób — twierdzi p. Tuchaczewski — wielkie operacje, na długą metę obliczone, dają się prowadzić w warunkach, gdy ma się do czynienia z wielkimi, rozległymi frontami i wielkimi przestrzeniami.

Nie chcę wchodzić w analizę drobiazgową rozważań p. Tuchaczewskiego. Cieszyłem się, czytając te rozważania. Nie mają one bowiem charakteru zaślepienia doktrynera. Widać

w nich pracę myśli, ważącej na szali argumenty za i przeciw, szukającej rozstrzygnięć ciężkiej pracy mózgu i nerwów w męce duszy. Nie chcę śledzić tych rozważań, chociaż sam je przebiegałem nieraz, pracując nad tym samym problemem, który sobie postawił p. Tuchaczewski. Mógłbym do jego argumentów dodać całe mnóstwo nowych; prawdopodobnie i sam p. Tuchaczewski, rozmyślając nieraz nad tym zagadnieniem, uznałby, że nie przytoczył wszystkich, które przytoczyć można. Chcę jedynie prześledzić działanie tego, co on nazywa masą taranową, podczas całego jego pochodu od Berezyny i Dźwiny aż do Wisły. Chcę znaleźć, gdzie i w jakim stopniu materializowała się myśl p. Tuchaczewskiego w pracy boju, pracy wojska. Zaczął więc p. Tuchaczewski 4 lipca od wstępnego boju nad «wątłym strumieniem» Autą. Rozkład sił jego nazwałem w swojej analizie zręcznym, dobrze pomyślanym, śmiało wykonanym. Trzy armie ściągnął na front o przestrzeni 100 km, by pobić jedną naszą 1-szą armię, która tu stała. Przeciwko większości sił polskich w Berezynie i na Polesiu postawił słabe siły, szukając mocy tam, gdzie szukał rozstrzygnięcia. Taranu jednak tam nie widzę. Gdym przebiegał organizację sił p. Tuchaczewskiego, sądziłbym, że taran jest skupiony w najlepiej uposażonej 15-ej armii. Lecz szła ona do natarcia wcale nieuszykowana w głąb, wcale nie w tym rozkładzie, któryby pomoc chciał dawać innym, gdy bój się zatrzyma. Bardziej taranowo ułożone były obie skrzydłowe armie, specjalnie zaś północna 4-ta. Było to raczej zgodne z ideą Sedanu, z myślą o natychmiastowym, blisko wytkniętym celu zadania nieprzyjacielowi nie porażki, ale klęski. Taranu więc tam nie spostrzegłem. Zresztą nie szukam w tym właśnie początku operacji konieczności dla p. Tuchaczewskiego wierności dla swojej idei. Otwierał smoleńskie wrota; otwierał je bojem, dla którego, jako dla boju, a nie pochodu z daleko wytkniętym celem dla przełamania oporu przestrzeni z możliwościami, które posiadał nieprzyjaciel, rozkład wojsk uczynił.

Zgoda więc — 4 lipca taranu nie było. Natychmiast jednak, nawet w czasie boju, zaniechawszy jego zakończenia, p. Tuchaczewski formuje ten taran. Czyni to, organizując dalsze poruszenie ku zachodowi, z dwiema armiami: 3-cią i 15-tą. Traci nawet, jak to widzieliśmy, na ten cel sporo czasu. Idea jest mu droga. Daleko, o kilkaset kilometrów, świecą mu wieżyce Warszawy, błyska szeroka wstęga Wisły, a przejść tę drogę trzeba trudem, trzeba siłą. Żywić więc przyszłe boje, łamać więc przyszłe przeszkody, zgodnie z zasadniczą myślą p. Tuchaczewskiego, ma 15-ta i 3-cia armie. Skierowuje on je

tam, gdzie przeszkoda czeka, tam, gdzie ma jeszcze niezłamane bojami siły polskie — ku południowi. Nasza 4-ta armia, stojąca na Berezynie, ma doznać na sobie mocy zmaterializowanej myśli p. Tuchaczewskiego — działania taranu. Już przy analizie tego poruszenia porównywałem 15-tą armię, idącą spokojnie w kierunku Mołodeczna, do starej gwardii Napoleona. Stoi ona z fajkami w zębach, jako ostatni odwód wielkiego cesarza Francji. Przygląda się obojętnie toczącemu się przed jej oczami bojowi, wiedząc z góry, że palma zwycięstwa, rozkosz złamania oporu i zmiana porażki nieprzyjaciela na klęskę na nią spadnie, gdy oko cesarza wypatrzy odpowiednią chwilę.

Taran więc ruszył. Armia 3-cia do Mińska, 15-ta do Mołodeczna. Nieprzyjaciel jednak, zgodnie zresztą z przypuszczeniem, wyrażonym w rozważaniach p. Tuchaczewskiego, nie chciał się poddać operacji i być bity taranem; usunął się od uderzenia. Taran, złożony z 3-ej armii i skierowany na Mińsk, uderzył w próżnię. Zrobił więc to, czego właśnie w rozważaniach swych p. Tuchaczewski się obawiał. Armia 15-ta, idąca ku Mołodecznu i mająca pomóc wszystkim a opóźniona w marszu, przyszła także za późno. Boje p. Sergiejewa, który do rozkoszy taranu nie należał, nad modrą Wilią «naszych strumieni rodzicą», rozstrzygały oczekiwany opór przeciwnika przedtem, nim taran cokolwiekbądź zrobił. Nasze wojska znowu się cofnęły nie z powodu taranu, nie zmuszone przez wspólne wszystkich armij p. Tuchaczewskiego uderzenie, lecz z powodu obejścia skrzydła, które w trzydniowym boju nad Wilią zostało złamane. Taran i masy taranowe nie miały w tym wielkiej zasługi.

Mamy więc dalej próby wyznaczenia kierunku dla taranu. I — ku wielkiemu memu zdziwieniu — dalszy kierunek mas taranowych nie jest wcale dyktowany przez chęć znalezienia dla nich oporu przeciwnika, przez chęć do szukania, gdzie ten opór będzie najsilniejszy. Odwrotnie, gdy modra Wilia zawiodła, na drodze p. Tuchaczewskiego stanął szary jej kochanek, Niemen, który, broniąc ziemi ojczystej, dyktował p. Tuchaczewskiemu poruszenia wojsk. Zmusił go do zaniechania nieprzyjaciela, do dostosowania poruszenia taranu do krętego biegu Niemna. Taran, w ten sposób ułożony przez Niemen, niewiele ma wspólnego z dziełem wojny, z żywieniem jej sił tam, gdzie skrzydła słabną. Skrzydła idą zupełnie samodzielnie, wcale niezwiązane z taranem. Narasta nowa przegroda, przegroda, z której korzysta nieprzyjaciel. Jest nią znowu Niemen i Szczara.

Taran, przez bieg Niemna ścieśniony, zwęża się i masuje. W tym właśnie miejscu jest najbardziej ścieśniony, idzie tak, jakby p. Tuchaczewski oczekiwał, że właśnie prawe jego skrzydło, 4-ta armia, będzie zatrzymane i będzie wymagało pomocy taranu.

Lecz Niemen zostaje złamany. Kto go ostatecznie forsuje? Znowu nie taran! Znowu 4-ta armia p. Sergiejewa z jego jazdą! Znowu obejście skrzydłowe, bez próby nawet łamania oporu taranem! Znowu więc masy taranowe, nieużytecznie ściągnięte i sformowane tym razem przez Niemen, nie przez p. Tuchaczewskiego!

Wyrasta dalej nowa przeszkoda. Nie pomogła Wilia, nie pomógł Niemen. Jako przegroda stają dwie znowu rzeki, Narew i Bug. Taran, raz przed Niemnem ściągnięty, idzie i dalej w ciasnym rozkładzie strategicznym, nie rozszerzając się ku południowi, nie szukając tam rozstrzygnięcia, gdy raz w początku swego ruchu uderzył na południe w próżnię.

Cóż się dzieje na tych rzekach? Oto ciekawy rozkaz p. Tuchaczewskiego, przytoczony u p. Sergiejewa, z datą 1-go sierpnia 1920 r. Cytuję go dosłownie: «Przeciwnik przed frontem 15-ej armii okazuje stanowczy opór. Ażeby okrążyć i zniszczyć nieprzyjaciela, dowódca frontu nakazał naszej armii: kontynuując ruch w kierunku Ostrołęki, dwiema dywizjami uderzyć na przeciwnika w ogólnym kierunku na Mazowieck». Więc znowu 4-ta armia p. Sergiejewa, zatrzymana w tym czasie przez tę samą Narew pod Łomżą, ma pomagać taranowi, nie zaś taran 4-ej armii. Prawie chciałbym powiedzieć: «więc gdy trwoga, to do Boga». Stanowczy opór ma być łamany nie przez taran, lecz znowu przez obejście, nie taranowej, a pościgowej armii północnej.

A więc taran dotąd nigdzie rezultatu nie dał; uderzał albo w próżnię — jak to było pod Mińskiem, późnił się — jak to było pod Wilnem, pozostawiał rozstrzygnięcie nie sobie, lecz obchodzącej, pościgowej 4-ej armii — jak to było na Narwi. Może zatem przyczynił się w czymkolwiek do ostatniej pracy pochodu, gdy Wisła była przed materialnymi oczami jeśli nie p. Tuchaczewskiego, to jego wojska?

Nie chcę być złośliwym. Znam ciężary dowodzenia, znam konieczne nieraz jego błędy. Lecz myśl mi błyska, że — kto wie — może idea taranu, uporczywie zachowana, przyczyniła się do klęski p. Tuchaczewskiego pod Warszawą. W taran ujęta 15-ta armia szła rozstrzygnąć, według jego rozkazu z dn. 8-go sierpnia, nie boje pod Warszawą, gdyż w nich nie miała brać

udziału, lecz miała zadanie geograficzne — przechodzenie szerokiej Wisły, gdzie nieprzyjaciela nie było.

I tylko ostatnie zadanie taranu, zadanie nie zwycięstwa, lecz klęski, było najlepiej rozwiązane przez najbardziej taranowo uposażoną i najbardziej do tego wdrażaną armię 15-tą. Gdy wszystkie inne się cofnęły albo w bezładzie (16-ta), albo opuszczając współtowarzyszy niedoli (3-cia), armia 15-ta przez dwa dni 18-go i 19-go próbowała grać rolę starej gwardii, która umiera, ale się nie poddaje.

Gdy kreślę historycznie przebieg materializacji myśli p. Tuchaczewskiego, nie chcę w ten sposób powiedzieć, że p. Tuchaczewski nieproduktywnie pracował, że p. Tuchaczewski myślą błądził tak dalece, iż z góry na niepowodzenie swoją myśl skazywał. Tak nie jest. Myśl jego ma swoją wartość i to wartość dużą. Jest w niej wiele z tego, nad czym niejednemu pracującemu nad sztuką wojenną zastanowić się radzę. Jest próbą, która mogła nie dać owoców, która napewno nawet samego autora nie zadowalała.

Gdy chcę analizować myśl p. Tuchaczewskiego do głębi, gdy usiłuję odszukać w rozważaniach i konkluzjach błędną podstawę, znajduję zawsze błąd w jednym i tym samym. Błąd zaś nie tyczy się taranu, nie tyczy się metody żywienia — jak mówię — siłą długiej operacji wojennej, z góry przewidującej opór nieprzyjaciela, lecz z góry również wyrzekając się myśli dyktowania nieprzyjacielowi sposobu postępowania i stanięcia do oporu tylko tam, gdzie sobie doktrynerski łeb wyobraża i życzy.

Błąd w rozważaniach, rozmyślaniach i wywodach p. Tuchaczewskiego znajduję zawsze, gdy myślę, że szukał on porównania swej pracy z pracą armii niemieckiej na froncie francuskim w 1914 r. Już w ciągu analiz, które czyniłem na poprzednich stronicach, starałem się ustawicznie wykazywać, jak niebezpiecznymi zasadzkami są dla wodzów słowa, określenia, figury geometryczne, nazwy geograficzne i wszystko to, co głośnego protestu wielkiego Napoleona słuchać musi, gdy z pod kopuły Inwalidów dotąd woła «Mais c'est la réalité des choses qui commande, messieurs»!

Więc pochód Niemców ku Paryżowi, ku Sekwanie i za Sekwanę. Czyż nie przychodziło p. Tuchaczewskiemu na myśl, że pochód ten, płód wielkiej myśli i wielkiej pracy mózgu i nerwów Schlieffena, związany jest ściśle z próbą rozwiązania problemu, który w owe czasy stawał przed strategią, by doczekać się swej próby urzeczywistnie w 1914 r.? Była to próba rozwiązania strategii mas. Gdy w bajecznym wyścigu za liczbą,

za jej siłą, za przewagą liczby, wyścigiem, który charakteryzuje strategię po zwycięstwach pruskich 1870 r., armie Europy przekraczały cyfrę miliona, powstawał problemat nowy, nieznany dawniej: jak ruch godzić z masą? Jak ruch godzić z mnóstwem urządzeń, koniecznych dla żywienia wojny, z ogromną artylerią, niezliczonymi taborami, z całą masą urządzeń, bez których wojna przy nowoczesnych środkach boju bezsilną by była. Strategia mas i ich ruch dla zwycięstwa! Oto była olbrzymia praca, którą w ciszy przepracowali wykształceni oficerowie, która zajmowała mnóstwo umysłów, marzących o nowych Kannach, o nowych Sedanach, czy o nowych Jenach i Austerlitzach!

Wiedząc, że pracę moją czytać będą ludzie, którzy nad tymi zagadnieniami głowy nie łamali i nerwów nie szarpali, dam jedno porównanie, które być może ogrom problemu przed oczy postawi.

Weźmy miasto milionowe, więc, np., Warszawę, i postawmy problemat przeniesienia Warszawy dzisiaj do Psiej Wólki, a nazajutrz do Psich Kiszek, z których nawet wyłazić jest niepolitycznie, jak mówił Zagłoba. Przedstawmy sobie Warszawę w ruchu codziennie, z ogromem codziennych potrzeb i codziennej pracy.

A przecie wyścig piekielny za liczbą przekraczał śmiało miliony, biegł już do połowy dziesiątka. Więc strategia mas żądała, by pięć Warszaw biegło ku zwycięstwu, by pięć Warszaw żyć mogło co dzień na innym miejscu, by pięć Warszaw, pracując co dzień nad dziełem zwycięstwa, wszystkie odpadki produkcji wojennej gdzieś na dalekie tyły odrzucało, dając co dzień nowy pokarm dla narzędzia wojny, dla paszcz armatnich i luf karabinowych, wiecznie niesytych. Strategię mas związać z ruchem, ruchem dać zwycięstwo! Oto był problem, związany z pochodem Niemców ku Sekwanie i za Sekwanę.

Gdy p. Tuchaczewski 15-tą swoją armię, w taran związawszy, czyni masą, to pozwolę sobie przypomnieć mu, że w jego obliczeniu 15-ta armia ma w ogóle 46.883 walczących. Jeden korpus niemiecki, gdy szedł po zwycięstwo, liczył więcej! Gdy więc słowo «masa» do 15-ej armii stosuje i, w ciasny dla niej korytarz ją pakując, zwalnia jej bieg, niech przejrzy przemarsz pięciu korpusów 1-ej armii niemieckiej Klucka przez istotną dla mas cieśninę, przez jedno miasto Akwizgran, i niech porówna go z przemarszem swego taranu po wielkich i szerokich polach od Głębokiego do Mołodeczna! Wtedy by może nie chciał tak nieskromnie swoją 15-tą armię «masą» nazywać

i szukać natchnienia dla problemów, które miał do rozwiązania, w strategii mas, których nie posiadał.

Strategia mas w 1914 r. nie dała zwycięstwa żadnej ze stron walczących. Wielkie zwycięstwa, odniesione przez Hindenburga i Ludendorffa, i ich śmiałe manewry na polach bitew w Polsce i Prusach Wschodnich, nie należą do strategii mas, gdyż mas w ścisłym tego słowa znaczeniu wodzowie ci nie posiadali. Strategia mas zwycięstwa nie miała. Ruch mas, o którym marzyła, szybko się wyrodził w wojnę stojącą, gdy mówię o Zachodzie.

W strategii mas zasadniczą rzeczą było związanie milionów w jedną współdziałającą stale masę żołnierską. Wszystkie jednostki musiały być z sobą w ścisłym kontakcie. Zaludnienie wojną przestrzeni, którą miliony przebiegały, było tak gęstym, jak zaludnienie miast, a spoidła taktyczne w postaci wzajemnego poparcia czy to ogniem, czy natychmiastowym ruchem miały być zabezpieczone. I niech się p. Tuchaczewski nie łudzi, że gdy von Kluck prawe swe skrzydło miał zupełnie otwarte, to działo się to jedynie dlatego, by przestrzeni rozmyślnie nie zaludniać wojną. Mas dla tego celu nie wystarczyło. Taktyczne i strategiczne spoidła rwałyby się, gdyby chciano oprzeć skrzydło o morze. Strategia więc mas oprócz mas samych wymagała spoistości, wymagała możliwości współdziałania nieledwie najwęziej pojętego słowa «taktycznego».

Jak powiadam, strategia mas wyniku nie dała. Zamarła ona po różnych próbach w bezruchu i w bezładzie. Ruch został przezwyciężony przez siłę okopu, przez siły materialne i przegrody, które przeciwnicy sobie wzajemnie postawili. I odtąd zaczyna się walka z okopem, walka z przegrodą ruchu, który tak znacznie osłabł. Każdą próbę przerwania okopu i zdobycia ruchu opłacano tak olbrzymimi ofiarami, że pomimo, iż nad wydobyciem elementu ruchu z poniżenia pracowały najlepsze i najsilniejsze umysły, największe siły, nie potrafiono długo rozstrzygnąć problemu. A płacono dużo, płacono ogromnie, by ruch zwycięstwem znowu zrobić. Pamiętam, gdy marszałek Pétain wskazywał mi skrwawione pagórki pod Verdun i mówił mi, że milion prawie ludzi leży w tych zoranych granatami polach bitwy! Milion ludzi, co zniknęli bez śladu, tak. że obecnie kości obu nieprzyjaciół leżą zmieszane z sobą i najbliżsi krewni ich nie odróżnią! Tak olbrzymie hekatomby dla stworzenia ruchu, gdy ruch legł zwyciężony w ponurych okopach!

Pamiętam dobrze te czasy. W zapadłych puszczach Po-

lesia wołyńskiego stojąc, pracowałem także nad okopami. Wiekowe sosny padały pod siekierą, by drogi mościć tam, gdzie przedtem łosie tylko chodziły. Biegły druty telefoniczne i telegraficzne w miejscach, oglądanych niegdyś tylko przez wilki i cietrzewie. W polach drucianych przed okopami istotnie przy jasnym słoneczku zabłądzić było można. Budowałem schrony i pod ziemią z olbrzymich kloców drzewa, i nad ziemią z takichże kloców betonu, by ludzie w przepastnych puszczach zamieszkać mogli. Budowano kolejki, gdy przedtem na błotnistych drogach wystarczał dla potrzeb ludzi marny konik, leniwie się wlokący. Kolejami i kolejkami biegły ku nam nie tylko zapasy żywności dla nowego miasta wojennego, wyrosłego w puszczy, nie tylko masy materiału budowlanego, który co dzień zużywano, krzycząc: jeszcze i jeszcze! — lecz biegły również transporty żywego materiału wojny — ludzi. Dokąd? Z jednego okopu do drugiego; z jednego miasta wojennego do innego, równie przypadkowo powstałego zbiorowiska żołnierzy.

Byłem w okopach; pamiętam swój śmiech pusty, gdy razu pewnego nad Stochodem jedna tylko kompania moja, idąc na wypad, podtrzymywana była w swym ruchu dwudziestu kilku bateriami różnych kalibrów różnego rodzaju dział, które piekło ognia czyniły. A przy cudownym fajerwerku różnokolorowych sygnałów, wyrzucanych w powietrze, te dzikie i niezaludnione miejsca wydawaćby się mogły, jak festyn uroczysty w bogatym i zasobnym mieście.

Myślałem więc w owe czasy, że wojna nie tylko się wyradza, lecz że w ogóle zginąć na zawsze musi. Gdy ruch, główny element zwycięstwa, zaginął, praca wojny stała się jakąś bezsensowną, dziką metodą zabijania ludzi. Nie mogłem sobie wyobrazić, by ludzkość raz jeszcze próbę podobną przedsięwziąć była w stanie. By raz jeszcze chciała przewracać życie całych krajów na to, aby okop żywiły, a strategia i sztuka, zakrywszy oczy ze wstydu, liczyćby miały jedynie cyfrę zabitych, cyfrę zniszczonych istnień, by z tej potwornej rachuby myśl o zwycięstwie wysnuć. Cieszyłem się wtedy w okopach. Wojna więc zniknie! I zmora, wisząca nad tylu pokoleniami ludzkimi, raz wreszcie sama się zabije! Wyrodzi się tak dalece, że sztuka, życia wojny nie krasząc, przez samą obrzydliwość maszynowego mordowania ludzi zniechęci do siebie najzagorzalszych adeptów. Wojna zaginie wraz ze wszystkimi jej skutkami! Ulgę to przyniesie — tak myślałem — i mojej ojczyźnie, ofierze wojny! Lecz zarazem żal mi było tej niebiańskiej sztuki, którą ludzkość pochód swój przez tysiące lat znaczyła. Sztuka wojny,

która tylu wielkich ludzi wydała, ludzi, w których siła niepojęta moc czarowną zakuła, tak, iż dziełem swym — zwycięstwem czynili nowe tworzywa dziejów, które żyć mogły i wieki całe. Czy znajdzie ludzkość inne metody skrótu dla swego tworzywa dziejowego? To były pytania, którymi jako mały brygadier, zatracony w okopach, swoje konkluzje w stosunku do przyszłości czyniłem.

Gdym wrócił z Magdeburga do Polski i prawie w jednej chwili władza polityczna i wojenna w moim ręku się skupiły, wiedziałem z góry, że idę na nową wojnę, że czeka mnie nowa burza wojenna z ciężarem wodza naczelnego, który na swe barki włożyłem. Nowa wojna z nowymi nieznanymi problemami, tak bowiem z każdą wojną bywa. Nie byłem tak naiwny, bym strategię mas bez mas samych chciał powtarzać i naśladować. Bezsilność i upokorzenie słabości czułem zbyt wyraźnie, bym chciał upiększać swoje problemy słowami i określeniami, zaczerpniętymi z przepychu siły liczbowej, którą w 1914 r. rozwinięto. Problemat wojny, szukanie zwycięstwa tą metodą, można było tylko śnić, oszukując się słowami, określeniami bez treści. Zamiast korpusów — bataliony, zamiast armij — dywizje; gdzież są te masy, dla których strategia mas język naginała, metody wypracowała? Nienawidziłem zawsze słabości, która upiększać się chce pustymi dźwiękami słów bez treści! P. Tuchaczewski idzie inną drogą. Kocha się w słowach, treści im nie dając. Dla niego 15-ta armia jest taranową masą; dla niego marnych dwa tysiące jeźdźców — pół dywizji w 1914 r. — jest konną masą, dla większego oszołomienia siebie i innych nazwaną korpusem.

Znam dobrze te słowa. Widziałem usilne starania upiększenia i naszej armii szumnymi słowami, zaczerpniętymi z innej treści; słowami, które gdzie indziej kiedyś siłę oznaczały, które kiedyś wyrosły w szukaniu zwycięstwa innymi, niemożliwymi dla nas drogami. Nigdy zwieść się nie dałem ułudami, chociażby najładniej na mapie namalowane były w różne kolory, gdzie kółka i koła, reprezentujące małe i nikłe oddziałki, były rozciągane na mapie tak, by oszałamiająco udawały potężne liczbowe masy określeniami w tak zwanych «legendach», zaczerpniętymi ze strategii m a s, spieszących ku zwycięstwu.

Zwycięstwa jednak szukać trzeba. Na to jest wojna, na to są wodzowie. Dlatego też, gdy dziełko p. Tuchaczewskiego przerzucałem, wczytywałem się raz po raz w myśli jego, w ślady jego pracy, w zagadnienie, jak przezwyciężał on trudności problemu, jak — gdy mas istotnych nie było, gdy wiązać nie mógł, jak to było i z nami, wojsk w jeden potężny,

współdziałający taktycznie łańcuch — jak dawał sobie radę z zasadniczym problemem, nad którym tyle czasu sam się męczyłem? Problem bowiem stanął dla mnie od razu w całej swojej przerażającej nagości. Problem przestrzeni i zaludnienia jej pracą wojny. Przestrzeń tak ogromna, tysiąc kilometrów olbrzymiego frontu, cała Europa cywilizowana takiej przestrzeni nie zna! A wojska i siły dla zaludnienia tej przestrzeni wojną, dla opanowania jej siłą z wszystkimi wiązadłami i spoidłami, brakowało zarówno mnie, jak i p. Tuchaczewskiemu. Wszelkie próby myślowe, które czyniłem, by ten ciężki problem wiązać z doświadczeniami tak niedawno ubiegłej wojny, nie udawały mi się nigdy. Ani strategia mas, ani strategia, wiążąca ściśle jednostki wojskowe we wzajemną taktyczną współpracę, ani wreszcie strategia okopów, nie dawały mi nigdy żadnych rozwiązań. Oszukiwać zaś siebie słowami i określeniami, wpadać w zasadzkę dla pustych dźwięków bez treści, tak, jak to czyniło wielu, nie chciałem i nie mogłem.

Powtarzam, strategia mas oparta była zarówno na istnieniu milionów, będących w ruchu, jak na uzyskaniu zapewnienia, że wszystkie jednostki, będące w ruchu, wzajemnie się wspierają prawie taktycznie, że są ze sobą związane ścisłymi spoidłami. Gdym ten problem rozważał, nazywałem tę strategię — «stratégie serré» albo «stratégie encadrante». Strategia ścieśniona, gdyż ścieśnia wojska w ruchu tak, by im zapewnić siłę masy, strategia «ankadrująca» — polskiego słowa nie znajdowałem — gdyż każdej jednostce daje poparcie sąsiadów, w ścisłej więzi będących. Strategia okopów nic pod tym względem nie zmieniła, przeciwnie — spotęgowała. Masy zwiększyła, gdyż nie bała się ciężkiego problemu milionów, albowiem zamknęła je w okopach, odrzucając ruch. Spoidła zaś wzmocniła nieledwie materialnie, gdy ściągnęła masy wiązadłem nieprzerwanym drutu i okopu. Stąd taka pasja u naśladowców tej strategii u nas, gdy głośno wołali: «Faites une ligne forte!!»

U p. Tuchaczewskiego — powtarzam — nie widzę śladu, by ten problem zasadniczy walki z przestrzenią, której zaludnić wojną i opanować pracą wojny nie mógł, starał się rozstrzygnąć. Może więc i cała myśl o taranowych masach, żywiących siłą wojnę na wielkich przestrzeniach przy długich operacjach i rozciągłych frontach, tak się nie powiodła p. Tuchaczewskiemu, gdy w samym początku i założeniu ten błąd zasadniczy popełnił. Igrał słowami, nie mającymi treści. Nie miał mas, nie mógł im zapewnić faktycznej siły «ankadrowaniem».

Kończąc swoje rozważania nad próbą p. Tuchaczewskiego

rozwiązania wielkiego problemu, który stał ongiś przede mną, gdym w tych samych warunkach, co on, wojnę prowadzić musiał, nie chcę ze swej strony dawać metody swoich rozważań i metody swoich myśli, gdym po długich nieraz mękach próbował czynić to, co strategia każe: dać sobie, dać wojskom i krajowi, którego broniłem, zwycięstwo. Spokojnie tylko powiem, że całą wojnę dwuletnią znaczyłem nie czym innym, jak zwycięstwami. Za każdym razem, gdym dzieło wojny sam własnymi rękami czynił, odnosiłem zwycięstwa, które w dziejach tej wojny były epokami. Były one bowiem zawsze zwycięstwami strategicznymi, nie tylko uzyskiwaniem przewagi taktycznej. Zmuszałem nieprzyjaciela do zmiany jego rozkładu strategicznego, zmuszałem do szukania pod wpływem mego zwycięstwa nowych prób ułożenia całej organizacji wojny, gdy dawne przygotowania przed moim zwycięstwem pękały w ogniu bitwy.

Tak więc na początku 1919 r. jednym rzutem na Wilno przeniosłem front w dni parę o dwieście kilometrów na wschód, przezwyciężając przestrzeń tak wielką małymi względnie siłami. Gdym, próbując raz jeszcze swojej metody na polach Ukrainy, prowadził wojsko do napadu, rozmyślnie stanąłem na czele jednej z armij — 3-ej — by swoimi własnymi rękami sprawdzić swe myśli, nie obciążając nadmiernymi, jak mi się zdawało, wymaganiami nikogo z moich podwładnych. Dwa dni boju wystarczyło, by 12-ta sowiecka armia, która mi się przeciwstawiała, legła w bojach, pokonana rozbiciem prawie doszczętnym, rozbiciem, z którego już do końca wojny podnieść się nie mogła. Pamiętam radosną chwilę, gdy na swoim biurku znalazłem depeszę dowódcy 12-ej sowieckiej armii, «in claro» przez radio na świat posłaną, a wołającą: «Gdzie są moje dywizje?» Odpowiedź dowódca armii otrzymał od jednego tylko dywizjonera, który z jakiegoś lasku z zachowanej stacji radio depeszował: «Jestem tam a tam, lecz gdzie moje wojska, nie wiem».

Trzeci raz bezpośrednio wziąłem w swoje ręce dowodzenie w bitwie pod Warszawą. I chociaż z przykrością zawsze wspominam cały nonsens założenia bitwy, nonsens, którego przełamać nie zdołam, to chwila tryumfu, gdy we wściekłym galopie bitewnym nieprzyjacielska armia za armią trzaskała, zmykając w popłochu, gdy tak niedawno jeszcze tryumfy swoje święciły, zostanie na zawsze zwycięstwem siły dowodzenia i pracy nad dziełem zwycięstwa.

A wreszcie nad Niemnem, szarym rycerzem, Wilii kochankiem, dowodząc bezpośrednio połową naszych wojsk,

zwycięską wojnę zwycięsko zakończyłem. I znowu powiem, nie mam obowiązku metody pracy wojny wyjaśniać, w słowa rozważań i doktryny je ubierać. Wiem, że mając w założeniu bezsilność, bezsilność liczebną w stosunku do przestrzeni, zwycięstwo do sztandaru wojsk naszych przywiązałem. A czyniłem to zawsze metodą nie strategii mas, których nie miałem, nie strategii działania w związku i wiązania wszystkiego w ścisłe ramy i spoidła, nie za pomocą strategii ścieśnionej i ankadrującej wszystko taktycznie i nie za pomocą strategii okopów, których nie budowałem. Walczyłem metodą inną, którą — gdy nad nią się biedzę, by w słowa ją ubrać, nazywam zawsze strategią pełnego powietrza — «stratégie de plein air» — strategią, w której jest zawsze więcej powietrza, niż zaludnienia wojennego przestrzeni, strategią, gdzie wilki i cietrzewie, łosie i zające swobodnie ruszać się mogą, nie przeszkadzając dziełu wojny i dziełu zwycięstwa.

Wiem dobrze, że wielu z tych, co nad tym samym problemem, co ja, głowę sobie łamało, szukając metod dla dania nam zwycięstwa i nie dając sobie z tym problemem rady, opuściło w bezsilności ręce i dawno orzekło, że zwycięstwo było istotnie, lecz tylko dlatego, że nie była to wojna istotna. Jakaś półwojna lub nawet jej ćwiarteczka; jakieś dziecinne szamotanie się i bijatyki, dla których wielka teoria wojny zamyka pogardliwie swe podwoje.

Nie chcę przeczyć. Chcę tylko dodać, że ta bijatyka wstrząsnęła losami dwóch państw bezpośrednio, dwóch państw, liczących razem 150 milionów ludzi. Chcę powiedzieć, że ta wojna czy bijatyka omal nie wstrząsnęła losami całego cywilizowanego świata i że jej kryzysy były kryzysami milionów i milionów istot ludzkich, a dzieło zwycięstwa na czas, daj Boże, dłuższy stworzyło podstawy już dziejowe dla obu państw walczących. Niech więc będzie bijatyka, gdy metody i doktryny dla niej znaleźć niepodobna.

M. TUCHACZEWSKI

# POCHÓD ZA WISŁĘ

WYKŁADY WYGŁOSZONE NA KURSIE UZUPEŁNIAJĄCYM
AKADEMII WOJSKOWEJ R. K. K. A. W MOSKWIE,
7—10 LUTEGO 1923 ROKU

PRZEŁOŻYŁ

ANTONI BOGUSŁAWSKI
MAJOR DYPLOMOWANY

Towarzysze! Głównym źródłem wykładów niniejszych są moje wspomnienia. Po części opieram się na przejrzeniu naszych dokumentów urzędowych oddziału operacyjnego sztabu frontu. Korzystałem również z książki towarzysza Sergiejewa «Od Dźwiny do Wisły» oraz z niektórych artykułów francuskich i polskich. Brak czasu nie pozwolił mi zatrzymać się nad tym zagadnieniem tak długo, jak byłbym pragnął i jakby należało. Dlatego wykłady będą miały charakter ogólnego rzutu oka na działania wojenne z punktu widzenia strategii i charakter studium szczegółów strategicznych. Działań taktycznych różnych jednostek wojskowych będę w nich unikał.

## I

## WYBUCH WOJNY

Przegląd wypadków rozpoczynam od chwili, kiedy Polacy rozpoczęli natarcie na naszym froncie południowo-zachodnim i zajęli Kijów. Ówczesne położenie Rosji sowieckiej było następujące: Kołczak był zlikwidowany na wschodzie, Denikin był zlikwidowany na Kaukazie. Tylko gniazdo Wranglowskie trzymało się na półwyspie krymskim. Na północy i zachodzie (nie licząc Polski) działania były zakończone. Z Łotwą podpisano już pokój. To też wystąpienie Polski zastało nas we względnie pomyślnych dla nas warunkach. Gdyby rząd polski umiał był porozumieć się z Denikinem przed jego klęską, gdyby nie był się bał hasła imperialistycznego: «jedna, niepodzielna, wielka Rosja», wówczas uderzenie Denikina na Moskwę, posiłkowane przez ofensywę polską z zachodu, mogłoby było skończyć się dla nas znacznie gorzej i trudno nawet zdać sobie sprawę z możliwości ostatecznych wyników. Ale złożony splot interesów kapitalistycznych i narodowych nie pozwolił zrodzić się temu sojuszowi i armii czerwonej wypadło potykać się z wrogami po kolei, co w znacznej mierze ułatwiło jej zadanie.

Na ogół, na wiosnę r. 1920 mieliśmy możność przerzucić prawie wszystkie nasze siły zbrojne na front zachodni i rozpocząć ciężką walkę z «białymi» siłami Polaków.

## II

## OBSZAR DZIAŁAŃ WOJENNYCH

Obszar przewidywanych działań wojennych na froncie zachodnim dzielił się mniej więcej według południka rzeką Berezyną. Brzegi tej rzeki, błotniste i zalesione, na całej swojej przestrzeni są poważną prze-

szkodą do jej forsowania. Te właściwości zwiększone są jeszcze tym, że w górnym jej biegu, w rejonie m. Lepla — miast. Berezyny — jez. Pelik, znajdują się prawie nieprzebyte błota, porosłe lasem. Na południe, wzdłuż dolnego biegu oraz na wschód i zachód od rzeki, ciągną się nieprzerwane lasy, przeważnie błotniste i bardzo słabo zaludnione. Kolej przecina Berezynę zaledwie w trzech punktach: pod Borysowem, Bobrujskiem i Szaciłkami. Wskutek tego rejon, najwygodniejszy do forsowania rzeki — w kierunku Ihumenia — jest niesłychanie niepodatny dla zorganizowania komunikacji armii. Na północ od błot Berezyny, między Leplem i Dźwiną, znajduje się sucha przestrzeń, wygodna do przesuwania i działań wielkich mas wojska. Prawda, że rejon ten jest poryty przez jeziora, jednakże tutaj wojsko działać będzie w miejscowości ludnej, a przede wszystkim armia czynna ma tutaj wygodne połączenia: rzekę Dźwinę i węzeł kolejowy połocki. Obszar ten Polacy nazywają «wrotami smoleńskimi».

Na południe od dolnego biegu Berezyny teren staje się zupełnie nieodpowiedni do działań wielkich jednostek wojskowych. Lasy, bagna i słabe zaludnienie są tego przyczyną.

Na ogół, można ustalić dwa kierunki, najwygodniejsze dla naszego uderzenia: wrota smoleńskie i kierunek Ihumenia.

Polacy w tym czasie ustawili się mniej więcej wzdłuż linii Dzisna—Połock — rzeka Ułła — st. Krupki—Bobrujsk—Mozyrz. Cechą dodatnią wrót smoleńskich dla naszego natarcia było, jak już powiedziano wyżej, zaludnienie obszaru, stały grunt i dogodna komunikacja. Cechą ujemną było to, że natarcie wprost od Połocka napotykało na drodze bardzo ciężką przeszkodę — Dźwinę. Zaś uderzenie między Dźwiną a Leplem zmuszało naszą armię, po przejściu do rejonu st. Orzechowna, do załamania swojej linii operacyjnej przez zachodzenie prawym ramieniem co najmniej na 90 stopni. W kierunku Ihumenia można było pozwolić sobie na wygodny ruch po linii prostej. Jak wspomniano wyżej, ruch ten musiał mieć miejsce w rejonie, odznaczającym się bezdrożami i gruntem lesisto-bagnistym, gdzie organizacja tyłów napotkać by musiała, przy naszych nędznych środkach, przeszkody nieprzezwyciężone. Oto dlaczego, przy wypracowaniu planu działań zaczepnych, dla uderzenia głównego zostały obrane wrota smoleńskie.

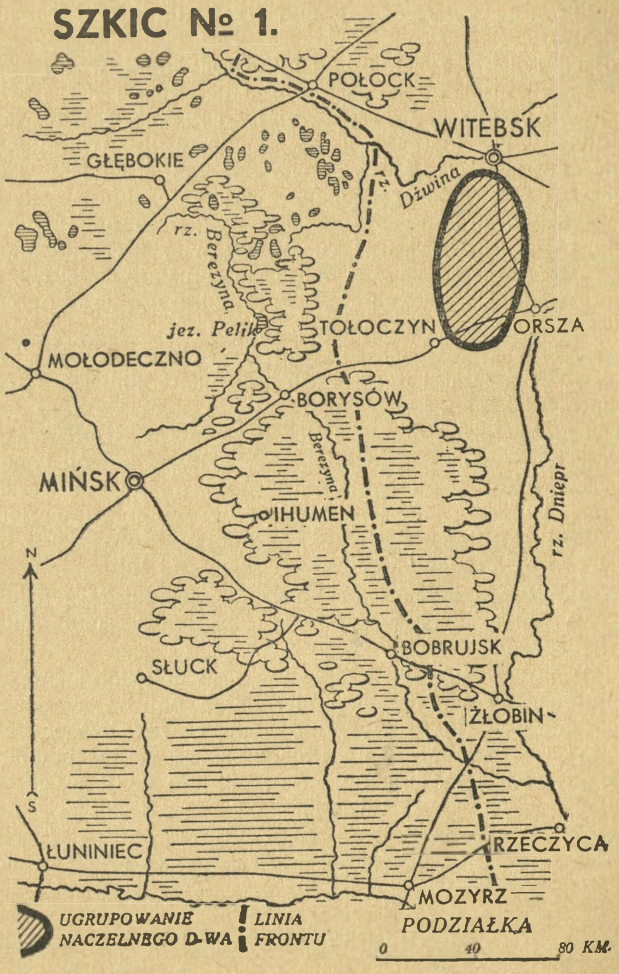
## III

## UGRUPOWANIE SIŁ

Według planu głównodowodzącego, główną rolę strategiczną odegrać miał front zachodni. Tu, w rejonie Witebsk—Tołoczyn—Orsza, skupiły się wielkie siły, przewożone z różnych likwidowanych frontów. Wybrany przez głównodowodzącego rejon koncentracyjny rozwiązywał dowództwu frontu ręce, jeżeli chodzi o wybór tego lub innego kierunku operacyjnego. Kilku marszami można było podciągnąć te siły do wrót smoleńskich i w takim samym czasie skoncentrować się w kierunku Ihumenia (szkic nr 1).

Nasze skupione oddziały nie mogły być podciągnięte do jednakiego poziomu. Te oddziały, które już poprzednio znajdowały się na froncie zachodnim, nie wydawały się godne szczególnego zaufania. Stały one tu przez kilka lat, rozciągnięte szeroko, przy czym wojsko polskie,

bardziej przedsiębiorcze, przez ciągłe wycieczki i drobną szarpaninę męczyło i demoralizowało naszych żołnierzy. Tracili działa, karabiny maszynowe i rannych. Jednocześnie z żadnej strony nie stosowano poważnych działań aktywnych. To wszystko, w połączeniu z niepowodzeniami zeszłorocznymi w walkach z Polakami, rzucało na nasze oddziały




jak gdyby cień niepewności i pewnej nieśmiałości. Odwrotnie, oddziały, przybywające z innych frontów, dopiero co przez nas zwycięsko zlikwidowanych, pełne były wojowniczego nastroju i bardzo wysokiego napięcia ducha. Zdolność ich do boju była bezwarunkowo wielka.

Oddziały miejscowe frontu zachodniego (48-ma, 53-cia, 8-ma 10-ta, 17-ta, 2-ga i 57-ma dywizje strzelców) zajmowały linię frontu bojowego. Oddziały, przerzucone z innych frontów, skoncentrowane były w wyżej wskazanym rejonie Witebsk—Tołoczyn—Orsza. Dowództw armij na

froncie zachodnim było tylko dwa: dowództwo armii 15-ej i 16-ej. Tym czasem zamierzona koncentracja (stosownie do ilości dwudziestu jeden dywizyj) wymagała nie mniej, jak 4 do 5 dowództw armij. Oddziałów technicznych, łączności i kolejowych było na froncie zachodnim bardzo niewiele, bezwarunkowo za mało do choć trochę poważniejszych działań wojennych. Ściąganie tych oddziałów na ogół znacznie opóźniło się w stosunku do ściągania zasadniczych rodzajów broni, skutkiem czego działania następne odbywać się musiały w nadzwyczaj trudnych warunkach.

Wojsko polskie rozciągnięte było kordonem wzdłuż całej zajętej przez nie linii, mniej więcej równomiernie. Każda ich dywizja starała się wydzielić odwód; armie ze swojej strony czyniły to samo. W ten sposób, oddziały, rozciągnięte równomiernie wzdłuż frontu, eszelonowały się również mniej więcej równomiernie w głąb. Ta pozorna równowaga rozmieszczenia polskiego przez samo swoje założenie rodziła pewne niebezpieczeństwo, a mianowicie to, że dowództwo polskie, bez względu na wysiłki, nie mogłoby skupić w jakimkolwiek kierunku głównej masy wojska. Nasze natarcie zawsze napotkać musiało zaledwie nieznaczną część armii polskiej, a następnie mogło kolejno odpierać przeciwnatarcie odwodów.

Te błędy rozmieszczenia polskiego były przez nas wzięte pod uwagę i przy organizacji natarcia liczono na to, aby silne uderzenie naszych przeważających sił od razu zniszczyło pierwszą linię polską. Ażeby osiągnąć w najkrótszym czasie najlepszy wynik, dowódcy dywizyj otrzymali rozkaz wprowadzenia swoich oddziałów w bój od razu, bez pozostawiania jakichkolwiek odwodów. Nasze oddziały masą swoją gniotły i, w całym tego słowa znaczeniu, znosiły w punkcie uderzenia oddziały pierwszej linii polskiej. Potem kolejne uderzenia odwodów nie były już straszne i odwody dzieliły losy swej pierwszej linii.

Za to pod względem wyszkolenia stan wojska polskiego był na ogół wyższy, niż naszych oddziałów. Uzbrojenie i umundurowanie również było lepsze.

Wzajemny stosunek liczebny naszych i polskich sił po zakończeniu naszej koncentracji równoważył się. Sztab polowy uważał nawet, że będziemy silniejsi. Ale to wynikało stąd, że my liczebność oddziałów obliczaliśmy według walczących. Polacy zaś — według bagnetów i szabel (tablica I, str. 174—175), co znacznie utrudniało wyliczenia.

## IV

## OFENSYWA MAJOWA

Podczas koncentracji naszych głównych sił na froncie zachodnim, Polacy walczyli nadal zwycięsko na południowo-zachodnim. Sukcesy ich odbiły się i na północy. Polacy zajęli Mozyrz i rozpoczęli z powodzeniem natarcie na Rzeczycę. Intensywne wypady i działania drobnych i średnich oddziałów wojska polskiego dały się odczuć na całym froncie zachodnim. Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy w przededniu rozpoczęcia przez Polaków ofensywy. Ażeby utrzymać nasze pozycje i nie dać Polakom możności wciągnięcia naszego zasadniczego ugrupowania

w narzucone nam działania, stało się dla nas koniecznością przejść od obrony do natarcia. Z tego powodu 14-go maja przedsięwziętą została ofensywa.

Ofensywa ta była rozpoczęta zanim wszystkie nasze siły zdążyły się skoncentrować. Opóźnione dywizje wypadło traktować, jako odwód. Jednocześnie trzeba się było liczyć z tym, że powodzenie naszej pierwszej ofensywy powinno było bezwarunkowo być we właściwym czasie rozwinięte i nie mogło ograniczyć się drobnymi zadaniami chwilowymi.

Plan ofensywy przewidywał przebicie się przez wrota smoleńskie, rozbicie lewego skrzydła armii polskiej i wciśnięcie reszty jej sił w błota pińskie. Plan ten miał tę dobrą stronę, że pozwalał w znacznej mierze zaoszczędzić siły. Wrogo względem Polski usposobiona Litwa mogła, w razie naszego posunięcia się naprzód, z powodzeniem osłaniać nasze skrzydło i tyły. Dalej to samo zadanie mogło przypaść Prusom Wschodnim, niezależnie nawet od ich na to zgody. W ten sposób, natychmiast po pierwszym przebiciu się, wszystkie nasze siły mogły być wyzyskane dla działań aktywnych przeciw głównym siłom armii polskiej, a na prawe nasze skrzydło i na tyły moglibyśmy nie zwracać wielkiej uwagi. W kierunku Ihumenia działania armii 16-ej (dowódca Sołłohub, szef sztabu Batorskij) powinny były, po sforsowaniu rzeki Berezyny, uderzyć z frontu w główne ugrupowanie «białych» sił polskich i nie pozwolić im na manewr w celu przeciwdziałania głównemu uderzeniu armii 15-ej.

Oddziały armii 15-ej, działające na północ od rzeki Dźwiny, były złączone pod dowództwem towarzysza Sergiejewa w grupę północną, której za zadanie postawiono sforsowanie Dźwiny w rejonie na zachód od Połocka, dla działania na skrzydło i tyły nieprzyjaciela, walczącego z armią 15-tą.

Armia 15-ta (dowódca Kork, szef sztabu Kuk), jak taran, uderzyła na słabe oddziały dywizji litewsko-białoruskiej, zajmującej mniej więcej bieg rzeki Ułły. Oddziały tej dywizji zostały rozbite, zdemoralizowane i rozprószone zaraz pierwszego dnia. Stopniowe wprowadzanie w bój odwodów polskich wzmogło jeszcze porażkę i jeszcze bardziej moralnie pognębiło armię polską. Nasza ofensywa zaczęła rozwijać się szybko i gwałtownie (szkic nr 2). Armia 15-ta bez trudności wykonała zwrot we wrotach smoleńskich i szła dalej w kierunku Mołodeczna.

Powodzenie było tak decydujące i tak niespodziewane dla Polaków, że ich naczelne dowództwo dało dowód zupełnej chwiejności i rozpoczęło przerzucanie sił z południowo-zachodniego frontu na zachodni.

Wprowadzenie w akcję tych nowych odwodów odegrało pewną rolę, np., na linii Postawy—Budsław—Ziembin. Wojsko nasze spotkało się z szeregiem uzgodnionych przeciwuderzeń i zostało powstrzymane. Niepowodzenie w przeprawie armii 16-ej jeszcze bardziej skomplikowało położenie. Wypada zauważyć, że prócz przyczyn rzeczowych, które przeszkodziły ofensywie armii 15-ej, miało również miejsce pewne rozproszenie jej sił. Dywizje, rozciągnąwszy się w trzech kierunkach (Postawy—Mołodeczno—Ziembin), nigdzie nie stworzyły ugrupowania napierającego, a dywizja, znajdująca się w odwrocie, nie mogła na czas zdążyć z jednego kierunku na drugi.

Wreszcie decydujące uderzenie Polaków z kierunku Postaw przesądziło losy operacji. Oddziały armii 15-ej zostały złamane i cała armia była zmuszona spiesznie się cofnąć. Jak to bywa zwykle po wielkim przemęczeniu lub wielkim zwycięstwie, ciężkie niepowodzenie akcji

## TAB

### STOSUNEK WZAJEMNY SIŁ NA DZIEŃ 15

| | NIEPRZYJACIEL | | | |
|---|---|---|---|---|
| | Oddział | Bagnetów | Szabel | Uwagi |
| Kierunek «wrót smoleńskich» | 8-ma dyw. piechoty . | 4.800 | 400 | |
| | 1-sza dyw. lit.-biał. . . | 3.500 | 400 | Linia bojowa |
| | Razem . . . | 8.300 | 800 | |
| | 3-cia dyw. leg. . . . . | 1.800 | — | Głęboko oddzielone odwody, licząc w to i oddziały, wystawione przeciw Litwie. |
| | 6-ta dyw. piechoty (jeden pułk) . . . . . | 1.200 | — | |
| | 10-ta dyw. piechoty . | 4.800 | — | |
| | 2-ga dyw. lit.-biał. . . | 4.800 | — | |
| | Dywizja jazdy . . . . | — | 1.800 | |
| | Razem . . . | 15.400 | 1.800 | |
| | Ogółem . . . | 23.900 | 2.600 | |
| Rejon południowy frontu | 2-ga dyw. piechoty . | 4.800 | 400 | |
| | 6-ta dyw. piechoty (trzy pułki) . . . . | 3.400 | 600 | Linia bojowa. |
| | 14-ta dyw. wlkp. . . . | 4.000 | 600 | |
| | 9-ta dyw. piechoty . . | 5.000 | 1.600 | |
| | Razem . . . | 17.200 | 3.200 | |
| | 17-ta dyw. wlkp. . . . | 4.800 | — | Odwody. |
| | 16-ta dyw. pomor. . . | 4.800 | — | |
| | Razem . . . | 9.600 | — | |
| | Ogółem . . . | 26.800 | 3.200 | |
| | Wszystkiego naprzeciw frontu zachodniego . . . . . | 50.700 | 5.800 | |

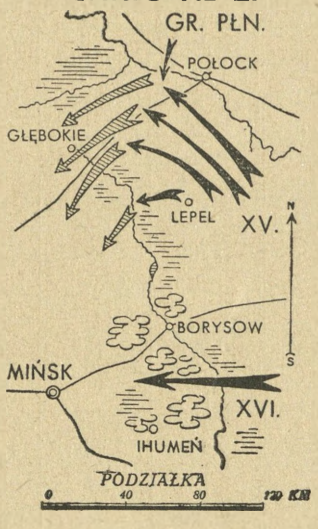
# LICA I

## NA FRONCIE ZACHODNIM MAJA 1920 ROKU

| | NASZE ODDZIAŁY | | | |
|---|---|---|---|---|
| | Oddział | Bagnetów | Szabel | Ogółem walczących | Uwagi |
| Kierunek «wrót smoleńskich» | Grupa północna | | | | Większa część dyw. na granicy Łotwy. Poza tym przybywa 18-ta dyw. strzelców. |
| | 48-ma dyw. strz. . . . | 2.028 | — | 4.929 | |
| | 164-ta bryg. strz. . . . | 1.141 | — | 2.320 | |
| | Razem . . . | 3.169 | — | 7.249 | |
| | Armia 15-ta | | | | |
| | 4-ta dyw. strz. . . . . | 5.597 | — | 7.923 | |
| | 6-ta dyw. strz. . . . . | 3.162 | — | 6.700 | |
| | 11-ta dyw. strz. . . . | 2.638 | 72 | 5.999 | |
| | 29-ta dyw. strz. . . . | 9.863 | 605 | 13.567 | |
| | 53-cia dyw. strz. . . . | 3.157 | — | 5.142 | [1]) około. |
| | 56-ta dyw. strz. . . . | 2.500[1]) | — | 5.162 | |
| | Różne oddziały . . . | 1.144 | — | 1.803 | |
| | 15-ta dyw. jazdy . . . | — | 1.967 | 2.315 | |
| | Razem . . . | 28.061 | 2.644 | 48.647 | |
| | Ogółem . . . | 31.230 | 2.644 | 55.896 | |
| Rejon południowy frontu | Armia 16-ta | | | | |
| | 2-ga dyw. strz. . . . . | 2.500[1]) | — | 6.500[1]) | [1]) około. |
| | 8-ma dyw. strz. . . . | 4.291 | 991 | 7.972 | |
| | 10-ta dyw. strz. . . . | 2.730 | — | 6.930 | Prócz tego przybywa 21-sza dyw. strzelców. |
| | 17-ta dyw. strz. . . . | 6.841 | 301 | 11.270 | |
| | 57-ma dyw. strz. . . . | 1.580 | 57 | 3.230 | |
| | Różne oddziały . . . | 302 | — | 595 | |
| | Razem . . . | 18.244 | 1.349 | 36.506 | |
| | Ogółem . . . | 18.244 | 1.349 | 36.508 | |
| | Wszystkiego na froncie zachodnim . . . | 49.474 | 3.993 | 92.402 | |

w ważnym kierunku błyskawicznie obiega cały front, skutkiem czego równowaga wojska natychmiast się załamuje. Rozpoczyna się szybki odwrót.

SZKIC № 2.




Ażeby powstrzymać uchodzące wstecz masy, postanowiono zorganizować obronę wrót smoleńskich w sposób następujący (szkic nr 3): grupie północnej rozkazano zająć rejon Hermanowicz i zamknąć mocno przejścia między jeziorami: Białym, Jelnem i Żadem; 15-ej armii — przez wzmocnienie jej grupy południowej — zamknąć wejście do błot Berezyny w kierunku Wielkiej Czernicy; pozostałym siłom armii 15-ej — bronić przejść do rzeki Mniuty. Dalsze posuwanie się wojska polskiego w kierunku Połocka dostawało się w kleszcze.

Dowództwo polskie, obawiając się ruchu czołowego, postanowiło przede wszystkim rozbić nasze ugrupowanie północne. Przeciw 18-ej dywizji (świeżo przybyłej do grupy północnej) wysunięto 10-tą dywizję piechoty i 7-mą brygadę rezerwową.

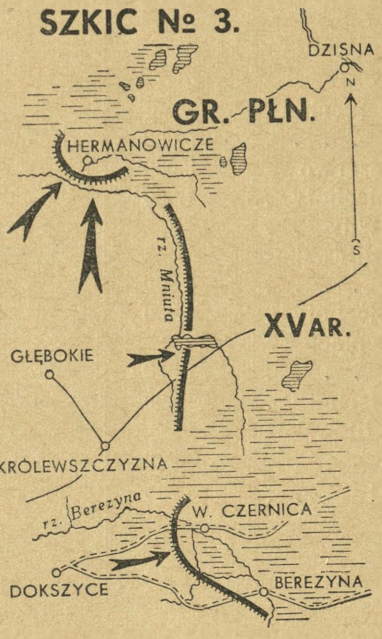
Walka trwała całą dobę i wreszcie 18-ta dywizja musiała cofnąć się z wielkimi stratami. Ale też i nacierający nieprzyjaciel zachwiał się i stracił zdolność do dalszych działań rozstrzygających. To stało się punktem przełomowym w działaniu. Pewne wahanie trwało jeszcze dość długo, ale na ogół wrota smoleńskie zostały w naszych rękach aż do chwili, w której przedsięwzięliśmy drugą, decydującą ofensywę.

## WNIOSKI

Pierwsze to nasze działanie miało dla nas duże znaczenie. Wojsko nasze zobaczyło, że może zwyciężać Polaków. Prawda, że wojsko polskie w całym szeregu walk wykazało wyższość swojego wyszkolenia, ale nasza energia, śmiałość i umiejętność grupowania dowiodły na ogół, że nasze oddziały są pod względem taktycznym zdolniejsze od polskich.

To ostatecznie rozprószyło tę chwiejność, jaka istniała w niektórych oddziałach. O przyszłych walkach wszyscy myśleli z hartem w duszy i całkowitą pewnością zwycięstwa.

Drugim ważnym wynikiem naszej pierwszej ofensywy było, że ulżyliśmy położeniu frontu południowo-zachodniego i w najcięższej dlań chwili zmusiliśmy część wojska polskiego do porzucenia kierunku Kijowa.




Wreszcie najważniejszym dla nas wynikiem było zajęcie wrót smoleńskich. Pozwoliło nam to na znacznie łatwiejsze organizowanie dalszej ofensywy i od razu postawiło nasze wojsko na linii kolejowej Mołodeczno—Połock.

## V

## PRZYGOTOWANIE DO GŁÓWNEJ OFENSYWY

W pierwszej połowie czerwca na całym froncie zachodnim zapanował spokój. Stosunek wzajemny sił w tym czasie uwidoczniony jest w tablicy II (str. 178—179).

Oczywiście, przy takich siłach i biorąc pod uwagę, że wszystkie posiłki wreszcie już przybyły, niepodobna było liczyć na decydujący rozwój głównej operacji. Niezbędną rzeczą było znaleźć sposób uzupełnienia naszych osłabionych oddziałów.

Dowództwo frontu wzięło pod rozwagę zasadę zdwojenia liczby bagnetów w każdej dywizji strzelców.

## TAB

### STOSUNEK WZAJEMNY SIŁ NA FRONCIE ZACHODNIM (Z ODDZIAŁAMI

| | POLACY | | |
|---|---|---|---|
| | Oddziały | Bagnetów | Szabel | Uwagi |
| Kierunek «wrót smoleńskich» | 10-ta dywizja piechoty (z 1 p. prz.) . . . . | 5.000 | 500 | |
| | 7-ma brygada rezerwowa | 3.000 | — | |
| | 8-ma dywizja piechoty . | 1.800 | 500 | |
| | 1-sza dywizja jazdy . . | — | 1.800 | |
| | 2-ga dywizja litewsko-białoruska . . . . , | 4.800 | — | |
| | 11-ta dywizja piechoty . | 4.800 | — | |
| | 6-ta dywizja piechoty (brygada) . . . . . | 1.600 | — | |
| | 17-ta dywizja piechoty . | 1.800 | — | |
| | 1-sza dywizja litewsko-białoruska . . . . . | 2.000 | — | |
| | Ogółem . . | 28.800 | 2.800 | |
| Rejon południowy frontu | 16-ta dywizja piechoty (3 pułki) . . . . . | 4.200 | — | |
| | 4-ta dywizja piechoty (3 pułki) . . . . . | 4.000 | — | |
| | 9-ta dywizja piechoty . | 4.000 | 1.700 | |
| | 2-ga dywizja piechoty . | 3.200 | 500 | |
| | 6-ta dywizja piechoty (brygada) . . . . . | 1.600 | 600 | |
| | 10-ta dywizja piechoty . | 4.800 | 600 | |
| | Ogółem . . | 21.800 | 3.400 | |
| | Wszystkiego naprzeciw frontu zachodniego . . | 50.600 | 6.200 | |

# LICA II
## KU KOŃCOWI DZIAŁAN MAJOWYCH
NOWOPRZYBYŁYMI)

| | NASZE ODDZIAŁY | | | |
|---|---|---|---|---|
| Oddziały | Bagnetów | Szabel | Ogółem walczących | Uwagi |
| Grupa północna: | | | | 48-ma dyw. strz. na granicy łotewskiej, przybywa 54-ta dyw. strzelców. |
| 18-ta dywizja strzelców . | 3.650 | 260 | 8.768 | |
| 160-ta brygada strzelców | 2.109 | 205 | 3.849 | |
| 164-ta brygada strzelców | 906 | — | 1.692 | |
| Razem . . | 6.665 | 465 | 14.309 | |
| Armia 15-ta: | | | | |
| 4-ta dywizja strzelców . | 4.385 | 304 | 10.727 | |
| 5-ta dywizja strzelców . | 7.766 | 490 | 10.800 | |
| 6-ta dywizja strzelców . | 2.815 | 35 | 6.000 [1]) | [1]) około. |
| 11-ta dywizja strzelców . | 2.211 | 35 | 6.000 [1]) | |
| 12-ta dywizja strzelców . | 2.500 [1]) | — | 5.363 | |
| 53-cia dywizja strzelców | 2.938 | 144 | 6.286 | |
| 56-ta dywizja strzelców . | 1.894 | — | 4.271 | |
| Razem . . | 24.509 | 1.008 | 49.447 | |
| Ogółem . . | 31.174 | 1.473 | 63.756 | |
| Armia 16-ta: | | | | |
| 2-ga dywizja strzelców . | 2.500 [1]) | — | 6.500 [1]) | [1]) około |
| 8-ma dywizja strzelców . | 3.200 | 177 | 5,626 | |
| 10-ta dywizja strzelców . | 2.405 | 81 | 7.483 | |
| 17-ta dywizja strzelców . | 3.273 | 238 | 7.222 | |
| 21-sza dywizja strzelców | 3.358 | 1.424 | 5.942 | |
| Razem . . | 14.736 | 1.920 | 32.773 | |
| Grupa mozyrska: | | | | |
| 57-ma dywizja strzelców | 1.099 | 63 | 3.749 | |
| Różne oddziały . . . . | 1.833 | — | 3.597 | |
| Razem . . | 2.927 | 63 | 7.346 | |
| Ogółem . . | 17.663 | 1.983 | 40.119 | |
| Wszystkiego na froncie zachodnim . . . . . | 48.837 | 3.456 | 104.075 | |

Kierunek «wrót smoleńskich»

Rejon południowy frontu

Powstawało przy tym niezmiernie trudne zagadnienie — uzupełnienie. Działał jeszcze wówczas wszechrosyjski sztab główny, urząd wysoce biurokratyczny, który nie umiał wykonywać włożonych nań zadań. Praca w oddziałach rezerwowych, praca mobilizacyjna i walka z bandytyzmem prowadzona była formalistycznie, bezdusznie i nie dawała żadnych wyników. Naczelne dowództwo dysponowało armią zapasową, na którą spadło główne zadanie uzupełnienia naszych armij czynnych. Ale i jej środki były ograniczone i nie mogły zaspokoić naszych potrzeb.

Należy przy tym zauważyć, że wyszkolenie «krasnoarmiejców» w oddziałach rezerwowych stało na niezbyt wysokim poziomie. Bez otrzymania umundurowania nie można było go postawić należycie wobec chłodów wiosennych, nie pozwalających na ćwiczenie żołnierzy boso. Natychmiast po otrzymaniu umundurowania tworzono naprędce kompanie i bataliony marszowe, wagonowano je i wysyłano na fronty.

W takim nędznym stanie znajdowała się w tym okresie sprawa uzupełnienia naszych armij. Wszystkie fronty i armie czynne musiały we własnym zakresie, przy pomocy środków miejscowych, uzupełniać straty w oddziałach. Oczywiście, trudne to jest zadanie i wprowadza niejednolitość do spraw poborowych, ale innego wyjścia nie było.

Prócz czysto technicznych zastrzeżeń przeciw uzupełnieniu miejscowemu były również i ważkie obiekcje polityczne. Istniało wielu zwolenników tego poglądu, że «krasnoarmiejcy» biją się źle niedaleko od miejscowości, z których są rodem, że najmniejsze niepowodzenie powoduje dezercję do ognisk domowych i rozpylanie się oddziałów.

Jednakże życie, które wszystkich i wszędzie zmuszało uciekać się do podobnego uzupełnienia miejscowego, wykazało błędność tego ostrożnego poglądu. W wypadkach klęski mieszkańcy najdalej położonych obszarów dezerterowali równie łatwo, jak ludność miejscowa. Różnica pod tym względem była niewielka. Ale za to wszystkie znaczniejsze wysiłki, wszystkie śmiałe operacje i kampanie opierały się prawie zawsze na mobilizacjach miejscowych i na miejscowym uzupełnieniu. To samo miało miejsce i w czerwcu r. 1920. Słaba liczebność oddziałów, konieczność szybkiej ofensywy i beznadziejny stan centralnych oddziałów rezerwowych zmusiły front zachodni do szukania uzupełnień przy pomocy własnych środków.

Według posiadanych przez nas wiadomości, front zachodni przepełniony był dezerterami z roczników, podlegających mobilizacji. Obliczaliśmy, że przy prawidłowym zorganizowaniu kampanii w tym celu można będzie wydusić ze wsi 40.000 dezerterów.

Został opracowany staranny plan tej kampanii, puszczono w ruch czynniki polityczne i administracyjne, ustanowiono w jak najszerszym zakresie surową władzę karzącą i kampania poszła od razu bardzo intensywnym tempem. Wynik jej przewyższył wszelkie oczekiwania. Dezerterzy poczęli meldować się dobrowolnie. Najczęściej starali się oni, w charakterze ochotników, stawiać się w oddziałach walczących. Zaledwie nieliczne elementy ściągano drogą administracyjną. W ciągu czerwca wcielono około 100.000 dezerterów, co dwa i pół razy przewyższyło nasze nadzieje.

Cała ta masa została rzucona do naszej armii zapasowej i do pułków rezerwowych w armiach czynnych, gdzie rozpoczęła się gorączkowa praca nad wyszkoleniem jej celem dalszego skierowania do pułków walczących. Trudności w tej mierze były ogromne. Zupełny brak jakiego-

kolwiek umundurowania, niedostateczna ilość pomieszczeń koszarowych utrudniały naukę i obniżały jej poziom.

Przybyli do nas na front zmobilizowani komuniści i członkowie związków zawodowych («profsojuznicy») zostali zmieszani z tą świeżo zwerbowaną masą, szybko ją opanowali i wleli w nią ducha męstwa i odwagi w walce z Polską «panów».

Na ogół w końcu czerwca, dzięki intensywnej energii działaczów, pracujących nad armią czerwoną, to kolosalne, prawie nie do rozwiązania zadanie zostało wykonane i uzupełnienie tysiącami zaczęło przybywać do naszych dywizyj. W końcu czerwca wytknięty plan podwojenia składu bojowego był wykonany prawie całkowicie. To z góry przesądzało nasz przyszły sukces i dawało nam możność szerokiego i długotrwałego rozwinięcia działań.

Nastrój wojska naszego był bardzo dobry. Świadomość powagi położenia i konieczności, bez względu na ofiary, bronienia Rosji sowieckiej przed najazdem polskich «panów» wywołały nie tylko wśród «krasnoarmiejców» w naszych oddziałach, ale wśród całej ludności robotniczej i włościańskiej mocne przeświadczenie, że walczyć wypadnie do końca.

Z takim samym napięciem została przygotowana organizacja tyłów naszych przyszłych działań. Istniejące oddziały kolejowe (czołowe pociągi remontowe i dywizjony kolejowe) zostały ściągnięte i, chociaż liczebnie nie odpowiadały zamierzonym zadaniom, jednak dawały możność odbudowywania dróg żelaznych, zgodnie z zasadą koncentracji sił.

Budowa mostu na Dźwinie pod Połockiem była na ukończeniu i na początku działań mieliśmy połączenie kolejowe do st. Ziabki. Wobec trudności odbudowy mostu pod Borysowem (długość przeszkody 75 sążni), zaczęliśmy zawczasu przygotowania do budowy tego mostu. Wywiad przez szpiegów wskazał nam, że Berezyna w tym rejonie ma około 25 sążni szerokości. Profil plantu był nam znany. Mając zamiar zbudować most na zrębach na liniach podjazdowych, zbudowaliśmy zawczasu i złożyli na platformach części składowe tego mostu. Taka zapobiegliwość pozwoliła nam podczas ofensywy w ciągu 5 dób odbudować ten most, mający 75 sążni długości. Nasze organy kolejnictwa wojskowego zupełnie nie wierzyły w możność tak szybkiej budowy.

Biorąc pod uwagę brak środków przewozowych w naszych oddziałach, wypadło uciec się do jak najszerszej mobilizacji podwód. Armia 4-ta zmobilizowała ich do 8.000 sztuk, 15-ta i 3-cia — do 15.000, 16-ta zaś — około 10.000. Było to wielkim ciężarem dla ludności miejscowej, ale lęk jej przed najściem «panów» pozwolił nam z łatwością uciec się do tego sposobu. Ta wielka ilość środków przewozowych pozwoliła naszemu wojsku rozwinąć szybkie i śmiałe działania z zachowaniem ciągle czynnych i działających tyłów. Prawda, że w pracy tej był wielki chaos, ale też aż do podejścia do Bugu i Narwi wojsko nasze było stale dość dobrze zaopatrzone we wszystkie niezbędne dla niego produkty.

Środki łączności ściągano także ze wszystkich stron; po części tworzono je w armii zapasowej frontu zachodniego. Ale, pomimo wielkiego nacisku w tym zakresie, rozpoczęliśmy działania lipcowe słabo przygotowani pod tym względem. Środków brakło i ostatecznie sama operacja nie udała się z powodu ich braku. Zaznaczyć trzeba, że w działaniu lipcowym po raz pierwszy zastosowano planowo punkty operacyjne i liniowe organy łączności.

TAB

WZAJEMNY STOSUNEK SIŁ NA FRONCIE

| | POLACY | | | |
|---|---|---|---|---|
| | Oddziały | Bagnetów | Szabel | Uwagi |
| Kierunek «wrót smoleńskich» | 8-ma dywizja piechoty . | 3.600 | 500 | |
| | 10-ta dywizja piechoty . | 3.700 | — | |
| | 7-ma brygada rezerwowa | 2.900 | — | |
| | 1-sza dywizja jazdy . . . | — | 1.200 | |
| | 5-ta dywizja piechoty . . | 4.100 | — | |
| | 1-sza dywizja litewsko-białoruska . . . . . | 2.400 | 500 | |
| | 4-ta dywizja piechoty . . | 3.700 | — | |
| | 15-ta dywizja piechoty . | 4.000 | — | Wilno — przeciw Litwie |
| | 6-ta dywizja piechoty (brygada) . . . . . | 2.000 | — | |
| | 2-ga dywizja litewsko-białoruska . . . . . | 3.200 | — | |
| | 11-ta dywizja piechoty . | 3.000 | — | |
| | Ogółem . . | 32.600 | 2.200 | |
| Rejon południowy frontu | 2-ga dywizja legionów . . | 4.000 | 1.100 | |
| | 6-ta dywizja piechoty (brygada) . . . . . | 2.000 | 1.200 | |
| | 14-ta dywizja piechoty . | 5.000 | 600 | |
| | 16-ta dywizja piechoty . | 4.800 | — | |
| | 3-cia dywizja legionów (1 pułk) . . . . . | 1.000 | — | |
| | 1-sza dywizja górska (brygada) . . . . . | 2.000 | — | |
| | 9-ta dywizja piechoty . . | 4.000 | 1.700 | |
| | 2-ga dywizja piechoty (pułk strzelców konn.) | — | 600 | |
| | 17-ta dywizja piechoty . | 4.000 | — | |
| | Ogółem . . | 26.800 | 5.200 | |
| Odwód | Bataliony i szwadrony rezerwowe pułków walczących . . . . . | 27.000 | 1.200 | |
| | Wszystkiego naprzeciw frontu zachodniego . . | 86.400 | 8.600 | Gotowe do uzupełnienia |

# LICA III.

## ZACHODNIM NA DZIEŃ 4 LIPCA 1920 ROKU

NASZE ODDZIAŁY

| | Oddziały | Bagnetów | Szabel | Ogółem walczących | Uwagi |
|---|---|---|---|---|---|
| Kierunek «wrót smoleńskich» | Armia 4-ta: | | | | 48-ma dyw. strzelców na granicy łotewskiej. |
| | 18-ta dywizja strzelców . | 4.168 | 220 | 7.005 | |
| | 12-ta dywizja strzelców . | 2.500 [1]) | — | 5.000 [1]) | |
| | 53-cia dywizja strzelców | 2.047 | 252 | 4.500 [1]) | |
| | 164-ta dywizja strzelców | 1.000 [1]) | — | 1.500 [1]) | [1]) około. |
| | 3-ci korpus kawalerii [2]) . | — | 3.644 | 4.911 | [2]) w składzie 10-ej i 15-ej dyw. jazdy. |
| | Razem . . | 9.715 | 4.116 | 22.916 | |
| | Armia 15-ta: | | | | |
| | 4-ta dywizja strzelców . | 5.000 [1]) | 258 | 10.000 [1]) | [1]) około. |
| | 11-ta dywizja strzelców . | 5.411 | 207 | 8.854 | |
| | 15-ta dywizja strzelców . | 4.417 | 837 | 9.660 | |
| | 33-cia dywizja strzelców | 3.060 | 1.289 | 7.569 | |
| | 54-ta dywizja strzelców . | 4.401 | 171 | 8.596 | |
| | Różne oddziały . . . . . | 885 | — | 2.254 | |
| | Razem . . | 23.204 | 2.714 | 46.883 | |
| | Armia 3-cia: | | | | |
| | 5-ta dywizja strzelców . | 7.000 [1]) | 509 | 10.000 [1]) | [1]) około. |
| | 6-ta dywizja strzelców . | 3.500 [1]) | 50 | 6.386 | |
| | 21-sza dywizja strzelców | 4.000 [1]) | 1.424 | 8.805 | |
| | 56-ta dywizja strzelców . | 3.222 | 272 | 5.987 | |
| | Różne oddziały . . . . . | 151 | — | 445 | |
| | Razem . . | 17.873 | 2.255 | 31.623 | |
| | Ogółem . . | 50.792 | 9.085 | 101.422 | |
| Rejon południowy frontu | Armia 16-ta: | | | | |
| | 2-ga dywizja strzelców . | 4.282 | — | 8.354 | |
| | 8-ma dywizja strzelców . | 4.194 | 324 | 7.842 | |
| | 10-ta dywizja strzelców . | 4.370 | 130 | 7.637 | |
| | 17-ta dywizja strzelców . | 5.624 | 249 | 12.920 | |
| | 27-ma dywizja strzelców | 5.000 [1]) | 250 [1]) | 9.000 [1]) | [1]) około. |
| | Różne oddziały . . . . . | 575 | — | 575 | |
| | Razem . . | 24.045 | 953 | 46.328 | |
| | Grupa mozyrska: | | | | |
| | 57-ma dywizja strzelców | 3.142 | 170 | 6.438 | |
| | Oddział skombinowany . | 1.547 | 313 | 3.000 [1]) | |
| | Różne oddziały . . . . . | 1.416 | — | 3.000 [1]) | [1]) około. |
| | Razem . . | 6.105 | 483 | 12.438 | |
| | Ogółem . . | 30.150 | 1.436 | 58.766 | |
| Odwód | Bataliony i szwadrony rezerwowe dywizyj walczących . . . . . | [3]) | [3]) | [3]) | [3]) włączono w skład dywizyj. |
| | Wszystkiego na froncie zachodnim . . . . . | 80.942 | 10.521 | 160.188 | |

«Białe» dowództwo polskie też nie siedziało z założonymi rękami, lecz uzupełniało i wzmacniało swoje oddziały (tablica III, str. 182—183). W powyższej tablicy w składzie naszych dywizyj strzelców wzięte są również w rachubę bataliony rezerwowe dywizyj. Dlatego w obliczeniach figurują także bataliony rezerwowe polskich pułków walczących.

Chociaż rozmieszczenie wojsk polskich zdradzało pewną dążność do wzmocnienia się naprzeciw naszego prawego skrzydła, nie mogło być jednak nazwane zdecydowanym i nosiło cechy kordonowe oraz pasywne. Te słabe strony armii polskiej były przez nas wzięte pod uwagę i wykorzystane w decydującej ofensywie lipcowej.

## VI

## STOSUNEK WZAJEMNY SIŁ

Plan ofensywy był bardzo podobny do planu majowego. Podstawą jego była nadal ta sama myśl oparcia naszego prawego skrzydła o Litwę i Prusy Wschodnie i odrzucenia sił polskich ku błotom Polesia. W ten sposób kierunek głównego uderzenia przechodził znowu przez «wrota smoleńskie». Za to teraz ruch przez «wrota» był dla nas bez porównania dogodniejszy. Nie byliśmy już zmuszeni zaginać lewego skrzydła i można było działać wprost na skrzydło armii polskiej, usiadłszy mocno okrakiem na czynnej już drodze żelaznej Połock—Mołodeczno.

Zapobiegliśmy do pewnego stopnia brakom dowodzenia, które uwydatniły się w pierwszym działaniu. Mieliśmy aparat dowództw czterech armij i dowództwo grupy mozyrskiej. Prawda, że aparaty te, z wyjątkiem armij 15-ej i 16-ej, były bardzo słabe i pozbawione specjalnych środków technicznych łączności. Jednakże widoczny był postęp i pod tym względem.

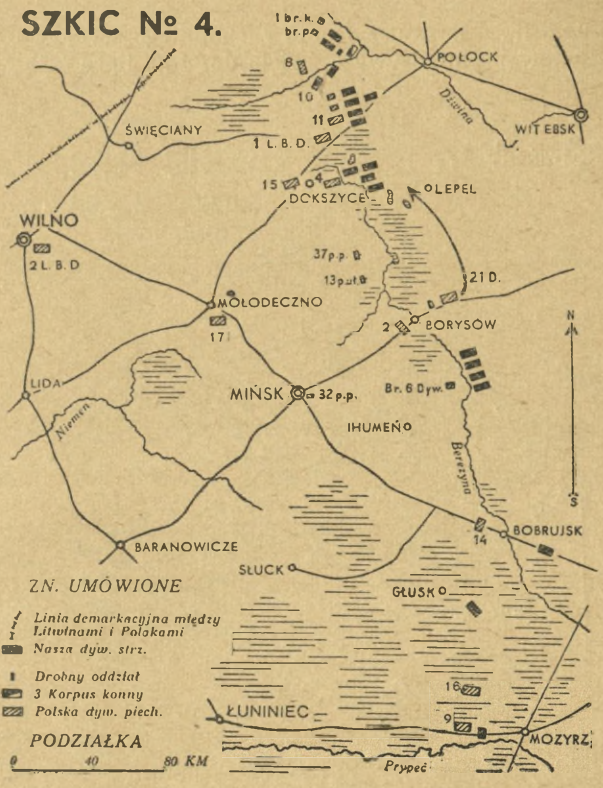
Skoncentrowaliśmy trzy nasze armie w rozstrzygających kierunkach: 4-tą (dowódca Sergiejew, szef sztabu Szuwajew) (była grupa północna), 15-tą (dowództwo poprzednie) i 3-cią. 16-ta ustawiona była nadal w kierunku Ihumenia (dowództwo poprzednie), a grupa mozyrska (dowódca armii Łazarewicz, szef sztabu Lisowski) — w kierunka Mozyrza (dowódca Chwesin). Takie ugrupowanie pozwalało skupić w kierunku Głębokiego nasze przeważające siły przy jednoczesnym zachowaniu trwałego i elastycznego władania nimi.

Armia 4-ta liczyła (bez 48-ej dywizji strzelców) około 14.000, armia 15-ta do 26.000, a armia 3-cia do 20.000 bagnetów i szabel; armia 16-ta miała ich 25.000, a grupa mozyrska około 6.000.

W ten sposób na naszym prawym skrzydle, przeciw nieco więcej, jak 30.000 polskich bagnetów i szabel, wysunęliśmy naszych około 60.000. Należy przy tym mieć na uwadze, że Polacy siły swoje eszelonowali daleko w głąb, jednak bez określonego ugrupowania, zaś pierwsza ich linia była rozciągnięta kordonowo. Jednocześnie odwody ich nie mogły stworzyć, nawet przy przegrupowaniu, żadnego groźnego dla nas skupienia w chwili naszego przejścia do natarcia. Na to były one zbyt słabe liczebnie, zbyt rozprószone i rozrzucone. W naszym planie leżało w dalszym ciągu jednoczesne wprowadzenie w bój wszystkich posiadanych sił, ażeby od razu znieść pierwszą linię bojową przeciwnika. Dalsze

wprowadzenie w akcję odwodów polskich byłoby już nie z ich, lecz z naszą korzyścią, ponieważ pozwalałoby nam stopniowo rozbijać te siły.

Na odcinku armii 16-ej stosunek sił był mniej więcej jednakowy. Za to na mało ważnym lewym skrzydle (kierunek Mozyrza) byliśmy dwa razy słabsi od Polaków (szkic nr 4).




Rozstawiając w ten sposób siły, dowództwo frontu miało na celu ruch oskrzydlający armii 4-ej na północ od jeziora Wielkie Jelno, uderzenie czołowe przełamujące armii 15-ej na Głębokie i uderzenie skrzydłowe armii 3-ej w kierunku Parafianowa. Armia 16-ta, skupiwszy siły, miała atakować w kierunku Ihumenia i Mińska, wiążąc całe centrum przeciwnika. Grupa mozyrska, która w tym czasie zajęła miasto Mozyrz, miała współdziałać z armią 16-tą w kierunku Iłłuska.

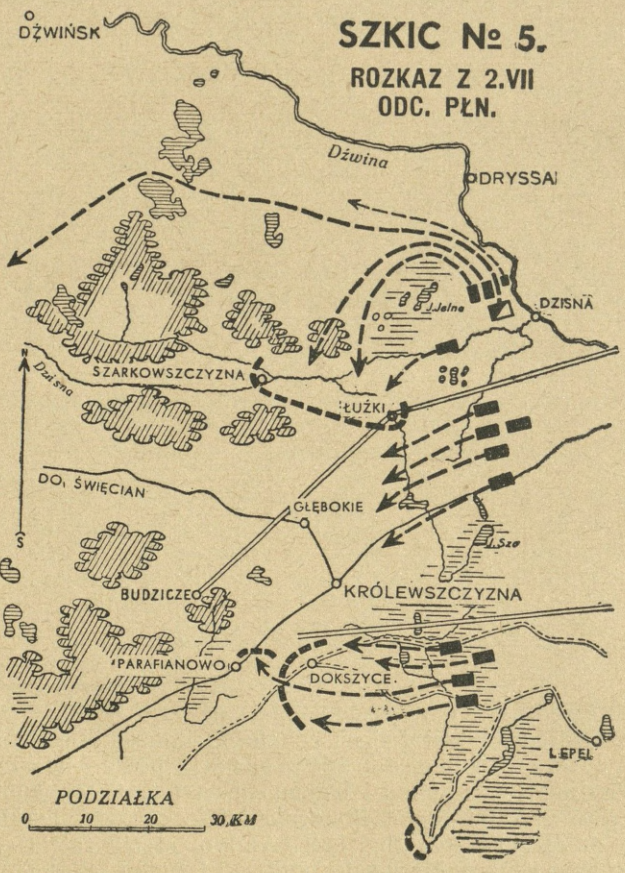
Przytoczone wyżej rozmieszczenie sił naszych było ustalone rozkazem dowódcy frontu zachodniego z dn. 30-go czerwca. W skład armii 4-ej, nie licząc 48-ej dywizji strzelców, włączono 12-tą, 18-tą i 53-cią dywizje strzelców, 164-tą brygadę strzelców i III korpus konny, złożony z 10-ej i 15-ej dywizyj jazdy, pod dowództwem towarzysza Gaja. W skład armii 15-ej włączono dywizje strzelców 4-tą, 11-tą, 16-tą, 33-cią i 54-tą;

w skład armii 3-ej — dywizje strzelców 5-tą, 6-tą, 21-szą i 56-tą; w skład armii 16-ej — dywizje strzelców 2-gą, 8-mą, 10-tą, 17-tą i 27-mą. Skład grupy mozyrskiej pozostał bez zmiany.

## VII

## OFENSYWA 4 LIPCA

Dnia 2-go lipca dowódca frontu zachodniego wydał rozkaz przejścia do zdecydowanej ofensywy o świcie dn. 4-go lipca (szkic nr 5 i 6).




Armia 4-ta otrzymała zadanie skierowania głównego uderzenia na północ od jeziora Wielkie Jelno i wejścia 5-go lipca w rejon Szarkowszczyzna—Łużki. Konne masy miały być wyrzucone na brzeg lewy Dźwiny i w kierunku Święcian.

Armia 15-ta otrzymała rozkaz uderzenia w kierunku Głębokiego.

Armia 3-cia otrzymała zadanie zajęcia 5-go lipca Dokszyc, a 6-go

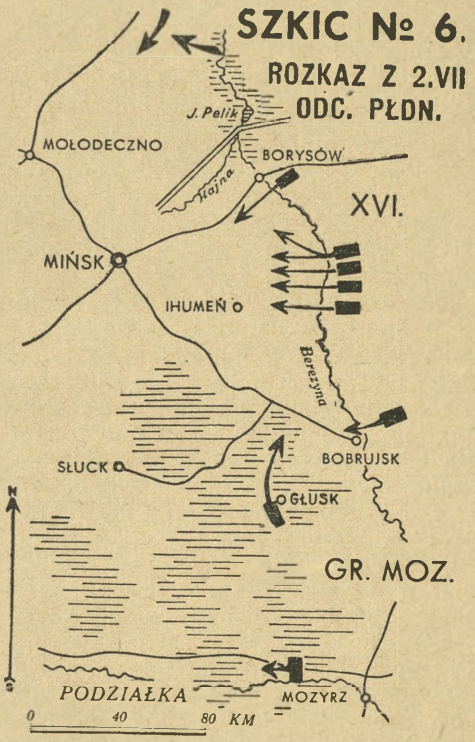
odcięcia przeciwnika od linii odwrotu drogą żelazną w rejonie st. Parafianowo.

Armia 16-ta miała forsować Berezynę z 5-go na 6-go lipca dla natarcia w kierunku Ihumenia.

Grupa mozyrska miała współdziałać z armią 16-tą, działając na skrzydło przeciwnika.

Liniami rozgraniczającymi były: między armiami 4-tą i 15-tą ujście rzeki Uszacz — miast. Łużki — Budzicze, między armiami 15-tą i 3-cią Dzwonie — źródła rzeki Berezyny, między armiami 3-cią i 16-tą jezioro Pelik — górny bieg rzeki Hajny.

Ofensywa rozwijała się z wielkim powodzeniem. Armia 4-ta wy-




sunęła na północ od Wielkie Jelno 12-tą i 53-cią dywizje strzelców i 164-tą brygadę strzelców; za nimi wyruszył korpus konny; wzdłuż rzeki Dźwiny posuwała się 18-ta dywizja strzelców.

Z łatwością przełamawszy nieznaczne piesze oddziały przeciwnika, grupa uderzeniowa armii 4-ej szybko i zdecydowanie wykonała swój ruch oskrzydlający. Jednakże po drodze napotkała niespodziewanie dla siebie polskie oddziały 8-ej dywizji piechoty. Mieliśmy przedtem jeszcze wiadomości, że Polacy sami przygotowują się do ofensywy i że pierwszym ich zadaniem ma być wyparcie nas z rejonu dziśnieńskiego.

Najwidoczniej ruch 8-ej dywizji piechoty od Hermanowicz północnym brzegiem jeziora Wielkie Jelno był przygotowaniem tego manewru. Oddziały 8-ej dywizji zostały zaatakowane w czasie marszu, rozbite i straciły całkowicie zdolność do boju. Ale i nasze oddziały nie osiągnęły tego, co mogły były osiągnąć w tych okolicznościach. Brak środków łączności do rozporządzenia dowódcy armii 4-ej nie pozwalał mu kierować mocno oddziałami i dlatego działania 12-ej i 53-ej dywizyj miały nieco skoordynowany charakter. W każdym jednak razie przeciwnik był rozbity, zaś nasze oddziały prowadziły nadal ofensywę, trochę zaledwie odchyliwszy się od postawionego im zadania. 18-ta dywizja prowadzi uparty bój z przeciwnikiem i dopiero obejście, wykonane przez grupę uderzeniową, i powodzenie, osiągnięte przez sąsiednią armię 15-tą, pozwoliły jej ruszyć z miejsca.

Armia 15-ta, naprzeciw której znajdowały się główne siły przeciwnika, prowadziła całodzienną krwawą i uporczywą walkę. Dopiero wieczorem na całym odcinku wojsko polskie zostało rozgromione, pobite i z wielkimi stratami odrzucone w kierunku Głębokiego. Wzięto jeńców, karabiny maszynowe i działa.

Armia 3-cia sforsowała Berezynę, rozbiła stojące naprzeciw niej oddziały polskie, zajęła na czas Dokszyce i również na czas przecięła drogę żelazną w rejonie Parafianowa. Przeciwnik, rozbity na tym obszarze energicznym ruchem oddziałów armii 3-ej, musiał w popłochu odstąpić w kierunku północnym i północno-zachodnim, cofając się po terenach bagnistych, leżących na północ od linii kolejowej.

Już 7-go lipca było jasne dla każdego, że oddziały przeciwnika w rejonie naszego głównego natarcia są zupełnie rozgromione.

Działania armii 16-ej były także uwieńczone całkowitym powodzeniem. Przeszedłszy przez rzekę Berezynę i bijąc napotykane po drodze polskie oddziały, posuwała się szybko naprzód w kierunku Ihumenia.

Grupa mozyrska, przez natarcie z rejonu Hłuska w kierunku północno-zachodnim, udzieliła jej czynnego poparcia.

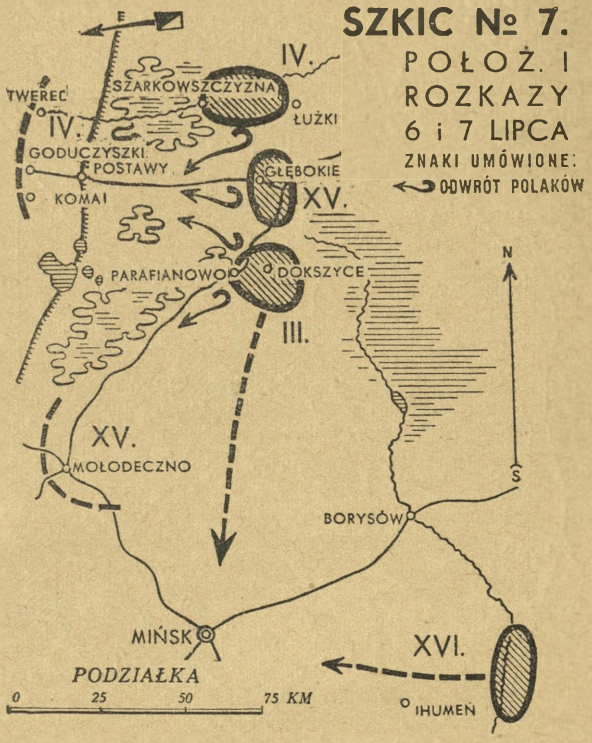
Ażeby zabezpieczyć lepiej sukces armii 16-ej, 6-go lipca dowództwo frontu rozkazało armii 3-ej współdziałać z nią przez ruch w kierunku Mińska (szkic nr 7).

7-go lipca wychodzi rozkaz, w którym armia 4-ta otrzymuje następujące zadanie: w dn. 9-go lipca znaleźć się w rejonie Twerecz—Goduciszki—Komaj, armia ta 10-go lipca ma zająć rejon st. Mołodeczno; armie 3-cia, 16-ta i grupa mozyrska zachowują poprzednie zadanie. Ofensywa rozwija się całkowicie pomyślnie na całym froncie. Korpus konny, oderwawszy się zupełnie od głównych sił swojej armii i działając na północ od jeziornego i błotnistego rejonu Dzisny, zaszedł daleko na tyły «białej» armii polskiej i 9-go lipca, po wygranej bitwie, zajął Święciany, zadając przeciwnikowi poważne straty i biorąc znaczną zdobycz wojenną. Demoralizacja, którą to uderzenie korpusu konnego wpoiło w wojsko nieprzyjacielskie, była tak wielka, że nie potrafiło ono dać odporu głównym siłom armii 4-ej na linii potężnie umocnionych pozycyj niemieckich. 9-go lipca armia 4-ta wykonała wyznaczone jej zadanie. Armia 15-ta również na oznaczony termin zajęła Mołodeczno. Armie 3-cia i 16-ta, rozbijając dośrodkowym natarciem każdą próbę oporu przeciwnika, prowadziły nadal ofensywę z powodzeniem.

Przychwyciliśmy rozkazy polskie, z których wynika, że dowództwo polskie, widząc swoją zupełną klęskę na odcinku północnym, nakazało planowy i stopniowy odwrót na odcinku naszej armii 16-tej. Jed-

nakże manewr, przez nas przedsięwzięty, całkowicie pokrzyżował te plany, nie pozwalając Polakom zająć ani utrzymać we właściwym czasie ani jednego wytkniętego punktu. Organizacja ich odwrotu została zachwiana i przybrała charakter zupełnego bezładu.

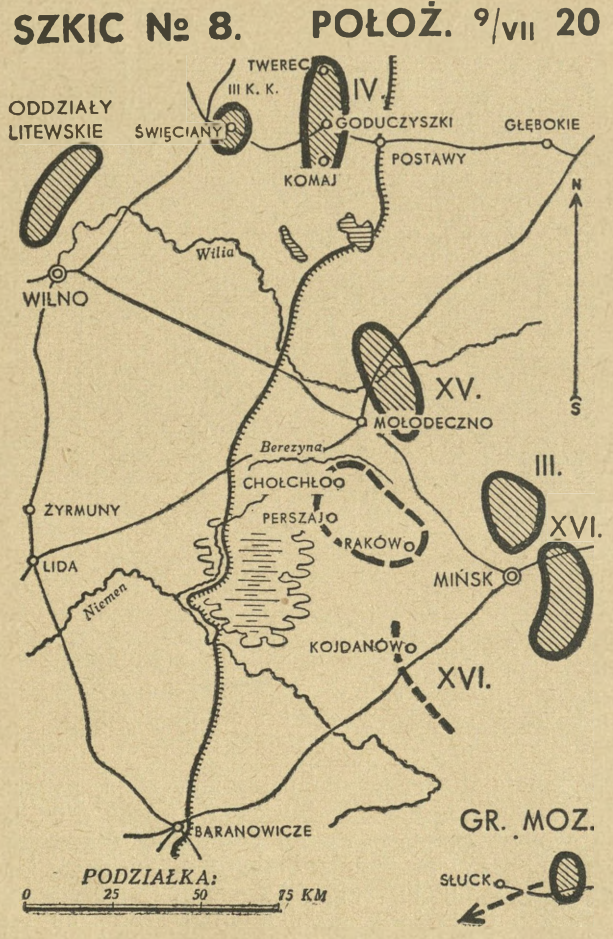
Teraz przed frontem zachodnim powstało nowe zadanie strategiczne. Wzdłuż Berezyny, wpadającej do Niemna wraz z licznymi do-




pływami, rozciągają się trudne do przeprawy błota, pokryte gęstymi lasami i mające zaledwie kilka możliwych dla ruchu dróg. Górny bieg Niemna nie stanowi żadnej poważnej przeszkody dla wojsk napierających. Za to od błotnistego obszaru Berezyny płynie on w kierunku zachodnim, aż do ujścia rzeki Szczary i na całej tej przestrzeni stanowi już dość poważną przeszkodę, wskutek bystrości prądu i szerokości łożyska. Dowództwo frontu miało więc rozstrzygnąć pytanie, którędy poprowadzi swoje główne siły: na północ czy na południe od tej przeszkody rozdzielającej.

Ze względu na zasadniczy pomysł oparcia naszego prawego skrzydła o granice państw wrogich Polsce i ze względu na mniejszą stratę czasu na przegrupowania postanowiono główne natarcie poprowadzić na północ od Niemna (szkic nr 8). 9-go lipca wydano rozkaz, według którego armia 3-cia miała 11-go lipca skoncentrować się w rejonie Chołchło—Pierszaje—Raków; armii 16-ej rozkazano zająć 11-go lipca Kojdanów; grupie mozyrskiej wskazano kierunek Słucka i Łunińca.

Jako linie rozgraniczające wyznaczono: między armiami 4-tą i 15-tą Budzicze — jezioro Narocz — Oszmiana; między armiami 15-tą i 3-cią miast. Ilia — rzeka Berezyna — st. Listopady; między armiami 3-cią i 16-tą — rzeka Hajna — miast. Wołma. Armie północne miały dalej prowadzić ofensywę.




Oddziały III korpusu konnego, podtrzymane przez 164-tą brygadę strzelców, nacierały w dalszym ciągu od Święcian w kierunku Michaliszek. Tutaj, na skutek braku środków łączności, co utrudniało niesłychanie dowodzenie oddziałami armii, miała miejsce niepożądana zwłoka. Dowództwo 18-ej dywizji niewydajnie traciło czas w rejonie jezioro Świr—Michaliszki, działając w oderwaniu i rozprószeniu swymi oddziałami. Łączności pomiędzy poszczególnymi dywizjami również nie było. Dowódca armii musiał osobiście jeździć do sztabów dywizyj, otrzymywać tam niezbędne wiadomości i na miejscu dawać wskazówki. Zorga-

nizowane i zespolone wysiłki trzech dywizyj strzelców dają wreszcie wynik i rzeka Wilia zostaje sforsowana. Przeciwnik, poniósłszy tu poważne straty, rozpoczyna spieszny odwrót.

III korpus konny nie miał również początkowo powodzenia. Kilka jego prób, aby sforsować rzekę Wilię, było każdorazowo odpierane przez oddziały piechoty polskiej. Wreszcie, przy pomocy 164-ej brygady, zadanie to zostało spełnione i oddziały korpusu wdarły się na przedmieście miasta Wilna. Przez pewien czas i tu trwały uporczywe walki, ale 14-go lipca rano Wilno zostało już przez nas zajęte ostatecznie.

Kiedy tylko Litwini wyczuli, że armia czerwona odnosi zupełnie wyraźne powodzenia, ich stanowisko neutralne natychmiast zmieniło się na wrogie w stosunku do Polski. Oddziały litewskie uderzyły na polskie siły, zajmując Nowe Troki i st. Landwarowo.

Szybki ruch oskrzydlający korpusu konnego i pomoc wojska litewskiego odcięły północnej armii polskiej linię odwrotu ku Oranom i Grodnu. Część jej rozpoczęła szybki odwrót w kierunku miasta Lidy. W ten sposób w tym kierunku, w którym dośrodkowo posuwały się trzy nasze armie, musiało wojsko polskie cofać się z północy i wschodu. Kwestią życia dla wojska polskiego stawało się zatrzymać natarcie armii 15-ej na pozycjach niemieckich, aby pozwolić cofnąć się głównym siłom i tyłom. Istotnie, natarcie armii 15-ej napotkało na gwałtowny opór na linii dawnych niemieckich umocnień. Rozpoczął się uparty bój w rejonie Smorgoń.

Ażeby dać szybszy rozwój wypadkom na prawym skrzydle armii 15-ej przez związanie jego działań z pomyślnym natarciem armii 4-ej, w kierunku Smorgoń wysunięto 5-tą dywizję strzelców, wycofaną z armii 3-ej do odwodu dowódcy frontu zachodniego.




Armia 15-ta przez kilka dni walczy na linii okopów niemieckich bez wyniku. Jednakże ruch oskrzydlający 18-ej dywizji strzelców z armii 4-ej obala wreszcie polski opór w rejonie Smorgoń i oddziały armii 15-ej

zaczynają stopniowo od prawego ku lewemu zajmować pozycje niemieckie. Natarcie prowadzone jest znowu stanowczo, przy czym do zadań armii 15-ej należy również współdziałanie w stopniowym usuwaniu wojska polskiego z pozycyj na odcinku armii 3-ej.

W rozkazie z 12-go lipca armia 4-ta otrzymuje zadanie wyjścia do rejonu Oran w dniu 17-go lipca (szkic nr 9); armie 15-ta i 3-cia otrzymują rozkaz zajęcia w tymże terminie linii Żyrmuny—Lida. Armia 16-ta ma w tymże czasie zająć rejon Baranowicz; grupa mozyrska ma posuwać się w kierunku Pińska. Ażeby ulżyć armii 16-ej w pracy stopniowego zajmowania okopów niemieckich, począwszy od prawego skrzydła, skierowano ku niej 2-gą dywizję strzelców, wycofaną do odwodu frontu. Jako linie rozgraniczające wyznaczono: między armiami 4-tą i 15-tą Oszmiana — Woronowo — Skidel; między armiami 3-cią i 15-tą Listopady—Sobotniki—Lida—st. Mosty; między armiami 3-cią i 16-tą Wołma—ujście rzeki Berezyny—Dereczyn. W ten sposób armii 3-ej postawiono za zadanie częściowe forsowanie Niemna i przesunięcie części sił wzdłuż jego lewego brzegu. Ten środek miał ułatwić armii 16-ej jej ciężkie zadanie forsowania okopów niemieckich na wielkiej przestrzeni i dalszy jej ruch ku rzece Szczarze.

Można było z dużym prawdopodobieństwem przypuścić, że dowództwo polskie postanowi uporczywie bronić się na froncie armii 16-ej i w tym celu wyzyska linię okopów niemieckich oraz bieg rzeki Niemna. W takim wypadku nasza grupa północna znalazłaby się w położeniu, w którym musiałaby się zatrzymać. Przewidując to, armiom dano wskazówkę, że na wypadek powstrzymania armii 16-ej na pozycjach niemieckich i na wypadek skoncentrowania, na południe od Niemna wielkich mas polskich zadaniem armii 3-ej i 15-ej będzie zmiana ich zasadniczego kierunku i uderzenia z północy na południe w skrzydle i na tyły polskich mas; armia 4-ta powinnaby była zabezpieczyć to działanie przez natarcie w kierunku Grodna. Jednakże to przypuszczenie nie urzeczywistniło się. Armia 16-ta własnymi siłami potrafiła złamać opór rozbitych oddziałów armii polskiej, ale sam fakt manewru i gotowość naszego zasadniczego ugrupowania do manewrowania zasługuje na rozbiór nieco dokładniejszy.

Przy obecnych rozległych frontach jest rzeczą niemożliwą uderzać wszędzie jednakowo skupionymi siłami. Śmiałe prowadzenie działań musi bezwzględnie przewidywać skupienie wielkich ugrupowań wojskowych w kierunkach rozstrzygających i pozostawienie minimalnych sił na kierunkach drugorzędnych. Na wypadek powodzenia, na wypadek pomyślnego rozwoju dalszych działań, przed dowództwem wielkich jednostek wojskowych staje nieuchronnie zagadnienie — czy należy dalej prowadzić działanie, zatrzymując ugrupowanie poprzednie i poprzedni kierunek operacyjny, czy też należy wybrać nowy? Czy zatrzymać w linii bojowej wszystkie wysunięte do boju masy, czy też je rozrzedzić przez wycofanie części sił do odwodów? Czy nie lepiej prowadzić dalej pościg słabymi siłami i tylko wówczas, kiedy ujawni się nowe ugrupowanie sił nieprzyjacielskich, uderzyć na nie silnymi zachowanymi odwodami

Te zagadnienia są rozstrzygające w działaniach współczesnych, ponieważ za małymi wyjątkami nie ma możności znieść siły nieprzyjacielskiej jednym mocnym i decydującym ruchem. Koniecznością jest prowadzenie działania za działaniem, uderzenia za uderzeniem i zadawanie przeciwnikowi ciągłych strat. Odpowiedzieć na te zagadnienia

raz na zawsze odpowiednimi formułami — nie można. Położenie bywa różnorodne, aby stosować doń zawsze określone prawidła. Ale jednocześnie zwykły rozwój działań współczesnych zmusza do wyciągnięcia pewnych wniosków. Przede wszystkim rozległość frontu ogólnego natarcia i nieuniknione zniszczenie linij kolejowych przez armię ustępującą uniemożliwia przerzucanie wojska we właściwym czasie. Dlatego raz podjęte zmasowanie wojska, przy szybko rozwijającej się ofensywie, może być zmienione jedynie z wielką trudnością i to częściowo. Po wtóre, pozostawienie w ścigającej linii bojowej zaledwie niewielkich sił może pozwolić łatwo przeciwnikowi zorganizować się, zatrzymać nasze natarcie i doprowadzić do porządku swoje zdezorganizowane oddziały. To wszystko nie znaczy, żeby nieprzyjaciel godził się zaraz stawać znów z nami do boju. Na odwrót, w całym szeregu wypadków będzie on starcia unikał, zanim nie przygotuje nowego potężnego przeciwuderzenia. W tym wypadku wprowadzenie do akcji utworzonych przez nas znacznych odwodów celem rozbicia przeciwnika, który się zatrzymał, może stać się uderzeniem w próżnię, nie prowadzącym do żadnych pozytywnych wyników, ale jeszcze pociągającym za sobą nieuniknioną stratę czasu. Niemożność, przy obecnych rozległych frontach, zniesienia armii przeciwnika jednym uderzeniem zmusza do osiągania tego szeregiem działań kolejnych, które powinny kosztować przeciwnika drożej, niż nas. Im szybciej będziemy go pędzili, im mniej damy mu czasu na zorganizowane wycofanie się z bitwy, tym więcej wpłyniemy na rozkład jego sił zbrojnych i uniemożliwimy lub bardzo utrudnimy nową bitwę generalną. Słowem, szereg logicznie prowadzonych działań niszczących, złączonych nieprzerwanym pościgiem, może zastąpić tę rozstrzygającą bitwę, która była najlepszą formą starcia za poprzednich armij, nie mających frontów o takiej rozciągłości.

Przeciw tego rodzaju wywodom wysuwają dość uzasadnioną obiekcję, że zgromadzenie na rozstrzygającym kierunku mas taranowych zbyt wyraźnie uwydatnia zasadniczą myśl operacyjną. Przepada zupełnie możliwość zaskoczenia. Rozpoczynające się ugrupowanie taranowe ułatwia przeciwnikowi zawczasu przygotowanie przeciwuderzenia i w odpowiedniej chwili z odpowiedniego rejonu spotka się z jego przeciwnatarciem.

Każda bitwa jest rzeczą złożoną i wielostronną. I te braki natarcia taranowego, które zostały przed chwilą przytoczone, istotnie odpowiadają rzeczywistości. Ale jeżeli zagadnienie rozpatrzeć szerzej, to ujrzymy takie jego strony, które te braki całkowicie wyrównują. Po pierwsze nie wolno zapominać, że pobity przeciwnik jest pod względem dysponowania siłami zbrojnymi w gorszym położeniu, niż armia zwycięska. Bezwład klęski i poczucie położenia bez wyjścia ogarnia cofającego się, jeżeli nie dają mu możności zaczepienia się o cokolwiek, ani możności przegrupowania, jeżeli zmuszają go co dzień do przyjmowania wciąż nowych walk i tracenia wciąż nowych i nowych sił. Dlatego, jeżeli zasadnicze ugrupowanie taranowe zwrócone jest w odpowiednim kierunku i odpowiednio ubezpieczone na skrzydle i w drugorzędnych kierunkach, to każde przejście przeciwnika do natarcia staje się dla tych mas nie przykrością, ale upragnionym, jedynym marzeniem. W nacierającym zwycięzcy każdy objaw aktywności ze strony przeciwnika może wywołać jedynie radość, ponieważ daje mu wreszcie możność dopędzenia głównych zachwianych sił wroga i wymierzenia mu ostatecznego, druzgocącego ciosu.

Skupienie mas taranowych jest, jak już wspomniano wyżej, nieuniknionym wynikiem charakteru wojny współczesnej. Armia niemiecka na froncie francuskim w r. 1914 i cały szereg naszych kampanij w okresie wojny domowej mogą być przytoczone jako dowód tego. Również na przykładzie naszej kampanii przeciw «białym» siłom Polaków w 1920 r. można z wielką korzyścią przestudiować zagadnienie o wykorzystaniu mas taranowych. Kiedy armia 16-ta potrzebuje pomocy od północy, masa taranowa, pod postacią armii 3-ej, daje ją przez natychmiastowe natarcie na Mińsk. Gdyby armia 16-ta była potrzebowała pomocy na linii starych okopów niemieckich, to potężne uderzenie nie mniej, jak dwóch naszych armij, padłoby na skrzydło i tyły działającego przeciw niej wojska polskiego. W dalszym okresie naszych działań, podczas walk naszych nad Bugiem, mogła wyniknąć potrzeba takiegoż manewru ze strony naszych armij północnych. I gdyby była wynikła, to oczywiście mogła była być natychmiast zaspokojona. Niepowodzenie naszego ostatniego działania nad Wisłą nie powinno mieszać istoty zagadnienia i prowadzić do nieprawidłowych i lekkomyślnych wniosków. Tam zaszedł nie błąd w zasadniczym ugrupowaniu naszego uderzenia, ale niedopatrzenie pod względem jego skrzydłowego ubezpieczenia. O tym będzie mowa dalej.

## VIII

## REWOLUCJA Z ZEWNĄTRZ

Kiedy z całkowitą i wyraźną jasnością uwydatnił się ten ostateczny pogrom, któremu uległy armie polskie na froncie zachodnim, kiedy armie nasze forsowały nareszcie linie umocnień niemieckich, niepokój i panika ogarnęły nie tylko burżuazję polską, ale i jej europejskich protektorów.

Otrzymaliśmy notę Curzona, w której proponował nam, żebyśmy zatrzymali się na osiągniętej rubieży, a rząd angielski będzie pośredniczył między nami i rządem polskim w sprawie ustalenia naszych wspólnych granic według traktatu wersalskiego, to jest na granicy etnograficznej Polski. Oczywiście nie można było dowierzać temu wystąpieniu dyplomacji kapitału angielskiego. Mieliśmy już jedną taką próbę pośrednictwa Anglii między nami a Wranglem, która zakończyła się wzmocnieniem i czynnym wystąpieniem Wrangla pod pokrywką pośrednictwa angielskiego. Ale jednocześnie nota Curzona, chociaż spowodowana naszymi zwycięstwami, miała niektóre cechy ultimatum. Na wypadek, gdybyśmy się nie zgodzili na propozycję angielską, groziło nam wystąpienie czynne przeciw nam kapitału angielskiego. W jaki sposób wystąpienie to miało się konkretnie wyrazić, nie wiedzieliśmy dokładnie, ale było zupełnie jasnym, że sytuacja staje się groźną. Walka polskiego kapitału z proletariacką rewolucją rosyjską rozwijała się do skali europejskiej.

Jeżeli uchyliliśmy pośrednictwo Curzona, to rzuciliśmy tym samym wyzwanie kapitałowi europejskiemu i walka zapowiadała się na śmierć i życie. Było zupełnie jasne, że nawet w razie zupełnego rozgromienia Polski «panów», wojna klasowa nie mogłaby być przerwana i musiałaby stanowczo przelać się żywiołowo do krajów Europy środkowej.

Jaki był stan proletariatu zachodnio-europejskiego? Czy był on przygotowany do rewolucji? Czy mógłby był wesprzeć, wlać się w lawinę socjalistyczną, która toczyła się ze wschodu, niosąc mu wolność? Dalsze wydarzenia dają wyraźną odpowiedź twierdzącą na te pytania.

Jeszcze przed rozpoczęciem naszej ofensywy cała Białoruś, jęcząca pod uciskiem polskich obszarników i «białych» polskich armij, gotowała się i wrzała od powstań chłopskich. Wiedzieliśmy, że w przejściu przez Białoruś znajdziemy nie tylko przyjazny do nas stosunek, ale i znaczne posiłki w postaci zmobilizowanej przez nas masy «krasnoarmiejskiej». To przewidywanie sprawdziło się całkowicie. Ponad 30.000 dobrego, pewnego rekruta zaciągnęliśmy pod sztandary, wyszkoliliśmy i wlali w szeregi armii czerwonej. Jest to charakterystyczny i świetny przykład uzupełnienia klasowego.

Położenie w Polsce przedstawiało się równie pomyślnie dla rewolucji. Silny ruch proletariatu i nie mniej groźny ruch robotników rolnych stawiał burżuazję polską w niezmiernie trudnym położeniu. Wielu komunistów polskich sądziło, że wystarczy nam dojść do etnograficznej granicy Polski, aby rewolucja proletariacka w Polsce stała się nieuniknioną i zupełnie pewną. Istotnie, po zajęciu rejonu białostockiego spotkaliśmy się z gorącym przyjęciem i poparciem ludności robotniczej. Na mityngach masowych uchwalono rezolucje o wstępowaniu do armii czerwonej. Włościanie początkowo traktowali nas podejrzliwie pod wpływem agitacji księży i szlachty, ale bardzo szybko oswoili się z nami i uspokoili. Parobcy rolni wyraźnie z nami sympatyzowali. Tak więc to wszystko, co widzieliśmy w zajętej przez nas części Polski, bezwarunkowo sprzyjało ofensywie socjalistycznej i gotowe było ją poprzeć.

To, co się mówi o rozbudzeniu uczuć narodowych wśród klasy robotniczej polskiej w związku z naszą ofensywą, jest po prostu wynikiem przegrania przez nas kampanii. Strach ma wielkie oczy. Nie należy zapominać, że przy podejściu naszym pod Warszawę ludność robotnicza Pragi, Łodzi i innych środowisk fabrycznych burzyła się głucho, ale była dławiona przez burżuazyjne polskie oddziały ochotnicze. Liczenie na rewolucję w Polsce, idącą na spotkanie naszej ofensywie, stanowiącą wynik strzaskania narzędzia ucisku w rękach burżuazji polskiej — miało poważne podstawy i, gdyby nie nasza klęska, byłoby uwieńczone zupełnym powodzeniem.

Czy Europa mogła odpowiedzieć na ten ruch socjalistyczny przez wybuch rewolucji na Zachodzie? Wypadki mówią, że tak. Nasza szybka i zwycięska ofensywa poruszyła, wzburzyła całą Europę i zahipnotyzowała wszystkich razem i każdego z osobna, ciągnąc oczy ludzkie na wschód. Zarówno robotnicze, jak burżuazyjne dzienniki zajęte były tylko tym jednym zagadnieniem: ofensywą bolszewicką. To była myśl ogólna, na to zwracano wszędzie wytężoną uwagę. Robotnicy niemieccy otwarcie wystąpili przeciw Entencie, zawracali z powrotem transporty z zaopatrzeniem i uzbrojeniem, które Francja przesyłała Polsce, nie dopuszczali do wyładowywania francuskich i angielskich statków z amunicją i bronią w Gdańsku, powodowali katastrofy kolejowe i t. d. — słowem, prowadzili czynną walkę rewolucyjną na korzyść Rosji sowieckiej. W Prusach Wschodnich, kiedy otarliśmy się o nie, popłynęły do nas setki i tysiące ochotników, spartakusowców i robotników bezpartyjnych, pod sztandary czerwonej armii, tworząc w niej niemiecką brygadę strzelców.

Należy zauważyć, że polski komitet rewolucyjny również postanowił sformować polską armię czerwoną, która zaczęła tworzyć się

w przyspieszonym tempie, ale w chwili naszej przegranej nie zdążyła jeszcze zakończyć swojej organizacji.

Tak więc Niemcy kipiały i dla ostatecznego wybuchu czekały tylko, aby dotknął ich zbrojny potok rewolucji.

W Anglii klasa robotnicza była również ogarnięta przez najżywszy ruch rewolucyjny. Komitet ruchu stanął do jawnej walki z rządem angielskim. Pozycja tego ostatniego była silnie zachwiana. Położenie przypominało stan rządu carskiego w epoce istnienia rady delegatów robotniczych w r. 1905.

We Włoszech wybuchła prawdziwa rewolucja proletariacka. Robotnicy zajmowali fabryki i zakłady przemysłowe, organizując swoje zarządy. Gdyby nie nikczemna działalność socjal-demokratów, rewolucja rozrosłaby się niechybnie do olbrzymich rozmiarów.

We wszystkich krajach europejskich położenie kapitału zachwiało się. Klasa robotnicza podniosła głowę i porwała za broń. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy byli zwyciężyli nad Wisłą, wówczas rewolucja ogarnęłaby płomieniem cały ląd europejski.

Oczywiście, po przegranej wojnie łatwo jest doszukiwać się błędów politycznych i nieprawidłowych posunięć. Ale sytuacja, tylko co przedstawiona, mówi sama za siebie. Rewolucja z zewnątrz była możliwa. Europa kapitalistyczna była wstrząśnięta do głębi i, gdyby nie nasze błędy strategiczne, nie nasza przegrana na polu walki, to być może, że wojna polska stałaby się ogniwem, któreby rewolucję październikową złączyło z rewolucją zachodnio-europejską.

## IX

## FORSOWANIE NIEMNA I SZCZARY

Dalsza ofensywa naszego zasadniczego północnego ugrupowania rozwijała się bez przerwy i z ciągłym powodzeniem. W rejonie Żyrmuny—Lida przeciwnik poniósł poważną porażkę i stracił znaczną ilość jeńców i artylerii. Armia 16-ta i grupa mozyrska działały dalej z równym powodzeniem.

18-go lipca dowództwo frontu wskazało dalsze zadanie (szkic nr 9). Armia 4-ta otrzymała rozkaz forsowania 21-go lipca rzeki Niemen w rejonie na południe od Grodna, armia 15-ta — forsowania rzeki Niemen w dn. 22-go lipca, armia 3-cia — forsowania głównymi siłami rzeki Niemen w rejonie ujścia Szczary, armia 16-ta — forsowania rzeki Szczary w rejonie na północ od Słonimia. Linie rozgraniczające wyglądały, jak następuje: między armiami 4-tą i 15-tą Skidel—Indura, między armiami 15-tą i 3-cią st. Mosty—Roś, między armiami 3-cią i 16-tą pozostawiono linię poprzednią.

Tymczasem dowództwo polskie organizowało również ze swej strony nową operację. Zamierzając za wszelką cenę utrzymać się na linii rzek Niemna i Szczary, miało zamiar skupić grupę uderzeniową z sześciu dywizyj piechoty w rejonie Grodna, ażeby uderzyć na skrzydło głównego ugrupowania naszej armii. W tym celu posuwały się ku Grodnu 5-ta, 8-ma, 10-ta dywizje piechoty, a zebrane w Białymstoku 9-ta i 17-ta dywizje piechoty i trzy pułki ułanów posuwały się przez miasto Kuźnice ku Grodnu od zachodu — 2-ga dywizja litewsko-białoruska znajdowała się już w tym rejonie (szkic nr 10).

Szybkie działanie III korpusu konnego rozbiło wszystkie plany polskie. Już 19-go lipca zagonem zajęta została twierdza Grodno. Oddziały litewsko-białoruskie były rozbite i w nieładzie wyparte na brzeg zachodni rzeki Niemna. Oddziały 15-ej dywizji jazdy zajęły miasto Kuźnice, a 10-ta dywizja jazdy zajęła miasto Skidel, oczekując nadejścia sił pieszych armii 4-ej. Tymczasem piesza masa polska, doszedłszy do rozmieszczenia naszych dywizyj jazdy, przeszła do zdecydowanego natarcia i z powodzeniem zaczęła wypierać te oddziały. W czasie, kiedy na zachodnim brzegu rzeki Niemna 15-ta dywizja jazdy była wyparta do twierdzy i ustaliła się na brzegu, 10-ta dywizja jazdy prowadziła uporczywy bój z rozwiniętymi «białymi» dywizjami Polaków na przedpolu Grodna ze strony miasta Lidy. Tymczasem piesza masa armii 4-ej de-




buszowała z puszczy grodzieńskiej i wpadła na tyły i skrzydła idących naprzód dywizyj polskich. Dywizje te zostały obalone, zgniecione i w całkowitym nieładzie odrzucone na południe ku st. Mosty. Drogę przecięły im podchodzące oddziały armii 15-ej, bijąc je ostatecznie, powodując demoralizację i odrzucając je na zachodni brzeg rzeki Niemna. Tak niepomyślnie zakończyła się dla Polaków próba przedsięwziętego przez nich ugrupowania przeciwuderzeniowego. Nasze wojsko zdecydowanie nacierało i na całym froncie, po szeregu walk, sforsowało rzekę Niemen. Armia 16-ta, po sforsowaniu rzeki Szczary, na przedpolu Wołkowyska spotkała się z silnym przeciwnatarciem oddziałów polskich. Natarcie to zostało odparte, przy czym Polacy stracili wielką ilość jeńców i dział. Na całym froncie ofensywa nasza rozwijała się w dalszym ciągu.

Po wiadomości o zajęciu Grodna, głównodowodzący dał dyrektywy dla frontu zachodniego, nakazując zajęcie Warszawy na 12-go sierpnia.

Zagadnienie, czy trzeba było, czy nie trzeba zatrzymywać się na polskiej granicy etnograficznej, jest również jednym z ulubionych tematów polemicznych. Większa część naszych autorów wskazuje na to, że na tej rubieży wygodniej nam się było zatrzymać, zorganizować swoje tyły, naprawić łączność i odbudować linie kolejowe, wlać w oddziały uzupełnienia, które w liczbie 60.000 ludzi znajdowały się w eszelonach i posuwały się za idącym naprzód wojskiem, następnie zaś, podremontowawszy się i wzmocniwszy, rozpocząć nową ofensywę dla ostatecznego unicestwienia armii polskiej.

Takie postawienie sprawy jest istotnie bardzo nęcące. O ileż przyjemniej nacierać, kiedy koleje są w porządku, kiedy łączność działa bez przerw, kiedy oddziały są uzupełnione do przepisanego stanu liczebnego, a przeciwnik jednocześnie jest pod wpływem rozkładu i demoralizacji. Ale czyż tak w rzeczy samej układały się warunki? Ciągłość naszego pościgu ostatecznie demoralizowała wojsko polskie. Według świadectwa francuskich i polskich oficerów, oddziały wojskowe straciły wszelką wytrwałość bojową. Tyły polskie roiły się od dezerterów. Nie było żadnej nadziei ratunku; wszyscy uciekali w tył, nie wytrzymując najmniejszej poważnej walki. I ten brak wytrwałości panował nie tylko w oddziałach wojskowych, ale i wśród wyższych dowódców polskich.

Czy to położenie, w którym my, acz liczebnie słabsi, byliśmy jednak silniejsi od przeciwnika, mogło ostać się w wypadku, gdybyśmy się byli zatrzymali na granicy Polski? Oczywiście nie. Jeżeli nam to zatrzymanie byłoby dało możność przeprowadzenia uzupełnień, wzmocnienia naszych tyłów, doprowadzenia do porządku całego organizmu nacierających armij, to — rzecz jasna — Polacy pod tym względem mieli znacznie szersze możliwości. Nie należy zapominać, że stawką w grze było istnienie świata kapitalistycznego, nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. Nieprzerwane transporty i eszelony z amunicją i bronią szły na pomoc armii polskiej z Francji i Anglii. Strajki i czynne przeciwdziałanie robotników niemieckich w Gdańsku i na kolejach tłumione były siłą przez wojska francuskie i angielskie, które brały na siebie troskę o wyładowanie i załadowanie niezbędnego zaopatrzenia. Kapitał polski wytężał wszystkie swoje siły, rozwijając wściekłą agitację przeciw ofensywie bolszewickiej. Księża służyli mu całkowicie i wzywali ludność polską do samoobrony narodowej. Formowanie burżuazyjnych oddziałów ochotniczych szło bardzo dobrze. I gdybyśmy tylko byli dali Polakom spokojnie przeprowadzić tę pracę, to po dwu lub trzech tygodniach, potrzebnych nam do zakończenia naszych spraw, spotkalibyśmy się z armiami, znacznie silniejszymi od naszych, i musielibyśmy znowu stawiać na kartę naszą przyszłość strategiczną. Wobec tego wstrząsu, jakiego doznała armia polska, mieliśmy prawo i powinniśmy byli prowadzić dalej naszą ofensywę. Zadanie było trudne, śmiałe, złożone, ale zagadnień światowych nie rozstrzyga się za pomocą łatwiutkich zadań.

## X

## WALKI NAD NARWIĄ I BUGIEM

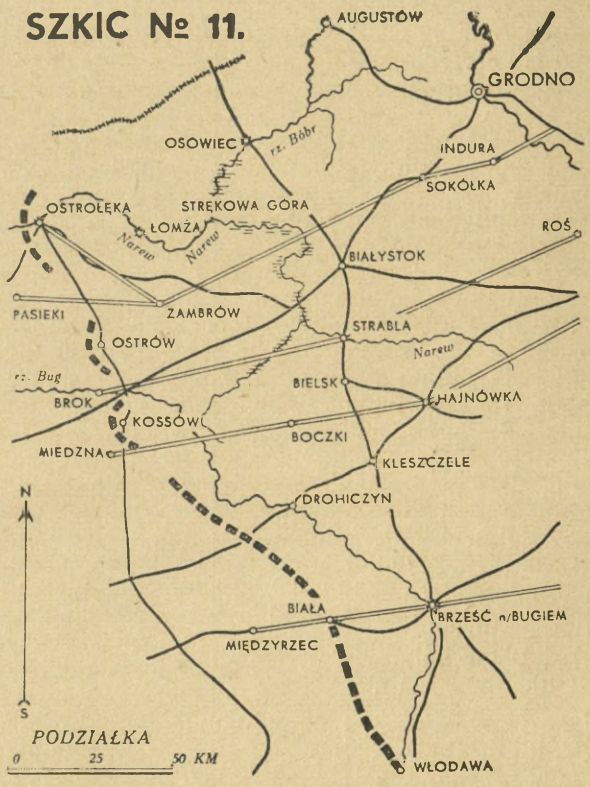
W końcu lipca rozpoczynają się nasze walki nad Narwią i Bugiem.

Po raz pierwszy od czasu początkowych działań bojowych Polacy stawili nam tu uparty opór.

Na odcinku armij 4-ej, 15-ej i 3-ej musieliśmy koniecznie forsować grząskie rzeki Biebrzę, Narew i Nurzec, które miały mało przepraw i stanowiły poważną przeszkodę. Polacy wykorzystali tę przeszkodę i, ustawiwszy nieco za nią swoje wojsko, stawili nam bardzo poważny opór. Do powodzenia ich przyczyniła się i ta okoliczność, że nasze środki łączności po dawnemu były niedostateczne, a dowodzenie wojskiem było nadzwyczaj utrudnione, co często nadawało walkom cechę pewnego rozprószenia i, oczywiście, tamowało sukces. W szczególności okoliczność ta dała się odczuć na odcinku armii 16-ej, która zajmowała

rozległy front około 80-wiorstowy, mając wszystkiego pięć dywizyj strzelców. Położenie armii 16-ej komplikowało się jeszcze przez istnienie na skrzydle twierdzy Brześć.

Po sforsowaniu Niemna w rozkazie z dn. 23-go lipca była nakreślona dalsza ofensywa. Armiom frontu rozkazano w dniu 3-go sierpnia wyjść na linię: Ostrołęka—Ostrów—Kosów—Drohiczyn—Biała—Włodawa. Jako linie rozgraniczające wskazano: między armiami 1-tą i 15-tą Indura—Sokołówka—Zambrów—Pasieki, dla 4-ej włącznie; między




armiami 15-tą i 3-cią Roś—Strabla—Brok, wszystko dla armii 15-ej; między armiami 3-cią i 16-tą Dereczyn—st. Hajnówka—Boćki—Miedzna, wszystko dla armii 3-ej; między armią 16-tą i grupą mozyrską Brześć—Międzyrzec (szkic nr 11).

Korpus konny, zyskując nadal 1 do 2 przemarszów w stosunku do głównych sił armii 4-ej, ruszył na Ossowiec i po walce zdobył tę twierdzę. Dalszy jego ruch skierowany był ku Łomży. Wślad za korpusem konnym szła 12-ta dywizja strzelców. Dywizje 18-ta i 53-cia, podszedłszy ku brzegom Narwi na odcinku Strąkowa Góra—Babino, nawiązały z przeciwnikiem decydujące walki, sforsowawszy rzekę, ale bój trwał ze szczęściem zmiennym bez zasadniczych wyników.

Armia 15-ta, wyszedłszy na błotniste brzegi Narwi, również zaczęła prowadzić walki czołowe bez wyników.

## TAB
## WZAJEMNY STOSUNEK SIŁ

| | POLACY | | |
|---|---|---|---|
| Oddziały | Bagnetów | Szabel | Uwagi |
| **Rejon na północ od rzeki Bug** | | | |
| 2-ga dywizja litewsko-białoruska . . . . . | 7.300 | 1.400 | Ogółem. |
| 5-ta dywizja (brygada) . | | | |
| 9-ta dywizja (brygada) . | | | |
| 10-ta dywizja piechoty . | 17.200 | 1.555 | |
| 3-cia dywizja rezerwowa | | | |
| 17-ta dywizja piechoty . | | | |
| 1-sza dywizja rezerwowa | | | |
| 8-ma dywizja piechoty . | | | |
| 1-sza dywizja litewsko-białoruska . . . . . | — | — | |
| 4-ta dywizja (brygada) . | | | |
| 6-ta dywizja (brygada) . | | | |
| Razem . . | 29.600 | 3.850 | |
| **Rejon na południe od rzeki Bug** | | | |
| 15-ta dywizja piechoty . | 10.900 | 1.000 | |
| 4-ta dywizja (brygada) . | | | |
| 2-ga dywizja piechoty . | | | |
| 16-ta dywizja piechoty . | | | |
| 14-ta dywizja piechoty . | | | |
| Pięć batalionów zapas. . | | | |
| 1-sza dywizja górska . . | 4.900 | 1.000 | Inne oddziały nie zostały ujawnione, ponieważ znajdowały się daleko na tyłach. |
| 9-ta dyw. piech. (bryg.). | | | |
| Grupa Jaworskiego . . | | | |
| Oddział Bułak-Bałachowicza . . . . . | | | |
| Razem . . | 15.800 | 2.000 | |
| **Odwody** | ? | ? | |
| Ze strony polskiej brało udział w walce . . . | 45.400 | 5.850 | |

# LICA IV
## NAD NARWIĄ I BUGIEM

| | NASZE ODDZIAŁY | | | |
|---|---|---|---|---|
| | Oddziały | Bagnetów | Szabel | Uwagi |
| Rejon na północ od rzeki Bug | Armia 4-ta:<br>12-ta, 18-ta i 54-ta dywizje strzelców . . . . .<br>164-ta brygada strzelców<br>3-ci korpus konny . . . | 9.568 | 4.861 | Ogółem. |
| | Armia 15-ta:<br>4-ta dywizja strzelców .<br>11-ta dywizja strzelców .<br>16-ta dywizja strzelców .<br>33-cia dywizja strzelców | 12.729 | 465 | |
| | Armia 3-cia:<br>5-ta, 6-ta, 21-sza i 56-ta dywizje strzelców . . | 9.205 | 914 | |
| | Razem . . | 31.492 | 6.240 | |
| Rejon na południe od rzeki Bug | Armia 16-ta:<br>2-ga dywizja strzelców .<br>8-ma dywizja strzelców .<br>10-ta dywizja strzelców .<br>17-ta dywizja strzelców .<br>27-ma dywizja strzelców | 10.584 | 244 | |
| | Grupa mozyrska:<br>57-ma dywizja strzelców<br>Oddziały kombinowane . | 4.193 | — | 48-ma dywizja strzelców na granicy łotewskiej. |
| | Razem . . | 14.777 | 244 | |
| Odwody | | ? | ? | |
| | Z naszej strony brało udział w walce . . . | 46.269 | 6.484 | Bez 48-ej dyw. strz., która liczyła 4.262 bagnetów i 192 szabel. |

Armia 3-cia, doszedłszy do bagnistych brzegów Nurca, prowadziła tu walki dość nieporządne. Dowódca armii 3-ej, towarzysz Łazarewicz, w tym czasie zachorował, nie mógł się ruszać, i dowództwo armii nieco się rozprzęgło. Faktycznie, armia 3-cia otrzymała najłatwiejsze zadanie: nie miała przed sobą poważnych przeszkód naturalnych i posiadała dostateczną zdolność uderzeniową.

Korpus konny, podszedłszy do Łomży, atakował ją od północy 15-tą dywizją jazdy i przeprawił się na południowy brzeg Narwi 10-tą dywizją jazdy. Jednakże walki tutaj doprowadziły do wyniku nie od razu. Dopiero przy pomocy 12-ej dywizji strzelców udało się owładnąć tą fortalicją 2-go sierpnia.

Dywizja 53-cia forsuje wreszcie 1-go sierpnia Narew w rejonie Strąkowej Góry, bijąc w skrzydło przeciwnika, stawiającego opór 18-ej dywizji.

18-ta dywizja strzelców forsuje Narew w kierunku Jeziora i wśród uporczywych walk posuwa się dalej. W ten sposób na północy przeciwnik, obalony na całym froncie armii 4-ej i oskrzydlony, zaczyna cofać się przed armiami 15-tą i 3-cią, które depcą mu po piętach, nękając ciągłymi walkami tylnych straży.

W armii 16-ej sprawa przedstawiała się mniej szczęśliwie. Dowództwo frontu, biorąc w rachubę rozciągnięcie frontu tej armii, wskazywało jej konieczność ugrupowania sił głównych ku prawemu skrzydłu, żeby, wspólnie z naszym zasadniczym ugrupowaniem frontowym, szybko złamać opór przeciwnika. Ale twierdza Brześć zajęła uwagę armii 16-ej i odciągnęła główne jej siły, chociaż przy liczebności znajdującej się tam polskiej załogi twierdza ta nie była dla nas bynajmniej groźną. Rozciągnięte na olbrzymiej przestrzeni 27-ma i 8-ma dywizje strzelców prowadzą walki bez wyniku wzdłuż rzeki Bug, nie mając możności sforsowania jej. Dopiero po zajęciu Brześcia armia 16-ta przeprowadza wreszcie wskazane jej ugrupowanie i forsuje Bug. Ofensywa znowu zaczyna rozwijać się z powodzeniem. Grupa mozyrska, która przyszła z pomocą armii 16-ej przy zdobyciu twierdzy Brześć, również forsuje Bug i wykonywa otrzymane zadanie.

Mając na względzie, że armie 4-ta i 15-ta znowu będą musiały forsować rzekę Narew, a także biorąc pod uwagę wzmożony opór przeciwnika, linie rozgraniczające między armiami 4-tą i 15-tą przeciągnięte są od Zambrowa przez m. Ostrołękę: w ten sposób cała armia 4-ta bez przeszkód obchodzi rzekę Narew.

Walki naszego głównego ugrupowania frontowego nad Narwią i Biebrzą zaciągnęły się w ogólnej sumie od 28-go lipca do 1-go sierpnia. Było to pierwsze nasze poważne zatrzymanie. Za to na odcinku armii 16-ej sprawa stała znacznie gorzej. Z powodu wzmiankowanego wyżej rozprószenia sił, armia 16-ta dopiero 6-go sierpnia zdobyła się na sforsowanie Bugu.

To ostatnie zatrzymanie, wynikające nie z siły oporu nieprzyjacielskiego i nie z trudności forsowania rzeki, ale głównie z braków w ugrupowaniu sił, stało się przyczyną nieco rozbieżnej oceny położenia przez dowództwo frontu i naczelne dowództwo. Z rozmowy hughesowej w dn. 8-go sierpnia widzimy, że zdaniem naczelnego dowództwa główne siły wojska polskiego skoncentrowane są na lewym brzegu Bugu i gotowe do przyjęcia nowej rozstrzygającej bitwy. Skutkiem tego naczelne dowództwo uważało za bardziej celowe przerwać masowe natarcie naszego północnego ugrupowania na zachód i uderzyć główną

masą sił na lewe skrzydło zasadniczego ugrupowania przeciwnika, ażeby, jeszcze nie dochodząc do Wisły, ostatecznie rozbić armię polską.

Według danych wywiadu frontu zachodniego położenie przedstawiało się zupełnie inaczej. Główne ugrupowanie wojska polskiego istniało w dalszym ciągu na linii kierunku naszego głównego natarcia. Stosunek wzajemny sił wykazuje tablica IV (str. 200—201).

W ten sposób naturalnym i jedynie prawidłowym zadaniem była dążność do rozbicia zasadniczego północnego ugrupowania przeciwnika. I to było tym bardziej naturalne, że wymagało mniej, niż jakiekolwiek inne działanie, ruchów złożonych i mniej straty czasu. Przede wszystkim zaś można było być już zupełnie pewnym, że przeciwnik zaczął się cofać za Wisłę. W ten sposób obniżenie ku południowi naszego uderzenia taranowego oznaczałoby uderzenie w próżnię, stratę czasu i wyprowadzenie całej masy wojsk na najtrudniejszy do przebycia kierunek ku Warszawie. Wobec tego dowództwo frontu pozostawiło w sile dane armiom zadania i prowadziło dalej ofensywę.

Dziś, kiedy wiemy, co działo się w tym czasie po stronie polskiej, z zupełną pewnością możemy stwierdzić, że front zachodni miał słuszność w swych działaniach. Już 6-go sierpnia, na posiedzeniu Rady Wojennej w Warszawie, postanowiono oderwać się od pościgu naszych oddziałów i po przeprowadzeniu za Wisłą zasadniczego przegrupowania przejść do kontrofensywy. Oczywiście, byłoby nam było znacznie przyjemniej rozpocząć rozstrzygającą bitwę przed dojściem do Wisły, ale przeciwnik ustępował. Należało gotować się do najtrudniejszego, najcięższego i najniebezpieczniejszego działania: do walki ze wszystkimi siłami polskimi, opierającymi się o szeroką, bystrą i trudną do przeprawy Wisłę.

Nasze armie północne wśród walk o średnim napięciu bez przerwy posuwały się naprzód. Armia 16-ta i grupa mozyrska łatwo, miejscami utraciwszy kontakt z przeciwnikiem, prowadziły dalej ofensywę.

W rozkazie z dn. 3-go sierpnia armii postawiono za zadanie dojść dn. 8-go sierpnia do linii Przasnysz—Maków—Wyszków—Parczew.

Zadanie zostało wykonane.

## XI

## POŁOŻENIE NAD WISŁĄ

Ciągłe niepowodzenie, ciągłe cofanie się ostatecznie złamały zdolność do boju armii polskiej. Było to już nie to wojsko, z którym wypadło nam się mierzyć w lipcu tegoż roku. Całkowite zdemoralizowanie, całkowita niewiara w możliwość powodzenia podkopały siły zarówno dowódców, jak i rzeszy żołnierskiej. Cofano się nieraz bez żadnego powodu. Tyły były wprost zawalone przez dezerterów. Żadne represje nie mogły odtworzyć porządku i zaprowadzić dyscypliny. Na dobitkę, łączyły się z tym jeszcze obostrzone antagonizmy klasowe.

Przez zastosowanie mobilizacji całej burżuazji i inteligencji polskiej środowiska robotnicze zostały zdławione, ale tętniały buntem.

Przy pomocy sztabu generalnego francuskiego oraz uzbrojenia i zaopatrzenia z Francji, Polska, wobec całkowitej swojej porażki, gorączkowo porwała się do odtworzenia swoich sił bojowych. W tym czasie armia polska nie osiągnęła jeszcze swej ostatecznej struktury,

ale za to teraz formowanie szło całą siłą pary. Dywizje drugiej linii z numerami pułków od 101 i wyżej zjawiały się na naszym froncie jedna za drugą. Wreszcie pojawiły się formacje trzeciej linii, tzw. ochotnicze. Te formacje, bez względu na swą młodość i brak wyszkolenia, miały dostateczne zalety bojowe, ponieważ przeważnie kompletowały się z elementów inteligentnych i burżuazyjnych, które, pojmując, że los ich stawia się na kartę, zdradzały wielkie zdecydowanie i upór. Słowem, na tyłach, za Wisłą, prowadzono intensywne przygotowanie nowych sił, mobilizację i akcję formacyjną. Wszystko to spiesznie zbierano razem i rzucano w głównych kierunkach. Pod Warszawą wzmocniono umocnienia.

Stworzono bardzo silny plac zborny od Modlina do Warszawy i nieco bardziej na południe. W tym kierunku ściągano siły ze wszystkich stron. Jeżeli w czasie naszych walk nad Niemnem i Szczarą stosunek wzajemny sił wypadał na naszą korzyść, to obecnie położenie zmieniło się zasadniczo. Front zachodni liczył w swoich szeregach zaledwie 40.000 bagnetów. Za to siły Polaków wzrosły według danych naszego ówczesnego wywiadu do 70.000, w rzeczywistości zaś były jeszcze większe.

Pojmując dobrze swoje położenie bez wyjścia, dowództwo polskie, jak należy sądzić, nie bez udziału francuskiego sztabu generalnego, 6-go sierpnia przedsiębierze prawidłowe, śmiałe postanowienie oderwania swojego wojska od naszych ścigających je mas i zasadniczego przegrupowania sił na całym froncie polskim. Widząc, że losy Polski rozstrzygać się będą nad Wisłą, dowództwo polskie ściąga tu wszystkie swoje siły. Z kierunku lwowskiego odwołuje się prawie wszystkie oddziały polskie. Zostawia się tylko ukraińskie oddziały partyzanckie armii gen. Pawlenki i resztki armii 6-ej, według źródeł polskich [1]), w składzie zaledwie jednej dywizji jazdy. Jednakże należy przypuszczać, że z dywizyj piechoty zostało tu także choć cokolwiek. Cała ta słaba grupa otrzymała za zadanie zabezpieczenie rejonu naftowego. Wszystkie pozostałe siły polskie są przerzucone liniami kolejowymi w kierunku północnym. Dowództwo polskie ryzykuje stratę Galicji, ale ma nadzieję wygrania bitwy generalnej i zbawienia w ten sposób Polski burżuazyjnej. Dlatego cała armia polska koncentruje się nad Wisłą.

Z naszej strony sytuacja wyglądała jak następuje: oddziały frontu zachodniego były wycieńczone i osłabione fizycznie, ale silne duchem i nie bały się przeciwnika. Przeciwnik, dwa czy trzy razy silniejszy, nie mógł powstrzymać naszego natarcia. Działała siła bezwładu uderzenia, siła bezwładu zwycięstwa. Ale jeżeli oceniać nasze ogólne położenie strategiczne, sprawa przedstawiała się bynajmniej nie tak różowo. Jeszcze przed rozpoczęciem kampanii polskiej rozpatrywano zagadnienie połączenia frontów zachodniego i południowo-zachodniego. Wówczas naczelne dowództwo uznało takie zjednoczenie za przedwczesne i projektowało jego urzeczywistnienie przy osiągnięciu południka Brześcia Litewskiego. W istocie błotniste Polesie nie pozwalało na bezpośrednie współdziałanie frontów zachodniego i południowo-zachodniego; dlatego postanowienie powyższe było zupełnie możliwe. Ale kiedy po wyjściu przez nas na wskazaną linię, próbowaliśmy urzeczywistnić zjednoczenie, okazało się, że jest ono prawie niewykonalne wobec zupełnego braku środków łączności. Front zachodni nie mógł jej nawiązać z fron-

[1]) St. Künstler: «Nasza ofensywa sierpniowa».

tem południowo-zachodnim. Przy pomocy posiadanych przez nas nędznych środków mogliśmy wykonać to zadanie nieprędko, nie prędzej, jak 13—14 sierpnia, a położenie już w końcu lipca stanowczo wymagało natychmiastowego zjednoczenia całego wojska pod wspólnym dowództwem. W rozmowach hughesowych z głównodowodzącym i w telegramach znajdujemy ciągle roztrząsanie samego zagadnienia i tych sposobów, jakie przedsiębrano, aby je urzeczywistnić.

Dowództwo frontu zachodniego, licząc, że lada dzień otrzyma do rozporządzenia armie konne 12-tą i 1-szą, już zawczasu przeznaczało im za zadanie ściąganie ku lewemu skrzydłu zasadniczych armij frontu, ale sprawa zaciągała się i zadanie to pozostało otwarte.

Siły frontu południowo-zachodniego nie współdziałały z zasadniczymi siłami frontu zachodniego. Szczególnie mocnym podkreśleniem powyższego była ta okoliczność, że front południowo-zachodni miał przed sobą swoje miejscowe i samo w sobie nadzwyczaj ważne zadanie owładnięcia ośrodkiem obszaru galicyjskiego — miastem Lwowem. To też w tym kierunku szły zasadnicze wysiłki frontu południowo-zachodniego, rozchodząc się w ten sposób z wysiłkami frontu zachodniego co najmniej o 90°.

Położenie złożyło się niesłychanie niepomyślnie dla frontu zachodniego. Wychodząc na przedpola Wisły, był on pozostawiony swoim siłom, podczas gdy przeciw niemu były skupione siły całej armii polskiej. Ta okoliczność była już wyżej wyjaśniona przy początku naszych walk nad Wisłą. Wywiad sztabu polowego przeczył naszym wiadomościom o dokonywanym przez Polaków przegrupowaniu, uważając, że wszystkie siły, które były na froncie południowo-zachodnim, pozostają naprzeciw niego nadal. W tej sprawie istnieje spór w rozmowie hughesowej.

Do całej tej sprawy wplątała się jeszcze ta okoliczność, że front południowo-zachodni miał wzrok zwrócony w dwu kierunkach — ku Lwowu i ku Krymowi, skąd w tym czasie działał aktywnie Wrangel. Ciągłe powodzenia frontu zachodniego napełniały mocnym przeświadczeniem o naszym ostatecznym powodzeniu. Projektowano ściągnięcie z frontów zachodniego i południowo-zachodniego całego szeregu dywizyj dla przerzucenia ich w kierunku Krymu. Nieraz wypadało walczyć o nietykalność oddziałów.

Na ogół położenie strategiczne można ocenić w następujących słowach: Polacy dokonali śmiałego, prawidłowego przegrupowania, postawili na kartę kierunek galicyjski i skoncentrowali wszystkie swoje siły naprzeciw decydującego frontu zachodniego na czas rozstrzygającego starcia. Nasze siły w tej decydującej chwili były rozdrobnione i zorientowane w różnych kierunkach. Te wysiłki, jakie przedsięwzięło naczelne dowództwo, ażeby przegrupować masę zasadniczą frontu południowo-zachodniego w kierunku Lublina, niestety, dla całego szeregu nieoczekiwanych przyczyn, nie zostały uwieńczone powodzeniem, i przegrupowanie zawisło w powietrzu.

Autorzy francuscy i polscy lubią porównywać bitwę nad Wisłą z bitwą nad Marną. Jednakże w rzeczywistości nie ma tu żadnego podobieństwa.

Nasuwa się za to gwałtem inne porównanie, mianowicie — z działaniem w Prusach Wschodnich w r. 1914. Tam Rennenkampf postawił sobie za zadanie wziąć Królewiec i posunął całą swoją armię na północny zachód, podczas kiedy Hindenburg cofał się na południo-wschód,

ku skrzydłu armii Samsonowa. To pozwoliło mu skupić bezkarnie wszystkie siły przeciw połowie wojsk rosyjskich, liczących na współdziałanie sąsiada.

## XII.

## NATARCIE ROZSTRZYGAJĄCE.

Tymczasem nasza ofensywa rozwijała się bez przerwy. Stawało się jasnem, że nie czas myśleć o wahaniach, odpoczynkach, ale że nadszedł czas, kiedy jednym uderzeniem ostatnim trzeba rozstrzygnąć posunięte daleko wypadki. Niejednokrotnie są dawane wskazówki w tym względzie, podkreślone jeszcze 12 sierpnia dyrektywą głównodowodzącego o konieczności możliwie rychłego zajęcia Warszawy. Rozkaz towarzysza Trockiego nosi ten właśnie charakter.

Dla frontu zachodniego było zupełnie jasne, że główne siły przeciwnika skupione są naprzeciw naszego zasadniczego ugrupowania w rejonie Ciechanów—Modlin—Warszawa. Według naszych obliczeń, przeciwnik, wzmocniony liczebnie, rozporządzał tutaj ilością do 70.000 bagnetów i szabel. W pozostałych kierunkach siły były znacznie mniejsze. Jedynie grupa mozyrska napotykała na swej drodze bardziej uporczywy opór «białych» polskich oddziałów.

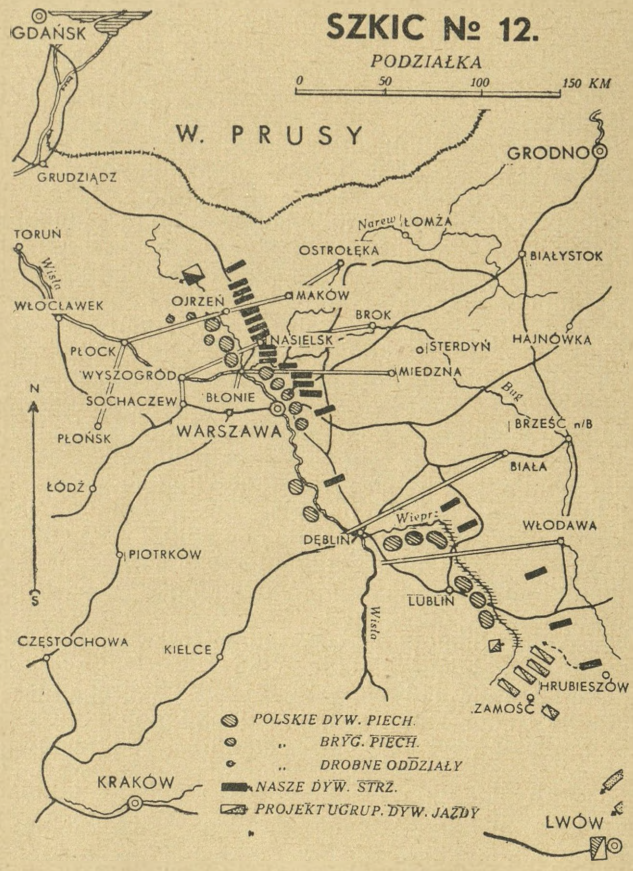
Lewe skrzydło, to jest ugrupowanie frontu południowo-zachodniego cały czas niepokoiło front zachodni. Oczekując co chwila oddania armii konnej do rozporządzenia frontu zachodniego i nawiązania z nią łączności, projektowano stworzenie silnego ośrodka w kierunku Lublina, przez skoncentrowanie tam sił głównych armij konnych 12-ej i 1-ej (szkic nr 12). Jak już powiedziano wyżej, powstało takie położenie, w którym trzeba było działać szybko i zdecydowanie. Jednocześnie siły frontu zachodniego nie przenosiły 40.000 bagnetów i szabel. W ten sposób wypadło nacierać na przeciwnika, dwa razy silniejszego i przy tym wspartego o tak potężną przeszkodę, jak Wisła. Było oczywistym, że na podstawie zwycięstwa częściowego, na podstawie rozgromienia naprzód jednego z odcinków frontu polskiego, można było wygrać bitwę rozstrzygającą.

Przy obraniu kierunku głównego uderzenia trzeba było myśleć nietylko o taktycznych jego zaletach w walce, ale także o zasadniczych życiodajnych magistralach przeciwnika. Skierowanie uderzenia w środek w kierunku Warszawy było zadaniem nad nasze siły. Pozostawało rozbicie jednego ze skrzydeł, prawego lub lewego. Wychodząc na lewe skrzydło przeciwnika, tym samym groziliśmy jego połączeniom z Gdańskiem. Biorąc pod uwagę, że ruch rewolucyjny w Niemczech przerywał normalny przewóz amunicji i broni z Francji dla armii polskiej, że arterią główną było połączenie przez Gdańsk, manewr ten nie tylko wyprowadzał nas na skrzydło zasadniczego ugrupowania polskiego, ale także zagrażał zasadniczej linii polskich połączeń. Dalszą zaletą tego kierunku było to, że nasze oddziały, ażeby to uderzenie wykonać, nie musiały dokonywać żadnych zasadniczych przegrupowań, przez co zyskiwano na czasie, a ponadto nie trzeba było zmieniać naszej zasadniczej linii komunikacyjnej. Ta ostatnia szła od Wilna i Lidy na południo-zachód.

Ujemną stroną wyżej wskazanego kierunku było, że oddziały oskrzydlające zwracały się poniekąd tyłem do granicy Prus Wschod-

nich, przez co swoboda ruchów operacyjnych, na wypadek nieudanego działania, znacznie się zmniejszała, a nawet powodowała pewne niebezpieczeństwo.

Natarcie na prawe skrzydło zasadniczego ugrupowania polskiego w istocie stawiało przed armiami frontu zachodniego zadanie złamania całego frontu strategicznego polskiego, co poza trudnościami zasadniczymi wobec przeważających sił przeciwnika, komplikowało się jeszcze




koniecznością forsowania w tym samym miejscu rzeki Wisły. Poza tym natarcie to wymagało dość złożonych przegrupowań naszych sił i nieuniknionej zmiany linii komunikacyjnej na Kleszczele i Brześć. Było oczywistym, że przeciwnik, znacznie wzmocniony, nie pozwoli nam bezkarnie przeprowadzić takiej manipulacji.

Natarcie dwiema grupami było dla nas zupełnie niemożliwe wobec naszej słabości liczebnej. Tak więc trzeba było zdecydować się na atakowanie lewego skrzydła polskiego, ubezpieczając się w kierunku Dęblina i licząc na ściągnięcie w czasie wykonania działania sił frontu południowo-zachodniego w kierunku Lublina.

8 sierpnia dowództwo frontu wydaje rozkaz o uderzeniu na siły polskie i sforsowaniu Wisły, z wyznaczeniem terminu na dzień 14 sierpnia (szkic nr 12). Uderzenie główne projektowane jest w rejonie na północ od Warszawy. Armia 4-ta ubezpiecza się do pewnego stopnia w kierunku Torunia, głównymi zaś siłami forsuje Wisłę w rejonie Płocka; armia 15-ta forsuje ją w kierunku Łowicza; armia 3-cia forsuje Wisłę w rejonie Wyszogród—Modlin; armia 16-ta, ubezpieczając się w kierunku Garwolina, głównymi siłami forsuje Wisłę na północ od Warszawy. Grupa mozyrska naciera dalej, aby forsować Wisłę w rejonie Dęblina. Jest ona wzmocniona, na żądanie frontu zachodniego, 58-mą dywizją strzelców ze składu armii 12-ej frontu południowo-zachodniego. Jako linie rozgraniczające wskazano: między armiami 4-tą i 15-tą Maków—Ojrzyn—Płock—Piątek; między armiami 15-tą i 3-cią Brok—Nasielsk—Wyszogród—Sochaczew; między armiami 3-cią i 16-tą Miedznę—Modlin—Błonie; między armią 16-tą i grupą mozyrską Brześć — ujście rzeki Wieprza; między frontami zachodnim i południowo-zachodnim głównodowodzący wyznaczył linię Włodawa—Puławy.

W ten sposób przeciw prawemu skrzydłu zasadniczego ugrupowania polskiego skierowaliśmy niemniej, jak czternaście dywizyj strzelców i III korpus konny. Biorąc pod uwagę wyższość moralną naszych wojsk, mieliśmy całkowite prawo liczyć tu na zwycięstwo.

Zwraca na siebie uwagę bardzo głębokie obejście, dokonywane przez nasze armie. Jednakże obejście takie oparte było na mocnych podstawach. Gdyby przeciwnik spotkał nas przeciwnatarciem na prawym brzegu Wisły, ugrupowanie nasze byłoby mocno skondensowane i oskrzydlające. Jeżeliby zaś «białe» polskie oddziały nie były w możności wdać się z nami w otwartą walkę i cofnęły się za Wisłę, wówczas dla wygody forsowania tej nadzwyczajnie trudnej przeprawy rzeczą niezbędną byłoby dokonać jej na rozległym froncie. Zmuszał nas do tego zwłaszcza brak materiałów pontonowych.

6 sierpnia, na dwa dni przed tym postanowieniem, Polacy w swojej głównej kwaterze ustanawiają następujący plan działań (szkic nr 12):

W kierunku Lublina pozostają tylko partyzanckie oddziały ukraińskie i polska grupa konna, licząca półtorej dywizji. Wszystkie pozostałe siły przerzuca się nad Wisłę i rozdziela pomiędzy pięć armij.

Naprzeciw naszego prawego skrzydła koncentruje się armia 5-ta w składzie trzech dywizyj piechoty, jednej brygady piechoty oraz wielkiej liczby oddziałów granicznych i różnych nowych formacyj, w ogólnej liczbie 29.000 bagnetów i szabel. Rejon działań Modlin—Maków. Zadaniem jej jest nie dopuścić do dalszego natarcia bolszewików za Bug i Narew.

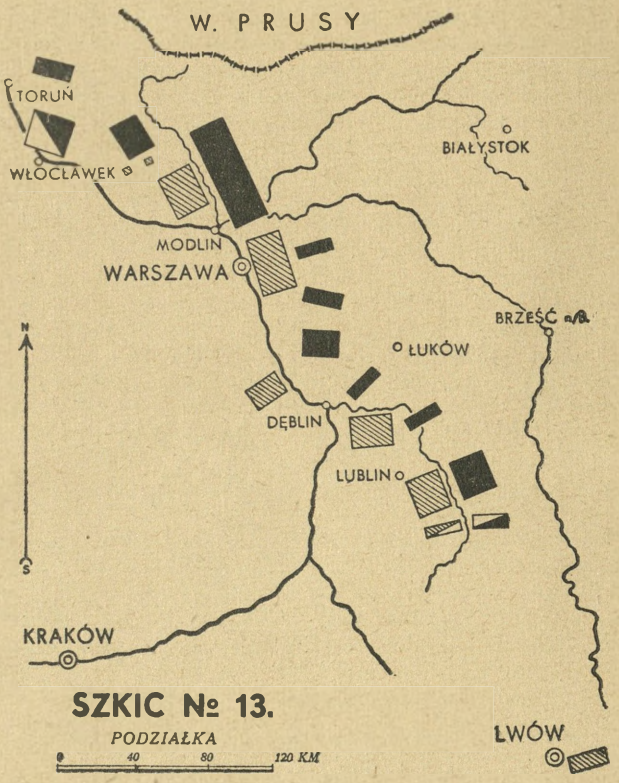
Armia 1-sza, w składzie czterech dywizyj piechoty, jednej brygady piechoty oraz znacznej ilości ochotniczych i różnych przypadkowych formacyj, koncentruje się na warszawskim przyczółku mostowym i liczy w swoim składzie do 40.000 bagnetów i szabel.

Armia 2-ga, w składzie dwóch dywizyj piechoty i rozmaitych drobnych oddziałów, broni odcinka Wisły na południe od Warszawy do Dęblina i liczy w swoim składzie 16.000 bagnetów.

Armia 4-ta, w składzie trzech dywizyj piechoty, koncentruje się w rejonie na południowy zachód od rzeki Wieprza, ażeby uderzyć na skrzydło naszych nacierających sił głównych. Koncentrację armii 4-ej ubezpiecza armia 3-cia, złożona z trzech dywizyj piechoty i jednej

brygady jazdy, działających w kierunku Lublina. Liczebność tych dwu armij dosięga do 22.000 bagnetów.

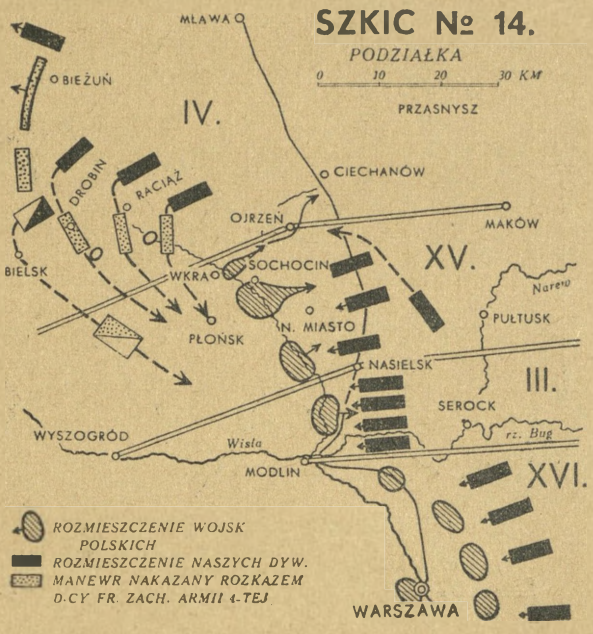
Oceniając to ugrupowanie «białych» sił polskich, trzeba uznać jego zupełną celowość wobec powstałych warunków i położenia. Jednakże wydaje się, że pomimo, iż w wyniku swoim dało ono całkowite zwycięstwo, w kierunku rozstrzygającym (lubelskim) skupiono za mało sił. O ileby nie było błędów z naszej strony i ubezpieczenie tego kierunku zostało zmasowane, ugrupowanie to nie tylko nie mogłoby się było zachować czynnie, ale byłoby ponadto zgniecione (szkic nr 13).




Tak więc, na odcinku naszych armij 4-ej, 13-ej i 3-ej, mających w swoim składzie dwanaście dywizyj piechoty i dwie dywizje jazdy, Polacy mogli wystawić zaledwie trzy i pół dywizyj piechoty, prawda, że w pełnym składzie, oraz różne drobne oddziałki. Mieliśmy zupełną możność zadać tu przeciwnikowi druzgocący cios, odsłaniając jego lewe skrzydło i połączenia. Armia 16-ta wiodła natarcie czołowe na najpotężniejsze polskie ugrupowanie i musiała związać je przez czas rozwijania się całego działania. Za to lewe nasze skrzydło było niewygodnie ustosunkowane pod względem sił. Przeciw dwom dywizjom grupy mozyrskiej i trzem dywizjom armii 12-ej, działającym w kierunku Lublina, Polacy wystawili sześć dywizyj piechoty, doprowadzonych do pełnego składu, i w ten sposób mieli tu przewagę. Jeżelibyśmy

w swoim czasie byli skoncentrowali w kierunku Lublina oddziały armii konnej, to i tutaj ugrupowanie nasze byłoby groźne dla «białych» polskich oddziałów, Polacy wówczas nie tylko nie mogliby myśleć o natarciu z rejonu Dęblin—Lublin, ale sami znaleźliby się w bardzo ciężkim położeniu i bezwzględnie musieliby być odrzuceni na zachodni brzeg Wisły. Okoliczność ta całkiem dobitnie wykazuje, że mogliśmy i powinniśmy byli zdecydować się na naszą ofensywę za Wisłę i że natarcie to miałoby było zupełną podstawę powodzenia, gdyby z naszej strony nie było nastąpiło przerachowanie się w koncentracji strategicznej.

5-ta armia polska nie ma możności wykonać swego zadania. Zostaje odtrącona zdecydowanym natarciem naszych armij północnych i zmuszona cofnąć się na zachodni brzeg rzeki Wisły. Armia 16-ta zawiązuje walki w kierunku Warszawy.




W tym czasie na styku armij 4-ej i 15-ej ma miejsce wypadek, nieznaczny w założeniu, który jednak odegrał rozstrzygającą rolę w biegu naszego działania i dał początek jego katastrofalnemu wynikowi (szkic nr 14).

Sztab polowy armii 4-tej, który przeniósł się po ofensywie do miasta Ciechanowa, został niespodzianie zaatakowany przez drobne oddziały przeciwnika, które przedarły się między armiami 4-tą i 15-tą, skutkiem czego sztab musiał szybko się zwinąć i odjechać na zachód do swoich oddziałów. Przez to naruszona została łączność między sztabem frontu a armią 4-tą, nie nawiązana już aż do naszego odwrotu,

co oczywiście wynikało z zupełnego braku jakichkolwiek środków łączności strategicznej w naszym rozporządzeniu.

Sam incydent taktyczny został bardzo szybko zlikwidowany. Armia 15-ta wysyła na styk swoją dywizję odwodową, szybko przywraca położenie, i nasza ofensywa trwa dalej. Jednakże, jak okazało się z dalszego biegu wypadków, ta okoliczność nie była prostym przypadkiem. 5-ta armia polska, odepchnięta za rzekę Wisłę, otrzymała rozkaz przejścia do natarcia i rozpoczęła je na całym froncie armij 15-ej i 3-ej.

Już od pięciu tygodni trwała nasza ofensywa. Przez pięć tygodni dążyliśmy do tego, aby odnaleźć żywe siły wroga i w rozstrzygającym uderzeniu ostatecznie je unicestwić. Przez pięć tygodni «białe» polskie armie niezmiennie uchylały się od rozstrzygającego zderzenia ze względu na rozprzężenie swoich oddziałów, i dopiero nad Wisłą, wzmocnieni przez nowe formacje, Polacy zdecydowali się na bój. Nie wiedzieliśmy zawczasu, gdzie napotkamy główny opór przeciwnika — nad Wisłą czy za Wisłą. Ale wiedzieliśmy jedno: że gdzieś znajdziemy jego główne siły i rozbijemy je w decydującym spotkaniu. I oto teraz przeciwnik sam dawał nam możność zadanie to wypełnić. Armia 5-ta, najsłabsza co do składu jednostek i najsłabsza duchem, przeszła do natarcia na nasze armie 15-tą i 3-cią, podczas kiedy nad jej odsłoniętym lewym skrzydłem zawisły najświeższe, najlepsze pod względem bojowym oddziały naszej armii 4-ej. Dowództwo frontu nie posiadało się z radości z powodu tego zdarzenia; armie 15-ta i 3-cia otrzymały rozkaz, aby na całym froncie na natarcie przeciwnika odpowiedziały zdecydowanym przeciwnatarciem i odrzuciły go za rzekę Wkrę (szkic nr 14), armia zaś 4-ta, ubezpieczywszy się w kierunku Torunia, miała wszystkimi siłami atakować rozpoczynającego natarcie przeciwnika na flankę i tyły w kierunku Modlina z rejonu Raciąż—Drobin.

Zdawało się, że zguba 5-ej armii przeciwnika jest nieuchronną; unicestwienie jej byłoby pociągnęło za sobą najdonioślejsze skutki w dalszym biegu wszystkich naszych działań. Jednakże Polakom dopisało szczęście. Nasza armia 4-ta, gdzie nowy dowódca armii stracił łączność ze sztabem frontu, nie zdawała sobie jasno sprawy z powstającego położenia. Nie otrzymując rozkazów frontu, wystawiła w rejonie Raciąż—Drobin jakieś nieokreślone półubezpieczenie i rozrzuciła swoje oddziały na odcinku Włocławek—Płock. 5-ta armia przeciwnika była uratowana i zupełnie bezkarnie, mając na flance i tyłach naszą potężną armię z czterech dywizyj strzelców i dwóch dywizyj jazdy, nacierała dalej na nasze armie 3-cią i 15-tą. Takie położenie, wprost potworne i nie do pomyślenia, pomogło Polakom nie tylko zatrzymać ofensywę armij 3-ej i 15-ej, ale jeszcze krok za krokiem wypierać ich oddziały w kierunku wschodnim.

Tym czasem armia 16-ta mocnym uderzeniem zmiotła polskie oddziały i podeszła już zupełnie blisko do przeprawy na Wiśle, kiedy przeciwnatarcie tych oddziałów zmusiło ją do cofnięcia się wstecz. Przechodzi ona znowu do natarcia, i tu rozpoczynają się walki ze zmiennym szczęściem, bez wyraźnych wyników.

Na lewym skrzydle armia 16-ta bez walk wychodzi na linię rzeki Wisły; prawe skrzydło grupy mozyrskiej osiąga ją również bez przeszkód. Za to w kierunku Parczewa grupa ta nawiązuje walki bez rezultatów.

13 sierpnia dowódcy frontu zachodniego zostaje nareszcie podporządkowana armia 12-ta.

Naczelne dowództwo, biorąc pod uwagę konieczność utrwalenia lewego skrzydła frontu zachodniego, daje 11 sierpnia o godzinie 3 frontowi południowo-zachodniemu dyrektywę o niezbędności zmiany ugrupowania i wysłania bez najmniejszej zwłoki armii konnej w kierunku Zamość—Hrubieszów. Obliczenie czasu i przestrzeni wykazuje, że to wskazanie naczelnego dowództwa mogło być bezwarunkowo wykonane przed przejściem polskiego ugrupowania południowego do na-




tarcia. Gdyby nawet wykonanie opóźniło się nieco, to oddziały polskie, które przeszły do natarcia, byłyby postawione wobec nieuniknionego zupełnego pogromu, bo tyły ich otrzymałyby uderzenie naszej zwycięskiej armii konnej.

Jednakże wobec położenia, wynikłego w Galicji, gdzie kolejne ugrupowania, przeprowadzane do tej pory, kierowane były ku Lwowu, wykonanie tego wskazania zostało zatrzymane. 12 sierpnia głównodowodzący w rozmowie hughesowej zaznacza, że ta zwłoka w wykonaniu jego dyrektyw jest dla niego niezrozumiała i potwierdza swoją dyrektywę. Kiedy wreszcie przystąpiono do wykonania, było już prawie po niewczasie. Ale, co najgorsze, nasza zwycięska armia konna wplątała się w owych dniach w zacięte walki o Lwów, tracąc bez-

płodnie czas i siły na jego umocnionych pozycjach w walce z piechotą, jazdą i potężnymi eskadrami lotniczymi. Walki całkowicie pochłonęły armię konną, która do wykonania przegrupowania wzięła się tak późno, że nic pożytecznego w kierunku Lublina zdziałać już nie mogła.

Tym czasem armia 12-ta przejęła rozkaz do 3-ej armii polskiej, z którego wynikało jasno, że Polacy gotują się do ofensywy przeciwko naszemu lewemu skrzydłu w rejonie rzeki Wieprz. Nawiasem mówiąc, rozkaz ten wydał się nieprawdopodobnym sztabowi polowemu, co daje się zauważyć z rozmowy hughesowej, z której wynika, że według danych wywiadu wszystkie wymienione przez nas oddziały nie są do nas przerzucone, lecz działają nadal na froncie południowo-zachodnim. Niestety, rozkaz był prawdziwy.

Armia 16-ta prowadziła swoje natarcia bez wyników na północ od Warszawy. Położenie składało się tak, że rzeczą niezbędną było wzmocnić nasze lewe skrzydło i jednocześnie dać armii 16-ej możność zaczęcia działań w kierunkach, mniej przez przeciwnika umocnionych. W związku z tym 14 sierpnia dowództwo frontu daje rozkaz, aby armia 16-ta szukała przeprawy na południe od Warszawy i żeby wydzielić jedną dywizję strzelców do odwodu frontu w rejonie miasta Łukowa (szkic nr 15). Do wykonania powyższego przystąpiono.

## XIII

## KONTROFENSYWA POLSKA

Podczas przeprowadzania tych przegrupowań armia polska przeszła do ofensywy. Oddziały grupy mozyrskiej zostały łatwo rozbite, rozprószone i rozpoczęły bezładny odwrót. Armia 16-ta zaczęła odczuwać uderzenia flankowe, co było tym dotkliwsze, że właśnie przeprowadzano przegrupowanie i że łączność dywizyj z dowództwem armii była przerwana. Wynikało to ze zbyt wielkiej odległości polowego sztabu armii od linii bojowej. To położenie stało się dla nas nadzwyczaj groźne, zwłaszcza, że armia konna uporczywie działała nadal w kierunku Lwowa, zamiast działać w kierunku Lublina.

Niestety, o ofensywie polskiej dowództwo frontu dowiedziało się dopiero 18-go sierpnia z rozmowy hughesowej z dowódcą armii 16-ej. Ten ostatni o ofensywie dowiedział się dopiero 17-go. Grupa mozyrska nic nie dała znać o tym, co się stało.

Dowódca armii 16-ej, meldując w rozmowie hughesowej o wynikłym położeniu, wypowiedział się za koniecznością odwrotu dla zorganizowania się, ale nie uważał ofensywy «białych» polskich oddziałów za poważną i przewidywał możność zlikwidowania jej. Jednakże zestawienie danych wywiadu o przeciwniku z faktem tej ofensywy, która zaczęła się z za Wieprza, zmusiło do innego poglądu na tę okoliczność. Dowódca frontu natychmiast wydaje rozkaz całkowitej zmiany zadania dla armij frontu (szkic nr 16).

Na naszym lewym skrzydle położenie przedstawiało się groźnie. Na naszym prawym skrzydle, dzięki niezrozumiałym działaniom armii 4-ej, nie było zupełnie możności szybko skończyć z nacierającym przeciwnikiem. Na odwrót, armia 4-ta, wysforowawszy się do Włocławka, z góry skazywała się na bardzo ciężkie położenie.

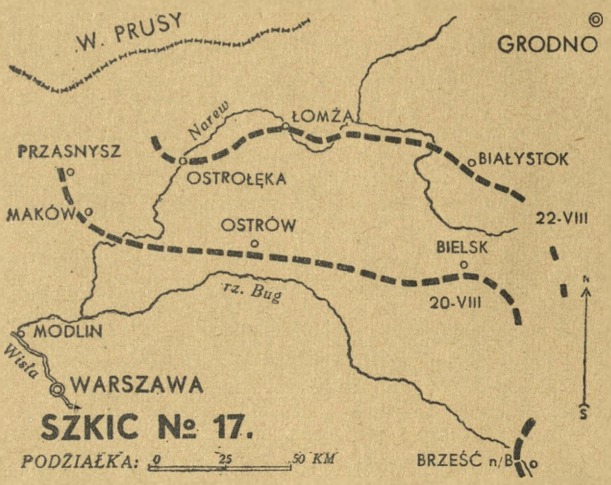
Wydany zostaje rozkaz treści następującej: armia 4-ta w pełnym składzie, pomagając w drodze armii 15-ej, ma na 20-go sierpnia bezwzględnie skoncentrować się w rejonie Ciechanów—Przasnysz—Maków. Telegram szefa sztabu frontu zachodniego dawał armii 4-ej dyrektywę, aby, jeżeli współdziałanie z armią 15-tą będzie ją zatrzymywało w ruchu, tego współdziałania unikała, ponieważ celem jej jest skupienie się we wskazanym rejonie i w oznaczonym terminie. Armie 15-ta i 3-cia otrzymały za zadanie powstrzymywanie przeciwnika i zabezpieczenie kon-




centracji odwodów armii 4-ej. Armia 16-ta miała za zadanie cofnąć się nad rzekę Liwiec. Grupa mozyrska — ubezpieczać lewe skrzydło armii 16-ej. Armia 12-ta otrzymała rozkaz rozpoczęcia natarcia, celem związania przeciwnika, nacierającego z za rzeki Wieprz. 21-ej dywizji armii 3-ej i jednej dywizji armii 16-ej rozkazano forsownym marszem skierować się do odwodu frontu w rejonie Drohiczyn—Janów.

Było oczywiste, że straciwszy czas i możność zadania przeciwnikowi klęski, samiśmy wpadli w ciężkie położenie i zmuszeni jesteśmy do odwrotu. Znając charakter walk i działań przy naszych przerywanych i rozrzedzonych frontach, dowództwo frontu nie łudziło się, że się nie utrzymamy i że odwrót będzie trwał prawdopodobnie do linii Grodno—Brześć. Tam mieliśmy możność wlać w szeregi tych 60.000 ludzi uzupełnienia, którzy już byli w eszelonach i szli marszem do batalionów zapasowych naszych armij. Tam mogliśmy odpocząć, zorganizować się i przejść z powrotem do ofensywy. Ale zasadniczym warunkiem tego było wyprowadzenie w dobrym stanie naszych armij z wynikłego położenia. Dlatego oderwanie się armii 4-ej stanowiło źródło pewnego niepokoju; postawiono jej zatem ostateczny termin odwrotu.

Jednak nie na tym koniec naszych nieszczęść. Brak środków łączności i błądzenia armii 4-ej po manowcach korytarza gdańskiego widocznie przeszkodziły dowódcy tej armii w otrzymaniu wydanego rozkazu w swoim czasie. Na dobitkę nieszczęścia, dowódca armii 4-ej, oderwany od sztabu frontu i od armij sąsiednich i wobec tego nie mający pojęcia o ogólnym położeniu na froncie, uważał to ostatnie za zupełnie pomyślne, a odwrót — za rzecz zupełnie nie na czasie. 19-go sierpnia, wypadkowo połączywszy się z dowódcą frontu, w rozmowie hughesowej wyraził mu cały swój pogląd, lecz otrzymał potwierdzenie kategoryczne wydanego rozkazu. Samo się przez się rozumie, że armia 4-ta tyle straciła czasu,




iż we właściwym terminie nie mogła w żadnym razie wypełnić postawionego jej zadania. Okoliczność ta w związku z dezorganizacją grupy mozyrskiej, która doszła do szczytu, i z tym, że przeciwnik, który się od nas nauczył śmiałości, nacierał tu ze wściekłą szybkością, z góry skazywała armię 4-tą prawie na pewną zgubę. Jedyna nadzieja mogła być jeszcze w tym, że przeciwnik, dla organizacji swoich tyłów, zatrzyma się choć na czas jakiś lub zwolni tempo swojej ofensywy. Ale tego przeciwnik nie zrobił. Dnia 20-go sierpnia, odrzucając oddziały armij 16-ej w nieładzie i bijąc po kolei we flankę oddziałów armij 3-ej i 15-ej, przeciwnik zajmuje linię Przasnysz—Maków—Ostrów—Bielsk—Brześć (szkic nr 17). Tym czasem armia 4-ta dopiero maszeruje ku Przasnyszowi i znajduje się w rejonie Ciechanowa. 22-go sierpnia przeciwnik wychodzi na linię Ostrołęka—Łomża—Białystok. Armia 4-ta dopiero zbliża się do pierwszego punktu. Oddziały armij 15-ej i 3-ej wytężają wszystkie siły, aby zatrzymać natarcie przeciwnika i pozwolić armii 4-ej przejść wąskim korytarzem między Narwią a granicą wschodniopruską. Ale to zadanie okazuje się niewykonalnym. Armie 3-cia i 15-ta w nierównych walkach, w jak najcięższym dla siebie położeniu, tracą znaczną część sił, a armii 4-ej już uratować nie mogą. Większą jej część przeciwnik przyciska do granicy Prus Wschodnich i zmusza do przejścia na terytorium niemieckie.

Tak kończy się ta nasza świetna operacja, wobec której drżeć musiał cały kapitał europejski, który odetchnął swobodnie dopiero po jej ukończeniu.

Polacy, włożywszy w swoją kontrofensywę tę całą resztę energii, jaka im została, stracili dech i nie mogli rozwinąć osiągniętych powodzeń. Nasze oddziały w najżałośniejszym stanie ściągały na linię Grodno—Wołkowysk i stąd wracały do swoich armij. Praca zawrzała na nowo. Uzupełnienia zostały wlane do istniejących nadal kadr i po mniej więcej 2—3 tygodniach siły frontu były przywrócone. Jednakże przywrócenie tych sił pojmować trzeba względnie. Przybyłe uzupełnienie było nieumundurowane, nieobute, pomimo pory jesiennej.




O ofensywie można było myśleć dopiero po otrzymaniu umundurowania. Zaś bez ofensywy trudno mówić o wartości bojowej wojska. Gdyby przeciwnik przeszedł do ofensywy zanim mybyśmy to zrobili, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bylibyśmy pobici. Jednakże nastrój w wojsku był dobry. Przegrana operacja wywoływała w nim pragnienie nowej ofensywy. Mieliśmy wszystkie warunki, żeby znowu zwrócić szczęście na naszą stronę. Cała sprawa polegała na tym tylko, kto wcześniej się przygotuje i kto wcześniej przejdzie do natarcia. Niestety, położenie gospodarcze republiki nie pozwoliło nam urzeczywistnić naszego zadania. Polacy przeszli pierwsi do ofensywy i odwrót nasz stał się nieunikniony.

Armia konna, która przybyła na kierunek lubelski z wielkim opóźnieniem, była wysunięta przez naczelne dowództwo celem wykonania głębokiego zagonu na Zamość, ale to już było poniewczasie.

## ZAKOŃCZENIE

Zasadniczy wniosek z naszej kampanii r. 1920 jest ten, że przegrała ją nie polityka, ale strategia. Polityka postawiła przed armią czerwoną trudne, ryzykowne i śmiałe zadanie. Ale czy to ma oznaczać, że zadanie to było postawione nieprawidłowo? Nie było ani jednego wielkiego dzieła, któreby nie wymagało śmiałości i zdecydowania. I jeżeli porównać rewolucję październikową z naszą zewnętrzną ofensywą socjalistyczną, to oczywiście trzeba przyjść do wniosku, że zadanie październikowe było znacznie śmielsze, znacznie bardziej karkołomne. Czerwony front miał możność wypełnienia postawionego mu zadania, ale go nie wypełnił. Za zasadniczą przyczynę nieudania się operacji należy uznać za mało poważny stosunek do zagadnień przygotowania dowództwa wojskowego. Środków technicznych brakło głównie dlatego, że nie zwrócono na nie należytej uwagi. Dalej, brak przygotowania niektórych naszych wyższych dowódców czynił niemożliwym poprawianie na miejscu braków dowodzenia technicznego. W chwili decydującego starcia rozejście się prawie pod kątem prostym głównych sił zachodniego i południowo-zachodniego frontu przesądziło niepowodzenie działania właśnie w tej chwili, kiedy front zachodni był wciągnięty w ofensywę nad Wisłą. Nieskoordynowane działania armii 4-ej wyrwało nam z rąk zwycięstwo i, w ostatecznym obrachunku, pociągnęło za sobą naszą katastrofę.

Klasą robotniczą Europy zachodniej na wieść o ofensywie naszej armii czerwonej wstrząsnął ruch rewolucyjny. Żadne hasła narodowe, które rzucała burżuazja polska, nie mogły przyćmić istoty rozgrywającej się wojny klasowej. To poczucie objęło i proletariat, i burżuazję Europy i wstrząśnienie rewolucyjne ogarnęło świat. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy byli wyrwali z rąk burżuazji polskiej jej burżuazyjną armię szlachecką, wówczas rewolucja klasy robotniczej w Polsce stałaby się faktem dokonanym. A pożar ten nie dałby się ograniczyć ścianami polskimi. Jak wzburzony potok, rozlałby się po całej Europie zachodniej. Tego doświadczenia rewolucji z zewnątrz armia czerwona nie zapomni. I jeżeli kiedykolwiek burżuazja europejska wyzwie nas do nowej walki, to armia czerwona potrafi ją pogromić, zaś rewolucję w Europie wesprzeć i rozprzestrzenić.

# SKOROWIDZ NAZWISK [1])


d'Abernon 1
Bałachowicz 200
Batorskij 173
Blomberg von 8
Bogusławski Antoni **6**, 165
Boruszczak 88
Budienny **5**, **6**. 31, 41 42, 46—48, 92, 93, 97, 101—105, 111, 116—119, 122, 126
Buelow von 113
Burhardt-Bukacki 88, 99

Chwesin 184
Clausewitz 33
Curzon 194

Daszyński Ignacy 148
Denikin 27, 93, 169

Frołow 20

Gaj 185
Göring Hermann 8
Grippenberg 23

Haller Stanisław 26, 31
Hausen von 113
Henrys 152
Hindenburg 112, 205
Hughes 75

Iłłowajskij 148, 149, 151

Jaworski 200
Jèze Ch. 8

Jędrzejewski Władysław 51, 58—61, 66, 74—76
Joffre 110

Kaczkowski J. P. 8
Kaliszek 94
Kluck von 113, 159, 160
Kołczak 169
Kork 173
Kuk 173
Kuropatkin 23
Künstler St. 204

Ledóchowski 66
Liebknecht Wilhelm 151
Lipcsei-Steiner M. 8
Lipiński Wacław 8
Lisowski 184
Ludendorff 160

Łazarewicz 184, 202

Marks Karol 151
Moszczeński Józef **6**, 8

Napoleon 21, 46, 65, 94, 114, 115, 156, 158

Oyama 23

Paskiewicz 112, 151
Pawlenko 108, 204
Perkowicz Edward **6**
Petain 160
Petlura Szymon 108


[1]) Stronice wydrukowane tłustymi czcionkami odnoszą się do części redakcyjnej.

Pietrusiewicz 7
Piłsudska Aleksandra 4
Putna W. 18, 132, 142, 143

Rennenkampf 111, 205
Riedl Karol 8
Romer Jan 114
Rozwadowski Tadeusz 110, 111, 118, 134
Rydz-Śmigły Edward 47, 101, 103, 120, 121, 129, 131, 135, 137, 142
Rządkowski 58, 72

Samsonow 111, 206
Schlieffen 158
Sergiejew 14, 15, 33—35, 37, 39, 42, 43, 49—53, 55—57, 60, 62—65, 77, 85—89, 91, 95, 96, 98, 99, 104—108, 110, 113, 121, 131, 133, 136, 137, 139—144, 150, 151, 156, 157, 169, 173, 184
Sikorski Władysław 103
Skierski Leonard 83
Skulski 150
Sołłohub 173
Sosnkowski Kazimierz 38, 110, 115, 122, 142, 150
Stachiewicz Julian 4, 6
Stańczyk 10
Szeptycki Stanisław 18, 20, 27, 31—33, 38, 40, 42, 47, 51, 58, 67, 72, 73, 79, 81—86, 89—95, 99, 100, 114
Szuwajew 184

Teslar J. A. 8
Triandafiłow 7
Trocki Leon 206
Tuchaczewski 2—6, 8—52, 54—56, 59—62, 64, 65, 77—79, 82, 85—87, 90, 91, 95—100, 105—114, 117, 119—121, 125, 130—136, 139—141, 143—160, 162, 163, 170—217

Wende E. 6
Weygand 110, 152, 153
Witos Wincenty 148
Wrangel 169, 194, 205

Zieliński Zygmunt 103
Zygadłowicz 67, 71, 76, 114

Żeligowski Lucjan 51, 57—62, 65, 79, 88, 95, 99

# SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI


Akwizgran 159
Augustów 130, 137, 141
Austerlitz 159

Babino 199
Baranowicze 18, 192
Berdyczów 27
Beresteczko 102, 103
Berezyna 170
Białystok 130, 135, 136, 142, 143, 150, 151, 196, 215
Bielsk Podlaski 127, 136, 142, 199, 215
Błonie 208
Bobrujsk 45, 65, 90, 94, 124, 170
Boćki 199
Bogdanów 89
Borysów 170, 181
Brodnica 125, 139, 144
Brody 103, 105, 106
Brok 130, 199, 208
Brześć n/Bugiem 6, 15, 34, 92, 101—103, 105, 106, 110, 116, 120, 122, 124, 125, 130, 142, 202, 204, 207, 208, 214, 215
Budapeszt 8
Budsław 173
Budzicze 187, 190

Chełm 104—106, 109, 121, 122, 124
Chochło 189
Chorzele 141, 144
Chwastów 31
Ciechanów 120, 136, 137, 140, 144, 210, 214
Czeremcha 131

Dereczyn 192, 199
Dębe Wielkie 128
Dęblin 108, 116, 119, 120, 125, 126, 128, 132, 207, 208, 210
Dokszyce 54, 55, 58, 64, 78, 90, 186, 188
Drobin 211
Drohiczyn 133, 134, 142, 199, 214
Dubinki 88
Dubno 48
Dukszty 87
Duniłowicze 58, 60, 61, 81, 99
Dyneburg 93

Essen 8

Firlej 123

Garwolin 118, 126, 127, 208
Gdańsk 108, 120, 195, 198, 206
Głębokie 31, 32, 51, 52, 55, 58, 59, 62, 63, 77, 79, 85, 159, 185, 186, 188
Głusk 45, 185, 188
Góra Kalwaria 126
Grajewo 144
Granne 130
Grodno 98, 99, 114, 137, 141, 144, 191, 192, 196, 197, 214, 216

Hajnówka 199
Hei-kau-tai 23
Hermanowicze 37, 52, 55, 58, 61, 99, 176, 188
Hoduciszki 81, 188
Horochów 121
Hrubieszów 104, 105, 121, 122, 212

Ihumeń 32, 33, 43, 170, 173, 184, 185, 187, 188
Indura 196, 199

Pietrusiewicz **7**
Piłsudska Aleksandra **4**
Putna W. 18, 132, 142, 143

Rennenkampf 111, 205
Riedl Karol 8
Romer Jan 114
Rozwadowski Tadeusz 110, 111, 118, 134
Rydz-Śmigły Edward 47, 101, 103, 120, 121, 129, 131, 135, 137, 142
Rządkowski 58, 72

Samsonow 111, 206
Schlieffen 158
Sergiejew 14, 15, 33—35, 37, 39, 42, 43, 49—53, 55—57, 60, 62—65, 77, 85—89, 91, 95, 96, 98, 99, 104—108, 110, 113, 121, 131, 133, 136, 137, 139—144, 150, 151, 156, 157, 169, 173, 184
Sikorski Władysław 103
Skierski Leonard 83
Skulski 150
Sołłohub 173
Sosnkowski Kazimierz 38, 110, 115, 122, 142, 150
Stachiewicz Julian **4, 6**
Stańczyk 10
Szeptycki Stanisław 18, 20, 27, 31—33, 38, 40, 42, 47, 51, 58, 67, 72, 73, 79, 81—86, 89—95, 99, 100, 114
Szuwajew 184

Teslar J. A. **8**
Triandafiłow **7**
Trocki Leon 206
Tuchaczewski **2—6**, 8—52, 54—56, 59—62, 64, 65, 77—79, 82, 85—87, 90, 91, 95—100, 105—114, 117, 119—121, 125, 130—136, 139—141, 143—160, 162, 163, 170—217

Wende E. **6**
Weygand 110, 152, 153
Witos Wincenty 148
Wrangel 169, 194, 205

Zieliński Zygmunt 103
Zygadłowicz 67, 71, 76, 114

Żeligowski Lucjan 51, 57—62, 65, 79, 88, 95, 99

# SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI


Akwizgran 159
Augustów 130, 137, 141
Austerlitz 159

Babino 199
Baranowicze 18, 192
Berdyczów 27
Beresteczko 102, 103
Berezyna 170
Białystok 130, 135, 136, 142, 143, 150, 151, 196, 215
Bielsk Podlaski 127, 136, 142, 199, 215
Błonie 208
Bobrujsk 45, 65, 90, 94, 124, 170
Boćki 199
Bogdanów 89
Borysów 170, 181
Brodnica 125, 139, 144
Brody 103, 105, 106
Brok 130, 199, 208
Brześć n/Bugiem **6**, 15, 34, 92, 101—103, 105, 106, 110, 116, 120, 122, 124, 125, 130, 142, 202, 204, 207, 208, 214, 215
Budapeszt 8
Budsław 173
Budzicze 187, 190

Chełm 104—106, 109, 121, 122, 124
Chochło 189
Chorzele 141, 144
Chwastów 31
Ciechanów 120, 136, 137, 140, 144, 210, 214
Czeremcha 131

Dereczyn 192, 199
Dębe Wielkie 128
Dęblin 108, 116, 119, 120, 125, 126, 128, 132, 207, 208, 210
Dokszyce 54, 55, 58, 64, 78, 90, 186, 188
Drobin 211
Drohiczyn 133, 134, 142, 199, 214
Dubinki 88
Dubno 48
Dukszty 87
Duniłowicze 58, 60, 61, 81, 99
Dyneburg 93

Essen 8

Firlej 123

Garwolin 118, 126, 127, 208
Gdańsk 108, 120, 195, 198, 206
Głębokie 31, 32, 51, 52, 55, 58, 59, 62, 63, 77, 79, 85, 159, 185, 186, 188
Głusk 45, 185, 188
Góra Kalwaria 126
Grajewo 144
Granne 130
Grodno 98, 99, 114, 137, 141, 144, 191, 192, 196, 197, 214, 216

Hajnówka 199
Hei-kau-tai 23
Hermanowicze 37, 52, 55, 58, 61, 99, 176, 188
Hoduciszki 81, 188
Horochów 121
Hrubieszów 104, 105, 121, 122, 212

Ihumeń 32, 33, 43, 170, 173, 184, 185, 187, 188
Indura 196, 199

Janów 120, 214
Jena 159

Kalenkowicze 31
Kałuszyn 127
Kanny 159
Karczew 126
Kijów 34, 47, 93, 177
Klekotów 104
Kleszczele 207
Kock 123, 124, 126
Kojdanów 189
Kolano 75, 76
Kolno 144
Kołbiela 125, 128, 142
Komaj 188
Korosteń 27, 31, 47
Kosów 199
Kostiuchnówka 41
Kowel **6**, 102—104
Koziany 80, 81
Koziatyn 27, 42, 47
Kraków 110
Królewiec 205
Kuryłowicze 51, 57
Kuźnice 196, 197

Landwarowo 191
Lepel 170
Lida 27, 31, 91, 192, 196, 197, 206
Listopady 190, 192
Lubartów 121, 124
Lublin 131, 132, 205—210, 213
Lwów 109, 115, 118, 126, 205, 212, 213

Łomża 103, 104, 130, 135—137, 140—145, 157, 199, 215
Łowicz 208
Łódź 195
Łuków 125, 127, 142, 213
Łuniniec 189
Łunna Wielka 99
Łużki 57, 58, 60—62, 79, 186, 187

Maciejowice 124
Magdeburg 162
Maków 114, 203, 208, 214, 215
Małkinia 44
Maraton **1**
Mazniewo 75, 76
Mazowieck 130, 135, 143, 157
Michaliszki 88, 89, 190
Miedzna 199, 208
Międzyrzec 127, 199
Mińsk Litewski 21, 32, 33, 38, 43, 54, 55, 75, 78, 79, 89, 93—95, 113, 119, 132, 156, 157, 185, 188, 194
Mińsk Mazowiewiecki 122, 128, 142, 153
Mława 120, 130, 136, 141, 144
Modlin 106, 108, 111, 115, 120, 126, 130, 135, 143, 144, 204, 208, 211
Mohylów 31
Mołodeczno 24, 32, 33, 37, 38, 51, 54, 58, 61, 63, 65, 72, 79, 84, 90, 95, 156, 159, 173, 177, 184, 188
Mosarz 60, 61, 62
Moskwa **2**, **6**, **7**, 10, 21, 169
Mosty 192, 196, 197
Mozyrz 45, 47, 172, 184, 185

Nasielsk 130, 208
Niebyszyn 80
Nowe Troki 191

Ojrzeń 208
Orany 191, 192
Orsza 24, 170, 171
Osinogródek 51, 57
Osipowicze 27
Ossowiec 135, 143, 199
Ostrołęka 136, 137, 144, 157, 199, 202, 215
Ostrów 130, 135, 143, 199, 215
Orzechowna 22—24, 31, 35—37, 39, 52, 87
Oszmiana 190, 192

Palplin 133
Parafianowo 59, 64, 65, 72, 185, 187, 188
Parczew 203, 211
Paryż **8**, 97, 110, 112, 113, 158
Pasieki 199
Piątek 208
Pierszaje 189
Pińsk 192

Płock 106, 108, 120, 125, 129, 139, 208, 211
Podbrodzie 88, 89
Poświlie 72
Pohost 54, 57, 60
Połock 24, 38, 54, 63, 173, 177, 181, 184
Porpliszcze 59
Postawy 38, 58, 60, 65, 77, 81, 87, 173
Poznań 137
Praga 195
Przasnysz 130, 136, 144, 203, 214, 215
Puławy 123, 208

Raciąż 211
Radzymin 124, 126, 129, 132, 133
Raków 189
Rostow n/Donem 41
Roś 199
Rozbity Kamień 134
Równe 47, 48
Rzeczyca 31, 172

San-de-pu 23
Sarny 47
Sedan 51, 52, 56, 59, 61, 63, 64, 79, 86, 99, 159
Siedlce 127, 131, 132, 137, 145, 150
Sierpc 136
Skidel 192, 196, 197
Słonim 196
Słuck 45, 90, 189
Smoleńsk 21, 22, 64, 79, 87
Smorgonie 191
Sobotniki 192
Sochaczew 208
Sokal 104, 121, 122
Sokołów 133, 134
Sokołówka 199
Spicheren 78
Stary Pohost 56
Strabla 199
Strąkowa Góra 199, 202
Stukana 64
Sudnianów 133, 134
Suraż 143
Szaciłki 170
Szarkowszczyzna 52, 56, 60, 62, 64, 80, 81, 99, 186

Śniadowo 140
Święciany 32, 33, 38, 58, 80, 87, 186, 188
Świr 87—89, 190

Tołoczyn 24, 170, 171
Toruń 108, 139, 208
Tours 1
Twerecz 81, 188

Warszawa 5—8, 15, 16, 18, 20, 24, 31, 32, 36, 43—45, 51, 53, 63, 65, 82, 91—93, 95—97, 100, 101, 104—141, 144, 145, 147, 164, 195, 197, 203, 204, 206, 208, 210, 213
Węgrów 133, 142
Wiązowna 126
Widze 87
Wiedeń 1
Wielka Czernica 176
Wilejka 55, 57
Wilno 5, 18, 58, 65, 81, 82, 86—88, 91—96, 100, 148, 157, 164, 182, 191, 206
Witebsk 24, 170, 171
Włocławek 120, 125, 129, 139, 144, 211, 213
Włodawa 106, 124, 132, 141, 142, 199, 208
Wołczeck 41
Wołkowysk 130, 142, 197, 216
Wołma 190, 192
Woronowo 192
Wyszków 130, 135, 143, 203

Verdun 160
Vionville 78

Zambrów 143, 199, 202
Zamość 102, 105, 212, 216
Zegrze 129, 134
Ziabki 181
Ziembin 173

Żelechów 125, 127, 141
Żłobin 31
Żyrmuny 192, 196
Żytomierz 31, 36, 40, 47

## SPIS RZECZY TOMU VII


WSTĘP . . . . . 1
ROK 1920 . . . . . 9
POCHÓD ZA WISŁĘ . . . . . 167
SKOROWIDZ NAZWISK . . . . . I
SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI . . . . . III


Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
35219/2 t.7
12-035219-007-0